

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

TOM IV.

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

TOM IV.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
WE LWOWIE.

zl. ct.

BIBLIOTEKA POLSKA.

Każdy tom brosz. 1 zlr. 80 ct., w opraw.	2 80
T. 1—2. Krasieński 2. Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy.	
3—6. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.	
7—10. Załęski B. Poezye. Wydanie przejrzone przez autora.	
11. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzone przez dra. Węclewskiego.	
12. Niemcewicz J. Jan z Tęczyna. Powieść histor.	
13—16. Słowacki Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Maleckiego.	
17—19. E...ly, (Asnyk Adam.) Poezye. 3 tomy.	
20—22. Małecki A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy.	
23. J. Wybicki. Pamiętniki.	
24—25. Mickiewicz A. Dzieła 5—6.	
26—28. Mickiewicz A. Korespondencya, 3 tomy.	
29—31. Kitowicz X. Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy.	
32—33. Kitowicz X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy.	
34—37. Romanowski M. Pisma. 4 t.	
38—39. Słowacki J. Listy, 2 t. wydanie 2. znacznie pomnożone.	
40—43. Słowacki J. Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie 2. znacznie pomnożone.	
43—44. Krasieński. Pisma 3—4.	
45. Kraszewski J. I. Poezye.	
Bronikowski. Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polaka w XVII w 2 t.	4 20
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3 —
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3 —
— Gawędy z przeszłości. 2 tomy	5 60
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya.	— 60
Estreicher. W. Pol. jego młodość i otoczenie	2 80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2 40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich Wspomnienia 1808—1831, wydał T. Orzechowski, 2 tomy	4 20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly	1 20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3 60
Krasieński listy: I do Gaszyńskiego, II do Soltana, III do Słowackiego, Załuskiego i t. d. tom po	3 20
Kubala L. Jerzy Ossoliński, 2 tomy.	6 80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy.	6 40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemińskiego.	2 80
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiery w ciągu wyprawy pod Wiedem w roku 1683.	2 80
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
Przyborowski W. Rubin Wezyski. Powieść	1 80
— Księżniczka z Minsterbergu	1 50
Sas Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3 80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2 40
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. Ks. Litwy	2 40
Wilkońska P. Na teraz, powieść,	2 40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberyi.	2 60
Zachariasiewicz Z. Teorya pana Filipa	2 40
— Jedna krew, powieść	1 80
Zieliński. August II i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2 60

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

WYDANIE ZBIOROWE

Z PRZEDMOWĄ

STANISŁAWA hr. TARNOWSKIEGO.

TOM IV.



LWÓW.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

1890.

KRAKÓW.

Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem J. Gadowskiego.

G

WŁADYSŁAW HERMAN

I JEGO DWÓR.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text is faint and difficult to decipher but appears to include a name and a date.

ROZDZIAŁ I.

Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliznie się błędną,
Usechną trawy i róże powiędną
I będą żółte, jako piersi gadu.

Wallenrod.

Dzień 8 maja 1089 r. był jednym z najpiękniejszych dni wiosny. Niebo czyste żadną nie pokryte chmurą, odbijało się w wodach licznie po błoniach rozlanych. Wschodzące zboża zieleniły szerokie Mazowska pola, a Płock wznosił się z ich środka z swojemi wieżami i niebotycznym zamkiem. Słońce błyszczało po srebrzystych strumieniach i kopule kościoła katedralnego stolicy. Wszystko oddychało szczęściem i odświeżoną pięknnością natury, ale serca ludzi wśród tych pięknych łąk, wśród tych gajów rozkosznych, przy potokach światłości przez gwiazdę dnia rozlewanych, srogimi szarpane namiętnościami, nie umiały cenić dobrodziejstw Boga. Wszystko w przyrodzeniu było zachwycającem, a tymczasem srogie gotowały się burze i walki pośród mieszkań ludzi.

O pół mili od miasta wznosił się wzgórek kilkoma drzewami ocieniony. Zpomędzy nich wystawał krzyż drewniany z wizerunkiem Zbawiciela, u którego nóg pełno zawieszonych kwiatów i wianków świadczyło o pobożności mieszkańców. U stóp krzyża leżał kamień, na którym mech już zaczynał pokrywać wyryty napis. Przy nim stał mąż zbrojny od stóp do głowy z założonemi na piersi rękoma, kopia spoczywała przy jego stopach, koń dzielny rżał przywiązany do drzewa, a u siodła wisiał szyszak, po którym białe spływały pióra.

Twarz rycerza wydawała głębokie zamyślenie, męstwo na niej wyryte mieszało się z wyrazem okrucieństwa nieodpowiadającym czarnym żywym oczom, w których najśłodsze uczucia i najgwałtowniejsze namiętności z równą łatwością malować się mogły. Czasem zwracał on bystry wzrok na drogę do miasta wiodącą, jak gdyby się kogoś spodziewał z tej strony, ale ciągle w największym pograżony zadumaniu, rozmyślał nad ważnym zapewne przedmiotem.

Lekki wietrzyk rozwijał, to znów skręcał czarne jego włosy, krótka broda tego samego koloru, przy bladej twarzy przypominała godło smutku i żaloby, a miecz u boku wiszący ogromem swoim dowodził, że nie słaba zwykle go dźwigała ręka. Wtem ukazał się zdaleka tuman kurzu, który coraz się przybliżał, wkrótce blask stali wydobył się z jego środka. Pojrzał mąż zbrojny i nagle ruszył się z miejsca. Leciał ku niemu na rozpędzonym koniu człowiek ze spuszczoną przyłbicą, niezadługo stanął u wzgórzka i skoczył na ziemię, a oddawszy pokłon, zbliżył się do rycerza, który niecierpliwym śpiesznie zeszedł z góry na jego przyjęcie.

— A cóż — zawołał — jest, czy niema?

Te jedyne tylko wyrzec mógł słowa. Zamilkł i czekał w najsroźszej niepewności, aż nowo przybyły się odezwie. Ten ostatni wysokiego był wzrostu i w bogatej zbroi, na puklerzu nosił węża z wyrzuconem na nieprzyjaciela żądłem, z temi słowy: „*śmierć temu, który się mnie dotknie*“.

— Mestwinie! — powtórnie krzyknął rycerz — czy ci piekła przymknęły usta? mów, bo już dalej wytrzymać nie zdołam.

Odkrył wtenczas Mestwin przyłbicę i okazał twarz, której rysy dowodziły, że stał na środku drogi życia, równie oddalony od burzliwej młodości jak od zgrzybiałego wieku.

Są ludzie, którzy nie mając nic szpetnego w twarzy, nieprzyjemne jednak czynią wrażenie.

Do ich rządu należał Mestwin. Pomimo wysokiego czoła, ognistych oczu, orlego nosa, było coś okropnego w jego obliczu. Zdawało się że podstęp i zdrada obrały swoje siedlisko na jego twarzy, a usta tak nawykły do szyderczego śmiechu, że ciągle zachowywały piętno pogardy i natrząsania się z innych. Otarł najprzód pot z czoła, i jak gdyby z upodobaniem patrzył na niecierpliwłość towarzysza, kilka chwil jeszcze pozostał w milczeniu, nareszcie powtórzył swój ukłon.

— Gierda — rzekł — uwiadomił mię, że w tem miejscu będziesz czekał na mnie. Przybyłem więc i donoszę ci, że ją przywiózł, i że jest w twojej mocy.

Na te słowa rycerz rzucił się w jego objęcia, ścisnął mu kilka razy rękę, i z głębokiego zamyślenia do najwyższej przeszedł radości.

— Żałuję — ozwał się — że nie mogłem tam być przytomnym, ale wiesz że musiał walczyć z tym rycerzem Pomorskim, z Ottonem z Strontheim: zabiłem go, opuściłem zaraz mój zamek Pomorski i przyleciałem tutaj; ale opowiedz mi wszystko.

— Tak — dalej mówił Mestwin — tak, mój panie i książę. Dostałem się do niej w nocy, oszukałem czujne czaty, przebrnąłem przez szerokie wody, wdarłem się na wieżę. Czekala już, gotowa rzucić się w objęcia miłości.

Zeszła po giętkiej drabinie, ale kiedy byliśmy na pół drogi, zawieszeni między szumnemi jeziora falami i pochmurnem niebem, nagle rozruch wszczął się w zamku. Do oręza porwali się męże. Tłumne krzyki obły nam się o uszy. Przez jedną chwilę tylko, przez jedną chwilę wahała się i chciała wrócić do swojej komnaty, już cofała lekkie kroki, ale ja pomnąc na ciebie, pochwyciłem ją w silne ramiona i z miłym tobie ciężarem, pośród ciemności zszedłem na dół.

Wskoczyłem w łódkę z kilkoma towarzyszami, uderzyłem wiosłem dwa razy i już byłem na przeciwnym brzegu. Słyszeliśmy jeszcze przez chwilę wrzaski i wołania zbrojnych ludzi Wszebora, ale wkrótce wysokie Cie-

chanowa wieże znikły nam z oczu. Leciałem co koń mógł wydołać, a ona pytała mnie się o Zbigniewa, twoje imię sto razy w jej ustach było.

Nad rankiem przybyliśmy do Płocka, a gotowe mieszkanie przyjęło twą kochankę. Czekaj teraz na ciebie; ale, panie, trzeba tu nam tajemnicy, trzeba skrytości. Bo już wieść się rozchodzi, że Wszebor z Ciechanowa na czele swych przyjaciół i panów jedzie na skargę do twego ojca. —

— Niech sobie jedzie — odparł Zbigniew. — Znasz mnie dobrze. Nie ulegnę trwodze, ani krzyki szlachty mazowieckiej, ani dumnych panów zażalenia i skargi nie wyrwą jej z rąk moich. Kocham ją, ją pierwszą kocham, a taką miłością, że wszystkoby dla niej poświęcił i oddał. Ona wzajemnie mnie tylko polubiła, gardzi moim bratem. Niech tam sobie Mieczysław teraz gryzie wargi, niech zobaczy jak przychylnego ma we mnie brata.

— Ale upamiętaj się, książę i panie mój, — rzekł Mestwin głosem, w którym już nie znać było tyle uszanowania, ale raczej przekonanie, że słuchający ulegnie danej radzie — upamiętaj się. Dla dogodzenia twym żądom, naraziłem się na setne niebezpieczeństwa, nie pierwszą już porywam dziewicę, nie jednego już zabiłem rycerza. Dopóki widziałem że dopełnienie twych chęci może tylko przyjemność i rozkosz ci zjednać, wszystkich twoich słuchałem rozkazów. Nie straszyły mnie przeszkody, ni liczne trudności. Ale nadszedł teraz czas pełen zamieszania i kłótni. Ojciec nieprzychylnem na ciebie patrzy okiem, a mały Bolesław z swoją szabelką i zbroją wszystkie jego chwile zajmuje. Panowie Mazowska dają się codzien słyseć z głośnymi skargami. A któż jest celem tych żalów, tych przekleństw? Książę Zbigniew, i zawsze książę Zbigniew. Teraz już przepaść bezdenna otworzy się pod twojemi krokami, jeśli sędziwy Wszebor i rozkochany Mieczysław dowiedzą się, że piękna Hanna, nadzieja ojca, podpora jego starości, uwiedziona przez pana mego i księcia, przemieszkuje w Płocku i tam w ukryciu dni pędzi ze szczęśliwym kochankiem.

— Mężem mów lepiej — przerwał mu Zbigniew — spodziewam się żeś nie zapomniał na dzisiejszą noc uprzedzić kapłana. Bo postanowiłem oddawna, dzisiaj jeszcze się z nią na wieki połączyć.

— Nie zapomniałem — odparł Mestwin — ale choć twoje rozkazy tkwiły mi w pamięci, nie uczyniłem im zaślubin, bom sądził że nie mogę ich wykonać bez ujmy czci i sławie mego pana i księcia!

— Od jakiegoż to czasu — zawołał gniewnym Zbigniew głosem — śmiesz sprzeciwiać się mej woli. Jeśli mogą się wasale w Niemczech lub na Pomorzu przeniwierać panom swoim lennym, wiedz że nie taki jest u nas zwyczaj, nie taki, na Boga i Najświętszą Pannę, nie taki, na wszystkich Świętych. Bo u nas, panów polskich, miecz zawsze jest przy boku, i prawica skora do jego wydobycia.

— Poskrom gniew niepotrzebny — odparł Mestwin — na ileż przykrości, na ileż niebezpieczeństw odważyłem się dla ciebie! Czym kiedy nie był posłuszny najmniejszym twoim chęciom? Ale wszystko nam teraz grozi. Władysław, pan tego kraju, nie jest panem, ani królem, ani księciem. Zasiada na tronie, ale na tem kończy się jego władza. To Sieciech wojewoda krakowski, to Wszebor, to Skarbimir z Gulczewa rządzą jego umysłem, a wszyscy tobie nienawistni. Jakże chcesz w takiej chwili pojąć za żonę córkę Wszebora, narzeczoną brata.

Ojciec się twój dowie, a Wszebor podszeptnie mu przekleństwo na ciebie, a tysiąc mieczów skierowanych w pierś twoją wzniesie się na głos Mieczysława. Znasz go dobrze, wiesz jak dzielny, jak zakochany w Hannie. Zachował dumę wygnanego ojca, a ręka jego przypomina prawicę, która odnowiła szczyb na złotej bramie Kijowa.

— Stój, czyś zapomniał, że i w Zbigniewie krew bohaterów płynie, czyś zapomniał moje walki i zwycięstwa. Dopiero 24ty rok życia mego liczę, a mógłbym ci nierównie więcej narachować rycerzy poległych pod moimi ciosy.

— Panie — ozwał się znów Mestwin — i komuż opowiadasz swe czyny. Temu który je widział i dziwił się nad niemi. Ale posłuchaj mojej rady, ona cię zbawi, nie rzucaj się na sztylety nieprzyjaciół.

— Cóż więc mam czynić?

— Chcesz się ożenić — odparł Mestwin ze śmiechem szyderyczym — pocóż? Zrób, kilka obietnic dziewczynie, kilka słów miłosnych wyrzecz, a posiędziesz przedmiot najgorętszych pragnień. Tym sposobem unikniesz gniewu ojca i tysiącznych nieprzyjemności; bo ona cię nie wyda, a nikt ciebie do wyznania nie będzie mógł przymusić. Po kilku miesiącach zostawisz ją, a...

— Precz szatanie — przerwał piorunym głosem Zbigniew — precz z taką radą. Takież to wam dają nauki w szkole rycerstwa w Niemczech, takichże to zasad się uczycie po dworach najświetniejszych Europy. Prawda że moje serce skażone, że moja dusza wieloma obciążona zbrodniami, prawda, zdradą i otwartym bojem zabijałem podobnych sobie, prawda, uwodziłem dziewczyny, zrywałem ugody. Ale została się iskra cnoty w mojem sercu. Nie, nigdy nie pójdę wskazaną od ciebie drogą. Ona mnie tak kocha, ona tak niewinna! Jażbym miał pograżać ją w nieszczęściu, okrywać hańbą najnotliwszą, najpiękniejszą Mazowsza dziewicę? Nie, tak mi dopomóż Boże i szablo moja, nigdy Zbigniew książę polski tego nie uczyni.

To mówiąc kląkł przed krzyżem, złożył ręce zbrojne w żelazne rękawice i wzniosł oczy do nieba. Była to chwila, w której Zbigniew najszlachetniejszym był może w ciągu całego życia. Stał za nim Mestwin i szyderyczym wzrokiem poglądał na schylonego księcia. Oczy jego zdawały się mówić: Darma wzywasz Boga, musisz mnie posłuchać.

Powstał po chwili Zbigniew i rozkazującym rzekł do Mestwina głosem.

— Jeśli chcesz dłużej pozostawać w naszej łasce, wykonaj śpieszno nasze rozkazy. Niech dzisiaj wieczorem w kaplicy mego zamku czeka na nas kapłan i Hanna. Bo takeśmy postanowili, i nie cofniemy na krok naszego za-

miaru. A później nie odzywaj się, rycerzu, z tak nieroztropnemi mowy.

— Nie są nieroztropne, i owszem — odparł do żywego tknięty Mestwin. — Władysław, twój ojciec, musiał pójść za podobną radą przed 24ma latami.

— Szatanie podły — krzyknął Zbigniew i rzucił się na Mestwina z rozognionem okiem, z rumieńcem na twarzy — obmierzły sługo, i ty będziesz przymawiał panu, z którego łaski żyjesz!

To mówiąc, szeroką prawicą ścisnął tak silnie Mestwina za gardło, że aż zgięła się zbroja pokrywająca mu szyję. Usunął się Mestwin, z początku chciał dobyć miecza, ale po chwili namysłu odjął rękę od szabli i tak się z gniewem odezwał:

— Zatrzymaj się, mości książę, ani kroku dalej, bo poczujesz ostrze niemieckiego żelaza. I ja, rycerz Mestwin z Wilderthalu, takiejże miałem się spodziewać nagrody za zasługi i poświęcenie bez granic! I ja, pasowany na rycerza przez cesarza rzymskiego, przybyłem do Polski, żeby znosić obelgi od Zbigniewa! Nie myśl, że przestałem być wolnym człowiekiem i że się zamieniłem na twego sługę lub niewolnika. Karę ostremi słowy lub żelazem poddanych lub wieśniaków, ale nie tak porywezo wpadaj na rycerza wsławionego po turniejach Europy. Nie myśl bym szukał mojemu słowu czynić krzywdę twojemu rodowi. Niedawnemi jeszcze laty ów sławny Wilhelm wyprawił się z brzegów Francyi i posiadał tron angielski, a czemuż on był? Podobnym do ciebie księciem, a nie brał sobie tego za obelgę. Owszem, potężny pan Normanów, zasiadłszy na tronie mianował się nieprawym synem ojca swego i gardził obmowami słabszych lub dumnych panów. Szczerze i otwarcie postępowałem z tobą. Szukałeś mojej rady, dałem ci ją, a teraz odchodzę, bo nie potrzebuję opieki książąt polskich, bo o tęż opiekę nie chcę się starać, bo w tym mieczu znajduję dla siebie opiekę i sławę. Byłem twoim przyjacielem, zerwałeś wszystkie nasze związki, żegnaj cię. Nie pomogą ci obelżywe słowa ni groźby, bo

widziałem już w życiu gniew mocarzów, a jednak przed nimi nie cofnąłem kroku.

To mówiąc, położył nogę na strzemieniu, ale wsiadając na konia oglądał się na Zbigniewa, wiedząc że ten bez niego obejść się nie zdoła.

Zbigniew bowiem, choć walecznego był serca i nie słabej duszy, nie mógł pozbyć się Mestwina. Uważał go oddawna za najlepszego przyjaciela i najwierniejszego doradcę. Trzeba tu oddać sprawiedliwość rycerzowi niemieckiemu, kochał on swego pana o ile jego serce kochać go mogło, serce zbrodniami i brzydkimi skażone namiętnościami. Pragnął nadewszystko swego wywyższenia, a zatem i potęgi Zbigniewa, której część zawszeby się na niego złała. Dlatego teraz odradzał księciu zamęcie z Hanną, upatrując w tem przyczynę gniewu Władysława Hermana i zgubnych zamachów Mieczysława i Wszeborza.

Zresztą, we wszystkich okolicznościach dopomagał Zbigniewowi to radą to orężem, nakłaniał jego umysł to do podstępu, to do szlachetności, to do cnoty; ale nie dobrze teraz wyrachował swój wpływ na księcia, bo syn Władysława Hermana choć w późniejszych czasach nie jedną skalał się plamą, choć już teraz nie jedną popełnił zbrodnię, zachował jeszcze część szlachetności dzielnych pradziadów i brzydził się zdradą tembardziej, że najgorętsza miłość wymownie mu ją pod najbrzydszem wystawiła światłem.

Mestwin więc zabierał się do podróży. Ostatni raz rzucił wzrokiem na Zbigniewa niewzruszenie stojącego na miejscu, a ten wzrok biegły w sztuce udawania przeszył wyrzutami serce księcia. Ostatnie to pożegnanie przyjaźni choć nieme, zniszczyło gniew w jego duszy, rzucił się i zatrzymał Mestwina.

— Rycerzu — rzekł — jakem cię obraził, tak gotów jestem, jak to każdy czynić powinien, spróbować się z tobą. Może w mojej krwi znajdziesz ulgę poniesionej krzywdzie. Wyznacz miejsce i godzinę, a mój pałasz zetrze się z twoim.

— Książę i panie mój — zawołał Mestwin — dopyć mi na tem, żeś poznał niesprawiedliwość swojego uniesienia. Przebaczam ci z głębi duszy i gotów jestem na twoje rozkazy.

— Więc daj mi radę, ale nie tak szkaradną.

— Milczę, mości książę, nie chcę twojego ponawiać gniewu.

— Słuchaj Mestwinie, powiedz mi kogo mam zabić, a zabiję, wskaż zamek i rzeknij niech będzie spalony, a wnet pochłona go płomień. Bo wiem, żeś do mnie przywiązany jak klinga do rękojeści, bo wiem, że radzisz mi dla dobra mego, ale w tym jednym przypadku nie usłucham cię. Stała jest moja wola, jak kamień grobowy leżący pod tym krzyżem. Nie uwiodeę Hanny, będzie ona moją żoną, przysięgam na Boga i na krew św. biskupa. Nie dlatego żebym jak słabe dziecko lub niewiasta cofał się przed zbrodnią, ale dlatego, że moje serce pierwszy raz kocha, i kocha niebieskim ogniem. Nie chcę piekielną zdradą niszczyć anielskiego szczęścia. Tak, Mestwinie, wyrzekłem i niech się stanie mojej woli zadość. Przywiedź kapłana. Wobec nieba przysięgnę jej niezłomną wiarę.

— A potem ogłosisz przed całą Polską i wobec ojca, żeś pojął za żonę córkę Wszebor, pana Ciechanowa i znacznych posiadłości.

— To co innego, przyjacielu. Zaczekam, aż przynioślesz za twoją pomocą dumnych panów, miłości ojca nie pozyskam. Wtenczas wobec świata całego, przed zuchwałymi lennikami wyprowadzę Hannę. U stóp tronu odbiorę błogosławieństwo Władysława, a lud uradowany wołać będzie: „długie życie księciu Zbigniewowi i nadobnej Hannie!”

— Marzenia młodości — przerwał Mestwin — ale ponieważ to ma twe szczęście ustalić, wykonam dane mi rozkazy. Dzisiaj w nocy przy ołtarzu czekać na ciebie będą: kapłan, Mestwin i Hanna. Ale jedźmy do Płocka, pokaż się ojcu. Wszebor już pewno zaniósł swe skargi do

niego. Mieczysław lata po zamku z dobytym orężem. Nie daj się przestraszyć.

— Przestraszyć — zawołał książę, brwi marszcząc i rękę kładąc na pałaszu, — Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć.

— Chciałem powiedzieć — odparł Mestwin — bądź ostrożnym, ale siadaj na koń i jedźmy. Powiesz zapewne cjeu, że wracasz z swojego zamku, i że cię łowy zatrzymały, bo nie radziłbym wspomnieć o tym Ottonie de Stronthheim.

Zbigniew ścisnął rękę towarzysza, dosiedli koni. Przeżegnał się przed krzyżem książę polski, niemiecki rycerz się rozśmiał, i oba wyruszyli.

ROZDZIAŁ II.

. Wcześniej się zasłona rozdarła
I ojczyzna i wdzięczność w twym sercu umarła;
Idź, ani pragnę w dalszych zarzutach się szerzyć,
Ni przywozić

Władysław pod Warną.

W zamku Płockim, w niewielkiej komnacie siedział sędziwy Władysław Herman na szerokim krześle złotymi poręczami opatrzonym.

Piękne rysy, żadnym nieożywione ogniem, zdaleka go czyniły podobnym do martwego posągu. Broda biała spływała na piersi. Suknia z czarnego aksamitu szerokimi aż do nóg obwijała go fałdy, a obraz Najświętszej Panny zawieszony na łańcuchu złotym, błyszczał mu na piersiach. Na bliskim stole leżało berło, miecz i korona, wśród mnóstwa rozrzuconych obrazków świętych i drogich relikwii.

Pokój nie lśnił się złotem ani bogatemi obiciami. Rozwieszone po ścianach krzyże i obrazy świętych świadczyły o bogobojności króla polskiego (choć go bowiem późniejsi dziejopisowie już księciem mianują, Polacy żyjący za niego nie przestawali go darzyć imieniem króla). Ciasne wysokie okna, rzadkie promienie słońca przepuszczały przez malowane szyby, wystawujące śmierć i mękę Zbawiciela. U stóp królewskich na aksamitnej poduszce siedział mały Bolesław, później Krzywoustym przezwany.

Czasem wstawał i biegnąc po pokoju małą wywijał szablą. Z prawej strony krzesła królewskiego stał młodzieniec nadobnej twarzy, świetnego ubioru, płomienistych oczu; z lewej zaś starzec, którego twarz okryta bliznami

pełną była grozy i surowości. Choć wiekiem sterany, ciężki miał pancerz na piersiach, pomimo zmiany zaszłej za Bolesława Śmiałego w uzbrojeniu rycerstwa. Miecz wisiał u boku, a w ręku trzymał podługowatą czapkę, podbitą zewnątrz żelazną blachą. Do niego król najczęściej się obracał, i w te przemówił słowa:

— Wierny nam Wszeborze, zaręczamy ci słowem królewskim, że zbrodniarz odbierze należytą karę, i że wszystkich środków za pomocą Boga i Najświętszej Panny użyjemy do jego odkrycia. Nie masz żadnych śladów? Czy nie wiesz z jakiej strony przybył i gdzie się udał? Rzeknij, a natychmiast rozpoczniemy śledztwa i poszukiwania.

— Najjaśniejszy panie, nie mogę nikogo oskarżać. W ciemnej nocy porwali moje dziecię, i ledwo głos „do broni!“ rozległ się po dziedzińcu zamkowym, już jej nie było. Skoczyli moi do oręża, ale nikogo nie ujrzeli. Wszystko nieprzyjaciel przewidział z szatańską przezornością. Łódki przyjęły zbrodniarzy i znikły, do mgły zwodnej podobne. Ach, miłościwy królu, jedną tylko miałem córkę, dziedziczkę dawnej sławy i zamożnych włości. Twój synowiec, a tu przytomny książę Mieczysław, o jej ubiegał się rękę. Miałem nadzieję, że przed zgonem ujrzę spełnione szczęście mojej Hanny, ale Bóg ukarał mnie za grzechy, i straciłem najdroższy skarb po ojczyźnie.

— Stryju mój — zawołał młody Mieczysław — nie trzeba tu zwlekać, rycerzy i moich ludzi zebrać kazałem; na czele ich pójdę szukać wyrwanej z rąk moich narzeczonej, a śmierć i zguba temu, który ją śmiał wydrzeć synowi Bolesława.

— I ja pójdę z tobą — przerwał mały Bolesław.

To mówiąc dobył szabelki, stanął naprzeciwko ojca, a w oczach dziecinnych znać było już męstwo, które później w czterdziestu bitwach zgromiło nieprzyjaciół Lechii.

— Jeszcze dosyć będziesz miał czasu przypatrzeć się klęskom i mordom — rzekł Władysław — a ty, sy-

nowcze, zanadto porywczy jesteś. Czy nie możesz poczekać na przybycie Zbigniewa, którego co chwila się spodziewam. Roztropny jego towarzysz Mestwin dobrą zapewne nam da radę.

— Zbigniew — powtórzył Mieczysław.

— Zbigniew — powtórzył Wszebor, a na twarzy ich obu malowała się niechęć i nieufność.

— Nie lubię Zbigniewa — zawołał syn królewski — nie dawno prosiłem go, ażeby mi pożyczył sztyletu na kilka godzin, a on pojrzał na mnie, i odmówił tej broni, zowiąc mnie dzieckiem. Ale pokażę mu — dodał przyszły bohater, uderzając o rękojęść małego pałacza — pokażę mu kiedy dorosnę, czy tak z bratem się obchodzić trzeba.

Słaby król pozostał na chwilę w milczeniu i smutku, widząc niechęć, którą otaczający go pałali ku synowi, choć wiedział dobrze, że jest zasłużona. Wtem otwarły się drzwi pokoju i wszedł Zbigniew z Mestwinem, oba w zbrojach i okryci kurzem.

— Witam cię, najjaśniejszy panie i ojcze, dobry dzień bracie. Witam cię Wszeborze. — Po tych słowach przysunął krzesło Zbigniew i usiadł ocierając pot z czoła. Mestwin stanął za nim.

— Dawnośmy cię nie oglądali — rzekł Władysław — i wcale nie wiemy i domyślać się nie możemy przyczyny nieprzytomności twojej, mimo często posyłanych do ciebie gońców z rozkazem, żebyś natychmiast tu stanął.

Dotąd chciał słaby ojciec i słabszy król jeszcze utrzymać swoją powagę, ale widząc twarz kochanego syna wyrażającą wewnętrzne boleści i długie znużenie, łagodniejszym dodał głosem:

— Nie chcemy cię jednak o to winić, ulubiony synu, bo wiemy, że ważne często zajmują cię sprawy.

Odplacił dobroć ojca Zbigniew zimną odpowiedzią:

— Byłem na łowach, a wiesz ojcze, że kiedy moje psy gonią jelenia lub dzika, nie mnie od boru oderwać nie zdoła.

— Ale teraz nie o łowach mowa, bracie — zawołał srogim głosem Mieczysław. — W wielkiej jesteśmy niepewności. Zdarzył się wypadek mogący wielkie ściągnąć klęski: ponieważ przybyłeś z Mestwinem, waszej wymagamy rady.

— Co wam po moich lub Mestwina radach — odparł Zbigniew, domyślając się o czem będzie mowa — kiedy tak często bez nich obejść się możecie?

— Ale teraz nie chcemy się bez nich obchodzić — przerwał mu Wszebor — bo tu idzie o zhańbienie domu i rodziny zasłużonej w Mazowszu, bo tu idzie o śmierć, sławę i życie.

— Słucham więc — rzekł Zbigniew, pokrywając najsroźszą mękę pozorem lekkomyślności — słucham tej tak ważnej sprawy.

Wszebor i Mieczysław opowiadali więc Zbigniewowi, jak niecni zbrodniarze porwali i unieśli Hannę. Mieszali do swego opowiadania tysiączne przekleństwa i pogrożki. Sercem Zbigniewa miotały to gniew, to zawiść, czuł jednak, że trzeba udawać dla ocalenia siebie i Hanny.

Ale kilka razy podczas długich skarg i uzaleń Wszebora, już mu nie stało cierpliwości, i gdyby nie Mestwin go wstrzymał, wstałby i pogardzając nieprzyjaciółmi z dumą na czole, wyznałby czyn popełniony i oświadczył że gotów jest bronić oblubienicy do ostatniej krwi kropli.

Nareszcie ozwał się Władysław Herman.

— A my, synu, postanowiliśmy dołożyć wszelkich starań dla wykrycia złośliwych i szkaradnych ludzi, którzy śmieli taki gwałt popełnić. Spodziewamy się, że i radą i orężem dopomożesz wykonaniu naszej woli i wyprawie twego tu przytomnego brata a naszego synowca, który sobie zamierza ścigać ogniem i mieczem podłych i zbrodniczych wykonawców czynu, pogrążającego w smutek najgłębszy i księcia naszego domu i zacnego znacznych posiadłości pana. — Ale widząc, że Zbigniew brwi zmarszczył i ścisnął wargi, rzekł dalej: — Nie chcemy cię jednak przymuszać, synu. Możesz słaby na zdrowiu,

Możesz długą zmęczony podróżą. Zostań, bo dalecy jesteśmy od wszystkiego, coby mogło szkodzić naszemu Zbigniewowi.

— Anim znużony, ani słaby na zdrowiu, najjaśniejszy panie i ojciec mój — odparł Zbigniew, powstając i pozierając okiem pogardy na Mieczysława i Wszeborę. — Ale dziwi mnie, że tak długo poważnego brata zajmować może porwanie jakiejś dziewczyny. Z początku sądziłem, że idzie tu o dobro kraju, o ocalenie Polski, sądziłem że niebezpieczeństwo grozi naszej ojczyźnie, i już gotowy byłem do zdobycia miecza w obronie kraju, i ojca mego. Ale teraz dowiaduję się, że celem tej narady, że zatrudnieniem syna Bolesława Śmiałego jest jakaś dziewczyna, porwana przez niewiedziec kogo i niewiedziec kiedy. Niechże ją sobie ojciec szuka po Polsce, ale niech nie przychodzi zatrudniać próżnemi skargami umysł króla, ważniejszemi zajętego sprawy.

— Jakaś dziewczyna — powtórzył Wszebor, i najwyższe uniesienie, żal najwyższy twarz mu zachmurzył. — Cóż to, mości książę, czy sądzisz że życie i sława córki są obojętne dla ojca, że życie i sława Polski są obojętne dla króla rzeczą? Gdzieżeś takich uczył się nauk? Czy dziec pruska lub pomorska w twojem sercu tak piękne zaszczepiła uczucia? Wiedz Zbigniewie, że król sprawiedliwy winien się ująć za pokrzywdzonym poddanym i oddać mu sprawiedliwość, choćby wyrokiem tej sprawiedliwości była śmierć własnego syna.

To mówiąc, rzucił Wszebor tak przenikającym na Zbigniewa wzrokiem, że ten się zmieszał i oniemiał.

— Bracie — ozwał się Mieczysław — nie waż się na dalszy czas z takimi oświadczać się słowy, bo wiedz że dziewczyna, przedmiot naszych smutków i poszukiwań, miała być moją żoną. Z większem więc o niej winienes mówić uszanowaniem. Z większem, na Boga, bo nie wiem co mnie wstrzymuje, że cię jeszcze za tak bezczelne nie skarciłem zuchwalstwo.

— Niechże cię więc nie nie wstrzymuje — zawołał Zbigniew, zapominając o przytomności ojca i o wszystkim, i dobył napół miecza.

— Synowcze, Zbigniewie, Wszeborze — przerwał im nieszczęśliwy rozterkami krewnych i przyjaciół Władysław. — Czyż zawsze kłótnie i zatargi najmiłszymi wam będą? Kiedyż przestaniecie wzajemnie niechęcią smucić dni moje i własne zatruwać szczęście?

To mówiąc, przycisnął do ust z pobożnością obraz Najświętszej Panny i podniósłszy oczy do nieba — Królowo niebios! — zawołał — i ty święty Pietrze i Pawle, udajcie się do Syna Bożego za nami, udajcie się do Boga świata. Niech kłótnie, zajazdy i niezgody przestaną rozrywać Polskę, niech wszyscy moi poddani połączeni węzłem pobożności i cnoty dla twojej tylko chwały, o Boże! żyją i dla twoich świętych chwały. — Przez chwilę trzymał jeszcze oczy wzniesione do nieba, potem obrócił się do Mestwina i rzekł: — Rycerzu! twojej rady roztropnej tu trzeba. Pozwólcie mu mówić, proszę was, moi mili.

— Jeśli taka twoja, najjaśniejszy panie, wola, to dobrze — odparł Wszebor.

— Ja cię wyratuję — pocichu szepnął Zbigniewowi do ucha Mestwin i wystąpił na środek komnaty, uklonił się najprzód, a potem dźwięcznym głosem z ułożoną postawą przemówił: — Najjaśniejszy królu i ty książę Mieczysławie i ty stroskany ojcze, jedyną macie w pośpiechu i orężu nadzieję. Daleko już zapewne za Płock unieśli twą córkę zbrodniarze. Kaźcie więc osiodłać konie i weźcie się do szabel. W szybkiej pogoni, w dzielnym natarciu cała wasza otucha. Ślady bezwątpienia znajdziecie po drodze, a zdrajca legnie pod waszemi ciosy. W Płocku darmo byście jej szukali, bo jakże można myśleć, aby zbrodniarze przybywali wobec króla i walecznych otaczających go rycerzy, przechwalać się z podłego i karygodnego czynu? Powtarzam więc jeszcze raz: pośpiech jeden tylko w tej sprawie waszą sławę i najdroższy skarb ocalić potrafi.

Zamilkł Mestwin, ale mówił z takim pozorem szczerości, że Mieczysław zbliżył się do niego i podziękował, że Wszebor rękę mu uściśnął. Wszystkie podejrzenia na Zbigniewa znikły na chwilę z ich myśli, kiedy przekonali się, że jego towarzysz i powiernik tak się ujmuje za ich krzywdy i tak zbawienne daje rady.

Pożegnali się z królem książę Mieczysław i ojciec Hanny, idąc gromadzić zbrojnych ludzi.

— Naszą jest wolą — rzekł słabym głosem Władysław — żeby uniknąć, o ile będzie można, krwi rozlewu i oszczędzać życie naszych poddanych.

— Ja zaś, mój stryju — odparł żywo Mieczysław — wyrwę choćby po krwi strumieniach, oblubienię z rąk wrogów.

— Żegnam cię, miłościwy mój królu — ozwał się Wszebor — i przyrzekam ci, że jako Polak przeciw Palakom walczyć nie pozwolę, chyba że sława córki wymagać niezbędnie tego będzie. Mam nadzieję, że wkrótce ją do twoich stóp przywiodę.

— Czy Zbigniew się z wami także oddała? — zapytał Władysław.

— Jak chce — krzyknął Mieczysław.

— Jeśli tak, to nie chcę — odparł Zbigniew — i zostanę z Mestwinem przy zmartwionym ojcu.

Długo milczał król polski; Zbigniew, siadłszy blisko niego, założył ręce na piersiach i spuścił głowę, a Mestwin w oddalonym kącie bawił się z małym Bolesławem.

Nakoniec Władysław Herman do syna swą mowę obrócił.

— Zbigniewie, synu ukochany, ilemże już razy cię upominał, ilem razy błagał jako ojciec, rozkazywał jako król polski. Czyż nigdy nie przestaniesz gwałtów i krwi rozlewu, czyż zawsze będziesz postrachem dla ziomeków, hańbą dla ojca, wrogiem dla niewinności? Prawda, Bóg ci dał odważne serce i prawicę do bojów nawykłą, ale dla bronienia ojczyzny i cnoty, nie dla napadania na braci,

na krewnych na współobywateli. Gorzkim żalem zatrąwasz mą starość, i muszę przeklinać dzień, w którym poznałem twą matkę; upamiętaj się Zbigniewie, przestań zdzierstw i kłótni. Stań się prawym mężem, godnym ojca króla Lechii, godnym dziadów walecznych i cnotliwych. Widzisz do czego namiętności brata i poprzednika mego przywiodły. Bolesław tułacz z mocarza, przeklęty z błogosławionego, zginął marnie wśród najpiękniejszych nadziei i najświetniejszych powodzeń. Czyż i ty chcesz podobnego doznać losu?

Na te słowa, żywym rumieńcem pokryła się twarz Zbigniewa. Powstał przechodząc się po komnacie, urywane wymawiał słowa:

— Do szatana, czyż nigdy tych kazań nie zaprzestanie? Czy bierze mnie za mnicha lub niewinną dziewczynę? Na Boga, jakżem znudzony!

— Znudzonyś, wyrodny synu — zawołał król rozgniewany. — Znudzonyś łagodnemi rady, kiedy surowe mogę ci dać rozkazy, kiedy na mój głos tysiąc mężów się uzbroi na twoją karę i zagubę.

Zamilkł Władysław, widząc iskrzące się od wściekłości oczy Zbigniewa; bo czuł aż nadto, że z trudnością by mu przyszło uścić wyrzeczone groźby.

— Zbigniewie, Zbigniewie, czyż przyjdzie mi — dalej ciągnął Władysław — jak królowi Hebreów zawołać na ciebie Absalon! Absalon! i oddać cię wściekłości nowego Joaba. Upokorz się, dopóki czas jeszcze, bo jakiś głos mówi mi w duszy, że porwanie Hanny nie bez twojego zaszło udziału.

— Upokorzyć się, najjaśniejszy panie — odparł zmieszany Zbigniew — jest nieznaną mi rzeczą. Ale daję ci słowo, że nic nie wiem o Hannie.

— Wierzę — przerwał mu król rozczulony — słowo syna i rycerza, pasowanego mieczem tu obok leżącym, dostatecznem jest dla mnie.

Zbigniew widząc dobroć ojca, oniemiał. Smutek i zgryzoty szarpały mu serce. — I ja — pomyślał — który

tylekroć oparłem się burzom i gniewom, teraz kłamię jak słabe dziecko, dla uniknięcia chłosty: ale taka rada Mestwina, cóż robić?

— Chodź, synu, w moje objęcia, niech będzie zgoda między nami. Wtenczas nikt czoła podnieść się nie ośmieli i oba węzłem zgody połączeni, straszni będziemy wrogom...

Rzucił się Zbigniew na pierś ojca i z prawdziwem uniesieniem ścisnął rękę królewską.

— Chodź Bolesławie — zawołał Herman — pogodzić się z bratem.

— Nie chcę — odpowiedziało dziecię — dawniej go o pożyczanie sztyletu prosiłem. Teraz jeśli mi go daruje, może się z nim pogodzę.

— I ty także wszczynasz kłótnie — zawołał nieszczęśliwy monarcha, i łza smutku spłynęła na głowę Zbigniewa, który po chwili pożegnawszy ojca, wyszedł z Mestwinem.

ROZDZIAŁ III.

Walter pojął Aldonę. Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłosaych romansach,
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę.

Wallenrod...

Zamek księcia Zbigniewa niedaleko Płocka, wznosił się nad brzegiem szerokiej Wisły. Znacznie oddalony od królewskiego, wystawiał widok warowni opatrzonej we wszystkie wojenne porządki. Z jednej strony rozległa rozciągała się równina. Z drugiej zaś toczyły się fale poważnej rzeki, w oddaleniu ukazywał się środek miasta, z którego wieże zamku królewskiego i kopuła kościoła katedralnego, jak dwa olbrzymy panujące wznosiły się. Nie oszczędził niczego Zbigniew we własnym zamku, coby mogło służyć ku obronie. Dowodziły tego wysokie mury, szerokie baszty, liczne strzelnice, ogromny rów opasujący zamek, most zwodzony, brama opatrzona kratami żelaznymi i z dębowego drzewa zrobiona. Tą bramą wchodziło na obszerny dziedziniec na którym stały stajnie dla koni orszaku księcia i budowle na skład broni wszelkiego rodzaju i ubiorów służące.

Na środku dziedzińca wznosiła się szubienica, ostrzegająca każdego o losie nań czekającym, gdyby się oparł woli możnego tych miejsc pana. Dalej ukazywał się wysoki gmach, w którym liczne pokoje służyły to dla Zbigniewa, to dla jego przyjaciół i znaczniejszych gości.

Wieże z ciemnymi lochy i okropnemi więzieniami strzegły obu stron gmachu i wszystko dowodziło, że, choć wśród pokoju, zawsze książę Zbigniew gotów był do walki

i odparcia napaści, które mogły nań kiedyś sprowadzić jego postęпки i duma. Nie dziwiono się jednak temu, gdyż to było zwyczajem wtenczas w Polsce, że pośród nędznych domów drewnianych składających miasta, często przedniejsi panowie i książęta, zamki i gmachy warowne budowali.

I tak w Płocku oprócz zamku króla Władysława, księcia Zbigniewa i kościoła katedralnego, wszystkie inne domy do chat wieśniaczych podobne, były drewniane.

Pośród ciągłych kłótni i rozruchów, nie miał czasu ani panujący starać się o upiększenie miasta, ani mieszkańcy o to się nie ubiegali; owszem, panowie chcąc utrzymać swoją powagę i potęgę, niechętnem patrzyli okiem na tych, którzy przy ich dumnych zamkach lepsze i porządniejsze wznosili domy.

Ale zamek księcia Zbigniewa teraz był pusty, choć już noc ciemna i pochmurna pokryła ziemię. Nie widziano w nim żadnego światła, tylko w jednym oknie migał się kaganiec i małą część murów przeciwległych bladawo oświecał, i jeden tylko człowiek przechadzał się po dziedzińcu, uderzając pałaszem o kamienie po ziemi rozrzucone. Słyszał on dzwony kościoła katedralnego, ogłaszające czas przeznaczony na spoczynek; a jednak pozostał i wciąż szerokimi krokami w różnych kierunkach dziedzińca zamkowego okrążał.

Wtem silny choć cichy głos zawołał: — Gierdo! — a natychmiast się odwrócił, pobiegł do bramy, mniejsze drzwi w murze otworzył i wypuścił męża wysokiego wzrostu i pięknej postawy.

— Stój na warcie, Gierdo — rzekł — a ktokolwiek tu przyjdzie, możesz go posłać do piekła.

— Dobrze, potężny mój panie — odparł sługa i podniósł ciężki topór — nieraz on mi już podobne wyświadczał usługi. Wypełniłem twoje rozkazy, córkę moją Katarzynę posłałem na usługi tej urodziwej pani, którą tu przywieźli. Ale gdyby szło, potężny panie, o jakie morderstwo, lub otrucie, lub zdradę, mnie wyznaczą, córki

mojej nie namawiaj, bo serce jej dotąd czyste jak serce anioła niebieskiego.

— Milcz, nie myślę nawet o tem — odparł Zbigniew, którego czytelnicy zapewne poznali. Oddalił się, rzuciwszy kilka sztuk srebra usłużnemu mordercy i wszedł do zamku. Doskonale znał drogę i pomimo ciemności doszedł bez żadnego przypadku do komnaty, którą smutny kaganiec oświetlał. Nie zastał tu nikogo, a zapaliwszy pochodnię szedł dalej. Bładość jego licom zwyczajna, zamieniła się w żywy radości i spełnionych życzeń rumieniec. Ogniste czarne oczy pały miłością, kształtny i bogaty strój, na pół ciemnym zakryty płaszczem, dodawał mu jeszcze piękności. Miał on na głowie aksamitną czapkę okręconą kilka razy łańcuchem złotym, spiętym drogim nad czołem kamieniem, zpod którego białe wznosiły się pióra. Na piersiach nosił koleczugę aż do kolan spadającą, której pierścienie ze świetnej wyrobione stali, błyszczały tysiącami połyski. U pasa wytwornie tkanego złotem i srebrem, wisiał z jednej strony miecz nigdy nieopuszczający boku pana, z drugiej tkwił sztylet z kosztowną rękojeścią. Złote ostrogi zdobiły bóty z giętkiej skóry, pokrywające stopy, które nieraz wśród pocisków i szczęku broni, wdarły się na wysokie wały i najeżone rycerzami mury. Złoty łańcuch, oznaka godności rycerskiej, błyszczał na piersiach. W takim więc ubiorze szedł książę Zbigniew na spełnienie czynu, usprawiedliwiającego po części porwanie córki bez zezwolenia ojca.

Liczne komnaty, któremi przechodził, smutny wystawiały widok. Znać było że już nikt ich nie zamieszkał oddawna, a nawet w tej części swego zamku nigdy nie przebywał Zbigniew i nigdy nie przyjmował gości. Te pokoje smutne, niezamieszkanne, bronią i orężem rozwieszonym po ścianach, nie zabawy, ani wesele, ale srogie mordy i klęski przypominały. Tu szyszak rdzą pokryty z żalem odpierał promienie pochodni, niemogące jak dawniej płomieni z niego wydobyć, tu zbroja okryta kurzem na rogu jelenim wisiała. Tam znowu miecz poszczerbiony dowodził, że wytrwał długie wojny, tam kopia oparta o ścianę zdawała się żałować, że teraz w nieczynności zapominając

o bojach, musi się stawać pastwą zepsucia i czasu. Przybył nareszcie nasz bohater do szerokiej komnaty, żadnego niemającej wyjścia, ale dobrze znajomy tajemnic swego zamku, zbliżył się do ściany i pchnął silną ręką żelazny gwóźdź, na którym wisiały rycerskie rękawice. W mgnieniu oka otworzyły się drzwi tak przystające do ściany, że niepodobna było ich rozeznąć. Odkryły się wschody na dół zstępujące, poszedł nimi Zbigniew i po jakimś czasie dostał się do komnaty błyszczącej świetnymi obiciami i mnóstwem lamp srebrnych, u sklepionego sufitu zawieszonych.

Siedzenia, krzesła, stoły, największym wyrobione kosztem ozdabiały salę podpartą rzędem marmurowych filarów, za którymi ukazywało się łoże purpurowemi zastonione frankami, które w lekkich fałdach spadając na ziemię, kończyły się złotymi brzegami. Przy niem, na stole z dębu czarnego, stały pyszne naczynia ozdobne drogiemi wschodu kamieniami. Kołowrotek z kości słoniowej, z śnieżną wełną do jedwabiu podobną, dowodził, że to było pomieszkanie Hanny, kochanki a za kilka chwil żony Zbigniewa. Z tej pierwszej komnaty, przeszedł książę do drugiej równie świetnej, w której wszystko nagromadzono, co się oczom kobiety podoba. Kosztowne ozdoby, naszyjniki, drogie pierścienie zewsząd błyszczały, piękne obicia tkane w złoto i srebro pokrywały ściany. A Pismo Święte, największa rzadkość w tym wieku, oprawne w skórę, leżało na hebanowej półce pod obrazem Najświętszej Panny. Dwie jeszcze podobne komnaty przeszedł książę i stanął wreszcie u drzwi żelaznych, na których wyrobiony był kształtnie wieniec cierniowy nad trupią głową. Za ich otwarciem ukazała się kaplica, oświetlona rzesistem światłem i strojna w obrazy Świętych i pyszne narzędzia kościelne. Ołtarz z marmuru dźwigał ogromny krzyż srebrny, a przy nim stał kapłan w zakonnym ubiorze, ze wzrokiem ku niebu wzniesionym z założonemi rękami na pierśiach. Przy drugich drzwiach wiodących wprost na brzeg Wisły, bo kaplica stała nad samą rzeką, opierał się o filar Mestwin w bogatym stroju ówczesowych rycerzy nie-

mieckich, a po drugiej stronie ołtarza klęczała najpiękniejsza Mazowska dziewica.

— Przebacz Hanno, moje kochanie — zawołał książę — nie mogłem przyjść pierwiej, bo mnie ojciec zatrzymał w swoim zamku. Ale zapewnie z radością się dowiesz, że przychodzę połączyć się z tobą na wieki, pogodziwszy się z moim rodzicem i królem.

Na głos tak dobrze znany, odwróciła się Hanna z Ciechanowa i okazała oblicze godne zazdrości aniołów. Bładość je pokrywająca, była skutkiem gwałtownych wzruszeń, doznanych od dni kilku, ale już z tą bladością mieszał się powracający rumieniec, który zwyczajnie boskie jej wdzięki umiłał.

Słodycz nadludzka odbijała się w niebieskich oczach i nadawała uśmiechowi jej twarzy powab wszystko pociągający. Znać jednak czasem było we wzroku, że duma nie opuściła córki Wszebora, i że pani Ciechanowa, przyszła żona księcia polskiego, czuła swoją godność, czuła że jej się należą hołdy i poszanowania, i to jej spojrzenie nieraz odparło lekkomyślne słowa Mestwina, nieraz pokryło zmieszaniem bezwstydne jego czoło. Za ujrzeniem Zbigniewa powstała, zdało się jak gdyby chcąc się rzucić w jego objęcia, wstrzymała się nagle i poważnym wyrzekła głosem:

— Zbigniewie! wykonywam com ci obiecała, oddając ci rękę i świadczę się niebem, jak i tobą szanowny kapłanie, że z własnej to czynię woli. Niech więc kara moich grzechów na mnie tylko spada. — To powiedziawszy, zbliżyła się do Zbigniewa, i poglądając na młodzieńca okiem pełnem miłości. — Za chwilę będę twoją żoną — rzekła — za chwilę Hanna wieczną przysięgnie wiarę, którą już ci oddawna w sercu przyrzekła.

— Hanno! — zawołał książę — podaj mi rękę i klękniemy u stóp ołtarza, odtąd nic nas nie rozłączy.

Podczas obrzędu ślubnego stał Mestwin niewzruszony. Przewidywał on nieszczęścia mające wypłynąć z tego kroku, i niechętnem patrzył okiem na czyn Zbigniewa. Ale kiedy

zwracał wzrok na kapłana, oczy jego wyrażały coś zgubnego i okropnego, choć nie znać było w nich ani niechęci, ani gniewu, owszem zdawało się że zimny rozmyśl jego zamiarami kierował. Przy końcu modlitw podczas ślubu odmawianych, wyjął sztylet i oglądał go z spokojną rozważą, potem zbliżył się do księcia i Hanny odchodzących od ołtarza i oddawszy głęboki pokłon, rzekł:

— Przyjm pani moje usługi, przyjm usługi tej ręki nawykłej do bronienia twego męża.

Ale podczas tych słów nie mógł wstrzymać szyderczego uśmiechu, który tak był wydatnym, że Hanna odwróciła głowę. Tymczasem Zbigniew, wyjąwszy worek pełen srebra, oddał go swemu powiernikowi.

— Te pieniądze mogą mnie zapewnić o milczeniu. Jest to pewny sposób zachowania tajemnicy.

— Znam ja pewniejszy — odparł pocichu Mestwin i znów się ukłoniwszy, wyszedł wraz z kapłanem drzwiami wiodącymi nad brzeg Wisły.

W kilka chwil później usłyszano słaby krzyk i wkrótce potem łoskot podobny do tego, jaki sprawia ciężkie ciało wrzucone w wodę. Zadrżała córka Wszebora, Zbigniew mimowolnie cofnął się kilka kroków.

— Idź, moje kochanie — rzekł do żony — idź do swojej komnaty, ja zaraz za tobą pośpieszę.

Posłuszna radzie Hanna niepewnym oddaliła się krokiem, a Zbigniew sam został w kaplicy. Są chwile w życiu, kiedy człowiek otoczony weselem i szczęściem, wśród przyjaciół, po osiągnięciu celu najgorętszych życzeń, przypomni nagle swoje winy, przypomni nieszczęścia mogące nań runąć, a wtenczas smutek okropny jest jego udziałem, trwa tylko przez jedną chwilę, ale ta chwila zatruwa radość serca, ta chwila jest piekłem. Właśnie w podobnem był Zbigniew położeniu. Sam wśród nocy, u stóp ołtarza, otoczony przepychem i bogactwami, po dopełnieniu najżywszych pragnień, czuł jakiś ciężar na sercu.

Wszystkie klęski i niebezpieczeństwa mogące nań się zwać, stanęły mu na myśli, a choćby w innym cza-

się nie wzdrygnął się na ich wspomnienie, uczuł teraz nie-
 znośną, nadzwyczajną trwogę. Ujrzał przeklinającego ojca,
 ujrzał postawę Wszebora wyrzucającego mu porwanie córki,
 i widział Mieczysława pałasz, na swoją podniesioną głowę.
 Zobaczył najzaciętszych wrogów przesuwających się przed
 oczyma, dawne zatarte pamiątki ozwały się groźnie, po-
 pełnione występki tłumnie się gromadziły w jego umyśle.
 Chciał kilka razy wyrwać się z tego przykrego położenia,
 ale jak gdyby przykuty pozostać musiał na miejscu, głowę
 oparł o ołtarz, przed którym niedawno najżywsze czuł
 szczęście, i pogrążony w rozpacz, zapomniał o żonie.
 Zamknął oczy, nie mogąc znieść światła błyszczącego
 w kaplicy oświeconej licznymi lampami, których blask
 podwoił się odbity od bogatych naczyń i złotych krzyżów.
 Dopiero usłyszane kroki Mestwina wróciły mu przytomność
 i wstydzając się słabości, porwał się z miejsca, a udając
 najżywszą radość, poszedł ku niemu.

— A cóż — zawołał — czy pomogło srebro, czy
 nie wyda tajemnicy?

— Naco — odparł ze zwyczajnym uśmiechem Me-
 stwin — naco tak drogiego używać kruszcu, kiedy nie-
 równie podlejszym można wymódlisz milczenie i wieczne
 milczenie? — To mówiąc, pokazał panu swemu sztylet,
 z którego krew świeżo wylana kroplami spływała.

— Niepotrzebna zbrodnia — rzekł oziębłe Zbigniew,
 który już odzyskał był moc duszy.

— Niemalą jest rzeczą życie człowieka — rzekł
 Mestwin — i gdyby nagła nie wymagała tego potrzeba,
 nie byłbym dni jego skracał.

— Mestwinie, zazdroszczę ci tak zimnej krwi, tak
 zimnego serca!

Po tych słowach, roześmiał się Mestwin i pytał Zbi-
 gniewa o rozkazy, mówiąc, że zapewne teraz zechce sam
 pozostać.

— Wyszlij natychmiast gońców, Mestwinie, — zawo-
 lał książę — do moich ludzi, do moich zamków, do mo-
 ich przyjaciół; niech zaraz siadają na koń i tu przyby-

wają. Trzeba nam się przygotować na wszelki przypadek. Może za kilka dni krew na tych dziedzińcach lać się będzie.

— Jużem wszystko przewidział i wszystko poczynił. Jutro, najdalej pojutrze ten zamek napelni się ludźmi gotowymi umrzeć za księcia mego i pana. Ale najlepiej trzymać wszystko w skrytości i nikomu nic nie wyjawiać, może przejdzie burza i nie rzuci piorunu, o czym jednak bardzo po wczorajszych pogroźkach wątpię.

— Nieoszacowany przyjacielu! — krzyknął Zbigniew; rzucając się w objęcia Mestwina — odprowadź mnie do pokoju żony.

Książę polski, wzięwszy za rękę rycerza, udał się do pięknej Hanny. Zastał ją klęczącą przy obrazie Matki Zbawiciela. Za przybyciem męża powstała i pośpieszyła na jego przyjęcie.

— Zbigniewie, nieznana twoga opanowała me serce, całą mą duszę przeraziła. Czy nie spotkało jakie nieszczęście sługę Bożego, który przed chwilą połączył nas na zawsze?

— Nie wiem — odparł Zbigniew, — słyszałem jakiś łoskot.

— Zapewnie, pani — przerwał Mestwin — łoskot sprawiony rzuconemi pieniędzmi do Wisły przez tegoż sługę Bożego, który mi odpowiedział, że nie potrzebuje zapłaty dla zachowania tajemnicy.

Słowa Mestwina, szyderyczym wyrzeczone głosem, nową bojaźnią napęłniły serce Hanny. Wtem zbliżył się do niej rycerz niemiecki i ukłękawszy przed nią, zawołał.

— Witam cię księżno, witam cię moją panią, — i śmiałą rękę wyciągnął po rękę córki Wszeborą.

Odkoczyła w tył o kilka kroków Hanna, ale Zbigniew prosił ją by dała ten dowód łaski najwierniejszemu przyjacielowi.

— Chyba dla ciebie uczynię tę ofiarę — odparła księżna oddając swą rękę rycerzowi, który ją z taką siłą do ust przycisnął, że aż krzyknęła przerażona Hanna, ale w tym krzyku znać było przerażenie pomieszane z pogardą. Zrozumiał ten głos Mestwin, ścisnął usta, powstawszy, oddał głęboki pokłon i odszedł. Została się Hanna sama ze Zbigniewem.

— Odszedł już — po chwili rzekła, jak gdyby ciężar jaki spadł z jej serca — odszedł — po tych słowach zamilkła, ale nagle porwała się z siedzenia, zbliżyła się do Zbigniewa i porywając go za rękę, z okiem pełnym rozrzewnienia, głosem przenikającym do duszy, z zapalem cnoty i miłości zawołała.

— Mężu mój, oddal chytrego powiernika, odrzuć zdrady i obłudę dopóki czas jeszcze, odepchnij od piersi węża, nim w swoje zamknie cię kłęby, z których się już nie będzie mógł wydobyć. Zbigniewie, uwierz przeczuciom mojej duszy. Mestwin grozi ci zgubą i nieszczęściem. Mestwin jest twoim najzaciętszym wrogiem. Zbierz całą moc twoją i uwolnij się od tego szatana, który pod pozorem przyjaźni, ma mi twoje serce; wróć do spokojności i cnoty. Czy myślisz, Zbigniewie, żem nie postrzegła twojego zadumania? Czy myślisz, że kiedy cię pierwszy raz poznałam, że kiedy przychodziłam do ciebie w borach ciechanowskich, czy myślisz, żem nie postrzegła burzy miotającej tobą? Ileż razy widziałam cię niespokojnym, błędne wymawiającym słowa! ileż razy niepewny wzrok zwracałeś na mnie, a w tym wzroku znać było srogie wspomnienia i srogie przyszłości przewidywania. Tak, mężu mój, Hanna wie, żeś wiele złego popełnił, wie, żeś przekroczył powielekroć granice nakazane ludziom od Boga, a jednak oddała ci serce i rękę, bo cię kochała nadewszystko, bo wiedziała że jesteś szlachetnym i wielkim, bo wiedziała, że źli doradcy, że obłudnicy i podstępni doprowadzili cię do przestępstw i gwałtów. A któż do tego czasu nieprawne wskazywał cele? Kto wiódł twe kroki dotąd po drodze skażenia i zepsucia? Mestwin, Mestwin, on cię zamieniał często szlachetnego i wzniosłego, na niskiego i niegodnego rodu i sławy naddziadów.

— Hanno — odparł uroczystym głosem Zbigniew — nadszedł czas wyznania ci moich przestępstw i odkrycia serca, bo nie myśl że chcę cię zwodzić. Nie, wystawię ci wszystko w prawdziwym świetle. Jedną tylko kochałem na świecie kobietę. Ty nią jesteś, a ta, dla której wszystko poświęciłem, dla której naraziłem się na przekleństwo ojca i mordercze zamachy wrogów, nie będzie nigdy miała prawa wyrzucać mężowi, że krył się pod pozorem cnoty i sprawiedliwości. Tak Hanno, słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj słów, które jedna tylko na tym świecie usłyszysz i raz tylko w życiu.

Tu zamilkł Zbigniew i jak gdyby coś sobie przypominał, dosyć długo dumął oparty o filar, podpierający bogatą komnatę, nareszcie w te odezwał się słowa.

— Kochanko mego serca, żono ulubiona, jestem zbrodniarzem. Choć jeszcze młody, uniesiony namiętnościami, daleko już zaszedłem w drodze niesprawiedliwości. Raz podsyciała mnie chęć sławy, to znów żądza zaszczytów i wielkości. Nie jednemu już tą ręką stracił z tego padółu nieszczęść. Zdradą pozbywałem się wrogów, głuchym byłem na jęki niewinności, lub prośby pokonanego nieprzyjaciela. Wśród burzy i nocy zatapiałem mój sztylet w serca podobnych sobie, wśród biesiad i radości, w lśniących się puharach posyłałem śmierć w darze, zawziętym na mnie. Ale przyjaźni, dopóki mi wierną była, nigdy nie zdradził. Dlatego kocham Mestwina, bo nigdy mi się ani słowem, ani czynem nie przენiewierzył. Tak Hanno, tak córko Wszebora, truchlejesz, ale jużes wyrzekła przysięgę, już moją jesteś, a choć trwoga twą duszę napelnia, widzę w twych oczach miłość dla Zbigniewa. Odtąd nasz los nierozłączony. Jeśli zstąpię do piekła i ty pójdziesz za moimi ślady, jeśli zasiądę na tronie, i twoje czoło świetna okryje korona. A chociaż twój Zbigniew był mordercą, zbrodniarzem, chociaż wszystko co może ciężyć na duszy człowieka, obarcza moje sumienie, musisz kochać mnie i kochać bez granic, musisz wszystko dla mnie znosić. Twe serce pała ogniem wszystko pożerającym. Zapomnij o zbrodniach i oddaj się miłości. Dopełniłem mego obowiązku, znasz teraz Zbigniewa, a wiem jednak

żebyś mnie nie opuściła i za nic w świecie nie chciała rozłączać się ze mną.

To mówiąc, przyłożył do ust żony gorejące usta i przycisnął ją do piersi, z całym uniesieniem najgwałtowniejszej namiętności.

— Zgadłeś mężu mój — zawołała Hanna — zgadłeś, miłość moja wszystkie względy przemaga, a choć może teraz wieczności brama zamyka się przede mną, nie odstąpię Zbigniewa. Ale możesz nas oboje jeszcze uratować, wracając do cnoty, poskramiając burze miotające szlachetnym sercem. Upokorz się przed Panem Niebios — dodała wznosząc oczy i ręce ku niebu — zawołaj Panie, Panie, a usłucha cię Bóg i okiem litości spojrzy na grzesznika.

— Już zapóźno, Hanno — odparł Zbigniew — już zapóźno! Zadalekom się posunął. Zbrodnia żadna mnie nie straszy, rzadko odzywają się zgryzoty sumienia, bo w ciągłej wrzawie, wśród wojen i bojów, zapominam o własnych winach, by nowe popełniać lub zaniedbane dokonywać jeszcze. A jeśli Bóg zechce, to spojrzy na mnie, jeśli to Jego wola, wyratuje mnie z tej toni jeśli nie, niech się dzieje wola Boża. Poświęconym na wszystko, na tej ziemi nieraz znosiłem rany i okropne boleści, nie przestraszyły mego serca zbrojnych wojsk tysiące, ni miecze na moje wzniesione zgubę.

Podczas tych słów jakiś rodzaj dumy rozjaśnił mu czoło, zaświetniał w oczach, a po chwili kląkł na ziemi, złożył ręce i głosem, w którym odbijała się najżywsza wiara i największa pobożność, zawołał.

— Niech się dzieje wola twoja, o Boże!

Tak więc ten nieszczęśliwy młodzieniec brał za wolę Boga, własne skażenie i pociąg do złego.

— Zbigniewie, Zbigniewie, cóż się z moim ojcem stało? — krzyknęła Hanna nagłem uderzona wspomnieniem — ojcze, ojcze! i padła na krzesło obfite łzy lejąc.

— Twój ojciec, moje kochanie, szuka cię teraz z dobrym naszym bratem księciem Mieczysławem, po oko-

licach Płocka, ale nie smuć się Hanno, przyjdzie czas, w którym twój ojciec przyjmie cię na swoje łono i pobłogosławi córcę.

Wtem nagle porwała się Hanna i upadła do nóg mężowi.

— Zbigniewie, znam przewagę twojej ręki i gniew gwałtowny twego serca. Ale zlituj się nad starcem chcącym uratować córkę, on może myśli, że ją rozbójnicy porwali, że jest bliską utraty czci lub życia. Zlituj się mój mężu i przysięgnij, że nigdy uniesiony gniewem lub zemstą, nie podniesiesz miecza na siwą głowę ojca twojej żony. — Pobiegła Hanna do półki i podniosła księgę — przysięgnij! — powtórzyła mdlejącym głosem w najsroższem oczekiwaniu.

Zbigniew zbliżył się do stołu i położył prawicę na księdze.

— Przysięgam ci przed Bogiem, na miłość którą czuję ku tobie, że przytlumię w sercu zemstę, że poskromię gniew i że nigdy nie podniosę ręki ani dam rozkazu na uczynienie najmniejszej krzywdy ojcu mej żony.

— Zbigniewie, szlachetny mój mężu, otwórz Boską księgę, a na każdej jej karcie znajdziesz, że Bóg rozkazał ludziom złe dobrem odplacać. Jeszcze jest jeden człowiek, ku któremu pałasz nienawiścią. Zaczynij od tego dnia powracać do cnoty i przyrzecz podobnie, że nie będziesz go ścigał, że krewnego, że członka własnej rodziny nie zamordujesz.

— O kim chcesz mówić? — zapytał Zbigniew z dzikiem spojrzeniem.

— O bracie twoim, Mieczysławie.

— Lepiejbyś nigdy nie wymówiła jego nazwiska — krzyknął książe, a w oczach jego odbiła się wściekłość i gniew najsroższy. Odepchnął daleko od siebie książkę, uderzył o rękojeść miecza — zapomnij — dodał srogim głosem — że Mieczysław żyje na świecie, bo wkrótce żyć przestanie. Pierwszemu człowiekowi od urodzenia, darował swoje krzywdy Zbigniew za twoją prośbą, boś po-

dobniejsza do anioła niż do ziemianki, ale drugi raz już to się nie powtórzy. Zapomnij o nim, bo ile razy powtórzysz jego imię, o tyle chwil śmierć jego przyspieszysz.

— Daruj mu, o Boże — zawołała Hanna — daruj mnie, żem się stała nieszczęść bliźnięgo przyczyną. Ale nie, nie tak źle sędzę o sercu Zbigniewa, usłucha on głosu i żony i cnoty.

— Nie, zginie Mieczysław. Śmierć jemu i wieczna zguba — odparł książę — dopóki miecz mi wierny będzie, dopóki ta ręka zdoła udźwignąć oręż lub czarę pełną trucizny, żadnej niema dla niego nadziei.

— Bądź jednak pewny — rzekła nakoniec Hanna — że nigdy nie przestanę wołać na ciebie, nawróć się mój mążu i pokochaj cnotę, bo mi same nieba ten obowiązek wskazują.

— Dosyć już na tem, moja luba Hanno — zawołał Zbigniew, przyciskając nadobną żonę do łona.

ROZDZIAŁ IV.

Gdzie ona, mów prędzej, gdzie ona?
Odyniec.

Musimy teraz opuścić Zbigniewa i przenieść naszych czytelników do jednej z komnat zamku królewskiego, w której kilka dni później siedział książę Mieczysław z Wszeborem przy stole zastawionym dzbanami i puhanami pełnemi węgierskiego wina. Ich twarz oznaczała smutek i znużenie, pochodzące z męczącej wyprawy odbytej w zamiarze szukania we wszystkich okolicach Płocka i Ciechanowa śladów Hanny, ale jak łatwo się domyśleć, nadaremnie.

— A teraz cóż począć — rzekł smutnym głosem Wszebor. — Gdzież znaleźć, gdzież wysledzić zdrajców? o Boże, Boże, czyż nie zeszlesz anioła dla wskazania drogi i odzyskania jeszcze nadziei opuszczonemu ojcu! Biedna moja Hanna, bezwątpienia wzdycha teraz za wolnością w czarnem więzieniu. I ja po tylu trudach, takiej miałem pociechy się spodziewać? po życiu ojezyźnie poświęconem, po usługach królowi oddanych, nie przyszło mi spokojnie umrzeć. W naddziadów moich zamku nie przyszło patrzeć na szczęście córki. Muszę się o jej życie, o jej sławę obawiać. Taki koniec przeznaczony był ostatnim dniom moim, ostatnie chwile miałem przepędzić w smutku i rozpacz.

— Powziąłem już stały zamiar — odparł młody Mieczysław. — Pójdę z wiernym [mieczem, na lotnym moim koniu, szukać jej po Polsce, po całym świecie, jeśli

tego będzie potrzeba, nie zdejmę zbroi, nie odkryję twarzy zpod ciężkiej przyłbicy, dopóki nie wynajdę najdroższej mi na świecie istoty; jeśli zginę, pocieszą mnie łzy twoje wylane na przyjaciela grobie. — To mówiąc, ścisnął rękę starca, a błogosławieństwo stroskanego ojca spłynęło na jego głowę.

— Sam szatan, sam duch ciemności musiał w to się wmieszać — rzekł po chwili Wszebor. — Tylu mam przyjaciół, tylu poddanych, którzyby mi donieśli gdyby odkryli najmniejsze światło w tej ciemnej sprawie, a do-
tąd żadnego od nich nie odebrałem uwiadomienia. Milczenie i nieszczęście wszystko pokryło. Dzielna straż mego zamku tyle razy dała mi dowody męstwa, a teraz żadnego nie zabiła z przeciwnej strony, żadnego w niewolę nie pojmała zbrodniarza. Powtarzam, władca piekieł musiał wdać się w tę sprawę.

— Choćby i tak było, choćby tysiące złych duchów sprzysięgło się na nasze nieszczęście, nie opuszczę twej córki i mam nadzieję, że Bóg litościwy nie będzie chciał mnie karać za przestępstwa ojca. Choć jednak — dodał ponurym głosem — poznałem już oddawna, że jakiś los okrutny niweczy wszystkie moje zamiary, niszczy najpiękniejsze nadzieje. Czyż jęki Stanisława, Niebiosa na mnie oburzyły? Czyż Rzymu przekleństwa z ojca nieszczęśliwego na syna się zlały? Ale czemuż mam uleźć trwodze? Czemuż mam odstąpić szczęścia i pomyślności. Nie, z sercem odważnym, z sercem ufnem w Bogu, pójdę ją ratować i uratuję, lub nie posłyszysz więcej o Mieczysławie.

— Nie myśl książę — rzekł wtenczas Wszebor — żebym ja córkę opuścił; i ja osłabłe ciało powlokę za tobą, i ja osłabłą ręką dobędę jeszcze szabli na obronę córki. Ale pierwiej jeszcze z królem się nam widzieć trzeba, odkryjemy mu nasze zamiary, a potem puścimy się na niebezpieczeństwa i walki.

— Zaiste trzeba mi wprzód stryja zobaczyć, niech się tylko przebiore.

Ale wtem wszedł człowiek zbrojny i oznajmił, że Skarbimir z Gulczewa na czele nielicznego orszaku przybywa odwiedzić księcia.

— Dałbym wszystko — zawołał niecierpliwy Mieczysław — żeby się nie widzieć z tym chytrym króla doradcą, ale trzeba go przyjąć. Będę się starał jak najprędzej go pozbyć. — Po tych słowach usiadł książę na krześle, kazał zabrać wino i z należytą powagą przyjął wchodzącego Skarbimira, jednego z dwunastu radców królewskich i podskarbnika Władysława Hermana. Miernego ten pan był wzrostu, a choć jeszcze zgrzybiała starość ciężarem go nie przygniotała, schylone miał ciało ku ziemi i wydawał się długimi pracami strudzonym. Twarz wcale za nim nie przemawiała; w małych żywych oczach znać było chęć zysku i zręczną przebiegłość. Do włosów czarnych już siwe mieszać się zaczynały, ubiór nie odpowiadał wysokiej jego godności i licznym dostatom; rdza pokrywała rękojesę pałasa, suknia była wytarta, a obraz króla Władysława, zawieszony na miedzianym łańcuszku, spadał na piersi. Pierścień tylko złotem i drogiemi kamieniami błyszczał na wyschłej jego ręce.

— Siadaj, potężny panie z Gulczewa i innych włości — rzekł Mieczysław wskazując niższe od swojego siedzenie. Wszebor powitał go prawie nieznacznem schyleniem głowy, a Skarbimir głęboki oddawszy pokłon, usiadł z uniżonością dowodzącą iż czuje, że jest w przytomności księcia krwi królewskiej, ale w chwili kiedy Wszebor i Mieczysław od niego wzrok odwrócili, żywe jego oczy pokój przebiegły, uśmiech chwilowy zbladłe rozszerzył usta i najwyrachowańsza chytróść odbiła się na zwierciadle duszy — na zwiędłej jego twarzy.

— Najjaśniejszy książę — ozwał się nareszcie — za dobry jesteś na służbę swego, wołając nań tak pysznem imieniem. Ubogi jestem, i łaska tylko króla mnie wywyższyła. Zato też codziem, pomimo lichego majątku, daję na mszę, prosząc Niebios o zachowanie tak dobrego i mądrego pana.

Uśmiech niedowiarstwa był jedyną odpowiedzią Mieczysława.

Skarbimir drugi jeszcze głębszy pokłon oddał Mieczysławowi, który znowu nic nie odpowiedział; więc brwi zmarszczył i poszedł do bliskiego okna.

— Ale — dodał Skarbimir — Nieba usłuchały gorących próśb grzesznika i dzisiaj jeszcze raczył mnie oświecić. Tak, mam pewne wiadomości o Hannie z Ciechanowa.

Te ostatnie słowa tak cicho wyrzekł, oglądając się na wszystkie strony, że ledwo je Mieczysław usłyszał; ale jak tylko imię kochanki obito się o jego uszy, skoczył do pana Gulczewa i zapomniawszy o znanej jego obłudzie, ścisnął mu rękę i zawołał.

— Mów prędzej co wiesz!

— Mów — powtórzył Wszebor — mów jasno i bez niepotrzebnych przydatków, a nadewszystko nie mijaj się z prawdą, mości podskarbniku królewski.

— Jeśli książę mi pozwoli zawołać człowieka z mego orszaku, on najlepiej całą tę rzecz wyłuszczy.

— Zawołaj! zawołaj!

— Bardanie, do mnie! — krzyknął Skarbimir, a natychmiast wszedł człowiek zbrojny, wychudłej i posępnej twarzy — mów coś słyszał i coś widział — rzekł Skarbimir — ale pierwiej drzwi przymknij.

— Naco ta ostrożność — rzekł Wszebor — kto nam może mieć za złe, że chcemy znaleźć...

— Kto? ja wiem kto — odparł podskarbnik zmieniając swój głos na rozkazujący, bo wiedział, że trzyma w swej mocy słuchaczy. — Przymknij drzwi, zarygluj drzwi Bardanie, zatknij dziurkę czemkolwiek, kawałkiem oddartym od szaty, za którą ci książę Mieczysław wynagrodzi, bo ja za ubogi jestem.

— Masz — zawołał Mieczysław, rzucając mu kilka nąście sztuk srebra — tylko mów prędzej, prędzej przyjacielu, jeśli dbasz o moje życie.

— Najjaśniejszy panie — rzekł żołnierz — i ty potężny rządczo zanku Ciechanowskiego, pan mój Skarbimir, władca Gulczewa i Kościelca...

— Prędeż tylko, prędeż — przerwał mu Mieczysław.

— Racz mi przebaczyć, wielmożny i potężny panie i książę, ale trzeba zawsze od początku zaczynać, tak przynajmniej nam ksiądz mówił na nauce w kościele Gulczewskim, wystawionym przez mego pana Skarbimira z Gulczewa...

— Prędeż, prędeż, co mi po twoim kościele — zawołał zniecierpliwiony młodzieniec.

— A toż, najjaśniejszy książę, ponieważ mówiłem, że trzeba zacząć od początku, powiem ci, że tego samego dnia świętej Agnieszki, w którym porwano córkę wysokiego i możnego pana Wszebora z Ciechanowa, przyjechałem na moim siwym koniu do Ciechanowa, bo różne tam sprawunki miałem, a wyznając wszystko szczerze, najjaśniejszy panie, córka Bartłomieja Krzywonogiego jest ładną dziewczyną, a ojciec jej wziął mnie pod brodę, pogłaskał i rzekł...

— Przeklęty gaduło — krzyknął Mieczysław — mów kto ją porwał, opuść wszystko bo ci inaczej łeb zdruzgocę...

— Przepraszam Wielmoż...

— Nie przepraszaj tylko mów, ale prędeż, prędeż — i stanął o dwa kroki od żołnierza.

Przestraszony Bardan zaczął więc zwięźlejš trochę całą rzecz opowiadać.

— Więc przyjechałem do Ciechanowa i stanąwszy u Bartłomieja Krzywonogiego, bawiłem się z Małgorzatą, wtem wszedł człowiek i prosił o czarę miodu, którą spełniwszy za zdrowie — i tu Bardan za znakiem danym przez Skarbimira głos znacznie zniżył — księcia Zbigniewa, położył pieniądze na stole i wyszedł mówiąc, iż dobrze że pokrzepił siły, bo wieczorem będzie miał wiele

do roboty. Zbroja jego była podobną do zbroi żołnierzy tego księcia; a zatem Bartłomiej...

— Zbigniew, niema wątpliwości — przerwał Mieczysław — Zbigniew, ale niech teraz się spowiada i żegna z tym światem, bo nie długie mu dni zostały. Hej! giermku mój, podaj mi zbroję i szyszak, Henryku, prędzej!

Wyszedł nadobny młodzieniec w kwiecie wieku i podał księciu żadaną zbroję.

— Zatrzymaj się — rzekł Wszebor — pierwiej pójdziemy do króla, a potem pomyślimy o środkach odebrania z rąk Zbigniewa córki mojej.

— Niema co myśleć — zawołał Mieczysław — naco mi króla, naco mi myśleć, kiedy wiem, gdzie znajdę wroga i mam wierną szablę w ręku.

— Nigdy nie zezwolę na to — rzekł poważnym głosem Wszebor — by dla mojej córki zaszło rozdwojenie w rodzinie panującej, by brat podniósł oręż na brata; usłuchaj zdrowej rady, Mieczysławie, zmiękczyć się mojami prośbami. Chodź raczej do Władysława. On synowi swemu rozkaże oddać mi córkę.

— Nie znasz Zbigniewa, starcze, nie znasz. Twoja córka może teraz... — i tu zatrzymał się Mieczysław, ani słowa dalej nie mógł wymówić, oczy jego zabłysły zapalczwym gniewem, a dobywszy miecza skoczył do drzwi, ale nim je mógł otworzyć, powstał Skarbimir, a Wszebor zatrzymał księcia.

— Książę Mieczysławie — zawołał Wszebor — nie sądzę, by ci Hanna droższą niż mnie była, ale przez długi przeciąg lat strawionych na usłudze krajowej, nauczyłem się przekładać ojczyznę nad najmilsze uczucia. Cóż ztąd wyniknie? walka między tobą a bratem, śmierć jednego z was, klęski dla Polski i żal ciężki dla króla. I któż jeszcze wie pewno, że Zbigniew porwał moją Hannę? Czyż słowa żołnierza, pijącego zdrowie swego pana, są dostatecznym dowodem? Upamiętaj się panie,

nie wszczynaj niezgód i rozterek w Polsce już i tak nie-
szczęśliwej. Przekonaj się pierwszej, a potem znajdziesz
sprawiedliwość u króla.

— Musi zginąć z mojej ręki — przerwał cichym
głosem książę, ale schował miecz do pochwy, a ochłonawszy
nieco z gwałtownego gniewu, usiadł. Wtenczas Skarbimir
ponowił swe ukłony i prosił, by mu pozwolono dać radę.
Za zezwoleniem Wszebora i księcia zaczął płynnie mówić,
i znać było w jego słowach wyówiczonego na dworach
i biegłego doradcę.

— Wyjdź Bardanie. Najjaśniejszy książę, widziałem
cię małym, i na moich nosiłem rękach. Twój ojciec nie-
raz łaskawem na mnie rzucił okiem, a teraz nas panujący
Władysław Herman przypuścił do swego boku. Ośmielam
się więc podać wam radę. Bezwątpienia Zbigniew trzyma
w swojej mocy Hannę, ale nie można mu tego zarzucić,
bo nie mamy pewnych i niczem niezbitych dowodów.
W ich niedostatku możemy sobie przywieść na pamięć
gwałty i łupiestwa, mordy i grabieże, które ten książę
często popełniając, stał się klęską dla narodu. Dotąd go
miłość króla ochroniła, ale teraz przyszedł czas zrzucenia go
ze szczytu potęgi. Temu kilka dni przysiągł Władysław-
wowi, że nie wie o Hannie, a kiedy się ojciec prze-
kona, że przeniwiercę i krzywoprzysięzcę ma za syna,
odepchnie go od łona, w czem twój najniższy sługa teraz
mówiący do ciebie, najjaśniejszy książę, będzie ci się sta-
rał dopomódz.

— Nie potrzebuję wcale tego — przerwał Mieczysław.
— Nie przystoi mi cichemi podszepty, zdradnemi
słówkami, oburzać serce mego stryja na syna, choć ten
syn całego mego gniewu jest godzien. W otwartych
szrankach się spotkamy, ale nigdy nie zezwolę na ukryte
drogi, na ciemne ścieżki, któremi chcesz mnie prowa-
dzić; ale mów dalej, mów, jednejbym tylko pragnął
rzeczy, żeby można Zbigniewa o zbrodnię zupełnie prze-
konać, a wtenczas śmierć mnie lub jemu.

— Tego chcesz — rzekł Skarbimir — nie łatwiej-
szego; tylko króla poproście, by zwołał swoich panów

radnych i urzędników do tronowej sali; tam niech na księdze świętej poprzysięgnie ścigać zdrajcę, niech każe przejrzeć wszystkie domy w Płocku, a odkryje się zbrodnia.

— Na to się zgadzamy — odparł Mieczysław wraz z Wszeborem.

— Ale byłoby lepiej — ciągnął dalej Skarbimir — najprzód królowi zdaleka dać poznać, że Zbigniew należy do tej sprawy. Potem coraz bardziej zbliżać się do celu, powoli niszczyć w jego sercu miłość ku synowi, a nakoniec odkryciem wszystkiego zupełnie ją wyrugować. Potrafiłbym to uczynić, bo moje poświęcenie się dla ciebie, panie, jest bez granic.

— Milcz z takimi zamiary — krzyknął Mieczysław; — syn Bolesława Śmiałego otwartą ręką idzie, nikogo na świecie się nie boi, zawady nie zdradą, ale dzielną przełamuje ręką, wrogów nie tajnymi sposoby, ale mieczem pokonywa, milcz mówię ci, Skarbimirze, jeśli nie chcesz się wydać przede mną z podłością serca i niskością duszy.

— Żle sądzisz o mnie najjaśniej...

— Dziękuję za radę, a teraz nie mam więcej cię słuchać czasu i żegnam.

To mówiąc, zawołał na pazia, kazał sobie podać płaszcz książęcy i wzięwszy czapkę z czarnymi piórami, wyszedł do króla z Wszeborem, który w milczeniu tał głęboki smutek duszy, sądząc, że niegodnym jest męża słabość okazywać.

Skarbimir został sam w komnacie. — Piękna nagroda — szemrał — za rady moje, ale przyjdzie czas, że i ty uznasz moją wyższość. Tymczasem już jeden upadnie, już groźny Zbigniew się ukorzy. Gińcie, przepadajcie wszyscy, niech się sam Skarbimir zostanie, czołga się teraz przed wami, ale kiedyś jego łaski żebrać będziecie, a on wasze zajmie miejsca; — a potem obracając się do pazia: — Czy tak zawsze żegna się z przyjaciółmi twój książę, mój chłopcze?

— Książę mój pan — odparł młodzieniec — szanuje tylko tych, którzy są godni tego. Z wszystkimi innymi podobnie się jak z tobą żegna.

Po tych słowach wskazał drzwi podskarbnikowi, który z nienawiścią i zręcznie ukrytym gniewem, wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ V.

Królu mój, straszna twoja powinność!
Twoje święte przeznaczenie
Jest: karać zbrodnie, pomścić niewinność,
Cierpiącym podać ulżenie.

Serbska Duma.

W przedpokoju królewskim zastał Mieczysław z Wszoborem Sieciecha wojewodę krakowskiego, Hetmana Władysława i wodza jego straży. Siedział on otoczony zbrojnym rycerstwem i nie powstał za zbliżeniem się księcia, choć bowiem jeszcze wtenczas nie nabył tej ogromnej na dworze przewagi, która się stała później przyczyną wielu kłótni i niezgód, dumny jednak z swego męstwa i znaczenia, nikomu kroku nie ustępował. Jeszcze młody, choć już pożegnał się z wiosną życia, wysokiego był wzrostu i męskiej postawy. Wiele usług oddał królowi, a choć często poświęcić był gotów dobro powszechne własnej chwale, umiał cenić szlachetne uczucia, i nieraz im się jego serce poddawało. W lekkiej zbroi i świetnym szyszaku rozmawiał z swoimi żołnierzami, których umiał przywiązywać do siebie hojnemi podarunkami, i przepuszczaniem największych bezprawioów. Z drugiej strony komnaty siedział w szerokim krześle człowiek otwartej i wesołej twarzy, na bliskim stole leżała czapka z czaplemi pióry, torba borsukowa ze srebrnymi guzikami i nóż myśliwski; na lewej ręce trzymał ogromnego sokoła, który do tego przyzwyczajony, snem twardym ujęty, spuścił był głowę.

— Wolimirze z Moskorzewa, jak się masz — rzekł
— wchodząc do pokoju.

— Jakem sokolnik króla Władysława, tak to Wszebor z Ciechanowa — zwołał Wolimir; — a cóż, gdzie córka? czy puścić za niego sokoła — i to mówiąc wznosił rękę. Ptak roztoczył skrzydła jak gdyby gotował się do lotu, i bystrym wzrokiem szukał zdobyczy, ale za słówkiem wymówionem przez Wolimira „niżej, niżej z piórami“, znów do dawnej wrócił ospałości.

— Niema córki mojej, i na nieszczęście idę teraz mojemu królowi i panu to oznajmić.

— Nie można się teraz widzieć z najjaśniejszym panem — rzekł Sieciech, udając, że nie poznaje Wszebora ani Mieczysława.

— A ja mówię, że można, mój Sieciechu — odparł książę z uśmiechem pogardliwym na ustach, i nie dbając więcej na słowa wojewody, wszedł do Władysława, prowadząc za sobą Wszebora.

— Odplacisz mi to mój Sieciechu! — zawołał gniewny hetman, i tak ściał usta gwałtownie, że aż mu krew z dolnej wytrysła wargi.

Nie słyszał tej groźby książę, bo już był przy krześle, na którym król siedząc oglądał przyniesione pergaminy i podpisywał się na nich znakiem krzyża, bo nie było wtenczas zwyczajem, żeby monarcha swoje imię kładł na jakim przywileju lub nadaniu.

— Witamy was moi mili — ozwał się Władysław. — Ale cóż widzimy? czoło twoje zachmurzone synowcze, a lzę smutku napróżno usiłuje wstrzymać wierny nasz Wszebor. Czyż Hanna dotąd nie wrócona ojcę?

— Miłościwy królu i stryju mój, nie mogliśmy odkryć zbrodniarzy, nie odpoczęliśmy ani dniem ani nocą. Po wszystkich okolicach Płocka daremnieśmy bładzili.

— Królu mój — zawołał Wszebor i rzucił się do nóg Władysława — sprawiedliwości, sprawiedliwości się domagam, królu wyrwij mnie z toni nieszczęść, ocal cześć i życie mojej córki.

— Wszystko zrobimy w tym względzie, co będzie w naszej mocy, i na to dajemy ci nasze słowo królewskie; może chcecie ludzi zbrojnych, każemy wam ich z własnej dać straży, poszlemy z wami Sieciecha, rozgłosimy po całym królestwie, żeby wszyscy wzięli się do broni i siedli na koń dla szukania twojej córki, nie powiedzą, że Władysław król polski opuścił poddanego w nieszczęściu.

— Powiedz mu domysły nasze o Zbigniewie — rzekł pocichu Wszebor do Mieczysława — bo ja się nie mogę odważyć na zmartwienie tak dobrego pana.

— A ja nie chcę oskarżać, kiedy tylko same mam domysły — odparł Mieczysław — ale pójdźmy za radą Skarbimira, bo choć chytry i niegodziwy, w tej okoliczności nic nie mamy innego do uczynienia. Gdybyś mnie nie był wstrzymał, możebyś już teraz błogosławił córkę.

— Dobrze — rzekł Wszebor, i znów się obrócił do króla. — Najjaśniejszy panie, mam prośbę do ciebie, której wykonanie może ci przykrem będzie, ale mam nadzieję, że nie odmówisz mi tego, co może wrócić mi szczęście i zgon mój niedaleki przytomnością córki pocieszyć!

— Nie, zapewne że nie odmówię — odparł Władysław, ale znać było na twarzy, że się lękał przyrzekać.

— Królu Polski, wzywam więc twojej sprawiedliwości i zanoszę do podnóża twego tronu pokorne prośby, byś kazał zebrać się panom twoim radnym i rycerstwu i wobec wszystkich oświadczył, że srodze ukarzesz sprawcę niesłychanej zbrodni; tę obietnicę przysięgą stwierdził i rozkazał wszystkie domy w Płocku obejrzeć i przetrząść, bo może w tych murach jęczy moja Hanna, w mocy tak potężnego zbrodniarza, że go własny monarcha, i... — ale zatrzymał się tu Wszebor bo chciał już wymówić i ojciec, ale po chwili dodał — własny monarcha i pan nie ustraszy.

— Boże! — zawołał nieszczęśliwy Władysław, domyślając się przyczyny chwilowego zamilknienia Wszebor, i łza boleści na siwą brodę spłynęła. — Boże! dodaj mi mocy, pokrzep mój umysł. — To mówiąc, wstał z krzesła, poszedł do bliskich drzwi, za których otwarciem okazał się mały ołtarz oświecony srebrną lampą. Kłękawszy przed nim, krótką modlitwę odmówił. Obrócił się potem do Wszebor i z powagą prawdziwie królewską; — Zadosyć się stanie — rzekł — twojej prośbie, Bóg dobrotliwy udzielił mocy mej duszy. Oddam ci sprawiedliwość. Jutro zasiędnę na tronie i ogłoszę to, o coś mnie prosił. Czuję, że to moja powinność i dlatego ją wypełnię. — Nie mógł dalej mówić, i upadł na krzesło, a Wszebor i Mieczysław ucałowawszy mu rękę wyszli z komnaty.

— Synowcze — zawołał król osłabionym głosem za odchodzącym młodzieńcem — powiedz Sieciechowi, by jeszcze dzisiaj rozkazał uwiadomić panów moich i biskupa płockiego o jutrzejszej naradzie, bo Bóg zesłał na mnie ciężkie bole, i nie mógłbym teraz z nikim rozmawiać.

Uklonił się Mieczysław i przymknawszy drzwi królewskiego pokoju, poszedł do Sieciecha.

— Hetmanie królewski, Władysław Herman, król i stryj mój, każe ci przez moje usta powiedzieć, żebyś uwiadomił natychmiast wszystkich panów radnych, biskupa płockiego i znakomitych rycerzy o wezwaniu królewskiem stawienia się jutro tutaj w zamku, i zgromadzenia się w tronowej sali.

— Niezwyczajnym odbierać rozkazy pana mego i króla przez trzecią osobę, więc...

— Więc przyzwyczaj się teraz — przerwał groźnie Mieczysław — i wypełnij co ci powiedziałem.

To mówiąc wyszedł. Sieciech wstał z miejsca, a choć go Wolimir z Moskorzewa chciał wstrzymać, wyszedł i dognął księcia u bram zamkowych.

— Synu przeklętego ojca — zawołał — wstrzymaj swe kroki, bo mam kilka słów ci powiedzieć.

— Sieciechu, do kogóż się tak odzywasz — rzekł Wszebor — czy nie wiesz, czyś zapomniał, że tu książę Mieczysław?

— Właśnie dlatego, że nie zapomniał — odparł dumny wojewoda — mianuję go synem mordercy i świętokradcy.

— Nie wymówiłbyś ani słowa więcej — krzyknął Mieczysław, z trudnością poskramiając gniew gwałtowny — gdyby te mury zamku królewskiego nie przypominały mi, że jest zbrodnią na tym dziedzińcu potykać się z wrogiem.

— Krokiem dalej postąp, a już nic cię nie wstrzyma — zawołał Sieciech, dobywając miecza.

— Stój wojewodo — odparł z zimną krwią Mieczysław — owszem byłoby zasługą uwolnić króla mego i monarchę od tak bezczelnego sługi, co później spodziewam się, że przy pomocy Boga i mojej szabli uczynię. Ale ważniejsza sprawa nad wszystkie względy ziemskie zajmuje teraz mój umysł. Po jej ukończeniu, po uwolnieniu najcnotliwszej i najpiękniejszej dziewicy, spotkam się z tobą jak na rycerza i Polaka przystoi. Ale pierwej nie więcej pomogą twoje krzyki i obelgi od skowyczeń małego psa, którego podróżny kijem z swojej drogi odpędza. Milcz więc, jeśli prawy z ciebie rycerz, i czekaj aż pan i książę twój zniży się do walczenia z tobą.

— Dobrze, będę milczał, ale głos mój, kiedy się odezwę, będzie do pioruna podobnym, legniesz pod moimi ciosy.

To mówiąc, z dumą na czole wrócił do zamku, a Mieczysław i Wszebor z zasepionem obliczem oddalili się.

— Wojewodo krakowski i hetmanie króla Władysława — rzekł do wchodzącego Sieciecha Wolimir. —

Nie udało ci się polowanie, bo ani zwierza, ani nawet farby na mieczu nie widzę. Podobno lepszy mój sokół.

Nic nie odpowiedział Sieciech, usiadł w milczeniu, a Wolimir zaczął ulubionego ptaka nakarmić kawałkami mięsa, które z świetnej torby wyjmował.

ROZDZIAŁ VI.

Usiadły wodze. Troski na wszystkich wryte,
Powstał król .. lejąc łzy obfite
I gęstym przerywane jękiem słowa rzecze.

Iliada 19 księga.

Salą tronową czyli naradną nazywano obszerną komnatę w zamku plockim, wystrojoną prawdziwie z królewskim przepychem.

Obicia z aksamitu purpurowego lśniły się pozawieszane po ścianach, wyrobionemi na nich ze złota i srebra kwiatami. W środku zginającego się sklepienia wymalowany był pierwszy król chrześcijański, przyjmujący chrzest z rąk świętego biskupa, a przy nim jego żona, piękna Dąbrówka i Polacy z dobytym orężem. Choć za naszych czasów niezgrabnym i niekształtnymby się wydał ten obraz, wzbudzał on wtenczas podziwienie i uwielbienie rzadkich i nieumiejętnych miłośników sztuk pięknych. Gdzieniegdzie wisiały nabijane złotem zbroje i stalowe kolczugi pomieszane z szablami i tarczami, po których świetności można było poznać, że więcej ku ozdobie niż do boju służyły. Sam tron szkarłatnem obity suknem, stał w głębi sali pod pokryciem niebieskiem, nad którym wznosił się herb polski, orzeł biały z srebrzystemi piórami, pięć marmurowych stopni prowadziło do niego, a trzy rzędy filarów z obu stron podpierało wysokie sklepienie, na każdym filarze widziano bogatą koronę wznoszącą się nad dwoma w krzyż złożonemi berłami. Żelazna kratka oddzielała tron od drugiej połowy sali. Przy siedzeniu królewskim było kilka niższych

przeznaczonych dla książąt krwi i znakomitszych urzędników. Okna różnemi malowaniami zdobione, sięgały od podłogi do początku sklepienia, a przy każdym z nich paliły się najdroższe kadzidła w alabastrowych naczyniach.

Teraz cała sala napęczniona była mnóstwem osób czekających ukazania się monarchy; świetne ubiory zgadzały się z przepychem miejsca. Przy tronie królewskim stał Zbigniew, a za nim wierny Mestwin, pobliskie siedzenia z drugiej strony zajmowali Wszebor, Skarbimir, Sieciech, Wolimir z Moskorzewa z sokołem na prawicy, inni panowie radni i Stefan, podówczas biskup płocki.

— Patrz — rzekł Wolimir Sieciechowi do ucha — jak na to zgromadzenie przybył Zbigniew w zupełnej zbroi i z szyszakiem żelaznym na głowie, jak gdyby poczuwając się do porwania kuropatwy, obawiał się jakiego niebezpieczeństwa, kiedy my wszyscy i ty nawet, wodzu straży królewskiej, jesteśmy bez pancerzy, bez hełmów. Patrzże jak brwi zmarszczył, kiedy teraz zbliżył się Mestwin do niego i coś mu pocichu powiedział, patrz jak się nagle wzruszył i położył rękę na sztylcie. Na Boga, zdaje mi się, żem na łowach. My wszyscy jesteśmy psami, król dojeżdżaczem, Wszebor myśliwym, a książę Zbigniew dzikiem osaczonym... A co, czym nie trafił?

— Ale wiele psów legnie pod jego kłami nim się podda — odparł Sieciech; — lubię Zbigniewa, dzielny, a choć czasem popełni zbrodnię, lubię go jeszcze. Trudno się obejść bez gwałtu na tym świecie. Jaka postać rycerska, jakie męskie rysy, jaka piękna na nim zbroja. Lubię go zato...

— Ale co to się znaczy — rzekł sokolnik królewski — że naszego wysokiego i wielce miłościwego pana dotąd nie widać, czy nie zasłabł czasem?

— Może się boi przyjść do nas, lub jeszcze nie pokończył pacierzy — odpowiedział Sieciech.

Lecz wtem ucichły rozmowy i żarty, a król Władysław wszedł do sali.

Czoło Sieciecha pokryło się chmurą, wszyscy powstali, wszedł król drzwiami bliskimi tronu, opierając się na rękę synowca, zbliżając się do tronu, lekkim ukłonem zgromadzonych panów powitał. Twarz jego nosiła piętno boleści i rozdzierających duszę smutków, szedł powolnym krokiem z koroną na głowie, z berłem w rękę, szerokim, białym otoczony płaszczem, na którym srebrne błyszczały orły. Podał mu rękę Mieczysław, w kształtnym, niebieskim stroju, nie miał pancerza na piersiach, zamiast ciężkich rycerskich rękawic, białe, z giętkiej skóry pokrywały mu ręce. Łańcuch złoty, oznaczający godność rycerza, spadał mu na piersi. Płaszcz książe w lekkich fałdach spływał mu z ramion, a zamiast czapki z piórami, stosownej do tego ubioru, miał na głowie ciężki hełm stalowy ze spuszczoną przyłbicą, wskutek uczynionego ślubu, że nie odkryje twarzy, dopóki nie wykryje śladów, lub nie dowie się o losie Hanny z Ciechanowa.

Szmer dotąd panujący w sali zamienił się na głośne okrzyki: „niech żyje król Władysław! niech żyje Herman! chwała jemu i błogosławieństwo!“

Ale kiedy król usiadł na tronie, wrzawa ta, pochodząca bardziej ze zwyczaju niż z przywiązania do monarchy, ucichła. Wszyscy oczy zwrócili na Władysława, wzrok i słuch nateżając. Jeden Zbigniew został niewzruszony przy tronie; za zbliżeniem się króla, kroku nie postąpił ani cofnął, żadnego znaku wzruszenia nie okazując. Czasem tylko za przelatującym wspomnieniem, lekki rumieniec występował mu na lica, które wkrótce potem wracały do grobowej bladeści, i gdyby nie to jedyne znamię życia, można go było raczej wziąć za martwy posąg, niż za żyjącą istotę. Mestwin stał za nim, ale ile razy chciał mówić, nieznacznym prawie ruchem ręki nakazywał mu książę milczenie, i musiał rycerz niemiecki przestawać na szyderskim uśmiechu, który nigdy jego ust nie opuszczał.

— Panowie tu zgromadzeni — rzekł król słabym głosem — i dzielni rycerze, zebrani za naszym rozkazem, postanowiliśmy dzisiaj roztrząsnąć sprawę, przyczyniającą nam wiele zmartwienia i smutku; bo nasze serce ojcowskie ubolewa nad nieszczęściami naszych poddanych, nad kłótniami i niezgodą naszych panów, nad gwałtami i zdzierstwami naszego rycerstwa. — To mówiąc, pomimowolnie rzucił okiem na Zbigniewa, ale książę stał na tem samym miejscu, i najmniejszej zmiany w tej chwili nie można było dostrzedz na jego twarzy. — Dniem i nocą w własnym zamku i w kościołach błagaliśmy Boga o zwrócenie pokoju, o oddalenie zamieszkań i rozbojów. Ale ciężkie musieliśmy popełnić grzechy, kiedy Pan niebios nie raczył się do naszych prośb przychylić; owszem widzimy ze smutkiem najgłębszym, że codzien złe się wzmagają, codzien szerzą się kłótnie i łupiestwa, codzien ponawiają się mordy, zajazdy, łupiestwa i kłęski, pogrążające naród w nędzy i porządek społeczny wywracające. Niema zakątka w Polsce, gdzieby zacięte nie odbywały się walki między ziomkami, między synami wspólnej ojczyzny. Krew się leje, a nasza powaga królewska nie może jej wstrzymać ani namową, ani prośbą, do którejby król nigdy nie powinien się zniżać; nie zdołamy skrócić namiętności poddanych i burzliwych poskromić gniewów. Czyż piekło nasłało hufce złych duchów na naszą ziemię? czyż dzikie, otaczające nas narody przelały swe uczucia w serca naszych panów i naszej szlachty? A jednak bywały dawniej czasy porządku i wewnętrznego pokoju! Za Bolesława Wielkiego, założyciela naszej chwały i potęgi, w pierwszych latach panowania nieszczęśliwego mego brata, nikt nie śmiał dobywać na braci oręża, i wszystkie szable polskie skierowane były w pierś wrogów. Ale teraz ojciec w niezgodzie z synem! stryj zagrabia synowca majątki! brat podnosi oręż na brata, wszędzie zamieszanie i szcęk broni, a tymczasem kościoły puste daremno wzywają na modlitwę rycerzy, dźwiękiem niesłuchanych już dzwonów, groby świętych opuszczone i w pogardzie miane. Sami tylko kapłani zapełniają przybytki Pańskie, a wszędzie naokoło krew rumieni ziemię i Polak ściera się z Pola-

kiem. Nie, poddani moi, nic nie przesadziłem w tym opisie. Samiście tego świadkami i sumienie wasze zgadzać się musi z naszymi słowy. Przykład tego właśnie, teraz się wydarzył. Oto... — Ale w tem miejscu król zamilkł; wystawił dotąd ogólne zarysy, ogólnie do wszystkich przemawiał, ale kiedy przyszło do opowiadania wypadku dotyczącego tak blisko przytomnych i mogącego ściągnąć na syna nieszczęśliwe skutki, dowiedział się bowiem Władysław od Skarbimira o opowiadaniu Bardana, nie czuł już w sobie potrzebnej do tego mocy. Myśl, że wypełnia świętą powinność, nakazaną przez niebiosa, utrzymywała go dotąd w zamiarze, ale teraz jakiś ciężar przycisnął mu serce, głos ustał i przymknęły się usta.

Przez kilka chwil głębokie panowało milczenie, narazie nabral więcej siły i często przerywanym głosem się odezwał:

— Wszebor, pan Ciechanowa, zasłużony w ojczyźnie, dzielny w boju, mądry w radzie, z łzami w oczach przybył nam oznajmić przed tygodniem, że mu córkę nadobną Hannę z Ciechanowa, której wdzięków i cnoty sławą całe brzmi Mazowsze, porwali w nocy zbrojni ludzie, i że to tak prędko i niespodzianie się zdarzyło, że nie mogli, ledwo ze 'snu obudzeni jego żołnierze schwytać ni ujrzyć nikogo z porywających. Obiecaliśmy mu, że jeśli pogoń i wyprawa, którą zamierzył, bezskutecznemi będą, wtenczas dołożymy wszelkich środków, za pomocą władzy od Boga nam danej, na wyśledzenie, odkrycie i ukaranie zbrodniarzy. — Tu ciężko westchnął Władysław i znów się zatrzymał.

Ale Wszebor widząc, że w jednej chwili wszystko stracić może przez słabość i niestałość króla, kląkł przed tronem i głośno „sprawiedliwości się domagam“ zawołał.

— I otrzymasz ją wierny nasz sługo. Wrócił po kilku dniach — mówił dalej Władysław — na próżnych staraniach i zabiegach strawionych, do nas, oto przytomny Wszebor, a my dopełniając obietnicy i w niczem nienaruszonego słowa królewskiego, zgromadziliśmy was panowie i poddani, żeby przed wami ogłosić i oznajmić naszą

wolę królewską i co następuje. Słuchajcie więc uważnie, słuchajcie, a kto się poczuwa do zbrodni, niech wyzna przestępstwo, bo za chwilę nie czas już będzie. — Tu znów umilkł król polski i czekał, czy jaki głos się nie odezwie; ale grobowe milczenie nieprzerwanem zostało. Zbigniew tylko rzekł pocichu do Mestwina:

— Idź do mego zamku, uzbrój wszystkich żołnierzy, rozstaw ich po murach i basztach. Niech każdy z gotowym do boju orężem czeka na mnie.

— Książę i panie mój, nie rzucaj się dobrowolnie w sidła nieprzyjaciół, tajemnica i milczenie wszystko pokryć może, przysięga i słowo książęce uwolni cię od poszukiwań i śledzeń.

— Wykonaj moją wolę, przyjacielu — odparł Zbigniew, — bo już nadchodzi czas i niezadługo błysnie wierna moja szabla.

— Do śmierci wiernym ci będę, ale powtarzam...

— Ani słowa więcej, wykonaj moje rozkazy.

— Już nic, nic cię nie wyratuje: zgubionys — były ostatnie słowa Mestwina wychodzącego z sali, co niemal wszystkich zdziwiło. Wtenczas Stefan, biskup płocki z powagą do tronu przystąpił, zdjął z swojej szyi bogaty relikwiarz, zawierający kość z głowy świętego Wojciecha i złożywszy go w ręce Królewskie, uroczyście wyrzekł:

— Władysławie, królu Polski i panie mój, wypełń teraz powinność nakazaną od nieba i świętego Kościoła, — a widząc pomieszanie monarchy, dodał — a zato Bóg ci przez moje usta obiecuje szczęście i nagrodę w życiu przyszłym. Wezwij na pomoc anioła stróża, świętych męczenników, którzy krwią własną dowiedli nienaruszonej wiary i dwunastu apostołów Zbawiciela naszego. Wypij kielich goryczy w tem życiu, a po śmierci wieńiec nieśmiertelnej chwały niebieskiej okryje ci skronie. Wypełń więc obowiązek i powinność swoją, Władysławie, królu Polski!

Całe zgromadzenie odpowiedziało: „Amen“.

Zebrawszy wszystkie siły, powstał Władysław Herman, a choć bliżej tronu stojący postrzegł łzę toczącą się w oku, dość silnym odezwał się głosem:

— Wzywamy wszystkich naszych poddanych, tak panów i rycerzy, tak wolnych jak niewolnych ludzi, żeby wszystkimi środkami starali się wykryć zbrodniarzków, którzy porwali Hannę z Ciechanowa. Wzywamy i rozkazujemy, aby nasi rycerze wsiedli na koń i dopomogli ojcu do szukania straconego dziecięcia, a to pod utratą względów i łaski naszej. Dalej wzywamy naszego hetmana i wojewodę Sieciecha, by na czele przybocznej naszej straży, uczynił przegląd wszystkich domów miasta Płocka dla wykrycia, czy czasem nie jęczy w srogim więzieniu Hanna z Ciechanowa... Ktokolwiek się dowie o Hannie z Ciechanowa, a nie doniesie natychmiast o tem, nam i Wszeborowi jej ojcu, tego czeka kara żadnymi nieodwrócona prośby; a teraz pozostanie nam jeszcze ogłosić wolę naszą, żeby występny i winowajca porwania Hanny, ukarany był śmiercią, co następną stwierdzamy przysięgą.

W tem miejscu wszyscy przytomni powstałi i dobywszy z pochew orężę, głośnemi okrzyki świadczyli się niebem, że wszelkich dołożą starań dla wybawienia Hanny. Łzy radości zakreśliły się w oczach Wszebora, kiedy zobaczył, że taki zapał wzbudziła jego sprawa. Twarzy Mieczysława^s pod przyłbicą nie można było dostrzedz, ale równie jak inni dobył miecza i wzniosł go w powietrze; jeden tylko Zbigniew milczał i niewzruszony pozostał na miejscu.

Po przywróceniu milczenia, król wznosząc z pobożnością święty relikwiarz i odebrawszy błogosławieństwo biskupa Stefana — przysięgam — rzekł.

— Nie przysięgaj, ojcze, śmierci własnego syna — przerwał mu Zbigniew głosem do pioruna podobnym, i postąpił o kilka kroków, a założyszy ręce na piersi, tak zawołał z uśmiechem pogardy: — Ja Hannę z Ciechanowa porwałem. U mnie tu w Płocku, w moim przemieszkuje zamku. A teraz niech kto wystąpi, niech kto poważy się na mnie powstać!

Zamilkł, a czoło jego zajaśniało dumą i ręka gotowa do boju, spoczęła na rękojeści miecza. Wszyscy w zadziwieniu nieporuszeni stali. Władysław upadł na krzesło i schylił głowę, zleciała z niej świetna korona i wraz z berłem przez słabą rękę upuszczonem, runęła aż do stóp tronu. To się wszystko stało w mgnieniu oka, i w tej samej chwili Mieczysław podniósł przyłbicę i skoczył do Zbigniewa, ale kiedy wściekły rzucał się na wroga, widok konającego prawie króla i stryja wstrzymał go, a szlachetny książę zapomniawszy o własnej zemście, pobiegł do Władysława Hermana i starał się go wrócić do zmysłów. Podniósł powoli król Polski oczy i wracając do życia, ujrzał przy sobie Mieczysława, a pamiętny na samo tylko niebezpieczeństwo Zbigniewa, wszystkimi siłami uchwycił się ręki synowca, podobnie jak tonący rzuconej liny, w której jedyną pokłada nadzieję. Darmo usiłował się wyrwać Mieczysław, i musiał stojąc o kilka kroków od śmiertelnego nieprzyjaciela, patrzeć na jego postać dumną, nie mogąc do niego się posunąć. Widział przed sobą sprawcę wszystkich swoich nieszczęść i uciemięźcyela Hanny, i spokojnie przypatrywać się musiał wyrazowi pogardy, który na licach Zbigniewa się odbijał. Czuł mocniej książę bijące serce, czuł oręż zawieszony u boku, w każdej chwili czuł wzrastający gniew na wroga, a nie mógł na niego się rzucić, nie mógł krwią się jego nasycić, i wobec wszystkich pomścić się krzywdy i zbrodni przed wszystkimi wyznanej. Władysław Herman tymczasem pozostał w milczeniu, i błędny wzrok pomieszanie dusz, oznaczający, rzucał na przytomnych.

Wszebor zaś klękający u stóp tronu, znów:

— Sprawiedliwości, najjaśniejszy panie, sprawiedliwości się domagam — zawołał, ale nie słyszał go król Władysław, bo wciąż miał wzrok wlepiony w Zbigniewa. Gniew bowiem i sprawiedliwe oburzenie ustąpiło miłości ojcowskiej, trwożnej o syna, otoczonego mnóstwem nieprzyjaciół.

Zbigniew patrzył na wszystkich spokojną twarzą, wzrok jego tylko zdawał się mówić, niech się zbliży ten, który śmie mnie wyzwąć: nareszcie obrócił się do ojca.

— Najjaśniejszy panie, oddalam się ztąd, bo wszędzie widzę wrogów. Czekam na nich na murach mego zamku. Tam zobaczymy, komu Bóg przeznaczył zwycięstwo. Mieczysławie, tam ze mną będziesz mógł się spróbować. Wszeborze, nie masz po co wychodzić, bom przysiągł, że nigdy się ciebie nie dotknę, chyba że chcesz widzieć szlachetny zgon narzeczonego kiedyś twojej córki. Żegnam was panowie i rycerze. Kto się chce ze mną rozmówić, niech się pierwiej w dobrą zbroję i miecz niezłomny opatrzy. — To mówiąc, szedł Zbigniew po stopniach do tronu prowadzących na szeroką salę.

— On ją uwiódł, on ją hańbą okrył — zawołał Wszebor.

— Zatrzymajcie go! — krzyknął Mieczysław, darmo usiłujący opuścić rękę królewską.

— Śmierć Zbigniewowi!

— Długie życie księciu Zbigniewowi!

— Nie puszczajcie go!

— Kto go zatrzyma, mnie z tego zda sprawę! — wołało rycerstwo na dwa podzielone stronnictwa.

Poszedł syn Władysława powolnym krokiem wśród dwóch rzędów rozstępujących się przed nim panów i szlachty.

Miecze dobyte, podniesione sztylety, zatrzymywały się w powietrzu za zbliżeniem się jego. Nikt nie śmiał przystąpić, wszyscy zdziwieni bohaterską męża postawą w osłupieniu stali, a Zbigniew bez pośpiechu z powagą przybliżał się do drzwi sali, odpowiadając na krzyki to przyjaznym, to pogardliwym uśmiechem. Mając wychodzić, obrócił się raz jeszcze i ujrzał przy sobie pana z Gulczewa.

— Najjaśniejszy książę, w trudnem jesteś położeniu, wszyscy moi ludzie do ciebie należą, jeśli za poniesione koszta odstąpisz mi zamek w...

— Precz mi z taką usłużnością! — krzyknął Zbigniew i odepchnął podłego Skarbimira. Potem raz jeszcze rzucił wzrokiem na całe zgromadzenie, przez chwilę jeszcze patrzył na błyszczące otaczających go oręża, przez

chwile jeszcze przysłuchiwał się ich wrzaskom. Nareszcie — żegnam was — dodał — i zapraszam na biesiadę, gdzie wino krwi strumienie, a potrawy trupy zastąpią. — Po tych słowach, gardząc długim usprawiedliwieniem się i oznajmieniem, że Hannę pojął za żonę, wyszedł z radością w sercu, ciesząc się, że wkrótce z wień swego zamku upokorzy nieprzyjaciół i niecierpliwemu Mieczysławowi śmiercią się odplaci. Tymczasem wrzawa i największe powstało zamieszanie. Jedni drugich wyzywali. Krzyki nie ustawały, choć już Wszebor i Sieciech prosili o uspokojenie się burzliwej szlachty. Już nawet dawał się słyszeć szczeł orężów uderzonych o siebie. Dopiero teraz król Władysław puścił synowca, który natychmiast roztrącając otaczających, wybiegł z sali i bez zbroi i szyszaka, z mieczem dobytym rzucił się w pogoń za Zbigniewem. Ale Wszebor poszedł za nim i zatrzymał zapął młodzieńcy roztropną radą.

— Książę, gdzie lecisz bez pancerza i hełmu? Zbigniew już zapewne bezpieczny w swoich murach.

— Prawda — odparł Mieczysław. — Ach, gdyby nie mój stryj, gdyby nie to ściśnienie ręki konającego prawie brata mego ojca, Ach! ale zato dzisiaj jeszcze obleżemy jego zamek. Władysław da nam posiłki.

— Na własnego syna? — rzekł Wszebor. — Książę, znać, że nie masz jeszcze dzieci.

— To sam bez nikogo rozwalę żelaznym toporem bramę do jego jaskiń, wydrę mu życie z piersi, wydrę z rąk jego Hannę.

— Ale nie beze mnie — odparł Wszebor. — Teraz już pewni jesteśmy. Dotąd nie chciałem się stać wojny domowej przyczyną, ale kiedy jedyna nadzieja w orężu... Ale wróćmy, mości książę, do króla.

Za wejściem do sali z trudnością im przyszło przecisnąć się przez tłumy rycerstwa. Setne błyszczały miecze i straszne groźby odbijały się o wklęsłe sklepienia.

Szlachta przeczuwając wojnę, na dwie strony się już przedzieliła. Jedna Zbigniewa wielkość i czyny w tłumnych głosiła wrzaskach, druga z uniesieniem witała Wszebora

i księcia Mieczysława. Najwięcej sędziwych, w bojach wywiczonych rycerzy ujmowało się za potomkiem Bolesława Śmiałego, i przypominając głośno dzielność i hojność walecznego ojca, najpochlebniejsze sypała pochwały synowi, kiedy znowu młodzież lubiąca łupiestwa i gwałty wyносиła pod niebiosa Zbigniewa i bohaterskie jego męstwo. Z trudnością Sieciech wojewoda krakowski mógł podnieść głos wśród tej wrzawy, a dopiero kiedy biskup Stefan zabrał się do mówienia, ucichło zgromadzenie, opadły uzbrojone ręce i schylone głowy dowiodły uszanowania dla poważnego sługi Boga.

— Chrześcijanie i Polacy, czyż dowodzicie uszanowania dla monarchy zesłanego od niebios! Widzicie go zbladłym, osłabionym na siłach, a ten widok stroskanego ojca przestępstwami syna, nie wzrusza zatwardziałych serc waszych. Przestańcie nieprzystojnych krzyków i w milczeniu posłuchajcie woli królewskiej, bo władza królów daną im jest od Boga, a obrażając władzę najwyższą na ziemi, obrażacie tem samym najwyższą w niebie. Uciszcie się więc, schowajcie oręż, bo nie powinniście ich wydobywać, jak za rozkazem panującego wam króla lub świętego Kościoła.

Te słowa wróciły spokojność i milczenie głucho, milczenie podobne do cichości niebios przed burzą i rykiem pioruna. Wtenczas odwrócił się Stefan i zbliżył do króla.

— Dokończ — rzekł — zaczętego dzieła i dopełnij świętego przyrzeczenia. Wszebor z Ciechanowa wzywa cię przeze mnie, byś rozkazał wojewodzie krakowskiemu, jakieś to dawniej miłościwy królu obiecał, dać mu pomoc w zbrojnych ludziach i rynsztunkach wojennych.

Władysław słabym odpowiedział głosem:

— Róbcie co chcecie; bierzcie, oddawajcie, walczcie, zawierajcie pokój, ale nie zmuszajcie ojca, by powstawał na kości swoich kości i wnętrzości swoich wnętrzości.

— Królu — zawołał nieubłagany biskup — przed sprawiedliwością ojca narodu polskiego, znika syn własny, a zostaje zbrodniarz. Nie odrzucaj zesłanego kieli-

cha goryczy. Znieś, jak na chrześcianina przystoi, smutek za karę grzechów swoich. Spełń obowiązek monarchy, a zato zbawienie czeka cię w wieczności. — A widząc, że Władysław Herman niewzruszony zabierał się do odejścia, — zbawienie — dodał — lub wieczna zguba! Obie-
 raj królu, zaklinam cię na błogosławieństwo nieba i Ko-
 ściola, wyratuj duszę dopóki czas jeszcze! Zbawienie lub
 r'kło!

Te straszne wyrazy przeszły bojaźnią słabe serce Władysława, przywołał Sieciecha, i zaledwie słyszanemi wyrzekł wyrazy:

— Wojewodo! weź straż moję, wiesz co robić, wiesz, rozumiesz mnie; bo nie mogę wymówić tego straszego rozkazu. Nie zabijaj go, bo zginę!

— Miłościwy panie i królu mój — odparł wzru-
 szony tym widokiem Sieciech — nie mnie nie przymusi
 do walczenia z twoim synem, dopóki nie wyrzecziesz roz-
 kazu; gotów jestem go nawet bronić jeśli żądasz; — ci-
 szej dodał — książę Mieczysław dziś jeszcze legnie pod
 mojami ciosy.

— Nie, nie chcę — zawołał przerażony monarcha —
 rób co ci biskup rozkaże.

— Czym u ciebie miłościwy królu i panie mój —
 odparł Sieciech — czy u biskupa wojewodą krakowskim?

— Sieciechu — zawołał głos cichy — wyznacz go-
 dzinę i miejsce, a dzisiaj jeszcze spotkam się z tobą, jeśli
 zechcesz się połączyć z Wszeborem i dać mi słowo, że
 jeśli zginę, nie złożysz oręża, dopóki Hanny nie uwolnisz,
 bo jej szczęście nad własne życie przekładam.

Odwrocił się wojewoda i ujrzał za sobą Mieczysława. Szlachetność księcia wzruszyła serce Sieciecha, który choć dumny bez granic, umiał jednak cenić piękne uczucia i bohaterskie poświęcenie się.

— Temi słowy — odparł — zmieniłeś mnie książę
 zupełnie. Odtąd twoim jestem przyjacielem. Pójdę z tobą
 dobywać zamku śmiałego Zbigniewa. Ale nie sądź bym
 to czynił dla ślepego posłuszeństwa, bo nikogo niema na
 świecie, któryby przymusił Sieciecha do wydobycia miecza,

kiedy go chce mieć w pochwie, lub do schowania, kiedy go chce mieć dobytym, bo chwilę przedtęm mówiłem królowi, że mam gotów zamordować ciebie. Ale czynię to z własnej woli, uwielbiając szlachetność i wspaniałość twego serca.

Odpowiedział na te słowa Mieczysław ściśnięciem ręki Sieciecha.

— Zbawienie lub piekło! powtarzam raz jeszcze i ostatni — zawołał przekonany Stefan, że jest jego obowiązkiem czuwać nad wykonaniem surowej sprawiedliwości.

Usłyszawszy tę groźbę, powstał król z trudnością.

— Sieciechu! — zawołał — rozkazujemy ci pomagać we wszystkim Wszeborowi z Ciechanowa. Panowie tu zwołani, wierni nasi poddani tu zgromadzeni, skończyły się na nasze obrady.

— Synowcze! — dodał znów opadając na siłach — oszczędzaj Zbigniewa, przysiąż mi, że...

— Przysięgam, że go zdradą nie zabiję, królowi i panie mój — przerwał syn Bolesława Śmiałego.

— Więcej żądać nie mogę, niepodobna — rzekł król konającym głosem. — Ojczyźnie niebieski, daruj Zbigniewowi, daj mu długie życie dla upamiętania się i odpokutowania za grzechy. Boże! widziałeś moje poświęcenia dla ciebie! Nie karz nieszczęśliwego zgonem syna!

ROZDZIAŁ VII.

Bezpieczny tarczą hasła, zginę lub zwyciężę,
Na żelazie oparci spoczywają męże.
Noc cichość na uśpioną rozlała naturę,
Mnie tylko, sen wspomnienie przerywa ponure.

*Tymowski. Dumanie żołnierza polskiego
w Hiszpanii.*

Przywilejem pisarzom powieści właściwym, musimy znów zmienić scenę naszych działań, i z sali naradnej przenieść się do zamku Zbigniewa, który teraz wcale inny wystawiał widok od tego, w którym go pierwszy raz przedstawiliśmy czytelnikom naszym: napelniały go bowiem hufce zbrojne, składające straż i wojsko Zbigniewa, które ściągnął z rozmaitych swoich zamków i włości. Gotowy zawsze do napaści lub odporu, ciągle utrzymywał po swoich dobrach żołnierzy poświęconych sobie. Męstwo dzikie, najczęściej przechodzące w okrucieństwo i przywiązanie do wodza, jedynemi ich przymiotami były. Zresztą chęć grabieży i łupiestwa, wszystkie u nich tamowała uczucia. Zbrodnia jakakolwiek dla takich ludzi małą była rzeczą, pożary i mordy najpiękniejszym widokiem, a przyszłe nieszczęścia i klęski najmilszą nadzieją. Umiał ich trzymać w porządku Zbigniew i do woli mógł rozpuszczać lub skracać ich namiętności.

Tak wielkiej nad nimi nabył przewagi, że na głos jego drżeli, że na skinienie ręki, uciszali tłumne gwary i z uszanowaniem słuchając woli księcia, schylali głowy, które wkrótce wśród bojów podnieść mieli. Przy pomocy Mestwina urządzał ich teraz Zbigniew, rozstawiał po murach i wieżach. Każdemu obiecywał nagrodę, zachęcał do

waleczności, i groził karą w przypadku nieposłuszeństwa. Wszyscy należycie uzbrojeni w pałasze, łuki, tarcze i topory, z jednakowemi szyszakami i pancerzami, stanęli na swoich miejscach niewzruszeni, czekając chwili, w której zabrzmi trąba, wzywająca ich do walki, a w każdego oku znać było pragnienie krwi i mordów.

Gierda, już nam znajomy, wielkie miał między nimi znaczenie i największą łaskę u księcia, bo serce jego nigdy nie zadrżało przed nikim, bo ręka jego nigdy się jeszcze nie cofnęła, kiedy szło o wykonanie zabójstwa. Przechadzał się teraz szerokim krokiem po murze i patrzył na nadciągnięcie wojska nieprzyjaciół.

Długim snuły się rzędem bitne Sieciecha szeregi, zpośród których wznosiła się chorągiew królewska. Dalej Wszebor z swoimi postępował ludźmi a obok niego na białym koniu w błyszczącej zbroi odbitemi słońca zachodzącego promieniami jechał książę Mieczysław. W mgnieniu oka podnosiły się na polu namioty dla żołnierzy i wozów. Obszerna bowiem równina otaczała z jednej strony zamek Zbigniewa, z drugiej płynęła Wisła. Kilka chat rozsypanych po polu należało jeszcze do Płocka, którego najładniejsze ulice otaczały zamek królewski i katedralny kościół, znacznie oddalony od zamku, ku którego oblężeniu zabierały się teraz liczne nieprzyjaciół roty. Na samym końcu przybył Skarbimir z Gulczewa z wielkim orszakiem, dowodzącym uzbrojeniem i ubiorem, skapstwo pana, wielu bowiem z jego ludzi nie miało nawet pancerzy, a jeden tylko Bardan nosił stalowy szyszak, wszyscy inni skórzane mieli czapki. Skarbimir nie myślał sam dowodzić swoim ludzom, bo jego ręka, skora do liczenia pieniędzy, niezdatną była do oręża, kazał jednak wystawić swój namiot przy namiotach Wszebora, Sieciecha i księcia Mieczysława.

Tymczasem Zbigniew ukończywszy swoje rozporządzenia i przewidując, że dopiero nazajutrz rozpocznie się walka, wyszedł na wysoką wieżę i w milczeniu poglądał na obóz rozwijający się przed oczyma. Pod jego stopami wszystko już ucichło, rozstawieni po basztach żołnierze z bronią w ręku czekali spokojnie na hasła do bitwy,

tylko czasami słyszany był turkot wozów obładowanych żywnością które przez Mestwina sprowadzone z miasta, gromadziły się przed spichrzem i piwnicami księcia, ale wkrótce i ten łoskot się uciszył.

Namioty zaczynały już mieszać się w zmroku, cho-
ragwie i znaki na nich zatknięte w różnofarbnych po-
wiewały fałdach, nad wszystkiemi wznosił się sztandar
Mieczysława z książęcą koroną, niżej trochę widziano
znany topór Sieciecha. Krzyki i gwar żołnierzy niesiony
na skrzydłach zrywającej się burzy dochodził do uszu
Zbigniewa, jak gdyby wyzwanie do boju. Co chwila prze-
suwały się na równinie trudne już do rozeznania to meże,
to konie, tam błyszczała kopia przy obozowem ognisku,
to znów stalowa migiała się tarcza. Wodzowie dawali roz-
kazy do jutrzejszej walki, i powoli jeden za drugim do
swego wchodził namiotu, a podczas tego giermkowie sie-
dząc na murawie czyścili przy ogniu zbroje i oręże swo-
ich panów; można było uważać, jak stopniowo strudzeni
schylając głowy na piersi, z początku chcieli walczyć ze
snem na powiekach ciężącym, po chwili znów zabierali się
do pracy, ale zwolna z ich ręki wypadał świetny helm
lub ciężki pałasz, patrzyli jeszcze przez niejakiś czas nie-
wzruszeni na broń leżącą, a potem sami przy niej rozcią-
gnięci na ziemi zapominali o bojach i powinności; niektó-
rzy jednak nie opuszczając swojej roboty, układali w po-
rządku rycerzy swoich zbroje. Przy końcu zaś obozu, przy
każdym wodza namiocie stały czujne czaty, a krzyk prze-
ciągly, którym dowodzili pilności, jeden już teraz przery-
wał milczenie.

Ten krzyk mieszał się do świstu coraz bardziej
wzrastającego wichru. Czarne chmury pozazdrościły ziemi
srebrzystego światła księżyca i zasępiły niebo. Smutna
i zbrodni sprzyjająca ciemność pochłonięła cały obóz. Ga-
snące tylko ogniska, czasem za przelatującym wiatrem,
znów w czerwonych płomieniach wzbijały się w górę,
oświecając pobliskie namioty, ale wkrótce już konające,
ostatnim promieniem żegnały się ze zbrojami leżącemi
naokoło, i krwawem je oblewały światłem, jak gdyby prze-
powiednią mordów i rzezi nastąpić mających.

Poglądał na to Zbigniew z spokojnem sercem, bo zaufany w własne męstwo i dzielność nieraz doświadczonych towarzyszy, żadnego nie obawiał się niebezpieczeństwa. Ale kiedy wspomniiał na ojca, srogie uczuł boleści; przekonał się bowiem o ile Władysław go kochał, myśl, że może w tej chwili w srogiej niespokojności gorzkie łzy leje, rozrzewniła syna, i książę usiadł na szerokim kamieniu pogrążony w zadumaniu i smutku. Dostyć długo pozostał niewzruszony sam z swojemi myślami. A tymczasem burza wzmagała się coraz więcej.

Wiatr dotąd czasami tylko wiejący, przybrał siły i wznosząc się ponad dumne wieże, wirem swoim porywał liście i kurzawę. Ogromne chmury na jego skrzydłach przyniesione z hukiem ścierać się zaczęły, a blade błyskawice chwilowo ziemię oświecały. To wzburzenie przyrodzenia, ten zamęt zgadzał się z burzą serca Zbigniewa. Z pewnym rodzajem uniesienia i przyjemności przypatrywał się temu obrazowi.

Ciemność go otaczająca, świsty wiatru przedzierającego się przez puste zamku wrytarze, huk odległego piorunu, przejmowały jego duszę, to smutkiem, to wzniosłym zapalem. Wyobrażał sobie, że sam na tej ziemi walczy z siłami natury, i nie ulega ich zapędowi wszystko przewyciężającym. Z okiem w niebo wlepionem, z założonemi na piersiach rękoma, uragał z usiłowań wichru wstrząsającego murami, na których dumnie, jak gdyby pan przyrodzenia, przypatrywał się jego niemocy. Śmiało myślał, wzywał wszystkie świata siły, i gdyby w tej chwili ozwała się trąba anioła ostatniego sądu, zapewnieby jego serce nie zdrząło. Ale nareszcie słodsze uczucia zstąpiły w jego duszę, miłość potężnym ozwała się głosem, a obraz Hanny której nie odwiedził jeszcze od swego powrotu, całkiem umysł mu zajął. Obrócił się więc chcąc iść do ukochanej żony, ale wtem ujrzał stojącego za sobą męża wysokiej postawy; nie mógł go z początku rozeznąć i silnie zapytał:

— Kto jesteś? czego chcesz?

— Dziwno żeś mnie nie poznał mości książę — odparł Mestwin ze zwyczajnym uśmiechem. — Głębokość

musiał dumać, kiedyś o kilka kroków nie mógł rozeznąć przyjaciela.

— Prawda że głęboko dumał i nie myślałem, że przyjdiesz śledzić moje kroki i najskrytsze duszy uczucia.

— Im to częściej czynię — odparł rycerz niemiecki — tem lepiej uczę się poznawać ludzi, a trzeba mi ich znać, trzeba mi umieć odkrywać najmniejsze wzruszenia i serca zakątki, żeby wiedzieć komu rękę mam podać a kogo odrzucić; ale pomimo nabytego w tem doświadczenia, darmo starałem się domyślić przyczyny, która przynagliła ciebie do odkrycia ojcu i wszystkim tego, co najbardziej przed kilkoma dniami chciałeś mieć ukrytem.

— Kiedym cię przyjmował do służby mojej, nie pamiętam, rycerzu, żeby zaszła jaka między nami ugoda odkrywania uczuć serca. Tyś tylko przyobiecał mi być wiernym i dopomagać orężem i radą, ja zaś łask ci moich i względów nie odmówiłem.

— Zapewnie dobrą masz pamięć, panie — odparł urażony Mestwin — ale nie przypominam sobie, żebym się obowiązał na twoje skinienie porywać dziewicę, zabijać rycerzy, miałem cię tylko w boju bronić a w domu wypełniać nie zbrodnie, ale rozkazy zgadzające się z chrześcijańskim sumieniem, — a tu głośno się rozśmiał — nie wynajdować coraz nowsze zdrady, ale wiernie i cnotliwie rozrządzać twoją strażą i majątkiem.

— Za śmiało często nam odpowiadasz, rycerzu, a chociaż dobrze ci w pamięci stoją warunki naszej ugody, zdaje się, żeś zapomniał z kim ją zawarłeś.

— Z tym — przerwał żywo Mestwin — któremu poświęciłem się z duszą i ciałem, dla którego naraziłem nieraz i sławę i życie, któremu dotąd wiernym byłem jak przyjaciel przyjacielowi, z tym, który zawsze wspomina o swoich zaszczytach, a nigdy o moich usługach, który sprowadza na siebie nieszczęścia, nie słuchając dobrej rady, a potem gniewem odstręcza najprzywiązanego do siebie człowieka. Jeśli tak dalej będzie, łatwo mi przyjdzie osiodłać konia i opuścić zamek księcia Zbigniewa.

— Mestwinie, przebacz drogi przyjacielu, bo teraz tyle ciosów ugodziło w moje serce.

— Mogłeś ich uniknąć...

— Nie chciałem i nie potrzebowałem ich unikać — odparł dumnie Zbigniew. — Z początku sądziłem, że Mieczysław i Wszebor po daremnej wyprawie uspokoją się a wtenczas zaczekałbym z ogłoszeniem mojego ślubu dogodniejszej pory; ale kiedy ujrzałem wszystkich oczy zwrócone na mnie, kiedy się przekonałem, że domysły wkrótce w rzeczywistość mogące się zamienić, mnie za sprawcę tego czynu ogłaszały, postanowiłem przyznając się do niego, upokorzyć nieprzyjaciół, którzyby za kilka dni powiedzieli, że ich się przeląkł, a wołałbym śmierć i wieczną zagubę od hańby. Ja, który tyle razy mieczem sobie drogę wśród wrogów torowałem, ja który na trupach pośród rzezi z spokojną twarzą na zgon szlachetny czekałem, ja teraz jak słabe dziecko miałem przerazić się widokiem kilku panów radnych i zgrzybiałego biskupa. Daleki od tego, ogłosiłem, że porwałem Hannę, o ślubie nie wspominałem i słowa, bo pierwiej chcę ich pobić i zwyciężyć, i po ich ciałach zawieść moją żonę do ojcowskiego zamku. Niech poznają szablę Zbigniewa, niech zadrżą nikczemnicy przed tym, na którego śmieli wznieść krzyki i obelżywe słowa. Tak osiągnąłem cel życzeń i przyspieszyłem szczęście moje. Nie przeciągiem czasu i trwożliwym zwlekaniem, ale mieczem poniżę ich dumę, a depcąc po hardych karkach, pokażę światu i męstwo moje i wyższość moją. Takie powody nakłaniały mnie do nieroztropnego napozór czynu. Ani słowa więcej, Mestwinie, bo nie cofniesz tego co się stało, ani przekonasz Zbigniewa, że lepiej było w nędznym milczeniu i poniżającej spokojności, tajnemi drogi pracować nad zwycięstwem, niż wśród szcęką broni i srogich bojów, nabywać chwały, równać się sławą z dzielnymi naddziady. Cała moja nadzieja spoczywa w tej szabli, a jeśli jeszcze wyrok niebios nie padł na moją głowę, zabłyśnie ona i zdruzgoce wrogów. Zostaw mnie, idę do Hanny, po długich dnia tego trudach potrzeba mi szukać osłody w jej miłości.

— A ja tu zostanę, bo mogę ztąd śledzić

wszystkie ich obroty, może dzisiaj w nocy zechcą nas napaść.

— Zaręczam ci że nie, bo choć szalony Mieczysław, bitny Sieciech, roztropny Wszebor i hojny Skarbimir, zagrażają mi swoją nienawiścią, nie sądzę by chcieli w nocy tak ciemnej odważać się na niepewne spotkanie; możesz pójść do swojej komnaty.

— Nie, zostanę tutaj; lubię czasem patrzeć na noc pochmurną, i słysząc ryk burzy przyzwyczajając mój umysł do piekła, które podług świętej naszej wiary, zapewnie kiedyś prawo do mnie rościć będzie.

— Jeśli tak — rzekł Zbigniew, — to nie przeszkadzam — i poszedł do żony.

Hanna z Ciechanowa przez cały dzień nie widziała męża, a jednak dowiedziała się przez Katarzynę, córkę Giedy, która zwyczajnie dnie całe z nią przepędzała, i starając się przerwać smutek pani, usłyszane powtarzała wieści o wypadkach dnia tego; wielu bowiem rycerzy przytomnych na zgromadzeniu w sali tronowej przybyło do zamku Zbigniewa i bronić go przysięgło, od nich więc słyszała Katarzyna wszystkie szczegóły i śpiesznie opowiedziała je Hannie, sądząc, że jej tym sposobom przyjemność uczyni, a w rzeczy samej pograżyło to córkę Wszebora w smutek najgłębszy. Gniew ojca, rozpacz Mieczysława, boje mające się zacząć, niebezpieczeństwa, na które wystawił się Zbigniew, wszystko to razem stało jej na myśli, a w tem wszystkiem jedyną tylko widziała przyczynę, to jest siebie i zawsze siebie; ale kiedy Zbigniew wróciwszy ze zgromadzenia, nie przyszedł ją zwyczajem swoim powitać, kiedy upłynęły liczne godziny, a mąż się nie ukazał; w najsroźszej męce martwa i zbladła klęcząc w kaplicy, błagała niebios o przebaczenie winy i odwrócenie klęski. Katarzyna widząc smutek pani, opowiadała wszystkie przygotowania do odporu, powtarzała słowa ojca, i znów wracając do zgromadzenia mówiła: że książę Zbigniew uniknął grożącej śmierci, stawiając nieugięte męstwo i niewzruszoną spokojność przeciw wściekłości wrogów; nareszcie zakończyła dowodząc, że wszystko jest rzetelną prawdą słyszaną od kilku rycerzy; a osobliwie od Hen-

ryka giermka księcia Mieczysława, z którym się widziała chwilą przed rozkazem danym od Zbigniewa zawarcia bramy zamkowej. Wśród takich rozmów i ciągłego oczekiwania, przepędziła Hanna z Ciechanowa dzień cały, aż wieczór nie nadszedł, słyszała słabo do niej dochodzące krzyki żołnierzy, słyszała oddalone kroki raz zbliżające się, znów oddalające się od jej ukrytych komnat. Za każdym poruszeniem usłyszaniem biło jej serce żywiej, bo miała nadzieję, że to może Zbigniew przybywa, a choć tysiąc razy omyłona, zawsze wpadała w błąd ten sam i nadzieję też samą.

Nareszcie kiedy już noc ciemna zastąpiła jasność dnia świetnego, i kiedy zabłysła lampa wieczorna, poznała zdaleka jeszcze Hanna kroki męża, i drżąca zrazem i uniesiona radością, poszła naprzeciw niemu i rzuciła się w objęcia Zbigniewa. Przez chwilę zapomnieli o wszystkim, i prawdziwe szczęście zstąpiło w ich serca, i choć tak krótko trwało, nagrodziło długie cierpienia i smutki.

— Zbigniewie, czyż prawda com słyszała? Książę Mieczysław i mój ojciec oblegają ten zamek.

— I cóż z tego — odparł Zbigniew, — kiedy czuwam nad tobą, i tysiąc wiernych mi mieczy tych murów broni.

— Ale mężu mój, oni Polacy a ja córka Wszebora...

— Tyś żona Zbigniewa — przerwał książę z zapalem — a przed tem imieniem wszystko upada i niknie; przysiągłem ci wiarę, dochowam ją do grobu, i dla ciebie teraz będę walczył i zwyciężał.

— Ale Zbigniewie, jakaż chęć ich uniosła, jakiż dziki zapal? że dowiedziawszy się z twoich ust, żeś mnie pojął za żonę, chcą mnie wyrwać z rąk męża. Czyż nie wierzą twojemu słowu?

— Któż ci mówił, że wiedzą żeś moja żona? Nie, Zbigniew nie myślał usprawiedliwiać się przed nimi; niegodnem to jego było: nie żebrząc przebaczenia, ale nakładając warunki, zwycięstwem nauczę ich mojej woli, pokażę com uczynił, kiedy u nóg moich schyleni prosię

będą o pokój, wezmę cię za rękę i całą Polskę ukażę. Ale przedtem nikt się nie dowie, że Hanna z Ciechanowa zawarła ze mną małżeńskie śluby. Niech się wysilają, niech padają pod wieżami mego zamku, a kiedy z potężnego wojska w małą przemienieni garstkę poznają własną słabość, wtenczas się dowiedzą, że próżne były ich zabiegi, że darmo poświęcali życie na wyrwanie z rąk moich uwiedzionej, jak mówią, dziewicy. Widzę już ich żal i rozpacz, patrzę już na ich zbladłe i posępne twarze. Poznacie, co to jest targnąć się na Zbigniewa.

Podczas tej mowy Hanna niewzruszona stała, z początku kilka łez spłynęło po anielskich licach, ale przy końcu nabrała więcej siły i rzekła do męża:

— Niech wola Boża dzieje się na ziemi, odbieram karę grzechów i nieposłuszeństwa. Człowiek, któremu poświęciłam wszystko, mnie zhańbił, kiedy jednym słowem mógł swoją i żony sławę ocalić, wołał jednak uwiedziony widokiem niepewnej i niegodnej chrześcianina zemsty, pokryć żalobą i goryczą życie swojej Hanny. Ale przebaczam ci, Zbigniewie — dodała głosem rozrzewnienia, a w jej oczach ogień niebieski zajaśniał, — przebaczam ci i korzę się przed wolą Boga!

Zmarszczył brwi książę, i pozostał niewzruszony na miejscu. Ale po chwili rzekła Hanna:

— Choć niesława jest najgorszą życia trucizną, zniosłabym ją dla ciebie, gdyby mój ojciec nie myślał, że jego córka mogła opuścić cnotę i zostać kochanką księcia Zbigniewa.

— Moja miła — zawołał Zbigniew z nadzwyczajnym zapałem, — wszystkobyś poświęciła dla mnie, znam twoją miłość, wiem, że gdybym był chciał, zapomniałabyś o ojcu rzucając się w objęcia miłości. Nie zapieraj się Hanno. Wszystkobyś uczyniła dla Zbigniewa, oddawna poznałem że moje słowa, że twarz moja pociąg mają zwodniczy, ileż to dziewic nadobnych cnotę dla mnie porzuciło, ileż to razy jednym słowem, jedynem spojrzeniem pokonałem wyrzuty sumienia i przyciągnąłem niewinność na bijące me serce. Tak Hanno, łatwoby mi przyszło uwieść

ciebie i twą cnotę w zbrodnię zamienić, a teraz śmieję mi wyrzucać, żeś cię zhańbił, zniesławił; kiedy mogąc cię rzucić w przepaść, a sam zostać u brzegu, wołałem losy nasze połączyć. Kiedym tyle dla ciebie uczynił, możesz pozwolić, byś przez kilka dni pogrążona w ciemności, wyszła z niej świetniejszą otoczona sławą męża. Hanno droga, Hanno! wyrzuty twoje niesprawiedliwemi były.

— Nie chcę już wspominać, Zbigniewie, — odparła. -- Wyznawam ci szczerze, że dziwnymi dowodami nie przekonałeś mego rozumu, ale jedno twoje słowo już uspokoiło moje serce, a choć ojciec może teraz córkę przeklina, ona dochowując przysięgi, ciebie kochać i tobie się poświęcać będzie.

— Porzuć więc smutki, żono moja, rozjaśnij czoło przeznaczone do radości, wstrzymaj łzy, któreby nigdy z twoich oczu płynąć nie powinny. Wkrótce piękniejsze zabłysną nam chwile, chwała moim stanie się udziałem, a wśród całej Lechii jeden tylko bohater wzniesie swoją głowę nad zgromionymi wrogami.

ROZDZIAŁ VIII.

Już w czystych błoniach tej nowej Farsali
Stały szyki braterskie,
Gotowe sobie ostrzem krwawej stali
Zadawać ciosy morderskie.

Śpiewy Historyczne.

Za pierwszym ukazaniem się wschodzącego słońca, na niebie złotemi obsypanem chmurami, dał się słyszeć głos księcia Mieczysława, zwołujący do broni wiernych towarzyszków. W jaśniejszej zbroi obiegał na koniu hufce zbrojnych, zachęcając wszystkich i nagląc, z całym zapalem młodego wieku i wrzących namiętności przyspieszał uzbrojenie żołnierzy i dawał rozkazy. To z Sieciechem, to z Wszeborzem rozmawiał.

— Do broni Bardanie — krzyknął, widząc ociągającego się zastępcę Skarbimira — do broni; jeśli twój pan niezdatny do bitwy, ty przynajmniej popraw jego sławę, wojewodo krakowski, każ swoim ludziom się uszykować. Wszeborze, panie Ciechanowa, niech kilku twoich żołnierzy przysposobi drabiny do murów, bo, na Boga, zdobędziemy jego zamek, odbierzemy Hannę. Bardanie, cóż to znaczy? czy twoi żołnierze zwyczajni walczyć w czapkach? czyż ich głowy tak twarde, że zdolne stal i żelazo zastąpić?

— Najjaśniejszy książę — odparł Bardan, — pan nasz Skarbimir z Gulczewa dowódcą mnie mianował mówiąc: słuchaj Bardanie, jeśli dobrze się sprawisz, to ci nową dam zbroję, choć taki jestem ubogi, bo mi Pan Bóg odmówił dostatków.

— Dajże pokój — przerwał Mieczysław, — ale nim pan twój da ci nową zbroję, możesz tysiąc razy zginąć w tym dziurawym pancerzu i pogiętym szyszaku. Pójdź do mojego giermka Henryka, da ci całkowitą zbroję, pamiętaj tylko odważnie się potykać.

Schylił się prawie do ziemi Bardan, dziękując księciu. Mieczysław go opuścił i wrócił do Sieciecha szykującego swoich ludzi z Wszeborem.

— Zwyciężymy, panie wojewodo — zawołał, — bo Bóg zawsze dobrej błogosławi sprawie. Coś mi powiada w głębi duszy, że jeszcze dzisiaj ten zamek przed nami bramy otworzy.

— Wątpię o tem — odpowiedział Sieciech, głaszcząc sobie brodę, — bo choć Zbigniew jest zdrajcą, mordercą, słowem zbrodniarzem, nie słabe serce bije mu pod zbroją, a potem ta brama wytrzyma mnogie razy, te mury oprą się taranom. Tyłu zbrojnych stoi po wałach i basztach, a w każdego rękę łuk spostrzegam i sędzę, że każdego oko niemylnie wysyła ciosy. Mestwin także zna się na sztuce wojennej, a nadewszystko nasz główny nieprzyjaciel książe Zbigniew dzielnie walczył w licznych potyczkach. Niejedno on już widział oblężenie, nieraz już i bronił i dobywał zamków. Niechże więc próżna cię nie ludzi nadzieja. Dzisiaj ani jutro, ani w tym tygodniu nie zdobędziemy tej warowni, jednak spodziewam się, że z przeciągiem czasu, za pomocą wytrwałości i męstwa, dostaniemy się do tych dumnych wież i przelamiemy te wysokie mury.

— Wszystkiego dokazać można z szablą w rękę — przerwał z żywością Mieczysław.

— Prawda, że wszystkiego — odpowiedział wojewoda — dlatego też Zbigniew nie tak prędko się nam podda. Zapewnie, Wszeborze, jednego ze mną jesteś zdania.

— Boli mnie — rzekł podnosząc głowę Wszebor, głosem głębokiego smutku, — że dla mojej córki tylu synów jednej ojczyzny walczyć będzie, że tylu poczciwych ludzi krew popłynie. Dopóki mogłem, starałem się

uniknąć wojny domowej, ale świadczę się Bogiem, że okoliczności zmusiły mnie do wzniesienia oręża na syna mego króla, do przynaglenia mego monarchy, żeby oddając mi sprawiedliwość, najświętsze, najmilsze wyrugował z serca uczucia. Nie możecie pojąć, jak to mnie martwi. Spędziwszy długie lata w usłudze ojczyzny, nauczyłem się walczyć z Rusinem, to z dzikim Prusakiem, to z nieuległym Czechem, ale trudno mi teraz przychodzi osłabłemu i steranemu pracą i wiekiem, dobywać miecza na Polaków i braei. Wolałbym upadek domu mego, zniszczenie majątków, śmierć samą. Ale córki opuścić nie mogę, sława jej droższą mi jest nad wszystko. Trzeba się potykać z nimi, ale matki i siostry moich przeciwników, na moim grobie łzy nie uronią, owszem będą miały prawo powiedzieć on zabił swoich braei.

— Nie troszcz się o to, panie Ciechanowa — krzyknął Sieciech — owszem lepiej kiedy czasem wojsko sobie wojnę przypomni, bo w ciągłej spokojności drętwieje i staje się podobnem do sokoła, któremu strzelec zadługo oczy kapturem zakrywa. Wierz mi, takie cząstkowe walki przynoszą pewną korzyść dla kraju, żołnierze, szlachta, rycerze, nawykają do miecza i sposobniejszymi się stają do odparcia zewnętrznych nieprzyjaciół, a potem szczerze ci wyznam, zem niezmiernie rad tej wojnie, czyli raczej temu oblężeniu, bo już moi ludzie gnuśnieć zaczęli. Teraz mają co robić, i daj Boże ci zato zdrowie, panie Ciechanowa — dodał Sieciech z uśmiechem, ściskając rękę smutnego starca. — Jaroszu z Kalinowy! — po chwili zawołał do człowieka wysokiego wzrostu i twarzy napiętnowanej szczerości wyrazem, stojącego przed szeregi — kiedy zaczniemy oblężenie, pamiętaj zawsze i ciągle ich napadać z lewej strony, blisko kaplicy przy brzegu Wisły, bo tam najslabsza ich strona, spraw się dobrze nie zważając na nic, z szabłą w ręku naprzód się posuwaj, za tobą pójda inni, a zawsze wołajcie: Król! Mieczysław! i Wszebor! jeśli zaś czasem moje będziesz mógł wsunąć imię, krzyknij i Sieciech!

— Na Boga, wodzu mój — odparł Jarosz — będąc całemi piersiami krzyczał, i całemi siłami rąbał pałaszem.

Ale wolałbym na otwartem potykać się polu, bo w tych przeklętych murach nie można dostrzedz wroga. Świśnie strzała z ręki ukrytej za kamieniem i już po człowieku; najlepiej kiedy widzę przeciwnika: przez chwilę, oko w oko spojieramy na siebie, a potem do oreża, tak to najlepiej, ale te baszty, niech je Pan Bóg piorunem zrzuci. Wypełnię zresztą twoje rozkazy i zobaczę, ile tych sów, na nas zpoza murów patrzących, dziś poszlę na cmentarz.

— Prawda — rzekł po chwili, jak gdyby zamyślony Sieciech — prawda, nie myślą wyjść na pole, niewzruszeni stoją zakryci warowniami, głowy im tylko wystają. W każdej strzelnicy dostrzegam łuk napięty i strzałę. Książę Mieczysławie! ginąć będziemy pod ich ciosami, kiedy tymczasem oni bezpieczni, w żart nasze usiłowania obróca. Na Boga! sądziłem że za naszym zbliżeniem się nie wytrzyma Zbigniew, że wypadnie na pole zetrzeć się z nami, ale ten szatan niemiecki, musiał tak roztropnie obronę urządzić. Wszeborze! książę! trzeba nam szyk zmienić. Ale co widzę, zbliża się do nas Skarbimir, bogaty i hojny właściciel Gulczewa. Zobaczycie jak z niego zażartują. Wszeborze, trzeba się trochę pocieszyć; książę! nie lepszego przed bitwą, nad żarty i śmiechy.

Po tych słowach zbliżył się do starego skąpca, i tak silnie ścisnął go za rękę, że wyraz boleści skrzywił usta Skarbimira.

— Najbogatszy z Polaków, najhojniejszy z panów, mam nadzieję, że nam dasz dzisiaj waleczności dowody. Dobrześ obeznany z kopią i mieczem, sztyletem i toporem, jak to głoszą wszystkie narody, z któremiś kiedykolwiek walczył, a choć lubisz trochę rabunek i zdobycz, zawsze ci to przepuszczają, przez wzgląd na nieugięte męstwo. Dzisiaj spodziewamy się, że dopomożesz nam dzielnie; cała nadzieja nasza jest w twoich skarbach i w twojej prawicy.

Poznał chytry Skarbimir zamiar wojownika, a oczy jego zaiskrzyły się wściekłością, bojaźń wkrótce potem jej miejsce zajęła, kiedy o skarbach swoich usłyszał, wreszcie

przytłumił gniew wewnętrzny i ze zwykłą uniżonością odpowiedział.

— Jakżebym chciał, żeby twoje słowa prawdą były, potężny wojewodo krakowski. Zapewniebym wtenczas wszystkie dostatki poświęcił tak świętej sprawie, ale na nieszczęście, a może i na szczęście, bo często bogactwa cnotę w zapomnienie podają, ubogi jestem, najuboższy ze wszystkich panów, a nazbierane pieniądze z łaski boskiej obracam na kościoły i ubogich, odmawiam sobie wszystkiego dla dawania jałmużny, co tylko mogłem uczynić, już dla was uczyniłem. Ludzi moich tu przywiodłem, sam się stawilem; choć nie mniemam, abym mógł wam wiele dopomóc własną osobą. Wiek i choroby wycieńczyły ostatek sił w mojem ciele.

— Ale gdzież tam, Skarbimirze, — przerwał mu Sieciech — wygładasz na młodego rycerza, przy moim boku dzisiaj się bić będziesz, zobaczymy kto z nas dzielniejszy, choć zawsze gotów jestem ustępować przed wslawionymi, a do tego skromnymi bohaterami. Więc zgoda, będziesz, panie Gulczewa, dziś walczyć przy mnie.

Nie mógł odmówić przerażony Skarbimir, bez wystawienia się na największą hańbę. Z ściśnionem więc sercem, z bladeścią na licach przystał na żądanie wojewody, obiecując mu zato w duszy skrytą nieubłaganą zemstę.

— Zdaje mi się — zawołał Mieczysław litując się nad starcem — że nie można tego wymagać od podskarbnika mego stryja i króla, kiedy chory, osłabły, znużony...

— Choćby z łoża śmierci — krzyknął Sieciech — prawy rycerz powstać powinien, kiedy go król lub przyjaciele wzywają. Więc naprzód, Skarbimirze, dzielnie się potykaj, bo jeśli mi zechcesz uciekać — dodał pocichu, schyliając się do ucha człowieka, którym pogardzał — sam ci pierwszy tym toporem głowę rozwałę. Jaroszu, stawaj na czele swojego oddziału. Wszeborze, wypada ci się oddalić do swoich ludzi. Książę Mieczysław niech będzie łaskaw to samo uczynić. Pan Gulczewa i Kościelca i kościola tam wystawionego, z nami zostanie.

— Ale jakież to hufiec do nas się zbliża od strony miast, — zawołał Mieczysław, który sokolim wzrokiem dostrzegł zdaleka na polu błyskanie stali i tuman kurzu.

— Może przyjaciele, może nieprzyjaciele — odpowiedział spokojnie Sieciech. — Na wszelki przypadek, stójcie w pogotowiu żołnierze, dobadźcie mieczy z pochew, strzał z koleczanów. Zdaje mi się, że niewielki orszak. Niech mi tylko kto powie, kto to jest — zawołał głośnie — czy nikt lepszych oczu nie ma od nas?

— Może król — rzekł Wszebor — przybywa przerywać boje.

— Do szatana z taką myślą — krzyknął wojewoda. — Gdybym był tego pewny, natychmiast szturmbym rozpoczął.

— To biskup Stefan! — zawołał młodzieniec w lekkiej zbroi i świetnym hełmie.

— Mylisz się, Henryku — przerwał książę Mieczysław.

— Książę i panie mój, jakem wierny tobie, tak prawdą jest, że biskup plocki do nas się zbliża, widzę przed nim jadącego kapłana z krzyżem świętym, z tyłu zaś straż jego przyboczną. Powtarzam, że to biskup Stefan.

— Chwała niech będzie tobie, o Boże — rzekł Wszebor, — możeś go natchnął, może przeszkodzi wojnie między Polakami.

— Żeby go Bóg był zabrał do chwały swojej — rzekł Sieciech do Jarosza, — nim taka myśl wpadła mu do głowy.

Po kilku chwilach wszyscy się przekonali, że giermek księcia Mieczysława mówi prawdę, bo za zbliżeniem się orszaku, doskonale już można było rozeznąć sędziwego Stefana jadącego na spokojnym koniu, księdza niosącego przed nim krucyfiks i rycerzy za nim w świetnych zbrojach postępujących, bo było zwyczajem w tych wiekach duchownych osób wysokiego dostojenstwa, żeby trzymali przy sobie ludzi zbrojnych i rycerzy. Ten widok różne sprawił wrażenia na różnych umysłach. Mieczysław

z niecierpliwością czekał przybycia leniwo jadącego biskupa, a nawet wyraz nieukontentowania malował się na jego twarzy; bo choć kochał ojczyznę i ze smutkiem patrzył na klęski ją rozdzierające, pragnął nadewszystko walki i wyrwania z rąk wroga narzeczonej.

Sieciech lubiący rozlew krwi i boje, zmarszczył brwi, domyślając się, że Stefan przychodzi z warunkami pokoju, bo uparty wojewoda i dumny z przyrodzenia, nie cierpiał by się kto mieszając w jego sprawy, przeszkadzał dokończeniu rozpoczętego dzieła, a wreszcie sława, którą sobie obiecywał z pokonania Zbigniewa, droższą mu była nad wszystkie korzyści kraju i współobywateli. Wszebor poświęcając własne pożytki szczęściu ojczyzny, miał nadzieję, że biskup spór załagodzi oddalając wojnę domową. Skarbimir cieszył się także, ale dla podniejszych powodów, myślał że może potrafi uniknąć walki, w której miał przed sobą dwie równie przykre ostateczności: strzały żołnierzy Zbigniewa, lub topór Sieciecha, gdyż wiedział, że wojewodą krakowski zwykł był podobnych dotrzymywać obietnic.

Tymczasem przybył Stefan i zsiadłszy z konia z przynależną powagą zbliżył się do wodzów, kiedy jego rycerze witali się ze znajomymi i przyjaciółmi.

— Przewielebny biskupie! — zabrał głos przed wszystkimi Sieciech — opuściłeś spokojne przybytki Pańskie dla przeniesienia się na pole, które wkrótce krew ludzka obleje; zapewnie chcesz nam dać święte twoje błogosławieństwo przed bitwą.

— Jeśli do niej przyjdzie — odpowiedział sędziwy kapłan — nie omieszkam tego uczynić. Ale teraz posłuchajcie mnie uważnie...

— Może chcesz nam zabronić sprawiedliwej zemsty — przerwał Mieczysław, uniesiony obrazem uwięzionej Hanny — ale choćby cię wszyscy usłuchali, jeden tu zostanie, i będę walczył, dopóki siebie i wroga pod gruzami tego zamku nie zagrzebię.

Synu Bolesława — rzekł Stefan — wstrzymaj gwałtowność, która twego ojca zgubiła, i posłuchaj słów

człowieka, którego obowiązkiem jest przywracać pokój i dzikie łagodzić zapędy. Słuchajcie mnie wszyscy, bo wszystko co wam ogłoszę, zgadza się z przepisami Boga, Kościoła i cnoty.

Po tych słowach zamilkł na chwilę Stefan i przywitał się z każdym wodzem.

— Czyby nie lepiej było pójść do jakiego namiotu, niż tu przed wszystkimi się wynurzać — rzekł Skarbimir.

— Wszyscy mogą słyszeć moje słowa — odparł biskup — bo nic złego w nich się nie mieści; na cóż dla niewinnej narady udawać się do namiotu, kiedy jak najprędzej nam ją odbyć potrzeba? alboż — dodał z uśmiechem — nie jesteśmy pod szerokim namiotem, rękami stwórcy rozbitym; a to świetne słońce czyż nie weselsze myśli pokoju i szczęścia w nasze wlewa serca, od ciemnych mieszkań ludzi, w których często odbywa się zbrodnia i kryje się obłuda? zaczynam więc moje przełożenia, i proszę o uwagę. Wczoraj kiedy szło o sprawiedliwość, zachęcałem króla, by ją wymierzył z całą uroczystością, jakiej wymagało zgromadzenie przedniejszych panów narodu. Stało się podług moich chęci i życzeń. Ale dzisiaj, widząc sposób oszczędzenia smutku i żalu dobremu panu, przybyłem was prosić, byście mi w swoim imieniu pozwolili udać się do Zbigniewa. Tam jako poseł i sługa boży na ziemi, wystawię mu ciężką niemocą złożonego ojca, ciężką klęską zasmuconą ojczyznę; przełożę mu wasze żądania, aby oddał córkę Wszeborowi z Ciechanowa, i przysiągł, że zachowała zupełną niewinność, bo mam nadzieję, że Bóg nie dozwolił, by syn naszego monarchy tak ciężką zbrodnią swoje sumienie obarczył. Ale nie myślcie — dodał, widząc zachmurzone czoło Mieczysława — bym przystał na warunki sławie lub czci waszej ujmę przynieść mogące, bo znam powinność rycerza i Polaka. Może zmiękcze skamieniałe jego serce wyliczaniem popelnionych zbrodni, i mam nadzieję, że tej ostatniej nie będzie chciał dodać do przeszłych. Wypełnię obowiązek, który sam na siebie wkładam, jak gdybym był waszym przyjacielem, obrońcą, powiernikiem, jak gdybym

jutro miał składać przed Panem świata rachunek z moich czynności. Nie obawiam się śmierci, a jeśli odważy się podnieść rękę na mnie, z Stanisławem razem błagać będziemy w niebiosach Boga, by odwrócił nieszczęścia i klęski od naszej ojczyzny, od Polski. — To mówiąc, wznosił oczy w górę, ogień nadludzki, jak gdyby promień przyszłej nieśmiertelnej chwały, oświecił twarz zmarszczkami okrytą, i zdawało się, że anioł pokoju zstąpił z nieba na uszczęśliwienie ziemi. — Skończyłem i sądzę, że będziecie woleli ukończyć tę sprawę, jak na cnotliwych ziomków przystoi, niż pluskać się w krwi współbraci, rozrywać przyjaźń bratnią, zapominać o uczuciach, w którychście wzrosli, i srożyć się na synów wspólnej matki.

Taką była powaga biskupa, i tak powszechnie dla niego uszanowanie, że nikt nie śmiał się jego słowom sprzeciwiać, chociaż Sieciech zawołał...

— Daremna praca!.. Zbigniew nikogo nie usłucha!..

— Do broni towarzysze! do broni! — krzyknął Jarosz z Kalinowy dla przypodobania się wodzowi.

— I ja pójdę z tobą do zamku, szanowny kapłanie — ozwał się Mieczysław — w tej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą lub przebrany wkradnę się do niej.

— Nie, młodzieńcze, poświęcam siebie dla was i ojczyzny, ale nie zezwolę na to, by książę Mieczysław narażał się na niebezpieczeństwa. Stefana inny biskup zastąpi, zgonu syna Bolesława nikt nie zastąpi, bo Zbigniew jest zbrodniarzem, a jego brat dzieckiem.

— Przeklęty starzec — pomyślał książę — i tej już nie mam nadziei. Wszystko ułoży, oddadzą Hannę, a Zbigniew przy życiu zostanie. Nie, na Boga, muszę się o niej czegoś dowiedzieć, muszę zabić wroga. Henryku! — zawołał.

— Pójdę do zamku — odparł młodzieniec, zgadujący pana swego chęci, dowiem się o Hannie z Ciechanowa, bo mam tam znajomych, może zginę, a w tym przypadku po zdobyciu zamku każesz moje ciało pochować, jeśli go do Wisły nie wrzucą, i siostrze mojej

powiedzieć, żem do ostatniej chwili wiernie i mężnie tobie służył.

Łza zabłysła w oku Mieczysława.

— Zostań się, dobry mój Henryku, zostań.

— Na Boga, nie zostanę książe i panie mój — i to mówiąc, odbiegł księcia. Tymczasem radzono kogoby posłać przed bramę zamkową, dla oznajmienia Zbigniewowi zamiaru Stefana.

— Nikt do tego zdatniejszym nie jest — rzekł Sieciech — od naszego szanownego Skarbimira, bo z rzadkiem męstwem umie łączyć rzadszą jeszcze roztropność.

— A więc, panie Gulczewa — ozwał się biskup — polecamy ci oświadczyć stojącym nad bramą zamkową, że Stefan, biskup płocki, żąda posłuchania u księcia Zbigniewa.

Poszedł chwiejąc się na nogach z bijącym od strachu sercem, zmuszony Skarbimir, ale za każdym krokiem wzmagala się bojaźń tak, że prawie bez duszy przybył do miejsca dosyć jeszcze dalekiego od bramy. Tu stanął i obtarłszy zimny pot ciekący z czoła, ledwo mógł wymówić kilka słów, które nie doszły uszu stojących na straży nieprzyjaciół.

— Bliżej — zawołał Sieciech, — bliżej przystap, potężny władco Kościelca, nie obawiaj się niczego, a potem nic to nie szkodzi, kiedy dla dobra ojczyzny strzała w sercu lub mózgu utkwi.

— Niech cię piekło pochłonie — rzekł słabo Skarbimir, słysząc dolatujące go jak piorun słowa Sieciecha. Zebrał ostatek sił, wsparł się na mieczu i postąpił dalej. Tu jak najprędzej mógł, spełnił poselstwo, a nie czekając odpowiedzi, szybkim biegiem uciekł, jak gdyby wszystkie wojska nieprzyjaciół go ścigały, i wrócił do swoich.

— Jakaż więc odpowiedź? — krzyknął Sieciech napół żartobliwym, napół groźnym głosem.

— Jakaż odpowiedź? — zapytali wszyscy.

Ochłonął z bojaźni Skarbimir i wściekle spojrzął na otaczających.

— Możecie posłać — zawołał — jakiego giermka lub żołnierza po odpowiedź, bo pewno wam jej nie przyniesie Skarbimir, pan radny i podskarbnik królewski. Od jakiegożto czasu wysyłają do bram nieprzyjacielskich ludzi najwyższemi dostojeństwami zaszczyconych? Ale na ten raz zgoda. Skarbimir z Gulczewa poniósł wasze przełożenia; niechaj Sieciech, wojewoda krakowski odpowiedź przyniesie.

— Jaroszu — przerwał Sieciech — idź po odpowiedź; niezmierną chęć czuję, rękojeścią pałasza usta mu przymknąć, biegnij Jaroszu.

— Znowu kłótnie, niesnaski — ozwał się biskup i z smutną twarzą czekał na powrót posłańca, który odważnie, śpiewając piosnkę wojskową, szedł do warowni nieprzyjacielskich, a chcąc swemu wodzowi dogodzić zawstydzeniem Skarbimira, stanął o dwa kroki od ogromnego rowu zamek opasującego. Wkrótce ukazał się nad bramą Mestwin i odpowiedział, że pan jego, książę Zbigniew, nie może przenieść na sobie, oamówienia posłuchania biskupowi płockiemu.

— Jeden tylko mały warunek zastrzegamy — dodał rycerz niemiecki — żeby nikt oprócz Stefana, nie wszedł do zamku, czynimy zaś to z obawy niepotrzebnych kłótni przed walką mającą się zacząć, a nie ze złych i zgubnych na osobę szanownego kapłana widoków.

Po usłyszeniu tej odpowiedzi, wznosił ręce do nieba biskup, i klękawszy, gorącemi modły błagał Boga zastępów. Poszli za jego przykładem wszyscy przytomni, a kiedy Mieczysław z schyloną głową ku ziemi, przemyśliwał nad ocaleniem Hanny, uczył rękę lekko dotykającą się jego ramienia; odwróciwszy się ujrzał przy sobie młodzieńca uzbrojonego na wzór żołnierzy Zbigniewa.

— Zkąd dostałeś tej zbroi? — zapytał książę.

— I ja mam Hannę w tych murach — odparł Henryk z nieznacznym uśmiechem. — Żegnaj cię panie.

Po tych słowach wmieszał się do ludzi biskupa, którzy ze spuszczonei dzidami, ze smutkiem na twarzy, odprowadzali pana, jak gdyby żadnej już na tej ziemi dla niego nie pozostawało nadziei, bo znali wszyscy gwałtowność Zbigniewa, wiedzieli jakich miał doradców, i trzeba było całej biskupa odwagi, wzmocnionej wiarą i przekonaniem, że obowiązek wypełnia, na ośmielenie się do kroku mogącego najniezszczęśliwsze skutki ściągnąć na jego osobę. Henryk zaś uniesiony przywiązaniem ku Mieczysławowi, miłością ku Katarzynie, rzucił się na widoczną zgubę, z tą nadzieją i ufnością młodości właściwą, choć dobrze wiedział, że Zbigniew, jeśli go odkryją jako szpiega i gwałcącego warunki zawartej umowy, stracić rozkaże.

Za przybyciem Stefana do bramy, spuszczoneg most zwodzony, a kilkunastu żołnierzy wystąpiło z zamku i broniąc przystępu przeciwnej stronie, puściło tylko samego biskupa. Powstały wrzaski i groźby. Przez chwilę trwało zamieszanie, już nawet brano się do oręża, ale na skinienie Stefana, opadły ręce wzniesione na jego obronę. Nie stracił tymczasem z oczu Mieczysław młodego giermka i dostrzegł, jak wmieszawszy się zręcznie do ludzi Zbigniewa, wraz z Stefanem wszedł do zamku. Ale w tej chwili zawarto bramę i podniesiono na skrzypiących łańcuchach most szeroki, który oddzielił dwóch tych śmiałych ludzi od reszty przyjaciół i towarzyszy.

ROZDZIAŁ IX.

Nie oddam jej, przysięgam na ostrze tej stali.

Feliński, Barbara.

Dwa rzędy ludzi zbrojnych stało z obu stron dziedzińca, przez który przechodził biskup. Dzikie ich spojrzenia i srogie twarze wróżyły nieszczęścia. W rozmaitych ubi rach, z różnych stron i okolic ściągnięni, nie znali się jeszcze dobrze między sobą, bo Zbigniew z mnogich swoich zamków po całej Polsce rozsypanych, zebrał żołnierzy do bronienia Hanny. Wszyscy jednak mieli jednostajne szyszaki i puklerze, a Henryk, zapomocą zbroi od Katarzyny udzielonej, podczas zgiełku i wrzawy łatwo mógł się wsunąć pomiędzy orszak odprowadzający Stefana do sali posłuchalnej księcia. Od nikogo niepoznany, szedł z odwagą w oczach i bez okazania powierzchownie najmniejszej trwogi. Odzywał się nawet do towarzyszy, rozśmieszał ich żartami, i obiecywał, że zapewne kapłan przez nich otoczony, nie wróci do obozu oblegających. Chwalił hojność Zbigniewa, a czasem cichszym głosem śpiewał dumki i piosnki, ale umilkł i zaczął się ukrywać, kiedy ujrzał Mestwina przyjmującego biskupa na wnijściu do gmachu; starając się, by przenikliwy wzrok Niemca nie spotkał jego twarzy, bo rycerz z Widerthalu, jak wieść niosła, znał wszystkich Zbigniewa żołnierzy. Henryk nie pierwszy raz już był w zamku syna Hermana, bo dawniej często w nieprzytomności księcia przychodził tu odwiedzać Katarzynę, a oprowadzony przez nią po wszystkich zakątkach, miał nadzieję, że potrafi, przechodząc przez jaką ciemną galeryą, zostać się z tyłu, a potem udać się do poko-

jów Hanny lub Katarzyny, koło których sądził, że nikogo nie spotka, gdyż wszyscy byli zanadto ciekawi rozmowy biskupa, by w inną podczas niej udawać się stronę. Nie wiedział zresztą jakim sposobem uda mu się wyjść z zamku; ale kiedy ta myśl nagle się w nim obudziła, spojrzął mimowolnie na pałasz, i nabrał odwagi młodzieńczej, odwagi niemierzącej liczby wrogów, ale idącej na ciosy śmiertelne z nieustraszonym sercem.

— Szanowny kapłanie — rzekł Mestwin napół szydzącym, napół poważnym głosem — chodź za mną, zawiodę cię do księcia mego i pana. Żołnierze, postępujcie za nami, żeby oddalić natrętych, którzyby może chcieli ucałować nogi lub kraj szaty sługi Bożego, bo choć się to u nas, szanowny biskupie, nie często zdarza, jednak chcę ci jak najbardziej uprzyjemnić pobyt w tych miejscach, i nie ścierpię, by kto przerywał twe pobożne myśli, a osobliwie w zdarzeniu, w którym mi dobrą ich, i dobraną liczbę mieć w głowie potrzeba: proszę za sobą.

— *Super aspidem et Basilicum ambulabis et conculcabis leonem et draconem* — zawołał mocnym biskup głosem i pewnym krokiem wszedł do sieni.

Zdaje się, że Mestwin miał upodobanie oprowadzać kapłana po ciemnych galeryach, ukrytych przejściach, krętych raz w górę się wznoszących, znów na dół zstępujących schodach, aby przerazić jego duszę widokiem miejsc, do których nie dochodziły promienie słońca, i gdzie łatwo było, daleko od wszelkich świadków, pozbyć się wroga lub niepotrzebnego gościa. Szli żołnierze z zapalonemi pochodniami i Henryk ciągle z zwyczajną śmiałością postępował z nimi, upatrując wszędzie jakiegoś przejścia, którymby mógł oddzieliwszy się od nich, bezpiecznie dojść do celu swoich zabiegów. Przybyli nareszcie do małej komnaty, mającej kilka drzwi, od których rozchodziły się galerye na różne strony zamku.

Giermek Mieczysława nieznacznie się odsunął od towarzyszków, i stanąwszy w ciemnym kącie, miał nadzieję, że niepostrzeżony sam potrafi pozostać w tem miejscu, a potem udać się do Katarzyny. Z początku Mestwin nie

postrzegł tego, ale kiedy już miał wychodzić z komnaty, jak gdyby uderzony jakim domysłem, nagle porwał od żołnierza z tyłu idącego pochodnię, i obróciwszy się, wzniósł ją wszystkim ponad głowę. Henryk poznał niebezpieczeństwo i udając, że coś poprawia u szyszaka, z zimną krwią został na tem samym miejscu.

— Jak się zowiesz? — zawołał Mestwin — jakie hasło dzisiaj?

Nie mógł odpowiedzieć na to zapytanie młodzieniec, a gniew, że już tak bliski dokonania przedsięwzięcia, widział się odkrytym, zawrzał w jego duszy i z zapalczywością odpowiedział:

— Śmierć tobie i twojemu panu, takie moje hasło.

— Stójcie wszyscy! Niech się żaden pod karą śmierci z miejsca nie ruszy, stój biskupie płocki, stój, boś nas zdradził. Zuchwalcze — dalej zawołał — próżne tu kłamstwo i wybiegi; z kąd jesteś? jak się zowiesz? kto cię przysłał?

— Jestem twoim wrogiem, przybywam z obozu, ale nie tak blisko przystępuj, bo, na Boga, zginiesz z mojej ręki.

To mówiąc, dobył Henryk z prędkością błyskawicy szablę, rzucił się na Mestwina i przeważnie go orężem w piersi uderzył, ale jego żelazo na drobne się rozleciało kawałki, a zbroja przeciwnika nawet się nie zgięła.

Mestwin nie okazał żadnego znaku zmieszania, zmarszczył brwi najprzód, a potem głośno się rozśmiał.

— Lepszy mój pancerz norymberski od wszystkich waszych mieczy; zwiążcie go i prowadźcie za mną. Przedstawcie tego gościa naszemu panu i księciu. Nabożny biskupie, przybywasz ofiarować pokój, a za sobą morderców prowadzisz, ale prawda, wszystko wolno Kościołowi, matce naszej wspólnej: ani słowa, milczenie, idźmy dalej.

Po przejściu kilku jeszcze pokojów i korytarzów otwarły się przed nimi drzwi ogromnej sali, w której zostali Zbigniewa siedzącego na wzniesionem krześle. Kilku zbrojnych rycerzy go otaczało.

Za ukazaniem się biskupa, skłonił głowę Zbigniew.

— Choć już wszystko gotowem jest do bitwy, szanowny Stefanie, jednakeśmy postanowili z uszanowaniem, winnem twojemu wiekowi i wysokiej godności, którą piastujesz w Kościele bożym, wysłuchać twoich przełożeń lub rady, i z niecierpliwością ich oznajmienia czekamy.

Wtem zbliżył się Mestwin do księcia i kilka słów rzekł mu do ucha. Czoło Zbigniewa pokryło się chmurą, oczy zaiskrzyły gniewem, ale po kilku chwilach bladeść zwyczajna spędziła z jego twarzy gwałtowny rumieniec.

— Po wysłuchaniu biskupa płockiego, zajmiemy się tą sprawą — zawołał — a teraz go prosimy, aby niezwłocznie odkrył zamiary — a ten wyraz wyrzekł z przy-ciskiem — które go do nas sprowadziły.

— Zamiary moje — ozwał się biskup — są czyste i nieskażone. Ufny w potęgę Boga, który zamienił niegdys twarde opoki w ciekące strugi i umie zmiękczać serca grzeszników, przychodzę tu ci wystawić, czego się po tobie spodziewa Polska cała i jej monarcha; przybywam prosić cię, byś pamiętny na słowa Zbawiciela, przed którym staniesz w dniu sądu ostatniego, zaniechał zgubnych przedsięwzięć i wrócił na drogę cnoty. Otwiera się teraz przed tobą pole poświęceń i pokuty za długoletnie gwałty i występki. Może Bóg dozwolił, byś przez długi czas zapomniał o nim, ażebyś z większą świetnością porzuciwszy błędy na powrót do niego się udał. Książę, porwałś dziewicę, zasmuciłeś jej rodzinę, własnego ojca i króla zbliżyłeś swoim postępowaniem do grobu, opuściłeś i w niepamięci zagrzebałeś przepisy świętej religii. Głuchy na prośby niewinności, na głos doświadczenia, popełniłeś gwałty i morderstwa. Zakończ teraz nieprawne działania, skróć burzliwe chęci i stań się posłusznym Bogu, który do ciebie przez moje usta przemawia. Ojczyzna oczekuje wypadku dzisiejszej naszej rozmowy. Same niebiosy na nią uwagę zwracają, bo tu idzie o uratowanie duszy zanadto długo pograżonej w ciemności i zapamiętałości. Nie urażaj się, książę, jeśli z taką do ciebie przemawiam śmiałością, bo nie ja, ale sam Bóg się do ciebie odzywa, i poznajesz zapewne, że moje słowa są powtórze-

niem tego, co ci bezwątpienia już oddawna wyrzuca sumienie. Przybywam więc ofiarować ci pokój i zgodę braterską. Przybywam natchniony miłością chrześcijańską. Zgromadzone wojska czekają hasła do boju. Podzieleni Polacy gotowi są do rozlewu krwi bratniej. Wystąp więc, oddaj ojcu córkę, przysięgnij, że zachowała niewinność, przysięgnij, że odtąd Polska mieć w tobie będzie bohatera, nie zawziętego na własnych współobywateli, ale gotowego jej bronić własnymi piersiami, a tym sposobem pogodzisz się z Bogiem, z monarchą, z Kościołem i sumieniem. Późne wieki zapomną o błędach młodości, lub jeśli jeszcze staną im w pamięci, będzie to lekka mgła tylko, za słaba na przyćmienie świetnych słońca promieni.

Tu zamilkł biskup i wpatrywał się w Zbigniewa, jak gdyby z jego twarzy chciał skrytości serca przeniknąć. Na czole posepnem księcia znać było to niecierpliwość, to zamyślenie, a pomimo milczenia Stefana, zdawał się go słuchać jeszcze. Słowem, wystawiał obraz człowieka dumającego bardziej o przeszłości, niż gotowego do zrzeczenia się dumy, i zaniechania najmilszych uczuć, by osiągnął szacunek ludzi i nagrody życia wiecznego. Mestwin widząc wtenczas, że książę nic nie odpowiada, obawiając się by słowa biskupa zanadto mocnego wrażenia na nim nie sprawiły, wyrzekł pocichu:

— Nieszczęśliwy kraj, gdzie męże do walki gotowi spuszczać miecze, składają zbroje na głos starca nawykłego do klasztornej spokojności, nie do dzielnych bojów lub rycerskich igrzysk. Książę i panie mój, nie daj się przerazić. Czy dusza twoja za słaba? Czyż zbroja znoszająca groty i razy, silniejsza od serca, które pokrywa? Obudź się, Zbigniewie, — dodał ciszej jeszcze, — bo już gaśnie twoja chwała. Zginąłeś, jeśli...

— Nie zginąłem, — zawołał oburzony Zbigniew, porywając się z siedzenia, rzucił okiem na otaczających, i zatrzymał go na Stefanie. — Nie, krzyknął, nie, nigdy raz dobytego nie schowam miecza, nie, na Boga i Najświętszą Pannę, kończ dalej swą mowę Biskupie. Chciałeś mnie zdradzić. Morderców wiedziesz za sobą. Mów dalej, słucham, mówże dopóki słucham jeszcze; znów usiadł,

i schyliwszy głowę, skrył czoło w dłonie, ale można było poznać niecierpliwość ze wszystkich jego choć nieznacznych ruchów.

Stefan nie stracił odwagi, z pogardą słyszał się obwinionym o zdradę, od której tak był dalekim, że nawet na ten zarzut nie odpowiedział, ale dalej już i groźnym głosem swej mowy dokończył.

— Przełożenia i warunki, które ci podałem dotąd, były łagodne, przemawiałem do ciebie jak ojciec do grzeszącego syna; ale teraz posłuchaj cięższych rozkazów Kościoła i Boga, słuchaj ich z uszanowaniem i wypełń, jeśli dbasz o ocalenie występnej duszy. Książę Zbigniewie, każę ci imieniem Kościoła, byś natychmiast broń złożył i rozpuścił wojsko!

Tu Biskup zamilkł na chwilę.

— Cóż dalej? — odparł Zbigniew, — podnosząc głowę i ściskając usta. A twarz zapłonioną od gniewu znów skrył między ręce.

— Byś oddał Hannę z Ciechanowa jej ojcu i błagał jego przebaczenia za tak ciężką wyrządzoną mu krzywdę.

— Nigdy! — krzyknął Zbigniew, i znów zamilkł.

— Byś złożył na zawsze oręż, przywdział suknię zakonną i bosemi nogi udał się do naszego plockiego kościoła...

Tu stanął znowu biskup.

— Dobrze, cóż dalej? — zawołał Zbigniew, wszystkimi siłami wstrzymujący wściekłość w swych pierśsiach.

— Byś zrzekłszy się pychy tego świata, rozdał majątki ubogim, wziął różaniec i kij pielgrzymi w rękę i poszedł do Rzymu. Damy ci listy do Ojca Świętego, w których go upraszać będziemy o wysłuchanie ciebie, i w nagrodę skruchy wyznaczył pokutę, za skutecznienie której łaskę Boską odzyskasz.

— Cóż dalej? — znów ozwał się książę.

— Nareszcie, abyś odwiedził grób Zbawiciela w ziemi Świętej. Nigdy już nie wracał do Polski i zakończył ży-

cie na nieszczęście ci dane, w klasztorze wśród modłów i żalu za zbrodnię. Takie ci teraz podaję warunki. Jeśli na nie przystaniesz, obiecuję ci w nagrodę przebaczenie ludzi na ziemi i przebaczenie Boga w Niebiosach.

— Cóż dalej, biskupie płocki? Bo może jeszcze nie koniec — zawołał Zbigniew. — Może co jeszcze masz dodać.

— Nic więcej, tylko żebyś kazał zdjąć okowy z rąk tego młodzieńca, który sprawiedliwie broniąc swojego życia, schwytyany został przez twoich ludzi, spólników twych zbrodni.

Tak przemawiał Stefan, otoczony wrogami, jak gdyby tysiące mieczów wzniesionych było na poparcie słów jego.

— Kiedy taka twoja wola, zatrudnimy się tą sprawą, bo, na Boga, — zawołał Zbigniew: — nic więcej dla ciebie uczynić nie możemy. Wystąp młodzieńcze. Niedługo cię tu zatrzymamy z wymierzeniem sprawiedliwości... jak się zowiesz?

— Pozwolisz książę, — odparł śmiało Henryk, — że ci moje imię zataję.

— Słusznie, nie chcesz by się rozgłosiło za prędko, żeś uległ haniebnej śmierci na szubienicy. Może odpowiesz na drugie pytanie. Kto cię przysłał?

— Nikt, i na to przysięgam w obliczu nieba i ziemi.

— Więc już sąd nasz się skończył, i jego wyrokiem skazany jesteś na powieszenie; spojrzysz przez okno, a ujrzysz gotową nagrodę za chęć zamordowania naszego powiernika: kacie — dodał — oddaję ci tego człowieka, i niech za godzinę patrzy w ziemię, a nogami jej nie dotyka. Zapewne, biskupie Stefanie, wypowiedasz go przed śmiercią, bo co do nas, nie myślimy ci tej pracy zadawać.

Wystąpił po tych słowach zbrojny człowiek z orszaku, otaczającego księcia, i stanął przy skazanym młodzieńcu.

— Zbigniewie — ozwał się Stefan — zważ ostatnie słowa, które do ciebie przemówię. Może jeszcze na spr-

wiedliwej szali miłosierniejszego Boga twoje występki nie przechyliły zarodków cnoty i szlachetności, męstwa i odwagi, które wlał w twą duszę Stwórca świata. Zbrodnia, którą teraz chcesz popełnić, kto wie, czy nie przeważy i nie weźmie góry nad twojem szczęściem, nad twoją pomyślnością.

Te słowa uroczyście wyrzeczone, zastanowiły księcia. Nie nie odpowiedział, ale wpadł w głębokie zamyślenie. Złożywszy ręce na piersiach, bystry wzrok wlepił w Henryka stojącego o kilka kroków, ale nie mógł dostrzedz na jego twarzy żadnego znaku wzruszenia lub trwogi; owszem, często uśmiech pogardy dla otaczających osiadał na ustach giermka Mieczysława.

— Najjaśniejszy książę — nagle przerwał milczenie rycerz, który dotąd pilnie zważał na Henryka — przysięgam, że to jest Henryk z Kaniowa, giermek księcia Mieczysława, tak jak ja jestem Odrowąż z Górzewa.

— Mieczysława! — krzyknął Zbigniew i skoczył ze wzniesłego siedzenia — Mieczysława! Więc już niema nadziei dla ciebie. Zmów pacierz, odbądź spowiedź, bo zginiesz. Natychmiast wyprowadźcie go na dziedziniec, widzisz tę wysoką szubienicę.

— Tem lepiej — odparł śmieie Henryk — bo im wyższa będzie od murów twego zamku, tem lepiej mój pan się o moim zgonie przekona, tem pewniej jego zemsta spadnie na ciebie.

— Niema wątpliwości — dalej mówił Zbigniew — to morderca przysłany od niego, godziłeś na moje życie.

— Nie ma w zwyczaju książę i pan mój — zawołał Henryk — wyprawiać zbrodniarzy lub czynić zasadzki. Nie chowa się za murami. Nie przesiaduje w zamkach, kiedy dane jest hasło do boju na otwartem polu, i każdy rycerz w jego pierś mierzyć może.

— Zuchwalcze — przerwał książę, przejęty burzliwym gniewem, dalej chciał coś mówić, ale głos skonał mu na ustach; kilka chwil chodził szybko po komnacie, nareszcie stanął.

— Wyprowadźcie go — powtórzył. — Biskupie

płocki, skończona nasza rozmowa, prędko go wypowiadaj, sami przytomni będziemy jego śmierci. Mestwinie, odprowadź kapłana tego z giermkim na dziedziniec, zaraz tam przybędę. Odroważu z Górzewa pójdź zobaczyć, czy wszystko do walki gotowe, czy wszędzie w porządku stoją. Sam za wami zaraz pośpieszę. Idźcie.

— Niech żyje dzielny nasz książę! — zawołał Mestwin. — Henryku, giermku księcia Mieczysława, wzywam cię, byś szedł na szubienicę, z której, na Boga, będziesz mógł widzieć wszystkie pana swego czyny. Przewielebny ojciec duchowny, podobnież cię wzywam, byś za mną postępował dla oddania ostatniej chrześcijańskiej przysługi odważnemu młodzieńcowi, który niedobrze jednak wymiarował twardość stali niemieckiej. Ty kacie, zdejmu okowy, trzeba śmierć mu przynajmniej przyjemną uczynić.

Na dziedzińcu zamkowym stała wysoka szubienica, wystawiona dla przestraszenia żołnierzy, którzyby chcieli zgubny przykład dawać swoją niekarnością; otaczała ją zagroda z chróstu, u boków której stały dwa słupy, na jednym leżał topór, na drugim powrozy; do tej zagrody zaprowadził Mestwin Henryka, który klękawszy, zaczął się spowiadać biskupowi płockiemu. Nachylił się ku niemu Stefan, w którego oczach raz łzę można było dostrzedz, to znowu ogień żywy, ponury jak gdyby wezwanie boskiego przekleństwa na zamek i jego pana. Zbigniew o kilkanaście kroków oddalony, przypatrywał się temu obrazowi; ale twarz jego utraciła piętno nieugiętej woli, i znać było na niej pewny rodzaj wahania się. Wszyscy otaczający przerażeni tym widokiem, nie myśleli przerywać cichości; żołnierze poglądali na siebie, jak gdyby jeden drugiemu chciał powiedzieć: może i nas podobny los czeka. Niedługo trwała spowiedź skazanego młodzieńca, wzniosł oczy do nieba biskup, i z sercem pełnem wiary, położył ręce na głowie tego, którego dusza miała wkrótce ulecieć do pierwszej ojczyzny.

— Odpuszczam ci grzechy, synu, — rzekł poważnym głosem — umieraj z pewnością, że twoja młodość zmięknie Stwórcę za zło, które mogłeś zrządzić w przelotnem życiu na tej ziemi. Umieraj bez żalu za tym padłem nie-

szczęść, w którym często cnota opuszczona, a zbrodnia na szczycie wielkości; owszem, ciesz się nadzieją, że za chwilę u stóp tronu Króla królów będziesz mógł błagać Jego miłosierdzia dla nieszczęśliwych braci.

— Ach! gdyby nie książę Mieczysław, gdyby nie Katarzyna — przerwał pocichu młodzieniec — bez żalu żegnałbym ten świat znikomy. Ale gdybym gdzie mógł dorwać się jakiej broni, możeby jeszcze poczuli moją rękę.

— Oddal od siebie te myśli, mój synu, przebacz nieprzyjaciółom...

— Prędeż, prędeż się tam odbywajcie — zawołał Mestwin — czas upływa, słońce w górze, a miecze nasze jeszcze w pochwach, a krew wrogów jeszcze w ich żyłach płynie.

— Milcz — przerwał Zbigniew — milczcie wszyscy.

Słowa niemieckiego rycerza wróciły Henrykowi gniew, który na chwilę uciszył się w jego sercu zajętem rozpamiętywaniem czynów życia i nadziei po śmierci. Nagle zerwał się z miejsca, i dobywając sił wszystkich, skoczył do żołnierza blisko stojącego, tak szybko się nań rzucił, że ten napół tylko mógł dobyć miecza; przeważnym razem w piersi obalił go Henryk na ziemię, wyrwał mu sztylet u pasa zatknięty i przyłożywszy do gardła, krzyknął:

— Książę Zbigniewie, zginie ten człowiek, jeśli mnie nie puścisz natychmiast z biskupem płockim.

— Niech zginie — zawołał Mestwin.

— Milcz — przerwał Zbigniew — i przez chwilę patrzył z uwagą na młodzieńca stojącego z orężem nad leżącym żołnierzem. — Henryku z Kaniowa — zawołał — daruję ci życie, ale nie myśl, bym to uczynił z bojaźni o życie tego człowieka, bo nie wart służyć u mnie, kiedy nie umie mężnie się stawić bezbronnemu nawet; daruję ci życie, boś odważnym, ażeby ci prawdy słów moich dowieś, zatrzymasz się w moim zamku, dopóki ten nędzny nie zginie. Ty kacie, — krzyknął prędko — i bez spowiedzi, bo jej niegodzien, skończ mi z tym żołnierzem.

Natychmiast Sykut z kilkoma innymi porwali się na nieszczęśliwą ofiarę i na śmierć zawiedli. Musiał biskup i Henryk patrzeć na śmierć żołnierza. Zbladły szedł on do szubienicy. Rzucił się po wielokroć do nóg Sykuta; ale groźna postać Zbigniewa nie dozwalała nawet myśleć o jego ocaleniu. Wszedłszy do zagrody, kląkł i krótką odmówił modlitwę, podczas której związali mu ręce z tyłu; powstał i obłany łzami wstąpił na rusztowanie, z którego rzewliwemi krzykami i ręką żegnał naokoło stojących towarzyszków. Srodzy ci ludzie bez wzruszenia patrzyli na ten okrutny widok i nawet usłyszano kilka głosów, wyrzucających mu bojaźń i niewieście jęki. Zakrył twarz biskup Stefan, a kiedy po chwili znów spojrział, już się ciało żołnierza kołysało w powietrzu. Jeszcze ruch gwałtowny nóg i twarzy oznaczał ostatek uchodzącego życia, kiedy nagle krew wytrysła mu z oczu i z nosa. Głowa się schyliła, oczy zawarły, a piętno srogich boleści zachowane na martwym czole, nie zgadzało się z stalową zbroją i hełmem świetniejącym odbitemi słońca promieniami.

— Teraz wolni jesteście; — rzekł książę — biskupie płocki, moją odpowiedzią jest, że jeśli boją się ze mną walczyć, to mogą broń złożyć i przebaczenia u stóp moich żebrać. Henryku, masz ten pałasz za odwagę. Patrzyłem ciągle na ciebie, nie okazałeś najmniejszego znaku trwogi; gdybym był dostrzegł bojaźń na twojej twarzy, nie żyłbyś już teraz, żegnam was obu.

Po tych słowach wrócił Zbigniew z Mestwinem do swoich komnat. Ciężka brama znów się otwarła, most zwodzony na skrzypiących opadł łańcuchach, a sługa boży i dzielny młodzieniec, obronieni opieką nieba i własnym męstwem, wyszli z zamku, w którym już teraz wszystko w pogotowiu stało do nieodzownej walki.

ROZDZIAŁ X.

Zewsząd szcęk mieczów, wrzask, chrzęsty pancerzy,
Pryskają bronie, lecą helmy, głowy,
Co miecz oszczędzi, druzgocą podkowy.

Grażyna.

Biskup płocki pośpieszył oznajmić czekającym na jego powrót wodzom, że wszystkie starania nadaremnołożył, żeby odwrócić Zbigniewa od wojny domowej, i że łzami w oczach zapowiedział, że odjeżdża uwiadomić o tem króla i pocieszyć go w ciężkich tęsknotach świętymi myślami.

— Więc już niema co zwlekać — krzyknął Mieczysław — za mną towarzysze, bracia za mną!

Po tych słowach rzucił się na czele wojska i śpiesznie przebiegł dzielącą go od zamku równinę, za nim poszli Wszebor i Sieciech ze Skarbimirem, którego twarz zbladła i napół otwarte usta wydawały przerażenie i bojaźń o życie. Nie wstrzymywały dzielnych hufców strzały sypiące się z murów i kamienie na nich wyrzucone z baszt i wież wysokich, a choć niejeden śmiertelnym ugodzony ciosem padł bez ducha, inni pragnący się odznaczyć pod okiem młodego księcia, za jego wodzą na śmierć i niepewną odważali się walkę.

Henryk w zupełnej zbroi szedł za Mieczysławem, a całe wojsko garnęło się za nimi do murów. Zdawało się, że jeden zapał wszystkich ożywia, i nawet powolny Bardan podwoił kroku, choć widział kryjącego się pomiędzy rotami pana. Sieciech z zimną krwią i właściwą sobie rozwagą urządzał bitwę; dawał znaki i hasła, zachęcał,

zagrzewał do odwagi, sam się rzucał naprzód, znów ustępując szykował złamane szeregi, wracał do porządku rozzerwane orszaki. Krzyżowały się w powietrzu strzały i włócznie z obu stron rzucone. Tarany tymczasem przez część żołnierzy niesione, powoli przysuwały się do bramy, i pomimo grotów nieprzyjacielskich zapełniono fosę zamkową ziemią, darniem, kamieniami i chróstem do tego sporządzonym.

Na najwyższej stronie murów, widziano męża wzniosłej postawy, w czarnej zbroi i z odkrytą twarzą, a choć w takiej odległości rysów jego rozeznac nie można, z rozkazów przezeń dawanych, z nadzwyczajnej odwagi i spokojności okazywanej wśród boju i grożącej śmierci, łatwo było poznać Zbigniewa. Przy nim stał niżej nieco rycerz, który z równem męstwem zachęcał żołnierzy i czasem porwawszy łuk od stojących ludzi, niemylnie wysyłał ciosy. Pięć razy już wymierzył w serce Mieczysława, a pięć razy głos księcia: — stój Mestwinie! — wstrzymał go, bo Zbigniew pałając nienawiścią ku synowi Bolesława Śmiałego, sam chciał się jego śmiercią i nacieszyć i wsławić. Wrzask, krzyki, rozkazy tłumnie się mieszały, chrzęst zbroi, świstanie rozrywających powietrze pocisków, jęki ginących i rannych unosiły jego duszę, urągał się z śmierci i niebezpieczeństw, rzucone strzały rzadko dochodziły miejsca, na którem stał, czasem tylko u stóp jego padał osłabły już pocisk, wtenczas z uśmiechem pogardy odsuwał go nogą, lub też oddawał Mestwinowi, który szczycąc się z doskonałego strzelania, natychmiast znów go wypuszczał na oblegających, a wtenczas rzadko chybiał celu. Kilku jeszcze innych łuczników otaczało Zbigniewa, i jak gdyby dla zabawy, różnych sam im okazywał rycerzy. Za jego rozkazem szybkie wyłatywały groty, i podobne do piorunu padały na wskazane ofiary.

Wtem jeden z nich zwrócił oczy na Wszeborę, stojącego przy ludziach taran do murów przysuwających. Natychmiast poznawszy po świetnym hełmie, że to jakiś wódz być musi, wyciągnął łuk, przyłożył strzałę na drgającą cięciwę, ale postrzegł to Zbigniew i pamiętny

danego słowa, silnie uderzył w pierś łucznika, wyleciał grot, ale już bez siły i prosto w górę, po chwili upadł przy księciu.

— Niech żaden z was nie godzi na życie tego człowieka — krzyknął Zbigniew — bo ze mną będzie miał do czynienia — i wskazał na szubienicę, u której kołysał się nieszczęśliwy żołnierz. — Wszebor i Mieczysław nie są waszym przeznaczeni ciosom. Dosyć innych macie. W tego, w tego traficie — dodał, wskazując Zbigniew — w tego zdrajcę, który dawniej z przyjaźnią mi się oświadczał.

Nie ukończył tych słów jeszcze, a już strzała utkwiała w pancerz Sieciecha, ale wielka odległość moc jej osłabiła, nie mogła nawet przebić zbroi, odrzucił ją wojewoda krakowski i dobywszy miecza, ukazał go Zbigniewowi. Zrozumiał znak ten książę i krzyknął, jak gdyby tamten mógł go usłyszeć:

— Może dadzą nieba, że się spotkamy, a wtenczas żegnaj się z życiem.

Tymczasem w niektórych już miejscach zasypano fosę, przystawiono drabiny i rzucił się na jedną z nich Mieczysław. Henryk skoczył na drugą, i z kilkoma rycerzami oba wdzierali się na wysokie mury. Zbigniew chciał zaraz pobiedz naprzeciw śmiertelnemu nieprzyjacielowi, ale widząc, że wkrótce cały rów zasypią, musiał zostać na miejscu, z którego najlepiej mógł uważać obroty przeciwników, i z kąd najłatwiej mu było dawać rozkazy i rozsyłać ludzi. Posłał więc tylko Odrowąza z Górzewa z kilkoma zbrojnymi na wstrzymanie Mieczysława i na zrzucenie z drabin żołnierzy, już wierzchołka muru dochodzących. Ale nim doszedł ten rycerz do przeznaczonego miejsca, już młody książę z Henrykiem na mur szeroki wyskoczył.

Za nimi cisnęli się żołnierze, wołając:

— Górą książę Mieczysław! Górą dzielny nasz książę. — Ale w tej samej chwili rozstawieni po innych stanowiskach łucznicy tak zręcznie zaczęli razić pociskami wrogów, że niepodobnem się stało przystawić wię-

cej drabin do muru, a mała tylko liczba zbrojnych mogła się wdzierać i to powoli na te dwie, któremi Mieczysław i Henryk dostali się na nieprzyjacielskie baszty; przybył też i Odrowąż z Górzewa i zacięta zaczęła się walka; spuściwszy przyłbicę syn Bolesława Śmiałego, oparł się o szeroki kamień i walecznie napadających odpierał, Henryk zaś posunął się dalej i wszelkimi siłami starał się dojść do Odrowąża. Dopiął wreszcie celu swych życzeń i stanął o dwa kroki od rycerza.

— Poczekajże — zawołał, widząc, że ten chce przerznąć się aż do Mieczysława — niegodnyś z rąk mego pana zginąć, poczekaj, niech ci się za dzisiejszą odplacę przysługę.

Usłyszawszy te słowa, odwrócił się Odrowąż.

— Na Boga — zawołał — czyż wniwecz obróciły się zwyczaje i prawa nasze? czyż prosty giermek już wyzywa rycerza ze złotemi ostrogi?

Nie nie odpowiadając, zaczął Henryk walkę, której wypadku niedługo oczekiwali otaczający; po kilku zwarciach upadł Odrowąż śmiertelnie przebity, porwał go za hełm Henryk i zrzucił z murów w szeroką fosę.

— Macie — krzyknął — na czem oprzeć drabinę.

I wrócił do Mieczysława, który z równą potykał się odwagą; widział Zbigniew śmierć rycerza i brwi zmarszczył.

— Na szatana, uparta bitwa! Ale niech się sam tylko wmięszam, to zobaczymy; muszę tu jeszcze zostać. Jordanie z Gozdowa, pójdź mi na pomoc.

Natychmiast mąż olbrzymiej postawy odłączył się od książecego orszaku i pobieglł stanąć na miejsce nieszczęśliwego Odrowąża.

— Zaręczam ci księżę i panie mój — zawołał odchodząc, — że wkrótce te muchy odlecą, nie takimem ja na Pomorzu do ucieczki zmuszał.

— Dobry rycerz — ozwał się Zbigniew do Mestwina, patrząc z uśmiechem zwyczajnym na rzeź i mordy — a choć najczęściej chwali się z tego co nie zrobił, w przypadku

potrafi wszystko zrobić, i mówi, że już tysiąc razy uczynił.

Wtem zbliżył się do księcia człowiek w szerokiej sukni bez zbroi i oręża. Broda, do której siwe włosy już się mieszały, spływała na piersi, w oczach widać było spokojność dowodzącą, że nie pierwszy raz patrzy na boje. Trzymał pod ręką kształtnie wyrobioną szkatułę, a u rzemiennego pasa wisiały klucze, faszka napełniona żółtawym płynem i pomniejsze narzędzia, na które niewiadomi ich przeznaczenia i użytku z podziwieniem patrzyli żołnierze.

— Abrahamie z Hamburga — zawołał Zbigniew — już jeden z naszych rycerzy nie potrzebuje twojej pomocy, spojrzij w rów pod nami będący, a tam zobaczysz jego ciało i zapewne mimo wielkiej nauki nie masz już nadziei wrócenia go do życia.

— Najjaśniejszy i najpotężniejszy — odparł złą polszczyzną żyd lekarz — mam nadzieję, że Bóg Izraela pozwoli, by moje usługi przydały się innym ludziom, bo co do tego, już ciało jego się rozpręga, opuszczone od duszy. Ztąd dostrzegam sine pręgi na jego twarzy, co jest znakiem śmierci gwałtownej, jak o tem Ben Massadi pisze w rozprawie o nieprzewidzianych zgonach.

Po tych słowach głęboko się uklonił księciu, stanął niedaleko i wyjąwszy długi pergamin, uważnie czytać zaczął dziwaczne na nim charaktery tak spokojnie, jak gdyby w własnym się widział pokoju, potem zwinął go w trąbkę i oddalił się niosąc ratunek rannym.

— Dobrzem zrobił — rzekł Zbigniew do Mestwina — żem tego żyda zamówił do siebie przed rozpoczęciem oblężenia, bo widzę, że na nieszczęście często go będziemy potrzebować. Ale patrz, tam nasi giną. Jordan z Gozdowa dzielnie się potyka.

— Dzielnie — odparł Mestwin — dzielnie, na Boga, ale coś mi powiada, że niedługo kroku Mieczysławowi dotrzyma; dobrze że Abraham nadszedł, żołnierze nasi przypatrują mu się z uwagą, powtarzając wyrazy, czary, czarnoksiężnik.

— Czy piekło się na mnie sprzysięgło? — przerwał mu Zbigniew — już mało naszych się opiera. — Jordan wraca ich jednak do porządku dobrze, znów zacięty bój się wszczyną. Kazałem by żaden nie tknął Mieczysława, bo i tak niedługo mu już dni zostały: zachowuję dla siebie przyjemność zabicia go własną ręką; ale co do tego Henryka, bodaj go szatan porwał, szkoda żem go tu nie zatrzymał. Łucznicy — dodał donośnym głosem — lepiej mierzcie, prosto w serca wrogów, za rzadko trafiają wasze groty.

Tymczasem Wszebor starał się ciągle o przystawienie więcej drabin, Sieciech zaś z drugiej strony kierował oblężeniem; kazał szeregowi swoich żołnierzy w pewnej odległości od murów wysypać wały, zza których bezpiecznie mogliby odpowiadać pociskom z zamku rzuconym. Tą roztropną zatrudnioną pracą, nie wiedział, że Mieczysław walczy na murach nieprzyjacielskich; długiego czasu potrzeba było na usypanie tych szanów, ale nareszcie pomimo ciężkich strat, które co chwila doznawał, potrafił obrać korzystne stanowisko i zasłonić swoich od niebezpieczeństwa, walczenia na otwartem polu przeciw nieprzyjaciółom ukrytym w strzelnicach i wieżach; równowaga między ginącymi z obu stron się ustaliła, na każdy wystrzał z zamku odpowiadała strzała zza wałów usypanych, które z świeżej ziemi zrobione, wkrótce pokryte zostały mnóstwem chybiających pocisków. Z równem męstwem z obu stron wytrzymywano walkę, równa zręczność odznaczała obu wojsk żołnierzy; kilka razy Sieciech usiłował zbliżyć się do murów i zapełniwszy fosę, szturm przypuścić, ale pomimo jego odwagi, pomimo dzielności Jarosza z Kalinowy, tyle tracono ludzi jak tylko występowano zza szanów, że musiał, zaniechawszy tego zamiaru, poprzestać na własnej obronie, czekając pomyslnych nowin od drugiej połowy wojska, której nie mógł widzieć, oddzielony od niej częścią rozległych murów w kącie na równinę występujących; miał jednak nadzieję, że kiedy się powiedzie Mieczysławowi, da mu on znać o tem i że Zbigniew przymuszony zwołać swoich ludzi do najważniejszego miejsca, ogołoci z części obrońców baszty, których dobywał, i że wtenczas łatwiej mu będzie na nie się dostać. Oczekując

tego wypadku z krwią najzimniejszą, wyznaczał każdemu miejsce i powinność.

Tymczasem Jordan z Gozdowa pełnił obowiązek dzielnego rycerza: jak tylko zbliżył się do miejsca walki, zaczął zachęcać już ustępujących przed Mieczysławem.

— Górą książę Zbigniew! — zawołał — za mną wiara! za mną bracia! strąćmy ich z tych murów.

— Górą Zbigniew, książę i pan nasz! — krzyknęli żołnierze, i z odrodzonym męstwem wrócili do bitwy.

Niejeden jeszcze tu zginął, niejeden ciężko raniony musiał ustąpić, ale pozostali widząc odwagę Jordana, wstydziło się uciekać, kiedy ich wódz nie dbając o życie, na ciosy i śmierć tak pięknie się narażał.

Poznał Mieczysław, że nie potrafi utrzymać się na zajętem stanowisku, jeśli nie zabije dzielnego przeciwnika, i do tego zwrócił wszystkie usiłowania. Trudno mu jednak było przerznąć się przez tłum wolnych, do rycerza siejącego postrach i rzeź dokoła, powstało największe zamieszanie, i kiedy nowe posiłki nadciągały po dwóch drabinach, których nie mogli obalić pomimo największych starań żołnierze Zbigniewa, Jordan porwawszy ogromny kamień, tak zręcznie go rzucił, że połamał kilka szczeblów u pierwszej drabiny; runęli ludzie po niej wdzierający się na mur w głęboką fosę i jęki ich pomnożyły trwożę otaczających Mieczysława. Wkrótce i druga padła z łoskotem a z nią zdawało się, że wszelka znikła nadzieja dla młodego księcia już nielicznym wspieranego żołnierzem. Nie zmiejszyło to jednak zapału syna Bolesława i z nową wściekłością rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół zasłaniając się tarczą, znów mieczem, torując sobie drogę z wiernym giermkim, kładł trupem opierających się, ale uczuł, że już słabnie, i że jeśli dłużej tak nierówna potrwa walka, niezbędnie zginąć mu przyjdzie. Dobywając więc wszystkich sił, roztrącił kilku żołnierzy stojących przed Jordanem i wpadł na rycerza. Skrzyżowały się ich miecze, a ogień ich oczu wydał uczucia duszy. Zwarli się wstępny bojem zaczynając krwawy pojedynek, w którym okazywali, że jeden drugiego jest godnym, bo oba z największą walczyli zręcznością.

— Książę i panie mój — zawołał Mestwin na Zbigniewa gdzieindziej patrzącego — zwarli się, ciekawy jestem, na którym z nich wieczerzać dziś będą sępy.

Pojrzał w tę stronę Zbigniew, i w tej samej chwili dobył oręża.

— Już czas to zakończyć — rzekł — wcześniej czy później trzeba go zabić. Zapomniał chyba Jordan o moim rozkazie. Jordanie z Gozdowa — krzyknął całemi piersiami, biegnąc do niego — Jordanie z Gozdowa, złóż oręż, jeśli dbasz o moją łaskę.

Doszły te słowa do uszu rycerza. Schylił pałasz i wściekle go rzucając na stronę:

— Przez duszę Eryka Heyfroka, któregom zabił w Prusiech, wolałbym zginąć z rąk kata, niż takie słyszeć rozkazy.

Szlachetny Mieczysław nie korzystał z tej chwili, żeby zamordować wroga i spuściwszy oręż, z najżywszą niecierpliwością czekał na Zbigniewa wprost ku niemu lecącego.

— Dziękuję ci, Jordanie, za posłuszeństwo — rzekł książę przybiegając — teraz z tobą będzie sprawa — i wpadł na księcia. — Niechaj mi nikt nie pomaga, niechaj nas nikt nie rozdziela. Do pochow oręża schowajcie wszyscy. Teraz ja zacynam walczyć.

Tu dopiero poczęła się walka długa, uparta, której przypatrywali się wszyscy z trwogą i pewnym rodzajem uszanowania. Na każdej twarzy można było wyczytać przykre oczekiwanie wypadku, który jedną lub drugą stronę miał w smutku i zgubie największej pogrążyć. Nie tylko na murach ale i na równinie wszyscy bitwy zaprzestali i umilkli. Wszebor podniósł oczy do góry, a za każdym uderzeniem orężów, coraz większą czuł bojaźń. Sieciech niepomalu się zdziwił, kiedy wszystko w milczeniu grobowem się pogrążyło, nie wiedząc tego przyczyny, darmo starał się ją wysledzić. Skarbimir nawet podniósł schyloną głowę i na chwilę zapomniał o pieniądzach, słowem wszyscy spuścili na dół miecze, łuczniczy zarzucili

broń na piersi, rycerze oparli się na pałaszach i pilnie najmniejsze dwóch przeciwników uważali poruszenia.

Zbigniew dziwił się, że tak długo mu się młody przeciwnik opiera i nateżał wszystkie siły na pokonanie jego. Syn dzielnego Bolesława za każdym uderzeniem czuł podwojone męstwo i z największą zapalczywością raz odpierał, znów wpadł na wroga, poszczerbione pałasze, pokresowane zbroje dowodziły obu zręczności, ale krew dotąd nie płynęła i podobną była walka do igrzysk na turnieju. Wyewiczony w setnych bojach Zbigniew, zaczął jednak mieć przewagę, jednym uderzeniem oderwał przyłbicę od szyszaka Mieczysława, drugim przeciął pas, który zawieszony na pancerzu utrzymywał pochwę. Nie mógł go jednak przymusić do odstąpienia i jednego kroku, nareszcie po długich usiłowaniach tak dzielnie uderzył o rękojeść pałasza Mieczysława, że ten opuścił rękę na chwilę.

Radość zajaśniała w oczach Zbigniewa. I już miał utopić oręż w piersi przeciwnika, kiedy nagle zbladł, skłonił głowę na piersi i przykląkł.

Strzała rzucona z równiny tkwiła mu w lewym ramieniu, a potoki krwi zbroję mu oblały.

Mieczysław choć tęgim uderzony razem, nie odebrałszy żadnej rany, wzniósł pałasz do cięcia, ale jego żelazo spadając, odbiło się o miecz rycerza, który rzucił się między nim a Zbigniewem krzycząc.

— Zanieście księcia do komnat i zawołajcie żyda.

Zbigniew niesiony przez wiernych żołnierzy ustępował z pola bitwy, ostatnie słowa jego były:

— Mestwinie, zakazuję ci z Mieczysławem walczyć, bo on z mojej ręki zginąć musi.

Słyszał dobrze słowa pana swojego Mestwin, ale jednak nie zaprzestał boju i zapewne znużonego przeciwnika byłby pokonał, gdyby nie rzucający się z obu stron dobrani żołnierze nie byli ich przedzielili w zamieszaniu.

Coraz trudniejszym stawało się położenie Mieczysława, osłabiony nie mógł z równą jak pierwiej potykać

się dzielnością. Razy jego padały na zbroje wrogów, ale już do ich serca przedrzeć się nie mogły. Zasłaniał go Henryk i jak lew rozjuszony zaściełał trupami mury, ale napróżno tak bohaterskiego męstwa dawał dowody, bo Mestwin ściągnął z innych miejsc posiłki, i coraz bardziej nadchodzące hufce tłoczyły się na przerzedzonych obrońców Mieczysława. Widział książę jak u stóp jego padali żołnierze i mógł już porachować nielicznych zostających jeszcze przy życiu towarzyszy.

Jeszcze dosyć długo trwała zacięta walka, aż dopóki sam tylko Mieczysław i Henryk nie zostali, bez żadnej wprawdzie rany, ale do szczętu znużeni. Mestwin wołał głośno do żołnierzy, by giermka zabili a pana starali się pojmać. Ostateczna zguba już bliską była tych dwóch młodzieńców, kiedy Wszebor po długich usiłowaniach potrafił przysunąć drabinę do murów o kilkanaście kroków od miejsca, w którym potykał się książę.

— Zatrzymajcie ich, niech nie dojdą do drabiny — krzyknął Mestwin.

I sam na czele dobranych rycerzy, chciał zapobiedz Mieczysławowi, ale nim to mógł skutecznie, już dzielny książę stanąwszy z Henrykiem przy drabinie, skoczył na nią.

— Łucznicy — zawołał Mestwin — dosiągnijcie ich, pociskami dobrze wymierzcie, kto trafi księcia, dwanaście sztuk złota dostanie.

Na te słowa wyleciała chmura strzał, z których żadna nie trafiła schodzących bohaterów. Po chwili Mieczysław z giermkim dostali się do równiny, w tej samej chwili ogromny kamień rzucony przez rycerza z Wiederthalu zwałił drabinę. Łucznicy znowu rozstawili się po basztach i dawna wróciła się bitwa, ale nie z taką odbywana jak rano prędkością, bo znużeni żołnierze dobrze naciągać łuków już nie mogli.

Tymczasem Ściech dowiedziawszy się o zdarzonych wypadkach przez Jąrosza z Kalinowy, którego był posłał do Wszebora, przybiegł natychmiast z kilkoma rotami i Skarbimirem, którego wszędy z sobą wodził, ale już za-

stał Mieczysława u stóp murów, na których niedawno z tak bohaterskiem potykał się męstwem.

— Górą książę Mieczysław — krzyknął uniesiony walecznością młodzieńca — do drabin, żołnierze moi, do murów.

I sam porwał drabinę i przystawił do wysokiej wieży, ale teraz runął na nią kamień i w kawałki potrzaskana w fosę wpadła.

— Nic im już dzisiaj nie zrobimy — rzekł Sieciech — przecież to od rana przepowiedziałem, trzeba żołnierzom i nam samym spoczynku; moją radą jest wrócić do obozu, i jeśli się podoba księciu Mieczysławowi, dam znak do odwrotu.

— Nie, nigdy — krzyknął młodzieniec.

Sieciech wskazał ręką na trupy wiernych księcia towarzyszy, które częścią jeszcze na murach, częścią w rowie leżały.

— Czyż wszyscy dzisiaj mamy tak zginąć, książę? Czyż taka twoja wola? Wprzód usypmy szaniec na polu, przygotujmy tarany, drabiny, chrósty, kamienie, zaopatrzmy się w oręż i żywność, przetnijmy dowozy do zamku, poczekajmy na posiłki z Ciechanowa przybyć mające, a wtenczas żołnierze z większą ufnością pójdą do boju; nareszcie wszyscyśmy znużeni i trzeba nam kilka dni odpoczynku, to na wyleczenie rannych, to na pochowanie zabitych, to na pokrzepienie osłabłych, ale zresztą czekam na oznajmienie twej woli, książę.

— Przystaję na twoję — odparł Mieczysław — uznając roztropność rad twoich, ale nim nakażemy odwrot, wprzód jeszcze świętej wdzięczności nas wzywa obowiązek, który najchlubniej na tem krwawem pobojuwisku spełnić. Henryku, zegnij kolana.

Przykląkł na rozkaz pana giermek, a książę Mieczysław uderzył go w ramię po trzykroć skrwawionym mieczem.

— W imieniu — rzekł — Boga, Najświętszej Panny, świętego Michała i Stanisława, pasuję cię na rycerza Henryku z Kaniowa; bądź rzetelnym, pobożnym i wale-

cznym, a na znak swojej godności przyjm ten upominek ode mnie.

To mówiąc, zdjął świetny łańcuch złoty z piersi i zarzucił go na szyję Henryka, którego własną podniósł ręką, dodając, że mu najmilej będzie, jeśli przy jego boku pozostać zechce.

— Ciebie bronić i tobie służyć pierwszą zawsze dla mnie powinnością będzie, księżę i panie moj — odpowiedział rycerz Henryk z Kaniowa.

Tymczasem grad pocisków nieustannie raził oblegających.

— Wojewodo krakowski — zawołał Mieczysław — daj znak do odwrotu.

Natychmiast zagrzmiała trąba, usłyszane to hasło wstrzymało od bitwy wszystkie wojska szeregi. Zwinięto sztandary, odsunięto tarany, pozbierano o ile można było trupy i z tym smutnym morderczej walki dowodem zaczęły ustępować hufce, wodzowie szli za swojami rotami, ostatni raz strzały wysypały się na nich z zamku Zbigniewa, ale nie wielu trafiły. Wieczór się już zbliżał; słońce zapadało otoczone orszakiem chmur złotych, jak król odchodzący ze swoimi dworzany. Czasami odzywały się tłumne głosy, czasami słyszano piosnkę żołnierską, a wkrótce potem wojsko weszło do obozu, gdzie ze smutkiem liczyli wojownicy nader mnogą liczbę namiotów opuszczonych, pozbawionych już swoich rycerzy.

ROZDZIAŁ XI.

Turnieje, zabawy rycerskie, niech ukolyszą wzburzone serca przeciwników, niech sobie dłoń podadzą bratnią.

Stary romans.

Zboczmy teraz od głównych osób naszej powieści, wracając do biskupa Stefana, który odjechawszy w chwili rozpoczęcia walki, smutnie zbliżał się do Płocka.

Puściwszy wolno cugle koniowi, rozmyślał starzec nad nieszczęśliwemi skutkami domowej wojny i niezgody, i szukał jeszcze sposobów odwrócenia ich. To cichą serca modlitwą błagał Boga, to znów pogrążony w zadumaniu ważne odkrywał widoki i nowe przedsiębrał zamiary. Darremno towarzyszący rycerze chcieli przerwać jego czarną smętność, nie zważając na ich mowy, spokojnie w milczeniu jechał, ale kiedy już stałe powziął przedsięwzięcie, kiedy znalazł sposób którym się spodziewał że zaradzi nieszczęściom ojczyzny, ściągnął osłabłą ręką wodze u konia i krok jego przyspieszył. Dostawszy się do Płocka, zsiadł przy swoim mieszkaniu złączonem z kościołem katedralnym i wszedł do niego; ale kiedy wszyscy sądzili że myśli odpocząć po tak męczącej drodze, znów go ujrzeli wracającego na ganek i na koń siadającego. Ale nie ku obozowi już się teraz obrócił, udał się w najludniejszą stronę miasta i po kilku chwilach wjechał na dziedziniec zamku królewskiego. Zostawiwszy konia jednemu ze swoich koniuszych, wszedł sam do sieni, znikł z oczu zdziwionych dworzan, którzy nie wiedzieli co rokować z tak nadzwyczajnego pośpiechu, w osobie tak wysokiej godności i lat tak podeszłych.

Wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa siedział w przedpokoju królewskim pustym teraz, bo wiele osób zwyczajnie go zappełniających udało się częścią do Zbigniewa, częścią do Mieczysława. Bezwątpienia myślał o przyjemnym dla siebie przedmiocie, bo uśmiech całą twarz mu rozjaśnił, a pukiel czarnych włosów, któremu z umileniem się przypatrywał, trzymał w prawej ręce; na lewej zaś sokół ulubiony trzepotał skrzydłami.

Zapewnie głęboko musiał się zastanowić nad drogim upominkiem, bo nie słyszał otwierających się drzwi za sobą i dopiero za dochodzącymi go słowy:

— Wolimirze! czy można naszego miłościwego króla oglądać?

Odwrócił się i ujrzał stojącego Stefana.

Zawstydzony że go biskup podszedł, kiedy rozmyślał o rzeczach tak światowych, porwał się natychmiast z krzesła, schował przedmiot miłosnych dumań i odpowiedział:

— Choć najjaśniejszy pan słaby na zdrowiu, zapewne jednak nie odmówi odwiedzin biskupa plockiego.

— Oznajm mu więc, proszę cię, moje przybycie i powiedz że ważne przynoszę nowiny.

Poprawił trochę pomięty kołnierz wielki sokolnik, otarł rękawicą buty, wziął do ręki czapkę z czaplemi pióry, przypasał pałasz leżący na stole i udał się do Władysława Hermana; niezadługo potem wróciwszy, wprowadził biskupa do króla polskiego, który spoczywał na łożu słoniowem, bogatą pokrytem makatą, i ciężkie kołnierzem bólesci ciąglemi modły.

Ledwo wszedł biskup do pokoju, aliści Władysław powstał i opierając się na rękę, zawołał.

— Co się stało ze Zbi... — i zatrzymawszy się — Wszebor, Mieczysław co robią? Ale czegoż mam ukrywać słabość moją? Zbigniew, Zbigniew! Co się ze Zbigniewem stało, kapłanie?

— Królu i panie mój, Zbigniew jest w swoim zamku. Tam go przynajmniej zostawiłem.

— Cóż mówił? cóż zamyslał, biskupie? czy nie ranny? czy zdrow? — zapytał król, zapominając o tem że Stefan nie był walce przytomny.

— Staralem się — odrzekł biskup — namową odprowadzić go od nieszczęśliwych wojen, wystawialem mu wszystko co sądziłem być zdolnem do wzruszenia jego serca, ale chęć sławy, namietność do bitew przemogła nad moje rady i teraz zapewne bój się już toczy.

— Twoja to wina, krwi pragnący kapłanie — zawołał król w rozpacz — tyś mię przymusił wydać rozkaz Sieciechowi do bitwy. Tyś uzbroił moję rękę na syna, ty wyzuty z najmilszych uczuć, rozerwałeś, rozszarpałeś moję duszę, tobiem winien strapienia, zgryzoty, a wkrótce może i stratę syna. Stefanie, gdyby nie twoje namowy i groźby, teraz może przy Zbigniewie doznawałbym najżywszych miłości ojcowskiej wzruszeń. Nie musiałbym się co chwila obawiać o śmierć mojego dziecięcia, co chwila wyobrażać sobie podniesione nań miecze, lub utykające w jego piersiach strzały. Użyłeś za narzędzie swoich zamiarów, słów Boskich. Pogroziłeś mi piekłem, obiecywałeś zbawienie; gdzie to zbawienie, kapłanie? gdzie ta nagroda sprawiedliwości? Może nazwiesz nagrodą żal zapelniający mój umysł, boleść przerażającą me serce, przerażenie ścisnąjące wszystkie moje siły. Tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko na złe obrócił, a teraz jeszcze jak duch piekielny przychodzisz urągać z twojej ofiary.

Wytrzymał tę burzę biskup z największą spokojnością od początku do końca, nareszcie kiedy król przestał mówić i opadł na łożo, z uroczystą ozwał się powagą:

— Panie mój miłościwy, widzę z żalem jak daleko szlachetne i chlubne twego serca przymioty mogły cię unieść, wszystko ma przeznaczone dla siebie granice, a miłość ojcowska nawet ich przekraczać nie powinna. Dla przywar i występków syna, nie godzi się cały naród poświęcać i poddanym krzywdy wyrządzać. Nieszczęście zesłało na twoję głowę trudne do zniesienia ciężary, bo przyznaję, że syn nieposłuszny i nieodpowiadający staraniom ojca, najboleśniejszym jest ciosem; możesz go żałować, możesz opłakiwać jego błędy, ale nigdy im pobleżać,

kiedy jeszcze tyle dzieci innych, poddanych przez Boga twojej opiece, woła o sprawiedliwość. Wspomnij, królu, na tego patryarchę szanownego sędziwym wiekiem i tyłoma notami, wspomnij na jego syna tak różnego od dzisiejszych synów, tak pobożnego ku Stwórcy, tak posłusznego swojemu rodzicowi. A jednak ojciec za rozkazem Pana Niebios, nie wahał się wznieść noża ofiarnego na głowę niewinną swojego dziecięcia. Porównaj jego położenie z twojem, jego poświęcenie z własną słabością. Królu Lechii, zbierz siły i mocny otuchą że Bóg sprzyja cniecie, przestań narzekać na Niego, schył głowę przed sądami Stwórcy i posłuchaj rad moich, posłuchaj jaki sposób znalazłem do uratowania Zbigniewa, do pogodzenia go z Mieczysławem.

— Jakiż to sposób? — zawołał król, który przestraszony już własną śmiałością, gotów był błagać o przebaczenie biskupa. — Jakiż to sposób, święty Boga pomazańcze? Daruj mi niebaczną mowę. Uniósł mię gniew niesprawiedliwy, bezbożny, ośmieliłem się powstać na człowieka Bożego. Zapomnij o tem, biskupie plocki. Król Polski przeprasza ciebie i zarazem Boga, którego jesteś pośrednikiem na ziemi; powiedz co odkryłeś na wyratowanie Zbigniewa, na ocalenie syna mojego i ojczyzny razem.

— Miłościwy mój panie — odparł biskup — twoje uniesienie już z mojej uszło pamięci, człowieka słabość ustąpiła przed uszanowaniem winnem mojemu monarsze. Byłem w zamku Zbigniewa, widziałem przygotowania do bitwy, widziałem twarz jego zachmurzoną żalem i wyrzutami sumienia, ale źli doradcy, ale szatan wszędzie mu towarzyszący, ten rycerz niemiecki, odwiedli jego kroki od enoty i sławę o którą się ubiega, wskazali mu wpośród zbrodni i morderstw. Bóg nieprzebrany w litości może go jeszcze nawrócić do siebie, spoglądałem nań z uwagą, kiedy mi przyszło twe imię wymówić i dostrzegłem na licach uczucia skołataney duszy, nazwisko ojca go wzruszyło, pamięć na ciebie wprawiła w wahanie i mam słuszne przyczyny do wnoszenia, że gdyby łyzy twoje ujrzał, napomnienia usłyszał, dobroć poznał, wtenczasby się rozczulił i dla ojca odrzekł się niegodnych związków i niegodnych czynów.

— Biskupie — rzekł król słabym głosem po chwili namysłu, podczas której zdawało się że sobie coś przypomina — kocham go nadewszystko, ale dobrze pamiętam jak niedawno temu zaparł się przede mną występku swego, jak dał słowo że nic nie wie o porwaniu Hanny. Syn którego wychowałem, pieściłem w dzieciństwie, który nieraz spoczywał na mojem łonie, obrócił się przeciwko mnie samemu, oszukał moją dobroć, ufność zdradził, przysięgając, że nie spełnił zbrodni, do której wszystko go teraz zmusiło się przyznać. Ile razy mówiłem mu dawniej, Zbigniewie, jeśli co złego popełnisz, przyznaj się ojcu; u niego pobłażanie i miłość znajdziesz. Chytrzy, fałszywi przyjaciele namówią cię do jakiego występku, nieostrożny wpadniesz w przepaść, ale on cię z niej wyrwie, jego wyrzuty ciebie straszyć nie powinny, bo zawsze wpośród nich przebaczenie rozeznasz, ale odstąpił teraz Zbigniew ode mnie, zasiadł w swoim zamku pomorskim i otoczył się cudzoziemcami. Donosili mi przyjaciele o gwałtach i zdzierstwach, które popełniał. Wierzyłem czasem, najczęściej miłość ojcowska mnie zaślepiła, ale nareszcie przekonałem się o mojem nieszczęściu, rozerwana zasłona spadła mi z oczu, zniknął cel moich starań i najdroższych uczuć, a został zbrodniarz. Ach! syn mój zbrodniarzem!...

Biskupie, ty tego nie czujesz, tyś nigdy nie miał dzieci, tyś nie patrzył na młode ich lata okiem pełnem nadziei, tyś nie pielęgnował tej młodej latorośli, tyś jej nie okrywał cieniem własnych gałęzi i nie czujesz teraz jak ona się wzniosła, okrążyła pień zestarzały, nie czujesz jak codzien pnąc się do góry, coraz mocniej go obejmuje, ścisła i przytłumia. Poświęciłeś się Bogu, a żadna myśl ziemską nie przerwała spokojności twej duszy. Ale prawda jest, że grzech daje zawsze grzechowi początek. Grzech go na świat wydał, a zbrodnia przyjęła jeszcze w powiciu i napiętnowała cechą zniszczenia i zaguby. Ach! jakżem nieszczęśliwy, biskupie!... — tu oddech przerwany zatrzymał Władysława. Załamał ręce i wzrok wlepił w Stefana, który z trudnością łzę wstrzymywał w oku.

— Nie opuszczaj się tak, panie mój — zawołał skup — i jeśli ziemia dla ciebie zdrajców tylko wyd

jeśli świat znikomy zawiódł twoje nadzieje, niebo ci się zostaje, otwarte są jego bramy przed skruchą i zmartwieniem.

— Niebo, ach niebo! — odrzekł król Polski — tak, niebo, ale nie będzie tam Zbigniewa. — I zalał się rzewnym płaczem.

— Może Bóg pozwoli...

— Nie, ach! Bóg jest sprawiedliwy, przebrała się miara jego przestępstw. Morderca, zbrodniarz, zatruwający starość ojca, walczący z bratem, nie znajdzie wstępu do przybytku cnotliwych.

— Królu mój miłościwy, czas upływa, chwile nam drogie na narzekaniach przepędzamy, Władysławie Hermanie królu Polski...

Ale nadaremno głos biskupa odbijał się o głuche sklepienia, bo już nie dochodził do uszu przygniecionego strapieniami ojca.

Zawarł oczy Władysław, sine plamy lica mu pokryły i zdawało się, że już żelazna ręka śmierci ciąży na nim.

Przerażony biskup zawołał na Wolimira. Ale wielki sokolnik niespodzianie zaskoczony, musiał znów odzież poprawić, pukiel czarnych włosów schować i przerywając swoje dumania, wybrać się do pokoju królewskiego; kilka chwil uszło nim odpowiedział na głos Stefana, kilka drugich upłynęło nim porwał sokoła. A kiedy stanął u drzwi komnaty, niebezpieczeństwo Hermana doszło do najwyższego stopnia.

— Rzuć niepotrzebnego ptaka i pomóż mi ratować swego króla i pana, opieszaly sługo — krzyknął Stefan, podnosząc głowę monarchy.

— Nie tak opieszaly jak ci się zdaje, szanowny biskupie — odparł Wolimir — i wyjąwszy z sukni flaszkę napełnioną mocnym płynem, zaraz króla zaczął ocucać, opowiadając Stefanowi, że jeszcze nad brzegami Sekwany które kiedyś odwiedzał, uzyskał był od damy dworu królowej francuskiej ten upominek, nieodstępujący odtąd nigdy jego piersi a wielce w tej chwili przydatny Władysławowi, bo po

chwili wolniej oddychać zaczął, podniósł głowę, otworzył oczy i niezadługo potem pożegnał sokolnika, dziękując za ratunek i mówiąc że chce sam na sam z biskupem zostać.

— Lepiej żebym już zginął — rzekł do Stefana — tak spokojnie, tak cicho w mojem sercu przez kilka chwil było, a teraz wrócony życiu znowu czuję i widzę moje nieszczęście.

— Stałość i moc duszy powinna znamionować tych, których Bóg za władców ziemi przeznaczył — odpowiedział biskup. — Królu, dosyć już czasu strawiliśmy na płaczach, przystoi nam pomyśleć nad zaradzeniem klęskom krajowym i osobistym.

— Mów więc co sądzisz być do tego przydatnem, bo ja cię słuchać tylko mogę.

— Pewny jestem — zawołał biskup — że przytomność, że głos ojca zmiękczą Zbigniewa; koniecznie rozkaż mu się stawić w tym zamku przed sobą, jedyny to sposób, innego nie upatruję, choć uważnie okoliczności z ich powodami i skutki rozważyłem. Wśród burz namiętności, wśród uniesień szału zapalczego, jeden tylko głos przyrodzenia powstać i utrzymać się może. Roztropność wieku sędziwego, świętość wiary, nie na hardym księcia umyśle dotąd nie zdziałały, ostatni ratunek pozostaje w tych skrytych w głębi serca uczuciach, które długo stłumione odzywają się nareszcie i często błędzącego z brzegu przepaści odrywając, w postaci bohatera pod nieba unoszą. Tych się chwycić trzeba, te poruszyć należy, a niewątpliwie że Zbigniew padnie do nóg ojcu i winy swe uzna.

— Dałby to Bóg. Ale jakże go tutaj sprowadzić? Nie zechce wyjść z swego zamku, Mestwin go zatrzyma. Ach! Boże, jakżeś srogo mię ukarał.

— Właśnie w tem cała trudność polega — rzekł Stefan; — twoja powaga powinna synowca na pewny czas wstrzymać od walki, a Zbigniew nie mając z kim walczyć, tu się stawi. Nie będzie on śmiał stargać świętych związków łączących go z ojcem, jak tyle innych już w ży-

ciu potargał. Trzeba kogoś wysłać do niego. W tem wybór do ciebie, królu, należy.

— Wybierz sam, biskupie, bo mój umysł osłabły do niczego nie zdolny. Ach! Boże! Ach! Zbigniewie, ty nie wiesz co cierpi twój ojciec.

— Zdaje mi się — odpowiedział Stefan — że zdającym jest do tego Wolimir z Moskorzewa, wielki sokolnik.

Pomyślał król przez chwilę.

— Wolimir — powtórzył — wierny jest naszej osobie, ale zbyt prędko unosi się gniewem, zbyt roztagonionym i lekkim jest do takowej sprawy. Jego więc wyszlę do Skarbimira, tego nieoszacowanego doradcy, tego roztropnego...

— Przepraszam cię, królu mój miłościwy — rzekł biskup, — że ci śmiem przerywać. Skarbimir z Gulczewa może mieć piękne przymioty, lecz na męstwie i stałości potrzebnej w takim razie zupełnie mu zbywa. Ja to mówię, królu i panie mój, nie w chęci złośliwego osądzenia bliźniego, ale powodowany gorliwością w usługaniu tobie.

— Mylisz się, Stefanie, Skarbimir z Gulczewa przywiązany jest do mnie oddawna. Wszystko co wie, co czuje, wynurza przede mną, a szczerze jego serce nic skrytego przed moim wzrokiem nie zawiera. Proszę cię więc, byś zawołał Wolimira. On naszą wolę i polecenia poniesie dziś jeszcze do Mieczysława i pana Gulczewa.

— Niech więc tak się stanie, jak żądasz, najjaśniejszy panie. Wolimirze z Moskorzewa! wielki sokolniku Wolimirze!

Tego razu drzwi się prędeż otworzyły i wszedł Wolimir, pytając króla o rozkazy.

— Opowiedz mu wszystko, święty biskupie, bo ja nie czuję się na siłach. Ach! Zbigniew, Zbigniew.

— Wolimirze — rzekł biskup, — król Władysław przeznacza cię do ważnego poselstwa, które odbędziesz do obozu oblegających zamek księcia Zbigniewa.

chwili wolniej oddychać zaczął, podniósł głowę, otworzył oczy i niezadługo potem pożegnał sokolnika, dziękując za ratunek i mówiąc że chce sam na sam z biskupem zostać.

— Lepiej żebym już zginął — rzekł do Stefana — tak spokojnie, tak cicho w mojem sercu przez kilka chwil było, a teraz wrócony życiu znowu czuję i widzę moje nieszczęście.

— Stałość i moc duszy powinna znamionować tych, których Bóg za władców ziemi przeznaczył — odpowiedział biskup. — Królu, dosyć już czasu strawiliśmy na płaczach, przystoi nam pomyśleć nad zaradzeniem klęskom krajowym i osobistym.

— Mów więc co sądzisz być do tego przydatnem, bo ja cię słuchać tylko mogę.

— Pewny jestem — zawołał biskup — że przytomność, że głos ojca zmiękczą Zbigniewa; koniecznie rozkaż mu się stawić w tym zamku przed sobą, jedyny to sposób, innego nie upatruję, choć uważnie okoliczności z ich powodami i skutki rozważyłem. Wśród burz namiętności, wśród uniesień szału zapalczywego, jeden tylko głos przyrodzenia powstać i utrzymać się może. Roztropność wieku sędziwego, świętość wiary, nie na hardym księcia umyśle dotąd nie zdziałały, ostatni ratunek pozostaje w tych skrytych w głębi serca uczuciach, które długo stłumione odzywają się nareszcie i często błędzącego z brzegu przepaści odrywając, w postaci bohatera pod nieba unoszą. Tych się chwycić trzeba, te poruszyć należy, a niewątpliwie że Zbigniew padnie do nóg ojcu i winy swe uzna.

— Dałby to Bóg. Ale jakże go tutaj sprowadzić? Nie zechce wyjść z swego zamku, Mestwin go zatrzyma. Ach! Boże, jakżeś srogo mię ukarał.

— Właśnie w tem cała trudność polega — rzekł Stefan; — twoja powaga powinna synowca na pewny czas wstrzymać od walki, a Zbigniew nie mając z kim walczyć, tu się stawi. Nie będzie on śmiał stargać świętych związków łączących go z ojcem, jak tyle innych już w ży-

ciu potargał. Trzeba kogoś wysłać do niego. W tem wybór do ciebie, królu, należy.

— Wybierz sam, biskupie, bo mój umysł osłabły do niczego nie zdolny. Ach! Boże! Ach! Zbigniewie, ty nie wiesz co cierpi twój ojciec.

— Zdaje mi się — odpowiedział Stefan — że zdajnym jest do tego Wolimir z Moskorzewa, wielki sokolnik.

Pomyślał król przez chwilę.

— Wolimir — powtórzył — wierny jest naszej osobie, ale zbyt prędko unosi się gniewem, zbyt roztagonionym i lekkim jest do takowej sprawy. Jego więc wyszłę do Skarbimira, tego nieoszacowanego doradcy, tego roztropnego...

— Przepraszam cię, królu mój miłościwy — rzekł biskup, — że ci śmiem przerywać. Skarbimir z Gulczewa może mieć piękne przymioty, lecz na męstwie i stałości potrzebnej w takim razie zupełnie mu zbywa. Ja to mówię, królu i panie mój, nie w chęci złośliwego osądzenia bliźniego, ale powodowany gorliwością w usługaniu tobie.

— Mylisz się, Stefanie, Skarbimir z Gulczewa przywiązany jest do mnie oddawna. Wszystko co wie, co czuje, wynurza przede mną, a szczere jego serce nic skrytego przed moim wzrokiem nie zawiera. Proszę cię więc, byś zawołał Wolimira. On naszą wolę i polecenia poniesie dziś jeszcze do Mieczysława i pana Gulczewa.

— Niech więc tak się stanie, jak żądasz, najjaśniejszy panie. Wolimirze z Moskorzewa! wielki sokolniku Wolimirze!

Tego razu drzwi się prędeej otworzyły i wszedł Wolimir, pytając króla o rozkazy.

— Opowiedz mu wszystko, święty biskupie, bo ja nie czuję się na siłach. Ach! Zbigniew, Zbigniew.

— Wolimirze — rzekł biskup, — król Władysław przeznacza cię do ważnego poselstwa, które odbędziesz do obozu oblegających zamek księcia Zbigniewa.

— Przedziwnie! — zawołał sokolnik — przedziwnie! Gotów jestem na wszystko. Może po drodze znajdę stado kuropatw, a mój sokoł...

— Zostaw sokoła, Wolimirze z Moskorzewa, — dalej mówił biskup — i pilniej zważaj moje słowa. Przybyszy, oznajmisz księciu Mieczysławowi, że jego król i stryj żąda, by wojny na krótki czas zaprzestał. To samo wojewodzie krakowskiemu powiesz, Skarbimirowi zaś z Gulczewa ogłosisz wolę królewską, by natychmiast udał się do Płocka, na rozmowę z naszym monarchą, rękując mu, że podczas tego przeciwna strona do oręża się nie weźmie.

— Na Boga i świętego Huberta przysięgam to wszystko spełnić jak najprędzej, ale dzisiaj zdaje mi się, że już nie czas wyjeżdżać, bo zastanę wojska walczące, a głos jednego człowieka nie wróci do pokoju i porządku tysiące rozłożonych po szerokiej równinie i palających namiętnością do boju, jednak jeśli rozkażesz, miłościwy królu, natychmiast wyruszę.

— Ma prawdę za sobą Wolimir — ozwał się Władysław. — Jutro rano wyjedziesz, by tylko przed świtem jeszcze.

— Drugą uczyniłbym uwagę — rzekł Wolimir, — gdyby na to król mój i biskup płocki pozwolili.

— Mów wielki sokolniku — było odpowiedzią monarchy.

— Nie obrażaj się, miłościwy mój panie, — rzekł więc Wolimir — jeśli ci przedstawię, że nie tak łatwo zwabić księcia Zbigniewa, osobliwie w takim stanie rzeczy. Skarbimir z całą swoją wymową nic nie zdziała i lis szlachetnego nie przyciągnie orła. Pamięć nawet na ciebie, wątpię by tyle poruszyła księcia, żeby chciał na pierwsze zawołanie ojca opuszczać swoich ludzi i obleżony zamek, zostawując przed jego murami wrzącego ku sobie gniewem brata i sławnego z dzieł wojennych Sieciecha. Zdaje mi się, że lepiejby było inaczej księcia Zbigniewa przymusić do widzenia się z tobą,

najjaśniejszy panie, ale trzeba wtenczas przyczyny, którejby skutkiem było, ustąpienie jego nieprzyjaciół z pobojowiska. Czyby jaka zabawa rycerska, turnieje, naprzykład, tu się nie przydały? Dzień twoich urodzin, najjaśniejszy panie, niedaleki. Możemy łowy świetne wyprawić. Mnóstwo sokołów, psów, łowców, czeka na skinienie twoje.

— Dobra myśl — przerwał Stefan — i radzę ci królu, byś ją przyjął. Turniej osobliwie łatwiejszemby uczynił ich pogodzenie i świetności mu dodał.

— Kiedy tak chcecie, — odparł Władysław — urządzić to oba; słabość, a nadewszystko smutek siły moje nadwreżył.

— Na turnieju — dodał Wolimir — łatwo ci będzie ich pogodzić, najjaśniejszy panie, bo sława wszystko tam pobudza; gdzie idzie o sławę, nikną insze namiętności, jak przed moim sokołem siwek, lub kobuzów stada.

— Trafne porównanie — odparł Stefan, nie mogący lekkiego wstrzymać uśmiechu — więc za sześć dni igrzyska rycerskie się otwierają.

— Tak, za sześć dni, to jest we czwartek, jeśli się nie mylę, w dzień urodzin Władysława, króla polskiego, odbędzie się turniej w mieście Płocku, na który imieniem najjaśniejszego pana, Skarbimir z Gulczewa ma zaprosić księcia Zbigniewa i Mieczysława, rozumie się z innymi także. Wszystkiego zaś ma być główną sprężyną wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa, wyruszający jutro przededniem, wracający wkrótce potem i urządzający podług wszelkich prawideł rycerstwa ów turniej, który pogodzi rodzinę królewską.

Pa tych słowach głęboki oddał panu swemu pokłon i wyszedł z komnaty.

— Pierwszym warunkiem zaś będzie w tym turnieju — ozwał się biskup — ażeby ani Mieczysław ani Zbigniew doń się nie mieszały, a kiedy wszyscy zabawą zajęci ubiegać się będą o chwałę, znajdziesz czas, panie i królu mój, do pomówienia z jednym i drugim, do zbliżenia serc rozjątrzonych i załagodzenia sporu. Wiele ci

zapewne trudu ztąd wyniknie, ale pamiętaj, miłościwy panie, że to jedyny w tej mierze ratunek.

— Zrobię to, zrobię — odpowiedział Władysław — poświęcę się dla Zbigniewa, nie opuszczę syna w potrzebie, synowca uratuję, pokój, cnota...

Chciał dalej mówić, ale osłabł nagle, spuścił głowę na piersi i zalał się łzami, a kiedy biskup pocieszać go zaczynał, rzekł:

— Zostaw mnie teraz, szanowny Stefanie, udam się do modlitwy, która może zgoi ciężkie rany.

Kapłan szanując tę pobożność, opuścił go w milczeniu, odchodząc nie omieszkając powtórzyć Wolimirowi raz już danego złeczenia.

— Zobaczysz, szanowny biskupie, jak pięknie się sprawię — zawołał wesoły sokolnik. — Nie znam się na locie ptaków ani na łowach, jeśli nie pogodzimy tych młodzików; poselstwo z przykładną powagą odbędę: Skarbimirowi męstwa natchnę w serce, co najtrudnijszem będzie ze wszystkiego. Ale na wszystkie sokoły w Polsce, zapomniałem, że mi jutro przed wschodem słońca wstać potrzeba, i że się nie wywczasowawszy mogę zasnąć w obozie i źle się spisać. Więc żegnam cię, biskupie i zabieram się do spoczynku, w tej komnacie noc przepędzę, gdyż dzisiaj jestem, jak to najczęściej się zdarza, na służbie.

To mówiąc, obwinał się płaszczem i usiadł w szerokim krześle...

— Gdyby król mocno zasłabł, natychmiast każ mi o tem donieść Wolimirze — były ostatnie słowa odchodzącego Stefana, ale podobno ich wielki sokolnik nie słyszał, gdyż snem twardym ujęty, marzył już o sokołach i puklach dziewiczych.

ROZDZIAŁ XII.

Oj nie bardzo sobie życzę
Oglądać jego oblicze.
Gotów w zapale wściekłości
Wszystkie potrzaskać mi kości.

Piosnka gminna.

— Stój! jakie hasło? — krzyknął żołnierz stojący przy końcu obozu rozwiniętego przed murami Zbigniewa, na człowieka, który jeszcze przed wschodem słońca na rozpędzonym przybiegał koniu.

— Stój! — powtórzył — jeśli nie chcesz z życiem się rozstać... jakie hasło?

— Na wszystkie sokoły — odparł jeździec — nie znam twego hasła, puszczaj mnie, bo na Boga, śpieszyć się muszę.

— Stój! — groźnie po trzeci raz ozwał się żołnierz i pikę w pierś konia skierował.

— Do szatana, na piekło i belzebuba, człowiecze, co robisz! przybywam od króla Władysława, puszczajże mnie, bo na wszystkie orły gór karpackich, niemiłem ci będzie moje przywitanie. Czyż nie znasz wielkiego sokolnika Wolimira z Moskorzewa.

— Nie znam, tak jakim Michał z Jarłuty — krzyknął zawzięty żołnierz — i choćbyś tu godzinę mi wyliczał swojej godności imiona, nie puszczę cię, nim mi hasło powiesz, lub przez moje ciało przejedziesz.

— Piekielnieś uparty, Michale, przysięgam ci, żem Wolimir, król nasz Władysław, o którym już musiałeś słyszeć, przysłała mnie do księcia waszego.

— Nie ludź mnie napróżno — odmruknął strażnik — bo nie dla ciebie uczynić nie mogę.

Podczas tego sporu, kilku innych żołnierzy zgromadziło się wokoło towarzysza, chwając głośno jego pilność i ostrożność; na nieszczęście żaden nie znał Wolimira, bo właśnie wielki sokolnik trafił na hufce Wszebora, które niedawno z Ciechanowa przybyłe, nikogo w Płocku nie znały.

Tymczasem chmury okrążające niebo poszły w rozpukę na wszystkie strony, i oświecone najżywszemi farbami zdawały się w uszanowaniu czekać wschodu słońca. Dzień coraz się jaśniejszym stawał. Lały się potoki ognia na błękitne sklepienia, a wreszcie gwiazda światłości ukazała się w całym przepychu złotych i purpurowych promieni. Ten widok podniecił gniew sokolnika.

— Do dyabła, spóźnię moje przybycie; co król, co biskup powiedzą! Żołnierzu, puść mnie natychmiast, bo przysięgam, że zdrowo nie wyjdiesz z tej sprawy, puszczaj, bo cię zwałę pod końskie kopyta.

— Precz ztąd, zuchwalcze — zawołali wszyscy, ujmując się za towarzyszem, ale zniecierpliwiony Wolimir spał rumaka i rzucił się pomiędzy tłum żołnierzy; z początku odstąpili, ale potem ścisnąwszy swe koło, zatrzymali wielkiego sokolnika, który widząc, że trzeba się chwycić ostateczności, dobył oręża, ale nie ochroniłoby to go od grożącego niebezpieczeństwa, gdyby głos w tej samej chwili usłyszany, nie zatrzymał dzikich wojowników.

— Co to znaczy? niech każdy wraca na swoje miejsce, precz ztąd żołnierze! — i ukazał się Jarosz z Kalinowy, który na szczęście Wolimira nadszedł przypadkiem w tę stronę.

— To szpieg, to zdrajca, powroza! powroza! zawlec go do najbliższego drzewa.

— Do stu tysięcy strzał i łuków, precz mi ztąd motłochu! — krzyknął Jarosz. — Natychmiast cofnęli się żołnierze, a Wolimir podziękował dobrze sobie znanemu

towarzyszowi wojewody krakowskiego, by go zaprowadził do namiotu księcia Mieczysława.

— Ale jakim sposobem to się zdarzyło, wielki sokolniku? — rzekł Jarosz — prawda, że to wieśniacy, chłopci, ci żołnierze z Ciechanowa, my co innego, przecie zawsze stoimy zimą i latem w królewskim zamku.

To mówiąc, pokręcił węża i uklonił się Wolimrowi, który obtarłszy zakurzoną odzież, z wytworną postawą, gotował się iść do księcia.

— A cóż chcesz — odpowiedział — przybyłem tu, a kiedy nikt mnie nie znał, chciałem się z nimi zapoznać. Lecz ponieważ i wielcy sokolnicy nie mogą przeciw tysiącom poradzić, zapewniebym bez twojej pomocy życie i urząd postradał. Ale kiedy to wszystko teraz w żart się obróciło, macie moi przyjaciele — i rzucił z obojętnością pańską, niedawno zawziętym na siebie, garść pieniędzy. Poczem oddalił się z Jaroszem, poprawiając podczas drogi bogaty pas, na którym wisiał pałasz i kołnier szerokiego płaszcza, spiętego słabą klamrą, którą jak to opowiadał Jaroszowi, w Paryżu na turnieju był odebrał z rąk niezrównanej piękności.

— Król Filip wtenczas siedział — ciągnął dalej — na tronie, a wszystkie dziewice Franków, wszystkie róże Prowancyi zgromadzone, patrzyły na nasze igrzyska i gonitwy; pamiętam, jak gdyby to się dzisiaj działo, żem zwałił z konia Engerranda de Mortemar, wielkiego koniuszego króla, a oklaski wszystkich i wieńce z kwiatów spadały na mnie cudzoziemca, z dalekich krajów przybyłego. Był jeden wieniec droższym mi od wszystkich, bo rzucony ręką Eleonory de Montmorency...

— Już jesteśmy u namiotu księcia Mieczysława — przerwał mu Jarosz, który pierwszy raz słysząc o Paryżu, królu Filipie, Engerrandzie i Eleonorze, nie wiedział czy te osoby na ziemi lub na księżycu przesiadują...

— Szkoda, że nie trochę dalej go książę wystawić kazał, bobym ci mój opis dokończył, ale teraz muszę cię pożegnać.

Po odejściu towarzysza, przez chwilę stał przed

szerokim namiotem wielki sokolnik i dał znak żołnierzowi pełniącemu tam służbę, by go jeszcze nie wprowadzał; wyjąwszy pałasz z pochwy, przeglądał się w jego klindze czystej jak kryształ, która nieraz podczas boju lub łowów za zwierciadło mu służyła. Zadowolony z własnej postawy, z ułożenia włosów i całego stroju, postąpił dalej i wszedł do namiotu, w którym właśnie odbywała się narada wojenna złożona z księcia, wojewody, pana Ciechanowa, Skarbimira z Gulczewa i wyniesionego świeżo na godność rycerską Henryka z Kaniowa.

— Witam cię książę i was panowie, z życzeniem jak najlepszego dnia, nie opuszczając najpiękniejszych nocy. Zapewnieście trochę zdziwieni moim przybyciem, przysłał mnie najpotężniejszy i najjaśniejszy Władysław I. król polski.

— Witamy cię nawzajem — odparł Mieczysław — i niezmiernie nas uciesza twoja przytomność. Jakże się mój stryj miewa? Jakież są jego rozkazy?

— Co do pierwszego, odpowiem, że nie najlepiej. Co do drugiego, to właśnie będzie następnej mowy przedmiotem, mowy, którą proszę słuchać z uwagą, tak jak gdybyście własnego monarchę słuchali, gdyż jego wolę wam oświadczę. Wstęp do tej mowy krótki i zwięzły, składa się z tego, że mnie król Władysław przysłał. Osnowę zaś dzielę na trzy części.

W pierwszej ogłaszam wolę króla polskiego, zawieszenie broni, sześć dni trwać mające.

W drugiej oświadczam, że w przyszły czwartek, w dzień urodzin najjaśniejszego pana, odbędzie się turniej na rynku Płockim, na który zapraszam imieniem mego króla i pana, księcia Mieczysława, Sieciecha wojewodę krakowskiego, Wszebora pana Ciechanowa, Skarbimira pana Gulczewa i Kościelca, i wszystkich którzy tam zechcą się stawić.

Przystępuję do trzeciej i ostatniej części, w której pozostaje mi powiedzieć Skarbimirowi panu Gulczewa i Kościelca, że go król Władysław przeznaczył do świętnego i chlubnego poselstwa, które ma odbyć natychmiast do

księcia Zbigniewa, żeby go zaprosić na turniej i ogłosić mu zawieszenie broni, po którego upłynieniu, jeśli zechce, znów rozpocznie wojnę.

Domówienie należałoby teraz uczynić, ale na wszystkie dziewice Prowancyi przysięgam, że nie czuję się więcej na siłach, i że dobre śniadanie najlepiejby temu zaradziło.

— Żart przedziwny — rzekł Skarbimir drżący ze strachu.

— I ja tak sędzę! — zawołał Mieczysław.

— Wielki sokolniku, ja dodam, — rzekł Sieciech — żeś źle się wybrał z takimi żarty.

— Na wszystkie sokoły i orły, na wszystkie czarne i błękitne oczy, na krucze i bursztynowe dziewic warkocze, na ten pałasz u mego boku, na wszystkie turnieje całej Europy, nareszcie na przedmiot moich myśli i miłości, przysięgam żem prawdę powiedział.

— Dajże już pokój — ozwał się Wszebor — bo wprawisz w nas mniemanie żeś oszalał, lub zanadto winem...

— Przysięgam słowem rycerskiem, żem przysłany od króla, i że wszystko com wam powiedział, pochodzi z woli najjaśniejszego pana Władysława Hermana króla i władcy mego, a ktokolwiek poważy się o tem wątpić, przekonanie o prawdzie słów moich znajdzie na ostrzu tego miecza.

— Wierzę teraz! — krzyknął Mieczysław, zrywając się z siedzenia. — Ale cóż się stało mojemu stryjowi? czy sędzi, żeśmy dzieci na zabawę wypuszczone, z której muszą wracać za rozkazem nauczyciela? Nie, na Boga, dopóki Hanna w tych murach będzie, dopóty i kroku ztąd nie ustąpię.

— Gdzież ja mam iść do Zbigniewa? — rzekł Skarbimir — do takiego okrutnika, do człowieka przeklętego przez biskupa, jego oddech, jego słowa skazą moje niewinność.

— Jeśli tylko o twoją niewinność idzie — przerwał Sieciech — dawno po niej śpiewano *requiescat in pace*,

nie masz się czego obawiać. Ale do pioruna, nie jesteście niewolnikami; kto nas przymusi, a przynajmniej kto mnie przymusi ztąd odstąpić, kiedy nie taka będzie moja wola?

— Róbcie co chcecie, moi przyjaciele, — zawołał Wolimir — bylebym z głodu nie umarł; jeszcze noc była kiedyś wyjechał, wszyscy spali i nie nie mogłem dostać do jedzenia. Książę Mieczysławie, zginę, jeśli...

— Lassoto — rzekł książę do stojącego pazia — każ przynieść śniadanie dla wielkiego sokolnika.

— Posłuchajcie mnie — zawołał wtenczas Wszebor. — Dobrze umiem oceniać przyczyny powodujące naszym królem i panem. Chce on pokój wrócić, spór załagodzić i wstrzymać krwi rozlew. Jeśliście wierni poddani, winniście mu być posłusznymi.

— Jeśliście dobrzy Polacy, wasze serca z jego rozkazów cieszyć się powinny — rzekł Skarbimir. — Ale niech kto chce idzie do Zbigniewa, ja zaś nie myślę.

— Przysięgam na mój topór! — krzyknął Sieciech — że nie kto inszy, ale ty pójdziesz. Kiedy my dla posłuszeństwa broń ulubioną składamy, boje najmilsze porzucamy, ty możesz kilka kroków zrobić, i jeśli nie orężem, to językiem ojczyźnie się przysłużyć.

Zamilkł podskarbi i siadłszy w kącie, polecał się Świętym i Aniołowi Stróżowi.

— Przez sławę i zwycięstwa mojego ojca! — zawołał Mieczysław, wpadając w gniew niezwykły sobie — pierwiej te mury ode mnie na turniej się udadzą, kiedy idzie o życie, o sławę Hanny. Król każe mi się bawić, kiedy każdym uderzeniem mogę wroga zamordować; będę musiał siły wycieńczać dla przypodobania się królowi i dworzanom, kiedy serce moje ledwo mi z piersi nie wyskoczy; sześć dni trzeba będzie przepędzić w spokojności, dać czas Zbigniewowi do uzupełnienia zbrodni. Nie, przysięgam...

— Wstrzymaj się, książę — przerwał mu Wszebor — ogłaszam wam wszystkim, że usłucham woli króla. Nawijcie mię ojcem wyrodnym, bojaźliwym, niegodnym

imienia rycerza, nie to nie pomoże, pierwiej byłem Polakiem nim rodzicem; pierwiej przysięgłem na wierność monarsze, nim doczekałem się córki. Zapewnie złożyć broń w takim razie, wielką jest dla mnie ofiarą, ale nie straciłem z wiekiem tyle mocy i stałości, bym się na nią nie zdobył. Książę uczynisz co ci się podoba, ale nigdy ręka Hanny z Ciechanowa twoją nie będzie, jeśli nie przeniesiesz dobra ojczyzny nad szaloną miłość. Obieraj więc.

Usiadł w milczeniu Mieczysław, obiema rękami twarz zakrywając.

Tymczasem Wolimir nie stracił ani chwili i przedziwną zajadając sarninę, skrapiał ją węgierskiem winem.

— Przedziwne śniadanie! Ach! twój kucharz, książę, musi przybyć na turniej. Zdrowie twoje, Sieciechu. Na wszystkie sokoły, nigdym lepszej nie widział zwierzyny. Pijem do ciebie, Wszeborze. Nie mogę cię opuścić, giermku księcia Mieczysława.

— To jest rycerz Henryk z Kaniowa od wczorajszej bitwy — ozwał się wojewoda krakowski.

— A więc muszę zdrowie powtórzyć, bom się omylił. Do ciebie piję drugi raz, szlachetny rycerzu. Do was wszystkich panowie. Niech żyje król Władysław.

— Uczy nas religia i o nieprzyjaciolach pamiętać, więc zdrowie Zbigniewa. Nie zapominam i o nadobnej Hannie z Ciechanowa.

— Wielki sokolniku — rzekł, zwolna podnosząc głowę Mieczysław — odpowiedz królowi i stryjowi memu, że przybędę na turniej. Wszeborze! tyś tylko mógł mnie do tego przymusić.

— Synu mój ukochany, niech wszystkie najlitościwszych niebios błogosławieństwa spłyną na twoją głowę — odpowiedział rozczulony pan Ciechanowa — choćby nawet i król tego po nas nie wymagał, straciliśmy wielu ludzi wczoraj. Namioty zapełnione są rannymi i w takim stanie czasu, najmniej sześć dni potrzebujemy, do pokrzepienia wojska nowemi posiłki i do obwarowania obozu.

Własną więc korzyść połączamy z wolą monarchy. Nie prawdaż, Sieciechu?

— Zawsze z tą wolą monarchy występujesz, Wszeborze — odparł dumny wojewoda — a chciałbym, żeby czasem i naszych radzono się chęci, zresztą potwierdzam twoje wnioski, dodając, że turniej najpiękniejszą jest zabawą, i że się spodziewam spotkać na nim z księciem Zbigniewem.

— To się mylisz, wojewodo krakowski — rzekł Wolimir nieopuszczający stołu — bo ani Zbigniew, ani książę Mieczysław podobno walczyć na tym turnieju nie będą. Chce ich król nasz pogodzić.

— Pierwiej ogień z wodą! — krzyknął Mieczysław — pierwiej żmiję przypuszczę do łona, niż syna Władysława.

— Ależ na wszystkie sokoły, potężny Skarbimirze, śpiesz się do księcia, bo król największej prędkości i pilności po tobie wymaga.

— Jam dotąd sądził, że żartujesz, wielki sokolniku.

— Toś się bardzo omylił, bo daję ci słowo, że król Władysław obrał cię do tak ważnego poselstwa, znając twą mądrość i biegłość nie raz doświadczoną.

— To nie może być, ani mogę temu wierzyć... poco mnie do niego wysyłać, mnie starca nie wiele dni mającego do grobu.

— Tem mniej będziesz ich żałował, jeśli życie tam postradasz! — krzyknął Sieciech, i obróciwszy się do Lassoty, kazał mu przywołać Jarosza z Kalinowy.

— Skończyłem śniadanie — rzekł Wolimir — i przyznaję, że rzadko podobne w licznych nawet za granicą podróżach jadałem. Mam nadzieję, że będę mógł lepiej osądzić jeszcze twoją kuchnię, książę, bo myślę tu się zostać na obiad. Wątpię, by wprzód wrócił z zamku pan Głuczewa.

— Zapewne ledwie na wieczерzę wróci — zawołał Sieciech, mający największe upodobanie w poniżaniu podłego Skarbimira, który całą nienawiścią chytrego i złośliwego serca odplącał mu za częste żarty.

— A może Zbigniew do stołu zaprosi, — dodał Wolimir — tylko żeby nie do nazbyt wysokiego.

— Najwyższe miejsce — odparł wojewoda — najzaszczytniejszem jest zawsze.

— Zapewne — znów odrzekł sokolnik — i szkoda, żem mego sokoła z sobą nie przywiózł.

— A to naco?

— Boby odstraszał kruki i żarłoczne ptaki, które może będą przeszkadzać panu Gulczewa i Kościelca.

Tu powszechny śmiech, od którego nawet zamyślony Mieczysław nie mógł się wstrzymać, powstał w namiocie.

— Żeby przynajmniej — ozwał się Skarbimir — hufiec zbrojnych ludzi mi towarzyszył. Powaga królewska nawet tego wymaga.

— Już temu zaradziłem — przerwał wojewoda — kilku zbrojnych odprowadzi cię do bramy, bobyś inaczej uciekł wyszedłszy z obozu, a wtenczas prawdziwyby uszczerbek poniosła. Ale kiedy wejdiesz do zamku, zostawimy cię własnym losom i przeznaczeniu.

— Dlaczegoż, wojewodo krakowski, — zapytał się Mieczysław — nie mamy przystać na tę prośbę Skarbimira?

— Bo, mości książę, potrzebni są nam ludzie, a choć Henryk uniknął wczoraj śmierci, możeby to się dzisiaj nie powtórzyło.

— Więc wystawiacie towarzysza broni, podskarbiego królewskiego — rzekł pan Gulczewa głosem rozpaczony — na pastwę złoczyńców bez litości, wydajecie go wrogom zato, że wam przyprowadził własne hufce.

— Których — przerwał Sieciech — nie chciał przyjąć książę Zbigniew, wychodząc z sali naradnej.

Zamilkł zawstydzony podskarbi trafnym wyrzutem Sieciecha, który dostrzegł był czyn jego niegodziwy. Wtem ukazał się u wniścia do namiotu Jarosz z Kalinowy.

— Dzielnym moim wojownikiem — zawołał Sieciech — odprowadź na czele swojego oddziału z białą chorągwią, potężnego podskarbiego królewskiego do zamku księcia

Zbigniewa. U bram się zatrzymasz i przekonawszy się, że wszedł do zamku, natychmiast się wrócisz.

Skłonił głowę Jarosz na znak posłuszeństwa, a Skarbimir widząc nieodzowną konieczność, stanął w środku oddziału i pożegnawszy wzrokiem napół smutnym, napół wściekłym przytomnych, oddalił się. Słyszał jeszcze dosyć długo głośnie śmiechy wojewody i wielkiego sokolnika, ale nareszcie wszystko umilkło. Minął ostatnie obozu namioty i powoli zbliżał się do zamku, z równem przerażeniem jak gdyby szedł na szubienicę. Chorągiew biała zdaleka jeszcze ujrzana dowiodła stojącym na straży przy moście zwodzonym, że w zamiarach pokoju zbliżają się do nich; natychmiast uwiadomili o tem pana, który wysłał na przyjęcie gości Jordana z Gozdowa. Grzecznie uklonił się rycerz podskarbiemu.

— Jaroszu — rzekł pocichu Skarbimir — obiecuję ci worek pełen złota, jeśli za mną do zamku pójdziesz.

— Potężny panie Gulczewa, nie potrzebowałbym nagrody dla oddania ci tej usługi, gdyby rozkazy wojewody Sieciecha mnie nie wstrzymywały, pozwól więc bym cię pożegnał.

To mówiąc, dał znak swoim ludziom do odwrotu, i zostawił Skarbimira z Jordanem, który kazał spuścić most zwodzony, a łoskot ztąd wynikły wydał się w uszach przerażonego starca, ostatecznym zaguby wyrokiem.

ROZDZIAŁ XIII.

Pragniesz mię, widzę, zdrajco schwyć w swoje szpony,
Zobaczym kto z nas lepiej w zradach wyćwiczony.

Bezimienny.

— Książę i pan nasz trochę słaby — rzekł Jordan prowadząc Skarbimira do komnaty Zbigniewa. — Ale Abraham z Hamburga obiecuje, że wkrótce go uleczy z lekkiej rany i że będzie mógł wrócić na pole bitew i sławy.

Rycerz żadnej nie uzyskał odpowiedzi, bo Skarbimir cały drżał od strachu i wszystkie nateżał siły, by nie upaść; to wszystko połączone z niespokojnością duszy, z niepewnością jak go przyjmie książę, w taką wprawiło go trwogę, że odrzekłby się wszystkich bogactw dla uniknięcia przykrego położenia. Nagle bowiem jak gdyby porwany z obozu i rzucony w mury nieprzyjacielskie, poglądał błędnym na otaczających wzrokiem, a słowa Jordana choć uprzejmie wyrzeczone, groźnie w jego uszach grzmiały. Miał jednak czas do przyzwyczajania się, bo nie zaraz za wejściem do zamku, do jego pana się dostał, przechodził wiele komnat i galeryj, ale wcale inszą postępował drogą od tej, na której Mestwin biskupowi przewodniczył. W każdym pokoju zastał mnóstwo zbrojnych, różnie czas przepędzających. Jedni z puhaem w ręku dawne opowiadali czyny, drudzy grali w kości i uniesieni namiętnością, jednym ruchem rozstrzygali los swój przyszły, lub też umiarkowańsi nie wystawiali całych majątków na pastwę ślepego losu, ale pomniejsze przedmioty jak hełmy, pałasze, sztylety. Słowem ożywiony zamek

przedstawił oczom Skarbimira liczne hufce i wesoło bawiących się rycerzy, którzy rzadko odwracali oczy na przypatrzenie się jemu. Dostał się on nareszcie do drzwi, za których otwarciem ukazały się ogromne z ciosowego kamienia schody, wybudowane w różne zakręty coraz bardziej wznoszące się do góry. Temi poszedł za znakiem danym od Jordana z Gozdowa, który znowu wszczął rozmowę opowiadaniem własnego poselstwa do jakiegoś dzikiego wodza Prusaków, ale i teraz żadnej nie uzyskał odpowiedzi.

Skarbimir czując, iż wkrótce przyjdzie mu spełnić zlecenie Władysława, zaczął nad niem myśleć i ochłodnawszy nieco z przestachu, urządził w myśli tryb całego postępowania, nareszcie i miłość własna nigdy nie opuszczająca człowieka, ozwała się w głębi duszy i przemógłszy nad bojaźń, pomogła do ułożenia mowy, w której miał ozdobnemi słowy i właściwemi wybiegami wolę monarchy oznajmić, dumy księcia nie zrażając i zarazem czyniąc zadosyć rozkazom króla. Dzięki długości drogi, zupełnie był przygotowanym do spełnienia odebranych zleceń podskarbi królewski Skarbimir z Gulczewa, kiedy Jordan z Gozdowa ostrzegł go, że przybył do komnaty księcia.

Byłto mały pokój z okrągłemi oknami i wysokim kominem, którego ognisko znacznie występowało. Łoże z zielonemi zasłonami stało po jednej stronie, a nad niem widziano zawieszoną zbroję leżącego teraz Zbigniewa, której brakowało tylko sztyletu położonego na stole obok łoża, przy którym siedział na aksamitnej poduszce Mestwin z Wilderthalu. Z drugiej strony Abraham z Hamburga obwijał ramię Zbigniewa szerokimi taśmami.

Syn Władysława bledszym się niż zazwyczaj wydawał, a chociaż uśmiech umiłał mu usta w chwili ukazania się Skarbimira, można było w nim rozeznąć pewną gorycz i uczucie boleści. Powiernik jego niemiecki dzikiem wejściem wpatrywał się w otaczające przedmioty, a jeden tylko Abraham zachowywał piętno zwyczajnej łagodności.

— Nie spodziewaliśmy się zaiste twoich odwiedzin, najhojniejszy z panów dworu ojca mojego, — rzekł książę, odpierając zwolna lekarza — ale kiedy przyszło do tego,

że ją słuchać musimy, mów prędko co masz do mówienia, bo zapewne wiesz, że cierpliwość nigdy moim nie była przymiotem, a teraz jeszcze zmniejszył się jej ostatek, kiedy dolega mi rana przez was sprawiona. Tak, przez was samych. Co za hańba! kiedym jak prawy rycerz walczył z twoim księciem Mieczysławem, kiedy wszyscy moi ludzie schowali oręż, wyleciał pocisk z równiny i zdrada dokonała tego, na coby nigdy Mieczysław się nie zdobył. Mieczysław, on, to dziecko miałoby mnie zwalczyć, jedno moje technienie zmiotłoby go z tych murów; ale sprawiaj się z swego poselstwa.

Taka mowa zastraszyłaby mężniejszego nawet od Skarbimira. Jak wryty stanął na środku pokoju pan Gulczewa i nie mogąc dalej postąpić ani wstecz się cofnąć, zapomniał nawet uklonąć się księciu i razem całej swojej mowy. Jej okresy jeden po drugim znikaly mu z pamięci, a ile razy otwierał usta, dreszcz śmiertelny przebiegając wszystkie kości, wstrzymywał go od mówienia. Zimny pot kroplami sączył się z czoła. Wzrokiem pomieszany patrzył na Zbigniewa i nie miał już mocy odwrócenia go w inną stronę. Zmarszczył brwi książę, ale poczekał jeszcze chwil kilka, a kiedy ciągle panowało milczenie, postanowił je przerwać.

— Cóż więc nam masz ogłosić panie Gulczewa? Pocoś tu przyszedł? Nuż do szatana, czyż nie otworzysz ust, jak gdyby na kłódkę zamkniętych? czyż ja mam pojedyncze ci zadawać pytania? Gadajże więc, do pioruna.

Ale to nie nie pomogło i podskarbi coraz bardziej opadając na siłach i nie mogąc się dłużej utrzymać, przykląkł na podłozie.

— Czyś oszalał, tchórze przeklęty! — krzyknął Zbigniew. — Raz przysyłają mi biskupa, któremu ust przytknąć nie można, to znowu człowieka, któremu ich niepodobna otworzyć.

— Dobry mam klucz na takie przypadki — rzekł Mestwin, wskazując na sztylet.

— Daj pokój — odparł książę. — Ale, Skarbimirze,

nie nudź mię tak długo, bo, na Boga, każę cię związać i wrzucić gdzie do lochu, w którym przespawszy się na słomie, rozum i mowę odzyskasz. Ale, na wszystkich świętych, zobaczycie, że zemdleje. Abrahamie, nie masz jakiego lekarstwa przydatnego podskarbiemu królewskiemu?

— Nasza nauka — odpowiedział Izraelita — zawiera ważne tajemnice; umie odwracać choroby, przewidywać ich skutki i zarządzać licznym ułomnościami, ale takiej słabości nigdy jeszcze nie widział, choć moje stopy okryły się kurzawą ziem odległych z tej i z tamtej strony morza, choć nie w jednej szkole uczyłem się boskiej sztuki uzdrawiania, bo najwięksi nasi mędrcomie w Hiszpanii i Cesarstwie Wschodniem dobrze znają Abrahama z Hamurrga, jednak na wszelki przypadek będę się starał mu pomóc.

Po tych słowach wyjął z szkatułki, z którąśmy już czytelników zapoznali, kawałek z odległych stron przywiezionego drzewa, i przyłożył go do skroni i nozdrzy Skarbimira.

Odskoczył wtył pan Gulczewa i uczył rozlewającą się siłę po wszystkich żyłach, już mu nogi nie drżały, już pot mroźny nie oblewał czoła i odzyskał nagle przytomność umysłu.

— Doskonale, — zawołał książę — radzę ci mieć zawsze przy sobie takiego lekarza.

— A osobliwie — dodał Mestwin — przy poselstwach zdałby się Abraham panu Gulczewa.

— Kiedyś już odżył, to zaczynaj — ozwał się Zbigniew.

— Racz darować, — rzekł nareszcie Skarbimir — racz przebaczyć, nieprzebrany w łasce i litości książę. Chwała, która cię otacza, moc nigdy nieodstępująca twój ramienia przeraziły moje serce. Słowa przez ciebie wyrzeczone wydały mi się grzmotem, upadłem na twarz przed tobą. Teraz wróciwszy do zmysłów, dobroć twoją bez miary poznaję, i ośmielam ci się oznajmić zlecenia przez mego miłościwego króla mi dane. Brzmiały one w następującej treści.

Twoje rozkazy świętymi są dla mnie, najjaśniejszy, króla nam panującego potomku, w najściślejszych obrębach rzecz moję obejmę. Władysław Herman pierwszy tego imienia... —

— Już pierwszy, ten wyraz niepotrzebny — przerwał Mestwin.

— Władysław Herman uprasza cię, książę, byś pozwolił na zawieszenie broni.

— A to dziwy teraz na świecie — zawołał Zbigniew — ojciec i król uprasza syna i poddanego ażeby pozwolił.

— Więc rozkazuje, — rzekł Skarbimir, u którego dosyć często złość, bojaźń przemagała — byś zawarł zawieszenie broni z księciem Mieczysławem, wojewodą krakowskim Sieciechem i...

— Domyślam się z kim więcej — znów przerwał Zbigniew — dalsze króla rozkazy mi ogłoś.

— Najjaśniejszy książę, zbliżają się urodziny twego ojca, zamyśla on przepyszny wyprawic turniej dla świetniejszego ich obchodu, na który zaprasza cię przeze mnie. Wszyscy twoi przeciwnicy tam będą.

— Turniej, — krzyknął Zbigniew — turniej Mój ojciec schorzały, wiekiem osłabiony, lubiący nadewszystko cichosć i spokojność, turniej wyprawia: widzę że się wszystko przewróciło od kilku dni na świecie. Już nawet zaczynałem się tego domyślać, kiedym nie mógł za drugim uderzeniem schwytać tego Mieczysława. Tego dziecięcia niedawno wyszłego z kolebki.

— Czekam teraz, z uszanowaniem i pokorą ci winną, odpowiedzi, najjaśniejszy książę.

Pomyślał przez chwilę Zbigniew, a potem obróciwszy się do Mestwina, rzekł:

— Tydzień nas dzieli od urodzin ojca, rana się zgoi a potem chcę ich widzieć. Chcę z Sieciechem kilka słów pomówić, nareszcie dlaczegoż miałbym nie uczynić zadosyć woli ojca w tak małej rzeczy; sześć dni później czy wcześniej zginą, wcale mię nie zastanawia. Dla nich życie jest drogie, bo już go dłużej posiadać nie będą.

Skarbimirze, możesz upewnić mego rodzica i monarchę, że przybędę na turniej życzyć mu szczęśliwych urodzin i pomyślnej starości.

Po tych słowach wskazał ręką drzwi podskarbiemu, ale ten zamiast pożegnania się z księciem, padł przed nim na kolana i z założonemi rękami prosił o pozwolenie wynurzenia najszczęśliwszych, jak mówił, chęci i pragnień.

— Znowu cud: — krzyknął Zbigniew — szczerość u ciebie; ale mów, pozwalamy.

— Najpotężniejszy panie, Bóg mi jest świadkiem że cię szanuję i uwielbiam nadewszystko, że Mieczysławowi nie sprzyjam, że ciebie tylko zawsze miałem na widoku. Tobie służyć najpożądańszą dla mnie rzeczą, w twojej służbie umrzeć najmilszą byłoby dla mnie nadzieją, przyjm ode mnie przysięgę wierności, a zato żądam tylko od ciebie łaskawego wejrzenia. Najjaśniejszy książę, wymów jedno tylko słówko, jedno pozwolenie, a Skarbimir najszczęśliwszym będzie.

— Precz mi — przerwał mu z gniewem syn Władysława — precz mi z oczu zdrajco! pochlebco! Precz ztąd — powtórzył sroższym jeszcze głosem — bo twoja głowa niepewna, dopóki w tych murach przebywa. Milcz podły zuchwalcze, milcz skąpcze obmierzły! Słowo jedno z ust twoich już mnie w wściekłość wprawia. Niech jeszcze twój głos usłyszę, a usta które go wydały oniemieją na zawsze. Wracaj do swoich, powiedz królowi jakieś pięknie spełnił poselstwo, jakieś przymusił wymową księcia Zbigniewa do usłuchania ojca, idź bezwstydnie kłamać jakieś tu bezczelnie zdradzał. Jordanie, odprowadź tego człowieka jak najprędzej. Mestwinie, usuń ten sztylet zpod mojej ręki, bo mógłbym, uniesiony gniewem, zgwałcić na jego osobie uszanowanie winne mojemu ojcu.

Natychmiast Jordan z Gozdowa silną ręką dźwignął z ziemi odchodzącego od zmysłów podskarbiego, i za drzwi go wyprowadził.

Ledwo wyszedł, aliści powstał milezący dotąd Mestwin i rzekł do księcia, kazawszy najprzód lekarzowi się oddalić.

— Zdać się nam może Skarbimir niezadługo; taki człowiek w naszym zamku próżnym byłby ciężarem, ale w obozie nieprzyjaciół nieoszacowanym jest klejnotem.

— Daj mi z nim pokój. Znam jego chytryść i podstępny, nie chcę, nie potrzebuję jego usług.

— Książę i panie mój, zaufaj memu doświadczeniu. Skarbimir samemu sobie zostawiony, mógłby stać się naszej sprawie szkodliwym pod pozorem przyjaźni i upokorzenia, ale znajdzie we mnie mistrza w niczem mu nieustępującego. Wykryję jego wybiegi i podstępny, wyświecę pierwszą jego myśl zdradziecką, a wtenczas któż nam zabroni zdjąć z szubienicy żołnierza i zastąpić go podskarbin?

— Rób co ci się podoba, Mestwinie, — odpowiedział zniecierpliwiony książę. — Na dzisiaj daj mi pokój i opuść mnie: snu potrzebuję.

To mówiąc, obrócił się do ściany, a Mestwin uzyskawszy pozwolenie, wyleciał z pokoju szybko, dobrze znanymi skrytymi schodami zstąpił na dół i w mgnieniu oka przebiegł cały zamek, po którym tak długo Jordan prowadził pana Gulczewa.

Już Skarbimir z radością widział otwierającą się bramę zamkową, już most zwodzony spuszczone, kiedy nowy głos: stójcie! — zawołał, i w tej samej chwili stanął przy nim Mestwin.

Na ten widok, pewny śmierci starzec skłonił głowę na piersi i głęboko westchnął, ale nim podniósł oczy, uczył przyjazne ściśnienie ręki i grzecznie wyrzeczone słowa usłyszał.

— Książę chory, trzeba mu uniesienie przebaczyć.

— Przebaczyć — powtórzył zdziwiony Skarbimir — ach! jakże nie przebaczyć takiemu bohaterowi, rycerzu Mestwinie z Wilderthalu.

— Posłuchaj mnie, panie podskarbi królewski, — rzekł Mestwin i odprowadził go na stronę.

— Gotów jestem — odpowiedział Skarbimir, poznając, że chcą go w jakieś sidła uławić. — Ale nie tak łatwo ze mną — pomyślał. — Alboż to nie przepędziłem

życia na dworze? alboż to poselstw mnogich nie odprawiłem? Alboż to nie oszukałem, nie zwiodłem tylu książąt i panów?

— Książę i pan mój — zaczął Mestwin — takiego jest ułożenia, że pierwsza myśl co się nawinie, zawsze mu się z początku najlepszą wyda, ale potem zastanowiwszy się często gotów jest do rozeznania rzeczy, którymi pogardzał, do szanowania osób, na które złem okiem patrzył. Właśnie to się samo dzisiaj zdarzyło; nieprzyjemnemi pożegnał cię słowy, aleś ledwo wyszedł, upamiętał się i przysłał mię do ciebie. Skarbimirze, czy można na ciebie rachować?

Te słowa ostatnie wyrzekł stanowczym głosem i mocno ścisnął rękę podskarbiego, który po chwilce namysłu odpowiedział.

— Jużem się oświadczył — odpowiedział — z poświęceniem bez granic dla księcia, a choć źle przyjęto moje życzliwość, w niczem się ona nie zmieniła.

— Pozostaniesz więc w obozie nieprzyjaciół, czy tu się przeniesiesz? — zapytał Mestwin.

— Uczynię, co książę rozkaże.

— Tłómacz się jaśniej, szczerze powiedz: czyś gotów wiernie służyć Zbigniewowi? Czy twoje usługi zdrady czasem nie pokrywają?

I patrzył się Mestwin na Skarbimira bystrym wzrokiem, chcąc przeniknąć tajniki jego serca. Ale nikt podskarbiemu nie mógł wyrównać w sztuce udawania, a w spokojnej naradzie, w której nie błyszczały miecze, rzadko kto potrafił zmieszać bezwstydnę czoło. Rycczowi też niemieckiemu nie zbywało na przebiegłości, a miał on tę wyższość nad panem Gulczewa, że czy to w cichej naradzie, czy pośród wrzawy i bojów, zawsze zachowywał niczem nienaruszoną spokojność. Wystąpili teraz ci dwaj ludzie równie chytry i niegodziwi, każdy w swoim rodzaju, do potyczki, każdy starał się myśli przeciwnika odgadnąć, każdy obiecywał sobie zwycięstwo, każdy był pewnym, że drugiego oszuka, ale rozważa i zimna krew Mestwina zapewniła mu wygraną, bo Skar-

bimir trwoźnem okiem poglądał na rękę rycerza, opartą jak gdyby od niechcenia na rękojęści stalowego sztyletu.

— Zdrada daleka ode mnie była zawsze i będzie, — odparł Skarbimir — przysięgam więc.

— Nieważna przysięga, — przerwał rycerz niemiecki — bom słyszał od wielu, żeś nieraz podobną naruszył i złamał.

— Kto mógł mnie oczerniać, kto oskarżać o taką zbrodnię, dzielny rycerzu? Staw mi go przed oczy, a moja niewinność zawstydzi jego potwarze.

— Przyszłoby mi wtenczas stawić przed tobą — zawołał Mestwin — panów wszystkich, którym kiedykolwiek służyłeś, przyjaciół, których zdradziłeś, całą Polskę, w której szeroko się rozlega pogłoska o fałszu twoich miotanych słówek i udanej cnoty. Sam powiedz, czy w tej chwili nie zdradzasz Mieczysława? więc pewniejszej mi trzeba rękojmi nad twoje przysięgi.

— Ja Mieczysława zdradzam? — odrzekł podskarbi. — Alboż udzielny pan Gulczewa ma jakie dla niego obowiązki lennicze? Alboż słowo lub wdzięczność wiążą mnie do niego? owszem chęć serca i uszanowanie zbliżyły mię do Zbigniewa. Nie od dzisiaj ozwały się te uczucia we mnie. Jeszcze w sali tronowej mu je oznajmiłem jak sam zaświadczyć może, i któż teraz tak ślepym, tak nierozsądnym będzie, ażeby mojemu słowu nie ufał, ażeby nie wiedział, że same niebiosy natchnęły mnie przywiązaniem do syna mojego monarchy?

— Wszystko to są próżne słowa — rzekł mocnym głosem Mestwin. — Nie możesz inaczej mówić w tem miejscu; będąc w naszej mocy, każdyby na takie same oświadczenia się zdobył.

— Więcej ci jeszcze powiem — zawołał z żywością pan Gulczewa. — Nie cierpię, nienawidzę Mieczysława, Wszebora, Sieciecha. Sieciecha tego wojewodę, który ufny w swoim mieczu, śmie mnie na śmiechy i żarty wystawiać. Choćbym nie czuł przychylności dla Zbigniewa, nienawiść ku wojewodzie jużby mnie kazała się zaciągnąć pod znaki jego nieprzyjaciół. On wzniósłszy

się na ten urząd nie wiedzieć zaco i nie wiedzieć dlaczego, mnie zestarzałego na dworze, mnie wiekiem i godnością szanownego, sto razy na dzień obraża. Mestwinie, wierz mi, gdybym mógł, udusiłbym go własnymi rękami.

Śluchał tych słów rycerz niemiecki z natężoną uwagą i na chwilę nie odwrócił oczu od twarzy Skarbimira, która dopiero teraz odbijała prawdziwe duszy uczucia, złość długo zatajona wybuchnęła we wścieklej mowie, marszcząc jego rysy, a oczy piekielnym ożywiając ogniem.

Odstąpił o kilka kroków Mestwin i rzekł pocichu Jordanowi z szyderskim uśmiechem:

— Trzymam go teraz w mojej mocy, pierwsze słowa szczere teraz wyrzekł i wpadł w zastawione sieci, łzięki miłości własnej, która nawet nad chytrą wzięła górę u niego.

Ochłonawszy z zapału, poznał Skarbimir, że niebacznie odkrył prawdziwy stan serca i gorzko westchnął, tak jak wojownik widzący, że po przegranej bitwie, musi ustąpić dzielniejszemu przeciwnikowi; nie stracił jednak zupełnej nadziei, spodziewając się, że może jeszcze potrafi złudzić Mestwina. Zaczął więc nanowo oświadczenia, powtórzył przyrzeczenia i zakończył dowodząc, że przejęty jest najżywszem do księcia przywiązaniem.

Rozśmiał się wtenczas głośno rycerz niemiecki i z urąganiem poglądając na podskarbiego, zawołał:

— Wierzę, wierzę, ale nie wszystkiemu, z początku i teraz na końcu bezwstydnie skłamałeś, we środku prawdę powiedział, a cóż czym nie zgadł?

Pozostał w milczeniu Skarbimir, gryząc sobie wargi.

— Panie Gulczewa — ciągnął dalej Mestwin — znam cię doskonale teraz, oszczędź sobie słów i zabiegów, bo nadaremne będą. Na świecie, gdzie tyłu jest niedoświadczonych lub nierozsądnych, możesz jeszcze się pokrywać barwą cnoty, możesz jeszcze udawaniem przyciągnąć i oszukać, ale w tym zamku już nie zdołasz. Są bowiem w nim ludzie, którzy wśród najburz-

liwszych namiętności, umieją ich uniesienia rozeznac od zimnej rachuby i wykrywać każdego skryte chęci i żądze. Skarbimirze, bądź wiernym Zbigniewowi, a nagrodę pewną ci obiecuję, czy zechcesz poniżenia Sieciecha, czy własnego wzniesienia. Wróć do obozu, w nim ciągle przebywaj i sprzyjaj naszej sprawie, wypełniaj nadsyłane od nas polecenia...

— Jakież one są?

— Dowiesz się o nich w przyzwoitem miejscu i czasie, a kiedy po drugi raz ujrzysz ten pierścień w ręku drugiego, bądź pewnym, że to mój posłaniec.

— Rozumiem.

— Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz zresztą postępować, skrytość i chytrość najmilszymi ci towarzyszami od dzieciństwa były, wszystko uważaj i pilnie nam donoś, pamiętaj oraz o pierścieniu.

— Więc mi szpiega rzemiosło przybrać trzeba, rycerzu?

— Nie szpiega, ale poświęconego sługi mego księcia i pana, bo, na wszystkie cienie pomordowanych tą szablą wrogów, gdybym kiedy odkrył chęć zdrady w tobie, nie długobys na tej ziemi przebywał. Dopóki wiernym nam będziesz, dopótyśmy przyjaciele, nie ośmielaj się walczyć ze mną, nie ubiegaj się o pierwszeństwo w podstępach, ostrzegam cię nie knuj żadnej zdrady, bo jak dzisiaj oderwałem zasłonę z twego serca, tak zawsze to samo potrafię uczynić. Przyznaję, że przez długi czas nikt ci nie zrównał na drodze fałszu i kłamstwa, dotąd pierwszym byłeś, ale dzisiaj uledez musisz wyższemu od siebie. Znalazłeś pana, który cię utrzyma na wodzy. Porwany jego potęgą, odtąd jego tylko rozkazy wypełniać będziesz, a jeśli zechcesz mu się sprzeciwiać, zrzuci cię on w przepaść, z której nigdy nie powstaniesz; idź więc, wracaj do obozu, spraw się Władysławowi z poselstwa, ale pamiętaj, że odtąd oko czujne czuwać będzie nad tobą, i że ręka zawsze gotowa spaść na twoją głowę, wiecznie ci będzie grozić zgubą.

Po tych słowach, odszedł Skarbimir złością i wsty-

dem przejęty. Budowę chytróści, którą z taką pracą wznosił przez lat tyle, zwał człowiek, na którego dawniej patrzył z pogardą. Wracał więc do obozu z spuszczoną głową, z rozpaczą w sercu, czuł, że odtąd wszystkie jego kroki śledzić będzie nieprzyjaciel skory do użycia najgwałtowniejszych środków, a sobie samemu musiał przypisywać winę tego nieszczęścia, czegoż było wydawać się tak porywczo z żalem do Sieciecha? Czyż tysiącnych wybiegów wynaleźć nie mógł na omamienie i odurzenie Mestwina? I rycerz ten pośród namiotu wychowany, częściej na koniu niż w radnem krześle siedzący, wziął górę nad przebiegłym Skarbimirem? I on nie potrafi zrzucić tego haniebnego jarzma? Takie myśli dręczyły zbliżającego się do obozu starca, jednak nadzieja zemsty nad Sieciechem pocieszyła go trochę, a potem rzekł sobie pocichu: nie Zbigniew to Mieczysław upadnie, i zawsze jednym mniej będzie, potem pomyślimy i o tamtym. To mówiąc, nagle odwrócił głowę i obejrzał się z mimowolnem przerażeniem na wszystkie strony, tak jak gdyby Mestwin go mógł słyszeć.

ROZDZIAŁ XIV.

Lecz w piersiach jego piekło zawrzało,
Zawrzała zemsty chęć wściekła,
Gdy się cofnąwszy z postacią śmiałą,
Te dumne słowa wyrzekła.
Niedość, że ciężką znosiłam mękę,
Że jeszcze zuchwały zbójca
Śmie mi zbrodniczą podawać rękę.

Zbrodniarz.

Wprowadzimy teraz czytelnika do jednej z komnat zamku księcia Zbigniewa, dotąd mu nieznaney, chociażśmy go często i może aż do znudzenia, po nim wodzili.

Żeby oznaczyć jej położenie, wypada powiedzieć, że wszedłszy na schody krążące się u wieży zachodniej, dosyć długo trzeba było iść niemi, nim się dostano do ciasnej galeryi oświetlonej teraz rzadkimi pochodniami, których migające się światło z trudnością się przedzierało przez nocne ciemności. Przy końcu tej galeryi widziano wyniosłe drzwi, nad któremi zakrzywiało się sklepienie, a za ich otwarciem okazywała się wzwyż wspomniana komnata, do której opisu przystępujemy, o ile nam tego dozwolą mdłe i słabe promienie samotnej lampy stojącej na długim stole, zajmującym cały środek pokoju. Kamienna posadzka dźwigała liczne siedzenia czarnem obite sukmem, i kilka szaf żelaznemi obwarowanych kratami, zza których lśniły się oręża wszelkiego rodzaju. Spoczywała tam bowiem polska szabla i francuska szpada, angielski topór i włoski sztylet, ciężki pancerz niemiecki i lekka

koleczuga południowych krain, strzały śmierć niosące zdaleka i wólczy zbliska rzucone, kilka ogromnych kopij stało opartych o ścianę ciemnem obiciem zakryte, na których rzadkie wisiały obrazy wystawujące morderstwa i walki. W głębi ukazywało się łożo zasłane niedźwiedzią skórą, blisko niego zaczynały się kamienne schody prowadzące do ciemniejszego pokoju, z którego wypływające światło wchodząc do szerokiej pod nim będącej komnaty, konało u stóp łoża, niewyraźnie już tarczę przy nim zawieszoną i napis na niej wyryty od innych odznaczając przedmiotów.

Wpatrywał się w ten napis rycerz Mestwin z Wilderthalu z założonemi rękoma i powtarzał czasem ze zwykłym sobie uśmiechem: „Śmierć temu, który się mnie dotknie!“ Czasem też oddalał ją od ściany i szybko przechadzając się po komnacie pojedynczemi wykrzyknikami: „do szatana, jej oczy! jej twarz! niema nic równego w Niemczech!“ poruszenie duszy odkrywał. Nareszcie usiadł przy stole i zaświsnął srebrną świstalką, wiszącą na sznurku okręcającym się naokoło szyi. Natychmiast ukazała się na schodach kamiennych zbiegająca z wierzchniego pokoiku osoba, która przystąpiwszy do rycerza, lekkim go przywitała ukłonem. Był to młodzieniec nie więcej nad ośmnaście lat liczący, w kształtnym paziów niemieckich stroju, twarz jego wiosenną szpecily oznaki burzliwych już namiętności, a ogień błyszczący w oczach stracił znamię niewinnej cnoty. Jakaś nawet ponurość daleka od wesołości najpiękniejszej życia pory, kaziła piękne jego rysy. Zresztą żywość i zręczność wydawała się w każdym poruszeniu, a włosy w gęstych pierścieniach szyję otaczające, przydawały jeszcze powabu do oblicza na nieszczęście zbrodnią a przynajmniej zimnem do niej przyzwyczajeniem nacechowanego.

— Ulrych, — rzekł Mestwin — powiedz mi szczerze, czy kiedy w naszych bogatych miastach lub na brzegach Elby, lub w górach dzikiej Szwajcaryi, lub nareszcie na świetnych turniejach naszej ojczyzny, widziałeś równą jej piękność, oko tak ponętne, kibić tak kształtną?

— Trudno mi być sędzią w tej sprawie, bo nie wiem o kim chcesz mówić, mój panie.

— O niej. Czyś nie słyszał, o Hannie?

— O księżnej naszej, rycerzu?

— Kto tu jest księżną? — zawołał Mestwin podnosząc się nagle i wściekle miotając na wszystkie strony spojrzenia. — Kto tu śmie ją tak nazywać, nie uzyskawszy wprzód pozwolenia ode mnie, prawdziwego tych miejsc pana? Kto tu jest księżną? dziecię, pytam się jeszcze raz ciebie.

— A zdaje mi się — odparł zdziwiony Ulrych — jeśli nie w błędzie, że taką jest żona księcia Zbigniewa.

— Kto tu jest żoną Zbigniewa? — po drugi raz zapytał Mestwin. — Czym na to się zgodził? Czyż jedno moje słowo lub skinienie potwierdziło ten obmierzły związek?

— A czemuż jest Hanna z Ciechanowa?

— Moją żoną! — krzyknął rycerz kładąc rękę na piersi — moją żoną lub trupem bez czucia, ciałem bez duszy za dni kilka.

Po tych słowach nastąpiło chwilowe milczenie, które znów przerwał Mestwin, odzywając się do Ulrycha:

— Nie chciałem wierzyć, żeby tajemnicza siła zapalała serca i w ciężkie okowała pęta. Spiewy naszych minstrelów i zalotności współtowarzyszów broni urojeniami się wydawały, gardziłem miłością, a jeśli uwodził dziewczyny, było to raczej skutkiem przyjemności, którą obiecywał sobie z ich łez i westchnień w chwili pożegnania lub opuszczenia. A teraz i mój duch śmiały uległ nieznannej potędze, która przemogła nad wiernością i przywiązaniem mojem do Zbigniewa. Ulrychu, nie wierz, śmieję się, albo raczej wierz i nie śmieję się, bobyś to srogo mógł opłacić; kocham, kocham Hannę z Ciechanowa, chcę ją posiadać, przysięgłem że albo ją będę, albo zginię. Dwie drogi otwierają się przede mną. Jedna prowadzi do zdrady i miłości, druga do wierności księciu i zemsty, rozumiesz mnie, Ulrychu?

czy mojej nie potrzebuje pomocy? Książę miłym snem ujęty marzy zapewne o chwale?

— Chęć widzenia ciebie i uwielbienia twoich wdzięków, pani, tu moje kroki przywiodła.

Zdziwiona tak niezwykłą księżną przemową, ze wstrętem odwróciła oczy od Mestwina i w milczeniu obszywała w złote i jedwabne nici, rękawiczki z białej jak śnieg skóry, dowodzące swoją wielkością, że nie miała ich nosić piękna i szczupła ręka, która ich przyozdabianiem się zatrudniała. Czasem też prosiła Katarzyny za nią stojącej o podanie narzędzi do tej pracy potrzebnych.

Mestwin nie wiedział od czego znowu zacząć rozmowę, ale wkrótce zimna jego bezczelność wzięła górę nad chwilowem pomieszaniem, i tak się odezwał:

— Nadobna Hanno, mam ci ważne odkryć tajemnice, głęboko dotąd ukryte; ważne i bardzo ważne, mające wpływać na los twój cały, rzeczy ci oznajmię.

— Uwolnij mię, rycerzu, od tych wynurzeń, — odparła księżna. — Nic nie chcę wiedzieć ani słyszeć od ciebie, możebyś zmniejszył i tak niebardzo błogie szczęście moje. Zostaw więc mnie i lepiej uczynisz, kiedy pójdziesz obejrzeć nocne czaty w zamku.

Odpowiedź ta rozjątrzyła Mestwina. Miał jednak dosyć siły do wstrzymania gniewu i znów mowę zaczął, ale już mocniej i dotkliwym głosem.

— Ważne zaiste! ważne przedmioty i sprawy znałyby mnie do odwiedzenia cię, pani. Nie bądź tak porywczą i wysłuchaj człowieka, któryby całą swoją krew wylał dla ciebie.

Podniosła wtenczas oczy Hanna i z największem podziwieniem, pierwszy raz odkąd poznała Mestwina, nie spostrzegła na jego ustach szyderczego uśmiechu. Wnosząc po tej odmianie, że prawdę powiada, z obawą go się pytała o wyjawienie tajemnicy.

— Każ najprzód, piękna Hanno, odejść tej służebnicy.

Te wyrazy oburzyły księżną i żywo przerwała je rycerzowi.

— Wśród tych samotnych murów i niebezpieczeństw codzien grożących, znikają różnice stanu: Katarzyna tyle razy swoje przywiązanie mi dowiodła, że raczej wypadaloby ci ją przyjaciółką niż służebnicą nazywać.

— Pomyliłem się, — odparł Mestwin — racz przebaczyć pani, ale cię jeszcze raz upraszam, byś kazała oddalić się tej przyjaciółce.

— Czyż o Zbigniewie masz mi mówić?

— Przynajmniej o rzeczach dotyczących się mego pana i księcia.

— Odejdź więc, Katarzyno, — rzekła księżna, i z bijącym od bojaźni i miłości sercem, porwała się z krzesła i zbliżyła się do Mestwina, czegoby nigdy w innym nie uczyniła razie.

Milczał rycerz dopóki zupełnie odgłos kroków odchodzącej córki Gierdy nie ucichł, a wtenczas ująwszy rękę Hanny, wyrzekł:

— Przysięż na wszystkie świętości, przysięż na ewangelią, że nikomu nie powtórzysz słów usłyszanych ode mnie.

Zwiedziona podstępem, drżąca o Zbigniewa z całym zapałem kochającego serca, przysięgła księżna, mnogie gotując sobie przez to nieszczęścia. Wpatrywał się w nią Mestwin wzrokiem raz ponurym, znów jaśniejącym nadzieją, ale nie była to nadzieja niewinności, kojąca cierpienia i zamieniająca ciernie życia ludzkiego na woniące róże; była to raczej cecha namiętności połączonej ze zgubnymi widokami, z obrazem przyszłości pełnej zbrodniczych uciech.

Po skończeniu zaklęcia, ścisnął jeszcze mocniej rękę Hanny z Ciechanowa rycerz niemiecki i nareszcie zawołał:

— Pamiętaj niewiasto, żeś wykonała straszną przysięgę, za której zgwałcenie twój Kościół i religia grozi ci najsroższymi męczarniami, niech więc odtąd milczą twoje usta jak kamień grobowy, niech wieczne zapomnienie pokryje rozmowę i zdarzenia tej nocy. Zobowiązałaś się słowem, którego naruszenie zwałiloby na ciebie i gniew

niebios i gniew ludzi. Pamiętaj więc, powtarzam ci, Hanno z Ciechanowa, że jakkolwiek twoje podziwienie lub uniesienie wielkimi będą, nie powinnaś ich ukazywać zewnętrznymi znakami, nie powinnaś nawet myśleć o ich wykryciu.

— Znam dobrze — przerwała mu w tem miejscu Hanna — przepisy świętej naszej wiary, i możesz być pewnym, że nie złamię przysięgi. Mów więc, Mestwinie, co wiesz, bo tu idzie o Zbigniewa, o człowieka, którego najwięcej na tej ziemi kocham.

Takie oświadczenie wcale nie przypadało do myśli rycerzowi niemieckiemu, który odstąpił kilka kroków i szydersko patrzył na anielską twarz córki Wszebora.

— Mów, nie odwłączaj, nie zwlekaj rycerzu.

— A więc powiem ci wszystko — odrzekł Mestwin — kiedy sama tego żądasz. Wiedz, że rozniecilaś w moich piersiach płomień pożerający moje serce. Ognie piekła podsycane przez szatana niczem są w porównaniu tego, co wre pod tą koleczugą... Tak, kocham, ciebie kocham, Hanno, musisz być moją.

Zarumieniona księżna od gniewu i wstydu, przerwała mu tu mowę z przynależną godnością i powagą.

— Rycerzu, jako małżonka twojego pana, rozkazuję ci się oddalić, mowa ta zuchwała nie powinna kazić moich uszu, wcale niedogodne do niej obrałeś miejsce; tego jeszcze nie dostawało, żeby rycerz Mestwin ośmielał się urągać z swojej pani tak, jak z całej ziemi i nieba samego się urąga.

— Zuchwałą mową zowiesz — krzyknął Mestwin — najżywszy obraz miłości, którą dla ciebie pałam! I kiedyż, piękna Hanno, widziałaś mnie w takim stanie? czyż kiedy błyszczały moje oczy równym ogniem? czyż kiedy twarz moja biała pokryła się takim rumieńcem jak dzisiaj? Przyłóż rękę do moich piersi a uczujesz, że to serce, spokojne oddawna na groty nieprzyjaciół i spojrzenia dziewic, bije z podwojoną mocą w twojej przytomności... Pozwól rękę ucałować, pozwól ust różanych się dotknąć, wyrwę cię z tego położenia — dodał napół dobywając

szabli — nie będziesz dłużej jak uwięziona przebywać w obleżonym zamku. Poznasz czarowne Niemiec okolice, gdzie mi wskażesz tam cię zawiozę, na dworach książąt i królów pierwszą będziesz, a gdyby kto ci śmiał tego zaprzeczyć, ległby u nóg twoich śmiertelnym uderzony ciosem. Opuść zimnego już dla ciebie męża i przejdź w objęcia człowieka, który cię tak kocha, że gotów na twój rozkaz krwią przyjaciół i krewnych się oblać, i świat cały zniszczyć dla twojego upodobania. Patrz, nigdy w świątyni nie kląłem przed Bogiem waszym, nigdy żebrząc przebaczenia lub łaski, nie zniżyłem czoła przed mocarzami, a teraz zginam przed tobą kolana. Hanno, jeśli życie ci drogie, pokochaj mnie, bo jeśli mnie odrzucisz, biada wam wszystkim, wściekle rzucę się w objęcia zemsty i popamiętasz, jakie są groźby Mestwina.

A tu dziko się rozśmiał schylony u stóp księżnej, która z początku z przerażeniem, a teraz z pogardą i gniewem nań poglądała.

Nagle odskoczywszy, wzięła biblią w ręce, i zasta-wiła się tą świętą od rycerza tarczą; jeszcze chciał odezwać się Mestwin, ale Hanna przerwała mu temi słowy:

— Podły sługo, kiedyś pilnować łoża boleści twojego pana, kiedyś lekarstwa mu podawać powinien, przychodzisz do jego żony i zuchwałemi obrażasz ją mowy, o których w przytomności Zbigniewa nie śmiałbyś i pomyśleć nawet. Podszedłeś mnie piekielnym podstępem.

— Alboż co powiedziałem ci, pani, nie tyczy się księcia Zbigniewa? — zapytał szyderskim głosem Mestwin.

— Milcz zdrajco, nie zatruwaj powietrza zgubnym tchem twoim, precz z moich oczu, odwróć szatański wzrok od mojej twarzy. Czyż myślisz, że gdybym nawet kiedy mogła zapomnieć o enocie i wierze poprzy-siężonej Zbigniewowi, żebym na ciebie choć jedno wej-znienie zwróciła? Czyż sądzisz, że szlachetna Polka

i córka pana Ciechanowa, chciałyby się zniżyć do odbierania holdów Niemca, posługacza swego? Srogą dziś popełniłeś obrazę, zgwałciłeś wszystkie obowiązki człowieka i sługi, podniosłeś oczy na własną księżną, szkaradną zdradą zmusiłeś ją do wspomnienia świętych inion Boga i księgi przez niego danej, w okoliczności, w której niegodziwe twoje chęci i zbrodnicze zamiary na jaw się wydały. Przebaczam ci jednak jako chrześcianka i jako księżna polska, którejby niegodnem było mścić się na takiej, jak ty istocie. Ale nie pokazuj się więcej moim oczom, uciekaj z tych komnat i niech już twoje stopy nigdy się nie tkną miejsc, gdzie przeszły moje ślady.

— Rozważ pani, — krzyknął Mestwin, miotany najsroźszymi namiętnościami, — że swój własny wyrok wymówiłaś teraz, bo jeśli mną wzgardzisz, to ramię dopóty nie spocznie, dopóki ciebie i miłych tobie nie zarzecie pod ciężarem kłesk okropnych. Cóż to jest cnota, o której tak dobrze pamiętasz? jest to mara i widmo nigdy nieistniejące na świecie, utworzone w głowie mędrców. Jedyną dla mnie cnotą jest ciebie posiadać, innych się wyrzekam i znać nie chcę.

— Bluźnisz Mestwinie, — zawołała księżna, która zaczęła sądzić, że pomieszane ma rycerz zmysły. — Bluźnisz nieszczęśliwy, ale powtarzam, oddal się ztąd, wassalu i słuگو.

— Gdzież tu widzisz Hanno z Ciechanowa — odparł wściekły Mestwin — wassala lub słuگو? owszem lepiejbyś mnie swoim panem i mężem nazwała, bo, na piekło, spodziewam się, że tego dopnę. Inaczej bowiem zemsta... ale Hanno, ostatni raz powiadam, niema słów w jakimbądź ludzkim języku na wyrażenie zemsty, którą tobie gotuję.

— Jestem w twojej mocy — przerwała Hanna — bo krzyków moich niktby nie usłyszał, ale wiedz nikczemny rycerzu, że choć słabą jestem i lękliwą niewiastą, wcale jednak nie drzę przed ognistym twoim wzrokiem i ręką spoczywającą na szabli. Bo cóż możesz mi zrobić? zabić... nie lękam się śmierci, ale całą potęgą

nie zerwiesz miłości łączącej mnie ze Zbigniewem, nie zatrujesz pięknych młodości myśli i ułudzeń, a te są jedynem mojem szczęściem... ale dosyć już o tem, odejdz — a kiedy Mestwin i krokiem nie ruszył — lub uderz i zakończ obelgi, których cierpieć nie powinna ani żona Zbigniewa, ani córka Wszebora.

— Mylisz się — odpowiedział zimno Mestwin — sądząc, że zechcę własne żelazo w piersi twe utopić, przyjdzie czas, dumna Polko, kiedy gorzko pożałujesz, żem tego nie uczynił. Sroższe ci męki i boleści gotują nad chwilowe konanie pod mieczem zabójcy. Z rąk ulubionych odtąd gorycze na cię spływać będą, a niespokojność i nieufność napełnią godziny życia twójego. W porównaniu z przyszłością, niebezpieczeństwa, którym teraz ulegasz, codzienne troski i zgryzoty dziecinnymi igraszkami, a najprzykrzejsze chwile dotąd przez ciebie doznane, są niebieskiem szczęściem... Ulubione ci związki potargam, nadzieję zniszczę. Łez i westchnień ci nie stanie na oplakiwanie nieszczęść, które cię otoczą i zamkną wszelką do pomyślności drogę. Kiedy zrzucisz jedną zawadę, natychmiast druga urośnie pod twojemi krokami, kiedy zerwiesz jeden cień, tysiąc innych przejście ci zagrozi. Opuszczona od męża, okryta hańbą, odrzucona przez ojca, niemogąca strapien swoich powierzyć przyjaźni, boś straszną związana przysięgą, pożałujesz chwili, w której nazwałaś mię wassalem, sługą, w której nie chciałaś mojemu sercu odpowiedzieć. Taką ci przyszłość zapowiadam, Hanno z Ciechanowa, jeśli mnie odrzucisz.

— Ufna w Bogu — odparła Hanna — przyjmuję ten zgubny obraz, mając nadzieję, że się nie spełni. A gdyby to się sprawdzić miało, pocieszy mię przekonanie, żem była cnotliwą. Ale nie, ty nie możesz stać się przegrodą między mną a Zbigniewem.

Poznał wtenczas Mestwin, że gwałtowność i groźby nic nie pomogą i zebrawszy wszystkie siły, skrócił wściekłość nim władającą.

— Zostaw mi przecie choć małą nadzieję, — rzekł

zniżonym głosem — że nie zupełnie zabraniasz mi o sobie myśleć, że mi wolno będzie przyjść do ciebie.

— Milcz; — odparła księżna uroczyście — kiedy zechcę te rękawiczki przesłać księciu Zbigniewowi, każę cię zawołać, byś je mu poniósł. Inaczej nie śmiej stawić się przede mną. — Dokończając tych słów, z taką powagą wskazała mu drzwi komnaty, że uderzony wyższością, którą zawsze zachowuje cnota nad zbrodnią, odejść musiał, powolnym jednak odstępował krokiem i często się odwracał. Nareszcie mając już wychodzić, jeszcze chciał coś przemówić, ale odwaga go opuściła i zawstydzony własną nieśmiałością, obiecując sobie, że potrafi później dokonać niegodziwych zamiarów, wyszedł powtarzając po cichu ze zwyczajnym uśmiechem: że trudno od razu zupełnie odnieść zwycięstwo.

Hanna sama została, a wtenczas powagę i stałość dotychczasową zastąpiły rzewne łzy i jęki. Z trwogą pogładając na przyszłe nieszczęścia, utraciła męstwo. Myśl, że Mestwin może kiedyś oderwać od niej serce Zbigniewa, w taką rozpacz ją wprawiła, że upadła bez zmysłów na ziemię. W samotnym pokoju leżała dosyć długo w tym stanie zbliżonym do śmierci, żona księcia Zbigniewa, a odzyskując zmysły, ujrzała przy sobie wierną Katarzynę. Żal wrócił za wróconem życiem. Niemożność wyjawienia jedynej przyjaciółce strasznych wydarzeń srodze ją bolała. Musiała zamykać w znękanem sercu gnębiące ją uczucia. Nie mogła szukać nigdzie pociechy, odtąd dni jej życia miały upływać pośród okropnych przewidywań losu przez Mestwina zgotowanego, i okropniejszych jeszcze z nim sporów. Ukłękła nareszcie przed obrazem Matki Boskiej.

Oslabiona, zbladła, trwogą przejęta modlić się już nawet nie mogła i te jedynie tylko wyrzekła słowa.

— Oddal od Zbigniewa tego człowieka i zmiłuj się nad nami!

ROZDZIAŁ XV.

Jeden i drugi wnet mieczów dobywa

.....
I oto się walka zaczęła straszliwa.

Odyniec.

Na szerokim polu niedalekiem od Płocka, mnóstwo robotników pracowało nad wznoszeniem wysokich zagród i rusztowań. Niektórzy obalali drzewa, gdzieś tam łąkę ocieniającą, drudzy wyrwali darninę, na jej miejscu żółty wysypując piasek, przywieziony z bliskich Wisły brzegów na mnogich wozach. Krzyki z piosnkami mieszały się w powietrzu, a czasem słyszano zachęcania i napominania przełożonych nad robotą; szybko wznosiła się budowla w obszernym okręgu, na którym porobione siedzenia miały służyć widzom płci obojej.

Przy jednym z końców zagrody wystawiono przeznaczone dla króla miejsce, pokryte okrągławym dachem, pod którym stało bogate krzesło napół purporem zasłony zakryte; połączane zaś poręczce stały naokoło tego tronu. Z czterech stron gmachu były wysokie bramy z żelaznymi kraty, przeznaczone rycerzom do wniścia na przestrzeń piaskiem zasypaną, w której mieli się potykać, a przy każdej z nich przygotowano siedzenie dla woźnych ogłaszających przepisy i prawa turniejów.

W tłumie tylu ludzi pracą zajętych rozeznąć można było człowieka, szybko się przechadzającego i przemawiającego rozkazującym głosem; obwinięty w zielonym płaszczu, którego fałdy z wiatrem igrały, zdawał się

wszystko rozporządzać i wszystkim się zatrudniać. Bogaty strój go okrywał i piękne pióra ulatywały ponad aksamitną czapkę. Sokół niesiony na lewej ręce, bardziej go jeszcze niż ubiór odróżniał od innych. Czasem odrywał oczy od otaczających i bystrym wzrokiem przebiegał równinę i niedalekie od niej błoto, jak gdyby spodziewał się w nich odkryć jaką zdobycz dla ulubionego ptaka, ale zapewne hałas i gwar nieustanny odstraszył spokojnych pól mieszkańców, bo wszystkie jego starania nadaremne były i mimo czystej pogody nie mógł znaleźć celu swych życzeń. Odzywały się wprawdzie śpiewy ukrytych w gałęziach ptaszków, ale te głosy nie poruszały szlachetnego sokoła, którego odwaga i siła straszniejszych wymagała przeciwników.

— Nuże do roboty, — wołał Wolimir z Moskorzewa — dokończajcie budowli, bo jutro w miejscu waszych narzędzi, dzielnych rycerzy błyszczeć tu będą zbroje i pryskać panczerze. Ten rów zasypcie, podeprzyjcie tę ścianę. Na wszystkie sokoły, leniwo się sprawiacie, prędzejże, prędzej.

Te napomnienia podwajały robotników ochotę. Pot ciekący z ich czoła dowodził pracowitości i w mgnieniu oka tu zagrody, tam znowu siedzenia podnosiły się z ziemi. Szare przed chwilą ściany żywem pokrywały się farbami, a pyszne zasłony i obicia przyozdabiały stopniami, stopniowo przygotowane dla widzów piętra, do których zewsząd liczne prowadziły schody i galerie.

Często dla zachęcenia rzucał wielki sokolnik kilka sztuk srebra pracowitszym, a ociągających się żywem karciał słowy. Oznaczywszy każdemu miejsce i stosowne zatrudnienie, oddalił się na chwilę, zwracając kroki do bliskiego strumienia, który sącząc się w ciasnem korycie, rozdzielał się na pomniejszych strugi, niknące wśród gęstych łąz i krzaków. Ziemia grząska uchylała się pod jego stopami, i często nawet zanurzał się w niej po kolana, ale nie zważając na tę niedogodność coraz się dalej posuwał w nadziei znalezienia jakiej zdobyczy, zmierzając do małego jeziora, którego iskrząca się od

słońca powierzchnia, przebijała przez otaczające krzewiny i drzewa.

Nagle rozjaśniła się twarz jego radością, bo dostrzegł coś czarnego na środku wody. Jeszcze przez czas jakiś nie mógł rozeznąć czy to należało do rzędu żyjących istot, ale za zbliżeniem się, zaczęło się poruszać i wielki sokolnik z nadzwyczajnym zadowoleniem, poznał długi dziób ogromnej czapli i drogie pióra jej głowę zdobiące. Dotknął się więc sokoła, który ze snu obudzony spojrzał najprzód na pana, a potem na wskazane jezioro, a oczy mu zajaśniały podobnym ogniem do błyszczącego w wejrzeniu Wolimira, który schyliwszy się, ostrożnie podchodził czujnego ptaka, odginając rośliny stojące mu na przeszkodzie, i omijając zeschnięte gałęzie, któreby skrzywnięciem mogły ostrzedz czaplę o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nareszcie kiedy już sądził, że dosyć się przysunął, powstał nagle i ukazał się ponad wierzchołkami niskich zarośli. Natychmiast czapla porwała się z wody, a w tej samej chwili za dobrze znanem świnięciem, roztoczył sokół pióra i zleciawszy z dłoni Wolimira w górę wzniesionej, puścił się w pogoń za szybko uciekającą zdobyczą.

Założył wtenczas pan Moskorzewa ręce na piersi, i z uwagą wpatrywał się w tę gonitwę, z pewnością, że czy później, czy wcześniej, zawsze z korzyścią dlań się zakończy. Nim się jeszcze sokół wysoko wzbił w powietrze, zagrzewał go głosem i poruszeniami, a potem choć go zapewne ptak przywiązany słyszeć już nie mógł, przeciągłem gwizdaniem. Z początku czapla unikając walki, szerokimi skrzydły szybko przecinała powietrze, oddalając się coraz bardziej od zawziętego wroga. Ale i szlachetny sokół nie ociążał się w drodze, a wkrótce znacznie zmniejszyła się przestrzeń dzieląca go od ofiary. Mieszkaniec samotnego jeziora poznał wtenczas konieczność walki i obrócił czoło, ale podleciał zarazem pod nieprzyjaciela, starając się by ten ostatni w natarciu z góry spotkał dziób straszliwy i wbił się na niego. Doświadczony sokół w tysiącnych potyczkach unikał przecież

zamachu czapli, i ciężką jej ranę zakrzywionemi zadał szponami.

Przeraźliwy krzyk boleści przeleciał przez powietrze i obił się o uszy Wolimira, zapewniając mu wygraną, a w tej samej chwili ujrzał jak wysoko nad nim spotkały się ledwo widziane dwa czarne ciała, jak przez czas jakiś krwawa nastąpiła walka, w której niepodobnem było odróżnić zwycięzcę od pokonanego i jak wkrótce potem z szybkością błyskawicy wprost się ku niemu spuścił sokół, trzymając zabitego nieprzyjaciela, którego trzy pióra wyrwane zponad dzioba i krwią zbryzgane, obmył wielki sokolnik w jeziorze i zatknął na czapce. Nagrodził sokoła kawałkiem mięsa z torby wyjętem i znów go na ręce posadził, a ptak przeniesiony z siedliska burz i gromów, na dłoń wszechwładnego pana, zamknął oczy i zasnął.

Uniesiony radością wrócił śpiesznie sokolnik i dostawszy się po krótkim czasie na brzegi przebytych trzęsawisk, niepomalu się zdziwił, kiedy dostrzegł siedzącego na koniu męża zbrojnego w pancerz połyskujący zdaleka, który zdawał się rozkazywać robotnikom, układy jego zmieniać, i opuszczone zastępować miejsce.

Skoczył więc prędko ku niemu i z gniewem w sercu dopadł rycerza, kiedy właśnie na jego nalegania, obalali robotnicy dopiero co wystawione siedzenia.

— Któż ci dał prawo — krzyknął wielki sokolnik — rozrządzać tu w mojej nieprzytomności?

— Sam go sobie nadałem — odparł mąż zbrojny — i sędzę, że nikt tego prawa nie będzie śmiał zaprzeczyć Sieciechowi wojewodzie krakowskiemu.

— Zaprzeczam go jednak — odparł do żywego tknięty Wolimir dumnymi słowy Sieciecha — i proszę wojewody krakowskiego, by się nie mieszał do spraw w niczem doń nienależących, od króla mu nieporuczonych.

— Gdyby tu się odbywały łowy, — zawołał Sieciech — miałbyś prawdę za sobą, chociaż i w nich równą tobie biegłością poszczycić się mogę, ale ponie-

waż tu nie o sokołach ani o psach mowa, ale o turniejach i igrzyskach rycerskich, zdaje się, że mieć w nich powinien pierwszeństwo hetman królewski, nad wielkim sokolnikiem.

— Mości panie wojewodo! — krzyknął obrażony Wolimir — sokoły i łowy nie przeszkadzają mi wiedzieć, że miecz mi jeszcze nie przyrósł do pochwy.

— I mój też jeszcze nie zardzewiał, — przerwał Sieciech, uderzając o rękojeść pałasza — ale nie masz konia.

— Broń się, — zawołał gniewem uniesiony sokolnik — nie potrzebuję konia dla nauczenia zuchwalca, że nie urząd hetmański, ale szlachetne serce pierwszeństwo nadaje.

— Przynajmniej odejdźmy od tego motłochu — rzekł Sieciech, i zsiadłszy z konia, oddalił się na stronę.

Wolimir poszedł za nim, rozkazawszy pod karą śmierci robotnikom, aby się nie ważyli zbaczać od rozkazów przez siebie danych.

Przybywszy nad błota, w których przed chwilą tak się Wolimirowi powiodło, stanął wojewoda, dobył szabli i natarł na sokolnika, który złożywszy ptaka na murawie, odbił mieczem żelazo przeciwnika.

Na nieszczęście wyszło Sieciechowi, że zapomniał spuścić przyłbicy. Za drugim zwareciem się albowiem, sokół Wolimira, podobny do starożytnego kruka co ocalił rzymskiego bohatera, porwał się z ziemi i rzucił na szyzak wojewody. Ztamtąd dopiero, szpony w czoło jego zatopił i skrzydłami oczy mu zasłonił. Zmieszany Sieciech broniąc się jedną ręką, darmo drugą chciał odrzucić nowego nieprzyjaciela.

Nie korzystał Wolimir z tak nadzwyczajnego wypadku, i przez chwilę z uśmiechem przypatrywał się tej dziwnej walce, a potem zagwizdnął. Natychmiast posłuszny sokół opuścił Sieciecha i przyleciał do pana. Wtenczas wojewoda podał rękę Wolimirowi z Moskorzewa.

— Mogłeś mnie z łatwością zabić. Umiem ocenić

twoję wspaniałomyślność i winszuję ci tak przywiązanego sługi, do którego jest mało ludzi podobnych.

— Zapomnijmy — odparł Wolimir, głaszcząc sokoła — o tem co się stało. Obaśmy się niewczesnym unieśli zapalem, a teraz wróćmy do zgody. Nie odrzucę rad twoich, choć sam wiele turniejów widziałem i nie jednym wieńcem ozdobiły się moje skronie.

— Dobrze, — rzekł Sieciech — ale przybyłem z obozu w zamiśle dowiedzenia się od ciebie nazwisk sędziów turnieju.

— Słyszałem z ust najjaśniejszego pana, że nimi będą książę Mieczysław, Wszebor i Zbigniew. Bo koniecznie chce ich król pogodzić.

— Nie nazywam się Sieciechem i topór nie jest moim herbem — zawołał wojewoda — jeśli to Władysław skutecznie potrafi... Szkodaby mi było tej wojny.

— Zobaczymy, — odpowiedział Wolimir — ale jakże się miewają Mieczysław i pan Gulczewa?

— Mieczysław posępny ciągle, Wszebor smutny a Skarbimir swoim zwyczajem drży na każdy łoskot, i wieczorem zamknawszy się w namiocie, liczy z Bardanem pieniądze.

— Obmyjże, wojewodo, twarz krwią zbryzganą, bo mój sokół nie żartem zapoznał się z twojem czołem.

— Dziękuję za przypomnienie — rzekł Sieciech a schyliwszy się, nabrał wody w rękę i nią się oblał. Odszedłszy potem, wrócił z wielkim sokolnikiem do wznoszącej się budowli.

— Przepraszam cię — zawołał, zbliżając się do robotników — jeśli cię ostrzeżę, kochany Wolimirze, żeś zapomniał nader ważnej rzeczy, o siedzeniu dla sędziów.

— Na wszystkie sokoly, prawda; walczy ci jestem za sprostowanie błędu. We Włoszech jedyni podczas całego turnieju stoją sędziowie, czego przykładem widziałem na rycerskich igrzyskach, wyprawionych przez księcia Sydonio del Maro.

— Znać że wytrzymałszy mają od nas nogi — odparł wojewoda. — Ale prawdę mówiąc, gmach potężnie się wznosi i piękną postać przybiera. Dzielnie jutro na tem miejscu gonić będziemy, a moja kopia niejednego zwali rycerza. Teraz żegnam ciebie, bo muszę wracać do obozu a dosyć daleka mi ztąd droga.

— Bądź zdrów, wojewodo, — rzekł sokolnik, ściskając człowieka, na którego życie godził przed chwilą, a koń Sieciecha, ostrą dotknięty ostrogą, w prędkim biegu wyruszył.

Nadchodził wieczór a z nim i dokończenie budowli. Przy szerokich ogniskach, piekły się dla robotników woły, i beczki pełne miodu stały tu i owdzie na łące. Nadciągały też powoli orszaki panów, mających walczyć nazajutrz. Liczne namioty wznosiły się po całym polu, a zawieszona na każdym z nich chorągiew z herbem i tarcza z godłem, oznaczała godność i dostojęństwo rycerza. Puste przed kilkoma dniami miejsce napełniali teraz biegnący na wszystkie strony, to słudzy, to robotnicy. Giermki przybywali z świetnemi zbrojami, obładowane żywnością i rynsztunkami wozy przesuwały się po dolinie, krzyki, rozkazy, nawoływania i klótnie mieszały się z sobą. Z drugiej strony kupcy budowali niskie chaty, rozstawując w nich sprzęty, ubiory, hełmy, kopie i pancerze.

Ożywiona okolica przedstawiała piękny a zarazem poważny widok wzniesionego gmachu i tłoczących się naokoło tłumów. Wśród takiego zgiełku i zamieszania, głos Wolimira często się podnosił. Czynny sokolnik wszystkim się zatrudniał i przewidywał wszystko, raz w tem, drugi raz w tamtem ukazywał się miejscu, a nareszcie za jego staraniem ukończono gmach przed zachodem słońca, które ostatnim promieniem oświeciło bogato wystrojoną budowę i orła białego wznoszącego się na niej, z uroczystością przyzwoitą królowi ptaków i godłu najdzielniejszego narodu słowiańskiego plemienia.

ROZDZIAŁ XVI.

Ledwo najpierwsze słońca wschodzące promienie
Padły na przestrzeń pola, w którym szranki stały,
Gdy się na wieży dało słyszeć otrąbienie,
Że się wkrótce igrzyska rozpoczynać miały;
Szczęk oręża, blask hełmów, strojnych koni rżenie,
Odwagę, żądzę chwały, męstwo zapalały;
Król, hetmani i liczne płeć pięknej osoby
Pysznemu widokowi dodały ozdoby.

Tomaszewski, Jagiellonida.

Dzień 22 maja widział Władysława Hermana zasiadającego na turniejach wśród swojego rycerstwa. Przybywszy z licznym dworzan orszakiem, zajął wzniosłe przygotowane dla siebie miejsce, z miłą w sercu nadzieją, że może uda mu się rozjątrzone połączyć serca, i syna oddalić od przepaści, do której ślepo zmierzał. Wkrótce potem ukazał się Zbigniew z Mestwinem i kilkoma towarzyszami, ale że podług królewskiego rozporządzenia miał być tylko sędzią turniejów, nie błyszczał mu pancerz na piersiach ani świetny szyszak nie krył jego skroni. Zamiast ciężkich żelaznych, nosił dane od żony rękawice, na których złote wyszyła mu róże. W stroju lśniącym się drogiemi kamieniami stawił się książę przed ojcem i rękę mu ucałował. Zabłyśły łzy w oczach Władysława, kiedy ujrzał na twarzy syna dowód poniesionych cierpień i ramię niezagojone jeszcze, zwieszzone na bogatym pasie.

— Synu, — rzekł — mam nadzieję, że ten dzień wszystko zakończy, że pokój i zgoda wstąpi w wasze serca, że poznasz swe winy, poprawisz się i podasz rękę bratu....

Zbigniew nic nie odpowiedział, ale wzrokiem pełnym wyrzutów spojrzał na ojca, a następnie na własne ramię bezwładne dotąd i srogami rozrywane boleściami, potem zajął z lewej strony tronu ojcowskiego miejsce, które mu wskazał Władysław Herman, bo dopiero później miał zejść na dół, i usiąść na przygotowanym tam dla sędziów siedzeniu.

— Zbigniewie, — jeszcze raz ozwał się Władysław — sądzę że ci wolę Boską dostatecznie objawił szanowny biskup plocki, że cię same nieba ostrzegły dozwalając, by ciężka rana trafiła twe ciało, by doświadczone w tylu bitwach szczęście odstąpiło cię w tej ostatniej, w której oręż na brata podniosłeś; synu mój, otrząśnij się z pyłu światowego, wzgardź pokusami szatana, nie uwódź dziewicy nad którą święte ma prawa Mieczysław, a świętsze jeszcze Wszebor. Zbigniewie, czyż nie piękniejszemby to było z twojej strony, żebyś zamiast bronienia niesprawiedliwości, odniósł nad samym sobą zwycięstwo i błękitne oczy Hanny poświęcił przywiązaniu i miłości ojcowskiej, a przed nimi jeszcze powinności chrześcijańskiego rycerza.

— Ojcze! drogi ojcze! — rzekł Zbigniew.

I już wyznanie prawdy miało ukoić żale Władysława i syna mu wrócić, kiedy Mieczysław ukazał się na schodach do siedzenia królewskiego wiodących, a ten widok obudził gniew i dumę Zbigniewa. Krew żywiej po żyłach zawrzała, słodkie uczucia zapełniające duszę ustąpiły gwałtownej żądzy zemsty. Ani słowa do wprzód wyrzeczonych nie dodał, ale wlepił wzrok srogi w młodego księcia, który się witał ze stryjem i królem.

Mieczysław równie jak Zbigniew nie miał zbroi, a ubiór odpowiadający dostojństwu, szeroki płaszcz obwijał. Na twarzy znać było tęsknotę i smutek sprawiony tak wielką stratą czasu, którego każdą chwilę mógłby był użyć na uwolnienie drogiej oblubienicy. Powiedziawszy kilka słów Władysławowi, stanął przy tronie naprzeciwko Zbigniewa, a dwóch młodzieńców pałających nienawiścią ku sobie, przedzielił osłabły starzec schylony pod lat ciężarem i brzemieniem nieszczęść.

Zdało się Władysławowi że w głosie Zbigniewa poznał prawdziwe wzruszenie, i ztąd pomyślnie sobie skutki rokując, rzekł:

— Synu i synowcze, macie dzisiaj wypełnić piękny i szlachetny obowiązek, macie przyznać chwałę dzielnym rycerzom, i wyznaczyć nagrody zřęczności. Zstąpcie więc w zgodzie z tego wzniesłego miejsca, podajcie sobie dłonie i jak dwa anioły pokoju ukażcie się otaczającemu ludowi. Zbigniewie, Mieczysławie, pomnijcie na Boga i Ojczyznę, ty pamiętaj na strapienia, ty zaś na zgubę własnego ojca. Zbrodni popełnionej, świętokradztwa pokrywającego całą Polskę kirem żałoby, nie chcecie bratobójstwem powiększać, uwolnijcie wasze sumienie od przyszłych zgryzot, bo jeśli dotrzwacie w złem, każda łza moja będzie ciężyć kiedyś na waszem sercu, a odkądęście się poróżnili, nie jednym wylał nad wami samymi i nad tym nieszczęśliwym krajem, w którym synowie i krewni nie słuchają głosu ojcowskiego, w którym wołania cnoty giną pośród okrzyków niesfornych namiętności. Jeszcze raz was proszę żebyście się pogodzili, pogódź się synu mojego brata, z własnym moim synem. Równiście młodocianym wiekiem, dzielnością, pięknymi przymiotami. Dozwólcie mi się wami nacieszyć, dozwólcie pokrzepić się mojej starości, widokiem waszej przyjaźni i zgody, nie wyniszczajcie się wzajemnie, nie poglądajcie na siebie tak dziko, niech uśmiech pokoju rozjaśni wasze lica...

Napróżno Władysław tak czule przemawiał. Ręce obu książąt nie wyciągnęły się do braterskiego ujęcia, ale spoczywając na szablach, wściekle ich rękojeści ścisnęły. Tymczasem niespokojne tłumy oczekiwały z niecierpliwością rozpoczęcia rycerskich igrzysk. Piękny widok przedstawiał ogół tylu ludzi, tak różnych stanów i ubiorów razem zgromadzonych. Po wyższych miejscach gmachu siedzieli sędziwi panowie z żonami i córkami, dla których niejedno serce żywiej biło, pod twardem żelazem pokrywającym piersi rycerzy siedzących na koniu z opartymi o ziemię kopiami; nim jeszcze dano znak do gonitw można było uważać, jak spojrzenia młodzieńców wzniesione ku górnym piętróm szerokiej budowli, spotykały się ze

wzrokiem dziewic zachęcających ich uśmiechem lub skinieniem ręki, trzymającej upleciony z róż i liścia dębowego wieniec, który miał być nagrodą najdzielniejszego.

Połyskujące zbroje, wysokie nad hełmami pióra, pyszne niewiast i panów ubiory, zgadzały się z przepychem gmachu świetniejącego bogatemi obiciami i zasłonami, przy najpiękniejszej dnia wiosennego pogodzie.

Drogie makaty i kobierce wszędzie rozesłane, złoczone kraty i poręcze, aksamitem pokryte siedzenia, dowodziły że niczego król Polski nie oszczędzał dla uszwietnienia zgody swojej rodziny.

Na prędkich rumakach, okrążali zagrodę rycerze, schylając kopie przed królem i sławionemi z urody dziewicami. Często nawet spiąwszy konia ostrogą, pokazywali swoją zręczność, patrząc z radością jak bladły lica spoglądających na ich niebezpieczeństwa kochanek. Wszystko było pełnem życia i wszystkich serca z podwojoną biły mocą w oczekiwaniu na hasło, mające szerokie pole otworzyć męstwu każdego i każdego zręczności.

Podzielili się na dwie strony rycerze; jedną dowodził Sieciech, drugą dzielny Jordan z Gozdowa. Mestwin albowiem odmówił ofiarowanego dowództwa i odszedłszy na stronę rozmawiał z Ulrychem, który mu konia trzymał na pogotowiu.

Pośród orszaku wojewody krakowskiego, odznaczał się jeden rycerz męską postawą i pięknymi rysami. Czekał spokojnie na białym koniu znaku do zwarcia się z przeciwnikami, a wzrok trzymając zwrócony ku ziemi, zdawał się żałować czegoś, i wistocie nie było między otaczającemi tej, której serce poświęcił. Pocieszała ona w tej chwili stroskaną panią, a Henryka z Kaniowa nie pobudzała do sławy przytomność Katarzyny. Dumający młodzieniec zawiesił na szyszaku podług ówczesnego zwyczaju wstążkę ulubionej, kiedy tymczasem topór dumnie się wznosił na hełmie Sieciecha doń się zbliżającego.

— Henryku — mówił — czemuż schylasz wzrok

ku ziemi? Obejrzyj się naokoło i oddaj hołd przynależny pięknościom Mazowsza. Widzisz z tej strony Zalisławę z Górki, patrz jak tam Rodosława z Boratyna wszystkich rycerzy zajmuje, dalej siedzi z smętnemi oczyma Sławomira, córka Żegoty z Kossowa, tu znowu...

— Choćby sto innych jeszcze piękniejszych było, — przerwał Henryk — nie zwrócą one mojego spojrzenia, wśród tylu niewiast jednej mi nie dostaje. Nie zdoła jej szyi złote ni drogiemi kamieniami sadzone ozdoby. Grzebień z kości słoniowej nie wznosi się na włosach ujętych w niewolnicze choć bogate pęta, rozpuszczone pierścienie spływają na śnieżne łono, a wieniec z kwiatów polnych skromnie je wieńczy.

— Szkoda, rycerzu, — rzekł Sieciech — żeś zamiast pałasza, nie wziął się do lutni, bo, na Boga, nie lada wieszcz byłby z ciebie.

Chwilowym uśmiechem odpowiedział na te słowa młodzieniec, a wojewoda oddalił się, i przystąpiwszy do Wszebora z Ciechanowa, który jeden dotąd siedział na miejscu przeznaczonem dla sędziów, zapytał:

— Jakże ci się ten widok podoba?

— Ciało moje jest tutaj, — odparł starzec — ale myśl daleka ztąd, przebywa mury Zbigniewa i do córki dolata. Niegdyś w młodości i szczęściu wzruszyły mnie ten obraz, ale teraz zanadto cierpienia przygniotły mą głowę, żeby co mnie uderzyć mogło. Walka, którą zwodzę codzien między uczuciami ojca a obowiązkami Polaka, między przywiązaniem do córki a miłością ojczyzny, zwałtliła siły, i czuję że jeśli okoliczności temu nie położą końca, to niezadługo nową trumnę wniesiecie do moich ojców grobu. Często zwracam oczy ku miejscu w którym siedzi Władysław Herman, staram się jego słów dosłyszeć, ale twarze książąt nie mi dobrego nie rokują. Ztąd choć osłabłym wzrokiem dostrzegam znaki smutku na twarzy królewskiej, sam powiedz, czy się mylę.

— Zdaje mi się, żeś zgadł — rzekł Sieciech — ale nie smuć się, bo jeśli dzisiaj nie odzyskasz córki, za-

ręczam ci, jakem wojewodą krakowskim, że zamek Zbigniewa niedługo już nam się będzie opierał.

— Ale gdyby — przerwał ojciec — przed zdobyciem... — a tu okropność obudzonej myśli nie dozwoliła mu dokończyć i smutno spuścił głowę na piersi.

Na Boga, myślał Sieciech, wszyscy smutni, ten się kocha, ten płacze córki, król w rozpacz, Zbigniew i Mieczysław patrzą na siebie jak dwie jadowite żmije, ja tylko jeden spokojność zachowałem, ale trzeba nareszcie ten turniej rozpocząć.

I wrócił do swojego hufca, kazawszy Jaroszowi z Kalinowa, by mu konia przywiódł. Kiedy ten ostatni wrócił prowadząc dzielnego rumaka, zapytał go się wojewoda o Skarbimira z Gulezewa.

— Żadnym sposobem — odpowiedział Jarosz — nie mogłem go doprowadzić tutaj. Zrzucił zbroję, którąś go, panie wojewodo, wdziać przymusił, i opuścił nasz orszak. Ależ oto na górze rozmawia z Żegotą z Kossowy.

— Szkoda — rzekł Sieciech — żeś go nie przytrzymał, bo zapewniemy mu było do twarzy z długą kopią i w ciężkim pancerzu.

To mówiąc, ubódł konia ostrogą i poleciał pod piętro, na którym siedział Władysław. Tu stanawszy, schylił głowę na znak uszanowania, pytając króla, czy już każe ogłosić przez woźnych prawa turniejów.

— Najjaśniejszy panie, żegnam cię — rzekł wtenczas Zbigniew milczący dotąd — urząd, który sam na mnie włożyłeś, wzywa mnie do innego miejsca.

— Do tego samego i ja dążę — zawołał Mieczysław.

Ale Władysław Herman zebrawszy całą powagę, odpowiedział rozkazującym głosem, co mu się rzadko przytrafiało.

— Zostaniecie się przy mnie. Po skończeniu igrzysk dość będziecie mieli czasu na osądzenie, komu się należy nagroda. Do tej chwili może was Wszebor zastąpić.

Obawiał się albowiem król Polski, aby zemstą palający młodzieńcy, uniesieni widokiem gonitw, prawdziwej i sroższej nie rozpoczęli walki, kiedyby już ich naleganiem lub prośbą nie mógł wstrzymać, a potem miał zawsze nadzieję, że potrafi zwaśnionych pogodzić i na ten koniec cichą modlitwą wzywał często Boga. Sieciechowi zaś odpowiedział, że przystaje na rozpoczęcie turniejów.

Zawrócił więc wojewoda konia, ale dostrzegłszy, że między tyłoma rycerzami niema Wolimira z Moskorzewa, nie chcąc ubliżyć człowiekowi, który tak szlachetnie się z nim obszedł, czekał przez kilka chwil jeszcze na jego przybycie.

Właśnie ukazał się zdaleka na polu mąż zbrojny przylatujący pędem błyskawicy. Przybywszy do zagrody skoczył ze znużonego rumaka, i wszedł pieszo na pobojowisko, uklonił się wtenczas królowi i najpiękniejszym paniom naokoło; wysoki szyszak ze złotym sokolem, trzymającym w szponach kilkanaście piór czaplich, unosił się nad głową. Koleczuga nabijana złotem i lekkie obucia ze skóry srebrem wyszytej, resztę ubioru składały. Prosta szpada z rękojeścią z słoniowej kości tkwiła u boku, a na tarczy wyryta była strzała z napisem: „serca i ptaki zarówno przebija“.

— Witam cię, wielki sokolniku — krzyknął Sieciech — ale cóż, do tysiąca piorunów, tak długo cię zatrzymało?

— Łowy, gęsi dzikie i czaple — odparł żartobliwie Wolimir. — Wróciwszy wczoraj do domu, dowiedziałem się od moich ludzi o niedalekich błotach pełnych zwierzyny, a ponieważ chciałem wystąpić, jak na sokolnika wypada, wybrałem się o świcie z moim ptakiem, a jego zdobycz widzisz na tym szyszaku.

— Niech teraz wystąpią woźni — zawołał potężnym głosem Sieciech — i niech czytają przepisy turniejów.

Natychmiast otworzyły się bramy z obu stron zagrody, wystąpiło dwóch woźnych w krótkich, lśniących się od złota i srebra sukniach, z wyszytym herbem

państwa na piersiach. Jeden obrócił się do rycerzy Sieciecha, drugi do hufca Jordana i obydwaj ogłaszali, co następuje:

— Ja, woźny króla Władysława Hermana, zastrzegam za jego wolą, żeby w mających się odbyć turniejach, zachowano następujące przestrogi i prawa:

„A najprzód, żeby rycerze pamiętali, że zabawa przeznaczona na pokazanie zręczności, nie jest krwawą bitwą.

Powtóre, żeby ciż rycerze z wszelką szlachetnością i uczciwością z przeciwnikami się potykali. Broń dozwolona na tych turniejach jest kopia i topór. Miecza można tylko za pozwoleniem króla dobywać; kiedy jaki rycerz zwalonym z konia zostanie, z nim walczący niema dalej posuwać zwycięstwa, i powinien czekać, aż giermek drugiego konia przeciwnikowi poda. Niech zawziętość i chęć zemsty dalekimi będą od duszy wchodzących w te szranki, i niech pamiętają, że oczy patrzącej się na nich piękności, brzydzą się niełudzkością i krwią w srogich rozlewana bojach.

Nagrody zwycięzcom przewidziane są: hełm szczeroloty ze strusiem pióry, i puhar sadzony drogiemi szafirami. Zwycięzcą zaś będzie ten, którego oddział zwycięży, i dalej ten, który w szczególnych gonitwach pokona wszystkich współzawodników. Sędziami przeznaczonymi do osądzenia zasług każdego, do przyznania wygranej i udzielania nagrody, są: książę Mieczysław, książę Zbigniew i potężny pan Ciechanowa Wszebor z Ciechanowa. Walka między dwoma rycerzami natychmiast ustać powinna za rzuceniem między nich laski któregokolwiek bądź z sędziów; a teraz niech żyje król Władysław i hojność panów mazowieckich*.

Po domówieniu tych słów, wysypał się zewsząd na odchodzących woźnych grad złotych i srebrnych pieniędzy, a trąby po trzykroć się ozwały i turnieje się zaczęły.

Zwarły się przeciwne szyki i w natarczym pędzie zmieszały się z sobą. Przez chwilę stali niewzruszeni

rycerze, ale wkrótce potem usłyszano chrzęst broni, łoskot żelazców kruszonych o tarcze i łamiących się kopij, w oka mgnieniu spadły na ziemię pióra i szyszaki dumnie przed chwilą nad tłumem się wznoszące. Rozciągały się konie na polu potyczki, i potrzaskane odłamki stali i żelaza wlatywały w powietrze. Wodzowie obu stron dotrzymawszy jednak siodła, gotowali się do nowej gonitwy, kilku zbrojnych straciwszy zmysły w szybkim z konia upadku leżało na ziemi. Na jednych pęknięte zbroje dowodziły mocy poniesionych ciosów, na drugich całe były pancerze, ale hełm lub puklerz zdruzgotany pokazywał, że nie z słabymi przeciwnikami mieli do czynienia.

Giermki i żołnierze weszli wtenczas do zagrody, prowadząc świeże konie rycerzom mogącym jeszcze walczyć, osłabłych zaś na siłach do własnych zanieśli namiotów.

Trąby znów zagrzmiały i rzuciły się na siebie po drugi raz walczne hufce. Wojewoda spotkał się z Jordanem z Gozdowa i tak silnie oba się zwarli, że ich konie uderzywszy jeden o drugiego, padły bez ducha na ziemię i jeźdźców przywaliły. Jordan pierwszy się wydobył zpod zabitego rumaka, a Sieciech choć z trudnością, wkrótce potem toż samo uczynił, ale jeden i drugi odstąpić musieli dla przywdziania innych zbroi. Podczas ich niebytności odpoczęły obie strony, znacznie na liczbie zmniejszone, ale jeszcze gorejące zapalem, oklaski i krzyki widzów, ućniechy i wejrzenia dziewic, krzepiły ich męstwo, dodawały ochoty i pragnienia sławy.

Tymczasem nadaremno Władysław Herman nie zważając na turnieje, usiłował pojednać Mieczysława ze Zbigniewem. Milczeniem odpowiadali na jego prośby i napolinanie, z uszanowaniem wprawdzie słuchać się go zdawali, ale przewidywał stroskany monarcha, że za oddaleniem się od niego, rzucają się na siebie z całą wściekłością, odbijającą się w ich ponurym wzroku.

Niedługo czekano na powrót wojewody i Jordana, a wtenczas po trzeci i ostatni raz spotkały się ich hufce; okropnie było patrzeć na mieszające się kopie

i puklerze, na topory wznoszące się i spadające na przeciwników zbroje, na mężów opuszczających wodze i z bladeścią śmierci padających wraz z koniem, lub pod jego kopyta, a choć prawa broniły krwi rozlewu i najczulsze istoty patrzyły na te zabawy, już kilku zginęło rycerzy. Henryk zwałił z konia kilku współzawodników i żelazcem nieskruszonej dotąd kopii odpierał napadających.

Sieciech patrzył ze zgrzytaniem zębów na swoich, którzy się co chwila usuwali z pobojowiska. Jedni szli po świeże zbroje, drugich wierni odnosili słudzy, inni znowu krwią i kurzawą okryci, sami wychodzili z zagrody, a tymczasem dzielny Jordan nieustannie nacierał i krzycząc! — Niech żyje Gozdowo! górą Gozdowo! — znaczne odnosił korzyści, kiedy z drugiej strony słabe tylko i rzadkie już głosy odpowiadały: — górą topór! górą wojewoda!

Nareszcie kiedy na polu walki jeden tylko Sieciech z Henrykiem się został, Wszebor powstawszy zatrzymał bitwę, przyznając zwycięstwo Jordanowi z Gozdowa. Zapewnie smutnem było ojcowskiemu sercu chwalić człowieka, którego musiało liczyć do uciemięźcicielów córki, ale uczucie sprawiedliwości przemagało nad wszystkie względy w prawej duszy pana Ciechanowa, i własnymi rękoma dał Jordanowi pyszny szyszak z świetniejącego złota.

Wojewoda wstydem okryty, rozżarzony obrażonej dumy wyrzutami, poprzysiągł przeciwnikowi zemstę i zaczął przemyśliwać nad sposobami odzyskania przewagi i wiernej dotąd sławy. Zapominając o prawach turnieju, o rodzaju tej zabawy i o przytomności króla, uknuł w głębi duszy śmierć Jordana, i dlatego odszedłszy na chwilę do namiotu, przywdział najlepszą zbroję i przypasał miecz doświadczony, medyolańskiej roboty.

Za swoim powrotem ujrzał jak wielki sokolnik gotował się do skruszenia kopji z Mestwinem. Z przeciwnych stron zagrody zbliżyli się oba do siebie w najżywszym biegu, kopia Wolimira przebiła puklerz Niemca, a dzida

Mestwina strąciła z szyszaku pana Moskorzewa, wznoszącego się nad nim sokoła.

Następnie Henryk z Kaniowa gonił za Jordanem z Gozdowa, i choć silnie uderzony bronią przeciwnika, siodła dotrzymał, ale w drugim spotkaniu nie był tak szczęśliwym i runął na ziemię, z której porwawszy się zręcznie, wytrącił za trzeciem natarciem stalową tarczę z rąk Jordana, i zgiął mu pancerz przeważnym razem.

Walczyli potem inni rycerze, ale wszystkich pokonał Jordan i zwycięzcą sam jeden na pobojuwisku został. Już Wszebor drugą chciał mu przyznać nagrodę, kiedy wojewoda wsiadłszy na konia, wyzwał go do potyczki. Nie odmówił jej Jordan tyloma utarczkami znużony; wzięwszy kopię z rąk giermka, zanurzył ostrogi w bok dyszącego konia i rzucił się naprzeciwko Sieciecha, który doń przybiegał z wściekłością w sercu.

Wielką miał przewagę wojewoda, na świeżym siedząc koniu, i zaraz też za pierwszym zwarcieciem upadł rumak Jordana, a rycerz ledwo mógł się zpod niego wydobyć. Rzucił wtenczas Sieciech niepotrzebną kopię, z konia zeskoczył i cichym rzekł głosem.

— Wyzywam cię na śmiertelny pojedynek.

— Gotów jestem, — odparł Jordan — choć nie potemu miejsce — i dobywszy miecza, zastawił się od potężnego zamachu wroga.

Rozległ się po równinie okrzyk oburzenia i trwogi, król powstał i chciał przemówić, ale nie miał dosyć mocy, Wszebor cisnął buławę między walczących, ale to nic nie pomogło, a nikt nie śmiał rozdzielając rycerzy nadstawić się ich ciosom. Potykali się więc z sobą wśród mnóstwa przerażonego ludu, wśród jęku i płaczu niewiast, zapomniawszy o własnej powinności i uszanowaniu królowi należnem. Wtem Jordan słabiej zaczął odpierać napad Sieciecha, utraciwszy siły w tylu potyczkach, napróżno starał się ich ostatki podźęgnąć wspomnieniem na chwałę i na zagrażające niebezpieczeństwo. Rana odebrana w piersi, jeszcze bardziej moc jego zwątlila. Wkrótce potem wojewoda krakowski ode-

rwał mu szyszak ze skroni, i w obnażone czoło siekł pałaszem. Tarcza Jordana padła obok potrzasięgo hełmu, zawróciła się głowa, oczy nie mogły już rozpoznać nacierającego coraz bardziej wroga; nareszcie przyklął na piasku i uchwyciwszy oręż w obie ręce, starał się ocalić życie, które upływało w krwi potokach, zbroję jego i miejsce, gdzie walczył broczących. Wtenczas Zbigniew widząc bliski zgon tak dzielnego męża, chciał mu na ratunek pobiedz, a kiedy ojciec go nie puszczał, stanął z szybkością błyskawicy na poręczach tron otaczających, i ztamtąd rzucił się na dół. Trzeba było odwagi i całego uniesienia księcia do tak rozpaczego czynu, a zarazem szczęścia zawsze mu prawie towarzyszącego, żeby po nim ocalał. A jednakże choć dość wzniesionym był tron królewski, bez żadnego szwanku dostał się do ziemi, skoczywszy w otwarte objęcia Mestwina, zważającego z pobjowiska na wszystkie jego poruszenia.

— Daj mi twoje rękawice i sztylet — rzekł Zbigniew, rzucając dane od żony rękawiczki, i porwawszy broń żadaną pobiegł do wojewody, silnem ramieniem odsunął konającego prawie Jordana, którego kilku żołnierzy wzięło, a sam z mieczem w prawej ręce, z sztyltem w lewej.

— Musisz teraz zginąć! — zawołał — i zaczął walkę z Sieciechem.

Najwyższe zadziwienie wstrzymało wszystkim oddech i głosy. Mieczysław dobył szabli, chcąc, pobiegłszy na równinę, stanąć na miejscu wojewody i rozstrzygnąć pojedyńkiem los domowej wojny, ale Władysław Herman zarzucił mu ręce na szyję i przyciskając do piersi zawołał:

— Jedyna i ostatnia moja nadziejo, zostań — a Wolimir z Moskorzewa, Wszebor i kilku innych panów, którzy się zbiegli do króla, zatrzymali, za prośbą nieszczęśliwego monarchy, szlachetnego młodzieńca.

To się wszystko w oka mgnieniu stało, a kiedy kilku rycerzy chciało rozdzielić księcia od wojewody, krzyknął Zbigniew:

— Śmierć temu, który się zbliży — i dalej ciągnął śmiertelną walkę.

Wszystko co siła i zręczność doświadczona może, towarzyszyło razem nawzajem od dwóch przeciwników sobie zadawanym, ale Sieciech nieprzebitą okryty był zbroją, kiedy Zbigniew oprócz miecza i bohaterskiej odwagi, żadnej inszej nie miał obrony. Starał się on kilka razy zatrzymując szablą oręż nieprzyjaciela, sztyletem go w drugiej ręce trzymanym ugodzić, lecz zawsze ciężąca na lewem ramieniu rana, osłabiała zamach, i bezkorzystne jego zapędy czyniła. Pomimo najsroźszych boleści, ucierał się jednak Zbigniew z tak zapalczywym męstwem, że wojewoda zaczął wątpić o wygranej, ale nabrał otuchy, kiedy zobaczył, że wielokrotne uderzenia wroga, odbite zawsze żelazem piersi mu strzegącym, bezskutecznemi się stawały. Możeby jeszcze i stalowy pancerz na nic się nie zdał wojewodzie, naprzeciw olbrzymiej sile i wściekłej księcia odwadze, gdyby rana nie dobrze zagojona nanowo się nie roztwarła, a wtenczas Zbigniew ramię opuścił i sztylet wypadł z jego drżącej dłoni. Radość zajaśniała na twarzy Sieciecha, podwoił natarczywość i wszystkiemi siłami rzucił się na nieprzyjaciela. Nie ustąpił jednak i teraz osłabły książę, i dosyć długo opierając się przeciwnikowi, nawet lekką ranę w nogę mu zadał. Lecz coraz bardziej tracąc na mocy, czuł że się zbliża chwila, w której mu przyjdzie zginąć, zginąć pod żelazem Sieciecha i opuścić Hannę, tyłoma burzami zagrożoną. Obraz łez jej i rozpaczy podżegnał na chwilę jeszcze cały jego zapal i wrócił utracone siły, rzucił miecz daleko od siebie, w górę podskoczył i schwycił wojewodę za szyszak, starając się go nachylić do ziemi, gdzie leżał Mestwina sztylet, którym myślił dokończyć zwycięstwa. Wtenczas Sieciech słuchając tylko głosu zemsty i uniesienia, nową, cięższą ranę zadał synowi własnego króla, a omdlewający bohater runął na ziemię, pociągając za sobą w upadku niecierpianego wroga. Z trudnością przyszło się hetmanowi wydobyć z nieprzyjaciela objąć, ale Zbigniew już powstać nie mógł. Napróżno starał się podnieść szlachetną głowę, napróżno ścisnął bezsilną ręką sztylet nanowo uchwycony, jak gdyby z zimnego żelaza

chciał przejąć nowe życia potoki, napróżno oparłszy raz jeszcze szeroką prawicę o bliski kamień, dźwignąć się usiłował. Ciemności pokryły niebo przed tak bystrym przed chwilą wzrokiem, wzdłuż ciało się wyciągnęło i zmysły go opuściły. Zapamiętały Sieciech podnosił już żelazo, kiedy silne uderzenie z dłoni mu go wytrąciło, obrócił się, a rycerz niemiecki Mestwin z Wilderthalu stał przed nim z założonemi na piersiach rękoma. Nowy pojedynek jużby się zaczął, gdyby tłumy wchodzącego do zagrody ludu ich nie przedzieliły.

Wtenczas dopiero powstało nadzwyczajne zamieszanie, krzyki i wrzaski rozległy się na wszystkie strony. Całe pobojowisko pokryte było pospólstwem i rycerzami, niewiastami i żołnierzami, bogato wystrojonymi pany i ubogimi wyrobnikami, którzy miesząc się w ścisku, największego zaburzenia i nieładu przedstawiali widok. Nieszczęśliwy Władysław musiał patrzeć z tronu na walkę, liczyć każdą ranę synowi zadaną, a nareszcie widzieć jego pokonanie. Żadna już łza z oczu nie wypływała, ale zamię rozpaczę ukazało się w skościałych od przerażenia rysach.

Gorzko żałował Mieczysław, że wojewoda zajął jego miejsce i jedyny cel pragnień zniweczył, bo już nie można było wątpić, że wkrótce dobieje ostatnia chwila dla księcia Zbigniewa. Leżał on na miejscu walki, krwią własną oblany, a co chwila oddech cięższym się stawał, co chwila większa bladeść po jego rozlewała się licach, a sine powieki w pół zakrywające czarne oczy, lekkim drganiem świadczyły, jak mało już życia pozostało w tak pięknem niedawno ciele.

Nadzwyczajnem zdarzeniem nikomu wśród tylu ciekawych widzów, na myśl nie przyszło ratować go jeszcze lub podnieść z kurzawy. Czy też dlatego, że w wielu sercach wrzała niechęć ku niemu, czy też przejęci postrachem bohatera, nie śmieli go się dotknąć i niezrozumianą bojaźnią przejmował ich jeszcze umierający Zbigniew. Dopiero po jakimś czasie przerznął się przez otaczające tłumy Henryk z Kaniowa, a pamiętny darowanego przez Zbigniewa życia, zmierzył okiem pogardy

tych, którzy w bezczynności rachowali ostatnie wielkiego człowieka chwile, i dźwignąwszy księcia, cucić go zaczęli.

Tymczasem Sieciech wojewoda krakowski klęczący przed królem, w takie doń odzywał się słowa:

— Władysławie, królu i panie mój! nie szukałem walki z księciem Zbigniewem. Wyrwał on poświęconą sprawiedliwej zemście ofiarę, a wtedy... Ale, królu i panie mój, sam patrzyłeś na to zdarzenie, podniosłem oręż na twojego syna, mnogimi rany pokryłem mu piersi, choćbym własnymi gotów zastawiać jego ojca i życie oddać za ciebie.

— Wojewodo, — rzekł król — serce moje przeklina ciebie.

Zmarszczył brwi Sieciech i spojrzał na straż królewską wymownym wzrokiem, raczej była to straż dumnego hetmana, niż straż Władysława. Zrozumiał nieszczęśliwy starzec utajone myśli Sieciecha.

— Wojewodo — rzekł — wiesz jak cenię twoje zasługi...

Usłyszawszy taki początek, nie czekał Sieciech końca mowy słabego monarchy, i rozkazującym wykrzyknął głosem:

— Zanieść księcia Zbigniewa do zamku królewskiego w Płocku!

Tysiąc głosów powtórzyło: — Zanieść księcia do zamku — Zbigniew do Płocka — a wojewoda rozkazał jednemu z swoich rycerzy Spytkowi z Rytwian, by przerznął się z kilkoma zbrojnymi przez tłumy otaczające Zbigniewa, i odebrawszy go z rąk Henryka z Kaniowa, do Płocka wyruszyli. Więc już miały się zakończyć walki i spory, wojna domowa ustaćby musiała, Zbigniew w mocy nieprzyjaciół oddałby Hanne. Mieczysław stał smutnie oparty o poręczę tronu, bo inny zwałczył jego wroga nie przewagą własnego oręża, nie narażaniem się na setne niebezpieczeństwa wyrwie kochankę z rąk

Zbigniewa, ale przez układy, przez poniżające umowy spokojnie ją odbierze, i miecz jego nie zabłysnął z pochwy wydobyty, i spokojnie przypatrywał się walce, i widział krew nieprzyjaciela od innej przelewaną ręki, każda kropla przymnażała mu boleści i wstydu, każde uderzenie Sieciecha hańbą go okrywało. W tej chwili tak go chęć sławy uniosła, że życzył sobie, żeby Zbigniew uszedł niewoli. Gotów był nawet życie jego wszelkiemi sposobami teraz ocalić, żeby później mógł mu je sam wydrzeć i w oczach świata ukazać się godnym synem Bolesława Śmiałego.

Takie myśli snuły się w umyśle młodzieńca, kiedy Spytek z Rytwian szedł śpiesznym pośród mnóstwami ludu krokiem, zmierzając do Zbigniewa, którego usiłowania Henryka do zmysłów jeszcze wrócić nie potrafiły.

Zbliżył się rycerz od Sieciecha posłany, i kazał żołnierzom wziąć syna Władysława, ale w tej samej chwili usłyszano przeraźliwe krzyki i z przeciwnego końca pobojuwiska, ukazał się rycerz, który na czele kilku zbrojnych z spuszczoną przybiegał przyłbicą, tratując po ciałach zwalonych przez siebie ludzi. Z dobytym pałaszem dopadł miejsca, gdzie był książę. Objął go lewem ramieniem i porwawszy z ziemi położył przed sobą na siodle. Spytkowi zatrzymującemu wodze u konia, miecz w piersi utopił, a spinając rumaka ostrogą, roztrącił opierających się i w najżywszym pędzie uniósł księcia ponad trupy, któremi drogę zaściewał.

Wkrótce potem ujrzano młodzieńca jadącego jego śladami, kilku z przytomnych poznało jeźdźca, a imię Ulrych z ust do ust przechodząc, kazało się domyślać, że jego pan tak odważnym sposobem wyrwał Zbigniewa z rąk przeciwników i z hańby niewoli.

Dwiema godzinami później puste było pole turniejów. Gmach wznosił się jeszcze wśród ostatków połamanych orężów, krwią zbryzganych trupów i szlachetnych koni na kurzawie rozciągniętych. Gdzieniedzie wianki z kwiatów opuszczone przez drżących piękności ręce leżały, a róża wpół z liści obnażona, podnosiła się jeszcze

z piasku zbrozonego, lub tkwiła wśród szczętów potrzaskanej broni.

Zbigniew zaś leżał w swoim zamku, a u jego łoża stał rycerz z Wilderthalu, Abraham z Hamburga i Hanna z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XVII.

Wierna mężowi! lecz taka wierność
prowadzi do grobu.

Szekspir.

Łzy płynące po anielskich licach księżnej, zatrzymały się na chwilę, kiedy Zbigniew oczy pierwszy raz otworzył i osłabionym wzrokiem pojrzał na otaczające przedmioty. Utrata krwi uszłej tyłoma ranami tak go osłabiła, że nie mógł z początku ani słowa wyrzec, ale w niemem ściśnieniu ręki poznała Hanna całą miłość ukochanego męża. Mestwin ponuro patrzył na to porozumienie się dwóch serc przywiązaniem tchnących, a tymczasem Abraham ze zwyczajną powagą zaczął opatrywać księcia. Z początku nic nie mówił, a cierpienia i srogie księżnej oczekiwanie odbijało się w każdym rysie naddobnej twarzy, w każdym smętnym spojrzeniu, w każdej łzie co się z niebieskich oczu sączyła. Nareszcie ozwał się lekarz:

— Trzeba czasu, ale ręczę, że nie zginie.

Radość zabłysła na twarzy Hanny jak promień słońca, migający między chmurami, rozjaśniło się czoło posępnego Mestwina i z wyrazem zadowolenia pocichu powtórzył:

— Trzeba czasu.

Następnie książę drżącym głosem powitał powiernika i żonę, a kiedy się dowiedział, jakim sposobem uratował go rycerz niemiecki, jak najczulej mu podziękował.

— Nie wiem — rzekł po chwili — czego mam się spodziewać, czy życia, czy zgonu? ale to wnet rozstrzygnę. Mestwinie, podaj mi pałasz.

Z zadziwieniem rycerz niemiecki taki rozkaz usłyszał; natychmiast jednak broń żadaną złożył w ręce księcia.

— Teraz — rzekł Zbigniew — postaw na ziemi przed moim łóżem ten szyszak stalowy.

Również i to Mestwin wypełnił. Abraham śledził z uwagą najmniejsze księcia poruszenia, a do zdumienia Hanny mieszała się jakaś bojaźń zarówno do opisanego, jak do wytłómaczenia trudna.

Wtenczas Zbigniew z trudnością się podniósł i lewą ręką oparłszy się o łożo, dźwignął miecz swój ogromny w górę, pomimo największych boleści, zatrzymał go przez chwilę w powietrzu, a ztamtąd spuścił na hełm z twardej wyrobiony stali, a choć słabsze było to uderzenie od zwyczajnych bohatera ciosów, rozpadł się szyszak z łoskotem na dwoje przecięty.

— Nie zginę! — zawołał książę i opadł na łożo, dręczony pomnożonym przez te wysilenia bólem, nadzieję znać było jednak w żywych jego oczach, a choć chwilowy rumieniec bledniejące lica opuścił, zostawił na nich ślady życia. Wtem Abraham z Hamburga głos zabrał i oświadczył, że spokojności nadewszystko księciu potrzeba, i że bez niej, nigdy go nie potrafi pomimo najlepszych chęci i największych usiłowań z tak niebezpiecznego wyprowadzić położenia.

Zapewnie uczuł prawdę tego rozumowania Zbigniew, bo obróciwszy się do żony, rzekł:

— Hanno, wróć do swoich komnat, nie ścierpię, by widok moich boleści nieustannie cię dręczył, byś przy chorym przepędzała dnie młodości roskoszom i uciechom przeznaczone, wróć do siebie, moje kochanie.

— I gdzież mi lepiej niż tutaj będzie, drogi Zbigniewie! z radością każde twoje słowo słyszę, z uniesieniem patrzę na męża wracającego do życia. Nie posyłam mnie na wygnanie do tych komnat tak bogatych

wprawdzie, ale już tak dawno twoją przytomnością nieożywionych.

— Księżno i pani moja, — przerwał lekarz — twój widok księcia porusza, niespokojnym go czyni, podwaja natężenie umysłu, wlewa ogień w osłabione żyły, a to wszystko jest niebezpiecznem. Jutro, za kilka dni, dłużej będziesz mogła przy nim zabawić, ale dzisiaj zaklinam, oddał się pani, jeśli drogie ci są dni księcia Zbigniewa, za których całość ręczę teraz, jeśli Bóg dwunastu pokoleń pobłogosławi mojej nauce i sztuce.

— Hanno, — rzekł książę — myśl że każdy jęk wydarty z moich piersi przez ciężkie bole, twoje serce zasmuca, jest najgorszą dla mnie męczarnią.

Nie mogła się już dłużej opierać. Rzuciła się więc w męża objęcia, i uroniwszy łez kilka na rozdarciem jego łonie, spojrzawszy jeszcze raz na ulubionego, wyszła z Mestwinem, któremu Zbigniew kazał odprowadzić żonę do jej pokojów, a potem zebrać ludzi, rozstawić ich po wieżach i wszystko przygotować do wojny, w której miał dowodzić, aż do wyzdrowienia księcia. Zalecił mu także Zbigniew, żeby miał staranie o dzielnym rycerzu z Gozdowa, którego niedawno bez zmysłów wniesiono do zamku.

Drżąca Hanna przebiegła lekką stopą liczne korytarze i manowce dzielące ją od pysznych pokojów, a ile razy przy wstępowaniu lub schodzeniu z natrafiających się schodów, chciał jej podać rękę rycerz niemiecki, odpierała jego usłużność spojrzeniem malującym pogardę i największe oburzenie. Nakoniec przybywszy do swojego mieszkania, stanęła na progu.

— Tu kończy się twoja droga, — rzekła do Mestwina — uchoź więc z moich oczu — i wstąpiła do komnaty, lecz wkrótce potem odwróciwszy się, ujrzała z gniewem, z bojaźnią pomieszany, stojącego za sobą Mestwina. Chciała zawołać na Katarzynę, ale rycerz z Wilderthalu nie dał jej czasu wymówić i słowa. Zbliżył się śmiało, porwał za rękę i cichym wyrzekł głosem:

— Milczenie!... niewiasto, pamiętaj na straszną przysięgę.

— Ach! jakżem nieszczęśliwa — zawołała księżna. — Nierozważna przysięga każe mi ukrywać występki tego zbrodniarza i słuchać miłosnych oświadczeń tego potwora, kiedy może w tej chwili mój Zbigniew umiera.

— Potwór i zbrodniarz — przerwał Mestwin — stojący przed tobą, naraził dziś życie dla człowieka tak kochanego od ciebie, i uniósł go wśród grożącej zewsząd śmierci z tłumu zażartych wrogów.

— Tembardziej żałuję, — odparła Hanna — że Zbigniew winien zato jakąkolwiek wdzięczność takiemu jak ty zbrodniarzowi.

— Czyż zawsze — zawołał Mestwin — zaślepiona lecieć będziesz w otwartą przepaść? Czyż zawsze związana przesadami, nie wzniesiesz umysłu nad ciemności wieku i nie wzgardzisz stosunkami towarzystwa i niewolą od nich narzuconą? Możesz zostać najszczęśliwszą na ziemi istotą, a dla kilku słów przez człowieka równego tobie, przy stosie kamieni, który zowiecie ołtarzem, wymówionych, uzbrajasz zabójczemi grotami rękę którejby tak miłem było przyciskać cię do piersi. Hanno, obudź się ze snu, odpędź mary cnoty i powinności, oddal mylące cię złudzenie, bo wierzaj mi, pani, że już Zbigniew nie kocha ciebie.

Z trudnością córka Wszebora zatrzymała łzę, temi słowy wydartą jej boskim oczom i ze wzgardą odpowiedziała:

— Precz ztąd, precz żmijo, twój jad nie wciśnie się do mojego serca, bo Zbigniew kocha mnie i kochać nie przestanie, a choćby zapomniał o Hannie, ona mu wiecznie zaprzysiężonej wiary dochowa.

— Nie, nie dochowa, — przerwał ponuro Mestwin — bo wtenczas najdoskonalszy utwór Boga, musiałby zniknąć z tego świata.

Wzdrygnęła się Hanna i po chwili z rozczuleniem wyrzekła.

— O Zbigniewie! gdybyś usłyszał obelgi, któremi twój powiernik mnie pokrywa, gdybyś poznał udaną przyjaźń i fałsz pokryty barwą szczerości, czyżbyś nie

porwał się z łoża cierpień, nie przybiegł na pomoc twojej Hannie? Czyżbyś go nie orężem, ale już samym wzrokiem ztąd nie oddalił?

— Niema siły na świecie, — krzyknął Mestwin — któraby mogła mnie ztąd oddalić, kiedy widzę przed sobą postać ulubionej.

— A więc — ciągnęła dalej księżna — trzeba pożegnać się ze złotymi chwilami młodości, z rajem w wyobraźni utworzonym. Kwiaty strojące drogę życia, więdną przed moimi krokami, zamiast Zbigniewa, zamiast opiekuńczego anioła, duch piekielny się zjawił, i zatruwając szczęście, czarnymi smutkami powłókł me życie, zaćmił tak czystą, tak jasną dawniej przyszłość moją.

— Hanno, napróżno narzekasz. Nie znajdziesz litości w mojem sercu, dopóki nie zezwolisz na moje żądania: wtenczas dopiero poznasz nieznanę dotąd szczęście, dopiero uczujesz wdzięk panowania nad wszystkimi; niech cię nie trwoży odległa ojczyzna i ojciec, ja nową, piękniejszą ojczyznę ci wskażę. Ujrzysz czarujące Niemiec okolice; twoje oko spocznie na miłych łąkach, na srebrzystych strumieniach, lub jeśli wzniosłe wolisz obrazy, dosyć jest skał i przepaści na świecie — dodał z szyderskim uśmiechem — dosyć burz i wichrów. Obierzesz co zechcesz, czy niebo czy piekło, czy pałac okazały, czy cichą chatkę, wszystkie żądania twoje wypełnię, wszystko co można uczynić, uczynię, a to co nie można, jeszcze dla ciebie uczynię.

— Rycerzu zapominasz się zupełnie, czy już nie wiesz do kogo przemawiasz?

— Do mojej żony, lub do mojej ofiary — odparł wściekle Mestwin.

— Jeśliś matkę lub siostrę miłował, jeśliś ojczyznę lub cokolwiek na świecie kochał, w imieniu tego każę ci się natychmiast oddalić.

— I sądzisz — rzekł rycerz, nie zważając na to wezwanie — że Zbigniew jeszcze cię kocha, a przecież — dodał zręcznie — ciągle dzisiaj zwracały się jego oczy na Sławomirę z Kossowy.

Zadrżała pomimowolnie księżna, nie uszło to uwagi rycerza, który cięższe jeszcze rany gotował jej czułemu sercu.

— Powiedział mi nawet na turnieju, że jej piękność nierównie twoję przewyższa.

— Kłamstwo nieraz twoje usta skaziło i dotąd je kazi; — przerwała Hanna — znam dobrze Zbigniewa, nigdy on mnie nie opuści.

— Wyrzuci cię z serca, jak wyrzucił dar twojej ręki — zawołał rycerz, rzucając na stół dane księciu dnia poprzedzającego rękawiczki, króre podniósł kiedy Zbigniew lecąc do boju, jego własne przywdział. Ten widok przeraził Hannę, i drżąc przycisnęła do piersi rękawiczkę, która niedawno spoczywała na dzielnej bohatera prawicy.

— Pani, — rzekł wtenczas Mestwin — zdaje się, że ten dowód musiał cię przekonać, że przed nim ustąpią wstrzymujące cię dotąd względy, że dłużej nie potrzebuję powtarzać próśb i przełożeń — a to mówiąc chciał namiętne zarzucić uściski na śnieżne piersi swojej pani.

Cofnęła się Hanna.

— Rycerzu! — zawołała rozkazującym głosem — jestem bez pomocy, bez obrony. Wiara rycerska jeśli jeszcze nie zaginęła w bezpiecznym sercu, niech cię wstrzyma w szalonym zapędzie.

Właśnie w tej chwili wypadł sztylet zatknięty w pasie Mestwina. Porwała broń morderczą księżna i zwracając go do własnego łona, zawołała.

— Już znalazłam obrońcę, i nie lękam się ciebie.

A w jej oczach świecił nadludzki ogień i zdawała się już nie być mieszkanką tej ziemi.

Stał oniemiały Mestwin, wlepiając wzrok okropny w postać anielską, niezrozumiana przez niego cnota w całym ukazała się blasku, i zwątpił o osiągnięciu szkodliwych celów.

— Ostatni raz powtarzam ci — rzekła księżna —

abyś zaniechał nazawsze swoich zamiarów i nigdy nie śmiał stawiać się przede mną. Wieczna zapora między cnotą i zbrodnią dzieli nas w tem życiu, w przyszłym zaś przestrzeń niezmierną między niebem i piekłem jeśli skruczą i żalem nie przebłagasz Stwórcy.

Poznał wtenczas Mestwin, że mu żadna nie pozostawała nadzieja, że wszystko oprócz zemsty znikło dla niego na ziemi. Porzucił więc dotychczasową postać i nagle przejściem, z wściekłego kochanka przemienił się na wyrachowanego zbrodniarza. Ukłonił się księżnie z sztyderskim uśmiechem.

— Pani, już się stało, chciałaś się zgubić i zgubiłaś się. Od tej chwili miłosne oświadczenia już o twoje uszy obijać się nie będą, ale przekleństwa i srogie wyrzuty zajmą ich miejsce. Żegnaj cię, Hanno z Ciechanowa, poświęconas na męki i boleści, nieznanie dotąd temu światu, a jeśli po śmierci mam jęczeć w bezdennej przepaści, twoje życie piekłem się stanie, i tak zawsze twój los mojemu podobnym będzie.

Po tych słowach oddalił się rycerz, a kiedy stanął u drzwi, łoskot rzuconego na ziemię sztyletu obił się o jego uszy, odwrócił się i podniósłszy broń ulubioną, odszedł do swojej komnaty; nim jeszcze stanął u jej wniścia, już miał ułożone pasmo zdrad i podstępów, któremi chciał najpiękniejszą i najcnotliwszą niewiastę doprowadzić do zguby.

Zastał w pokoju Ulrycha trudniącego się urządzeniem broni w szafach już czytelnikowi znajomych. Zbliżywszy się w milczeniu do stołu, rzucił spokojnie szyszak, zdjął ciężki pancerz i odpiął szpadę. Następnie z krwią zimniejszą usiadł w szerokim krześle, założył ręce na piersi i giermka przywołał.

— Ulrychu, — rzekł mocnym głosem — ostatnia nadzieja uleciała dzisiaj ode mnie, zostaję wiernym panu mojemu i księciu, ale jego żona musi porzucić tę ziemię.

Po tych słowach, głośnym i przeciągłym śmiechem oznaczył dziką radość pochodzącą z pewności, że Hanna nie ujdzie jego nienawiści.

— Tak, mój chłopcze, będziesz miał teraz dużo do roboty, ale też ufam ci jak sobie samemu; przyznać trzeba, żeś się dzielnie dzisiaj spisał, właśnie w stanowczej chwili doniosłeś mi o niebezpieczeństwie księcia. Zagadłem się z tym Skarbimirem i gdybyś nie przybiegł, wszystkoby już zgubionem było. Teraz uratowałem Zbigniewa, a on na mnie polega jak na Aniele Stróżu; przewybornie, doskonale, okoliczności mi sprzyjają, zemsta gotowa, ułożona już i niechybna.

— Od jakiegoś czasu — przerwał Ulrych — nie mogę cię zrozumieć, czy to, że w Polsce rozum straciłem, czy też, że ciemno i niedobrze się wyrażasz, rycerzu i panie mój.

— Do szatana, zaraz ci się lepiej wytłómaczę, ale wprzódy daj mi czarę wina.

Pobiegł na górę giermek i przyniósł złoty puhar pełny szumiącego napoju, który Mestwin odrązu wychylił.

— Dobre wino, na Boga, — krzyknął — kilkam kropli wypił a już jaśniejsze przychodzą myśli, rozwidniają się zamiary i cele nie tak dalekiemi się wydają; siadź na tej poduszce przy moich nogach i słuchaj uważnie.

Wypełnił rozkaz Ulrych i z natężoną ciekawością wpatrywał się w rycerza, sądząc, że mu wykryje ważne tajemnice; niezmiernie zdziwił się zatem, kiedy następujące usłyszał pytanie.

— Czy dobry masz sztylet?

— Nienajlepszy, — odpowiedział po chwili — bo ten piękny, darowany mi jeszcze w Niemczech przez ciebie, na łowach zgubiłem; wprawdzie drugi w Płocku nabyłem, ale nie tak już ostry i mocny.

Wstał Mestwin i poszedłszy do szaf, jedną z nich otworzył, wyjął z niej sztylet stalowy i dał go giermkowi.

— Weź, — rzekł — jego żelazo jadem napuszczone, a kiedy nim tylko zadraśniesz wroga, natychmiast zginie.

Potem usiadł znów rycerz i dalej mówił.

— Czyś zawsze równie silny i wytrzymały w biegu? Zdumiony młodzieniec odpowiedział, że nie stracił tych ważnych zalet.

— I czujesz się zdolnym narazić się na niebezpieczeństwo?

— Na wszystko co rozkażesz.

— A gdyby naprzykład i podstępu trzeba było użyć, czybyś umiał sprawę poruczoną zręcznie wykonać?

— Znasz mnie, panie, — odparł Ulrych — doświadczyłeś w niejednym razie i nie widzę do czego te wszystkie zapytania zmierzają.

— Ach! nie widzisz, zaraz się dowiesz, Ulrychu! chociaż tak młody, powierzę ci jednak najskrytsze myśli, a w nagrodę takiej ufności żądam poświęcenia bez granic, oddania życia za moją sprawę i zrzeczenia się wszystkich uciech bez najmniejszego żalu.

— Gotów jestem, panie, — krzyknął młodzieniec — rozkaż a pójdę na śmierć.

— Dobrze, porywcze dziecię, dobrze — odparł Mestwin, i wpadł w głębokie zamyślenie, które nieprędko przerwał.

Nareszcie spokojnym tak przemówił głosem.

— Ta dumna Polka, ta księżna, jak to ją zowiesz, nie chciała odpowiedzieć na uczucia Mestwina z Wilderthalu, rycerza niemieckiego, a zatem zapadł na nią wyrok niczem niecofniony; musi umrzeć. Nie myśl jednak żem ci dał ten sztylet dla jej zabicia, o nie, uchowaj Boże: tak słodkiej i prędkiej śmierci nie dozwolę Hannie z Ciechanowa, córce potężnego Wszebora, żonie potężniejszego jeszcze księcia Zbigniewa. Jeśli nie ze smutku, to przynajmniej z trucizny zginie; prawdaż Ulrychu, trucizna jest przedziwnym środkiem, osobliwie kiedy nie wnet, ale przez kilka godzin skutki swe wymierza.

— Bezwątpienia, — odparł młodzieniec — ale szkoda tak pięknej i cnotliwej...

Głośnym śmiechem przerwał mu Mestwin.

— Cnotliwej! — powtórzył — a to coś nowego, kobieta cnotliwa, nigdy nie słyszał, nigdy takiego cudu nie widział; a wszakże pierwszą niewiastę w kilka dni po urodzeniu szatan skusił. Wierz mi, Ulrychu, nie ma na świecie cnotliwej kobiety. Każda skryciej lub jawniej zdradza swoje powinności. Tak królowa jak wieśniaczka woli żywe oko kochanka, od poważnego męża.

— A jednak zdaje mi się, — rzekł Ulrych — żeś sam dopiero doświadczył oporu, któryby cię powinien przekonać o cnocie...

— Dziecko z ciebie, wielkie dziecko, nie masz doświadczenia. Że Hanna powodowana cnotą, odrzuciła moje przełożenia, ja w całym jej postępowaniu tylko dumę upatruję. Wystawia sobie żem prosty rycerz, mniej dźwięcznie brzmi w jej uszach Mestwin z Wilderthalu, niż Zbigniew książę Polski, i dlatego też taką odprawę mi dała, ale na piekło poprzysięgam, że pozna kto jest ten Mestwin i z kim się śmiała poróżnić. Teraz, mój uczniu kochany, wyobraź sobie, że jestem mistrzem, którego nauki dobrze ci zapamiętać trzeba. Niech od dzisiejszego dnia, twoje przywiązanie do mnie, ma za granice ściany tego pokoju. Za niemi jesteś moim nieprzyjacielem, stajesz się sługą niewiernym, niecierpiącym swojego pana. Udajesz przed księżną, do której koniecznie musisz się wsunąć i przed jej Katarzyną, że moje okrucieństwo zniechęciło cię zupełnie, okrywasz mnie obelgami, oskarżasz o najokropniejsze zbrodnie. Tym sposobem pozyskasz ufność dowierzających najczęściej każdemu niewiast, a wieczorem każde ich słówko, każde poruszenie donosić mi będziesz. Dalsze postępowanie później ci oznaczę. Przewiduję, że nieraz odwiedzisz obóz Miecysława, gdzie Skarbimir poddany mi zupełnie... Rozumiesz, Ulrychu?

— Rozumiem.

— Gdybym innemu te rozkazy ogłaszał, zakończyłbym ich wyliczanie workiem pełnym srebra.

— Ale wiesz, — krzyknął młodzieniec — że niepotrzebne ci srebro, kiedy masz ze mną do czynienia.

— I właśnie dlatego nic ci nie dam.

— Oprócz łaski i przywiązania do człowieka, — odparł giermek — który cię pewno nie zdradzi.

— Dosyć i nauk i obietnic; — rzekł Mestwin, wstając z krzesła — pójdę teraz do Jordana. Słyszałeś?

— I wykonam — zawołał Ulrych.

ROZDZIAŁ XVIII.

Rzucą się wszyscy, i razem
Płomień słupem w niebo buchnie,
Wszędzie żarzyste migają główne
Leją się siarki i smoły,

— — — — —
Chmurami wieją popioły.

Odyniec.

Nazajutrz po tej rozmowie, tysiączne orężę błyszczały przed murami Zbigniewa, i pomieszane wrzaski spokojną od kilku dni przerażały okolice.

Wrzący namiętnością sławy Mieczysław podchodził z żołnierzami baszty, a Sieciech na koniu objeżdżał rotę, gdyż lekka rana pieszo mu iść nie dozwalała. Wszebor również swoich zagrzewał, kiedy Skarbimir unikając śmierci krył się pomiędzy tylnymi hufcami, i ten sam stan rzeczy który był przed zawarciem zawieszenia broni, wrócił nanowo. Jedną tylko w nim zachodziła różnica, że nie już Zbigniew z Jordanem z Gozdowa siał postrach pomiędzy szyki nieprzyjaciół, ale Mestwin z Wilderthalu, który co do znajomości sztuki wojennej i nieustraszonej odwagi, godnym był zastępować ich miejsce.

Myślał z początku wojewoda, że łatwo mu przyjdzie zdobyć zamek, sądząc że już w nim skonał Zbigniew i że liczba obrońców znacznie poprzedniemi napadami zmniejszona, niedługo opierać się zdoła. Lecz w tem mniemaniu zupełnie się zawiódł, gdyż podczas turnieju, na którego widzenie wszystkie hufce Mieczysława obóz opuściły, nowe posiłki i świeże zapasy żywności dostały się do zamku.

Po krótkim czasie zaczął się prawdy domyślać Sieciech, kiedy ujrzał jak walecznie broniła się załoga i jak umiejętnie wszystkim rozrządzał Mestwin. Podwoił zatem własne usiłowania, bojąc się by nie powiedzieli, iż rycerz niemiecki przemógł nad wojewodą krakowskim i hetmanem Władysława Hermana.

Roztropność atoli Mestwina wniwecz obróciła jego zamiary, a dziki Gierda potrząsając ogromnym toporem, w czapce borsuczej i niedźwiedziej skórce, z których włosów krew zabitych się sączyła, wszystkich przerażał. Ciężkie kamienie, świszczące strzały, jadem napuszczane pociski z obu stron wylatujące, zaciemniały słońce przed wzrokiem walczących, a krzyki, to uniesienia i zapału, to bóleści i rozpaczy, przebijając tę chmurę, wznosiły się do niebios, jak gdyby srogie wyrzuty tyłu mąk i nieszczęść na ziemi.

Ginęli męże i padając na kurzawę, szlachetną krew wylewali, przeznaczoną sprawiedliwym za ojczyznę bojom.

Wśród tego zamieszania, odznaczał się zapalony Mieczysław, doświadczony Sieciech i żartujący z ich wysilen Mestwin, który wzniesiony nad dolinę i głowy wrogów, kierował wystrzałami łuczników, i pole trupami zasiewał.

Kiedy tak zacięta odbywała się walka, zupełnie inne uczucia zajmowały dwie osoby rozmawiające z sobą w jednym z długich zamku korytarzów. Jedną z nich była dziewczyna z żywym okiem i świeżem licem, drugą młodzieniec, pod którego szlachetnemi rysami, krył się fałsz i obluda.

Katarzyna przechodząc ujrzała go wylewającym ciche łzy w ukrytym kącie, a serce ośmnastoletniej dziewczyny wzruszyło się na widok udanych cierpień młodego giermka. Przeszła jednak szybko, ale jęki Ulrycha cofnęły jej kroki i nazad wróciwszy, zapytała się nieśmiało.

— Cóż to znaczy? Czego płaczesz biedny młodzieńcze?

Podniósł schyloną głowę młodzieniec i ukazał płomieniste oczy wśród rześistego lez potoku.

— Ach! — zawołał głosem rozpaczy — tyś szczę-

śliwa, pędzisz życie przy cnotliwej i łagodnej pani, wszystkie życia chwile umiła ci anioł dobroci, nie znasz gorzkich płaczów, nie wiesz co to jest okrutnik srogi i nieubłagany. Ach! nie wiesz co to służyć u Mestwina z Wilderthalu.

Zadrżała na to straszne imię Katarzyna.

— Cóż ci on zrobił? — rzekła po chwili.

— Zapytaj — odparł Ulrych — wszystkich ofiar jego gniewu i zemsty, zapytaj się ich, co im zrobił Mestwin z Wilderthalu. Z początku słodki, ujmujący, zamienia się potem na gwałtownego ciemiężcę. Mnie także zwiódła jego słodycz pokrywająca najczarniejsze występki, oderwał mnie od ojczyzny, wyrwał z objęć matki; dla niego opuściłem piękną, czułą jak ty siostrę, i z najmilszych wyzułem się uczuć, a teraz coraz surowszym i straszniejszym się staje — a tu nowe łzy mowę mu przecięły i nowe westchnienia z kłamliwych piersi wydobył.

— Nie płacz tak, Ulrychu, — zawołała już sama płacząca Katarzyna — alboż w naszym kraju niema sprawiedliwości? Alboż nie zasiada w Płocku król nasz miłościwy, a w tym zamku syn jego, potężny książę i pan nasz Zbigniew?

— Nic mi nie pomogą.

— Zanieś skargę, rzuć się mu do nóg, a zapewniam cię, że skarci twojego pana. Jeśli chcesz, to nawet powiem mojej pani, a ona tak dobra, tak czuła, jestem pewna, że się ujmie za tobą.

Zbladł na te słowa młodzieniec, jak gdyby wyrzuty sumienia ozwały się w duszy, ale to pomieszanie krótko trwało.

— Nie — zawołał z udaniem przerażeniem — nie czyni tego, jeśli nieszczęśliwy stojący przed tobą ma jakiegokolwiek prawo do twojej litości: onby mnie zabił, rozszarpał, gdyby miał choć najmniejsze podejrzenie, że śmiem sprzeciwić się jemu i żalić się na postępowanie, które wkrótce do grobu mnie wtrąci. O matko, o sestro moja, o luba ojczyzno! Czyż was nigdy już nie obaczę? Czyż nie ujrzę tych łąk, na których w dzieciństwie igra-

łem, tych strumieni, po których tak przyjemnie mi było pływać przy wieczornym powiewie, tych skał pokrytych zielonemi krzewami, na które często się wdzierałem czepiając się rękoma słabych roślin i traw?

— Nie narzekaj tak Ulrychu, rozdierasz mi serce.

— Ale nie, — przerwał giermek, zapalając się coraz bardziej — nie powiedzą żem jak niewolnicze zwierzę schylił kark pod narzuconem jarzmem: i w moich też piersiach bije serce, i w moich żyłach krew płynie. Bez obrony, bez przytułku, w obcym kraju, wydarty matce, wystawiony na okrucieństwo srogiego pana, zdołam jeszcze zebrać młodzieńcze siły i jeśli nie pognębić, to ukarać przynajmniej wroga, który mnie wkrótce o śmierć przyprawi. Patrz, dziewczyno, na tę twarz pozbawioną rumieńca, na te oschłe i wychudłe palce, na tę schyloną, a kiedyś tak lekką i wysmukłą postawę; oto są skutki niewoli i uciemnienia. Tajemniczy, zawzięty, samą zbrodnią oddychający człowiek to sprawił, a teraz osądź sama, czy nie mam przyczyny łez wylewać, kiedy codzień czuję słabnące ciało, odzywające się boleści i czarne troski w miejscu dawnej, niczem nie zatrutej radości, ale przyjdzie czas i podniosę się zpod stóp potwora tłoczącego mnie ku ziemi.

Przerażona dziewczyna w milczeniu i z ściśnionem sercem poglądała na człowieka uniesionego gniewem.

— Opowiedz mi — nareszcie się ozwała — to, co Mestwin ci wyrządził.

— Wczoraj — odparł Ulrych — wrócił do siebie niezwykłym uniesiony szalem, oderwane wymawiając słowa, pomiędzy którymi imię twojej pani i księcia Zbigniewa najczęściej słyszałem, ponure i okropne rzucał na mnie wejrzzenia. Nakoniec wywierając swój gniew bez najmniejszego powodu, mało co w zapamiętałej wściekłości dni moich nie skrócił trzymanem ciągle w rękę żelazem. Wymawiałem mu w rozpaczę to niesłuszne obchodzenie się ze mną, nawet śmiałem wspomnieć o słyszanych wyrazach i wyrzucić, że coś zamierza przeciw księżnie, której wdzięki i anielska słodycz pozyskały całe moje przywiązanie,

a wtenczas pieniać się od złości, z ognistym wzrokiem, wyrócił mnie na ziemię i piersi nogą przytłoczywszy, wymógł straszną przysięgę, że nikomu nie powtórzę... ale zdradzam ją — dodał z oznakami trwogi — może nas podsłuchał, zgubionym... — i oglądał się na wszystkie strony z przerażeniem na twarzy.

— Bądź spokojny, on teraz walczy na murach, czyż nie słyszysz wojennych okrzyków i świstu pocisków?

— Prawda, wypadło mi już wszystko z pamięci, prawda, wkrótce rozum stracę — rzekł Ulrych, zwracając ku ziemi wzrok osłupiały.

— A więc — ozwała się Katarzyna — kochasz moją panią, i możnaby rachować na ciebie w razie potrzeby?

— Całą krew chętniebym za nią przelał — krzyknął giermek i wzniosłszy ręce do góry — przysięgam, że wypełnię wszystko co mi rozkaże.

Nie zważając na dwuznaczność tego przyrzeczenia, z radością wyrzekła dziewczyna:

— Pamiętaj o tem, coś wymówił i staw się w słowie kiedy czas i miejsce będą potem.

To mówiąc, oddaliła się, pewna że znalazła nowego przyjaciela i poświęconego sługę Hannie z Ciechanowa.

Zadowolony Ulrych z udania się tej pierwszej próby, poszedł na dziedziniec zamkowy dla przypatrzenia się walce, ale coś nieprzyjemnego mieszało się do jego radości.

Okropna bitwa toczyła się ciągle na murach okrytych pomieszanymi z sobą żołnierzami Zbigniewa i Mieczysława, krwi potoki spływały po kamieniach i basztach. Poobcinane głowy, oderwane od ciała członki i drętwiejące jeszcze ostatkiem życia zewsząd się sypały, wtem ukazał się na najwyższej wieży rycerz z Wilderthalu z kilkoma ludźmi, którzy ogromny tam leżący kamień podważywszy drągami, zwalili go na drabiny i głowy wspinających się po nich wojowników. Wnet potem zapalone pochodnie, kawały ciężkiego ołowiu pomieszane z wrzą-

cem wapnem wysypały się na oblegających. Potok morderczych płynów oblał dobywających się do zamku, a natychmiast rozległ się po przestrzeni krzyk boleści i żołnierze znapół spalonych dłoni wypuścili żelaza. Strąceni z wysokich murów rycerze roztrącałi się o kamienie na dole leżące, a grad pocisków bezustanku leciał na strwożone szeregi. Ze wszystkich stron napadane hufce traciły odwagę, walka nierówną się stała i znak odwrotu nareszcie dowiódł ciężkich strat i przewagi nieprzyjaciół Mestwina.

Podobne codzien odbywały się boje, a zawsze odparci na końcu oblegający, z odrodzonym męstwem i nową stałością nazajutrz wracali. Zbigniew sił powoli nabierał, ale jeszcze po dwóch tygodniach nie mógł wystawiać się na niebezpieczeństwa, którychby nie był zdolnym odprzeć. Widziano go jednak niesionego czasem na rękach wiernych żołnierzy: zasłoniony ich puklerzami, odwiedzał mury, opatrywał stanowiska i dawał rozkazy. Za słaby jeszcze na dźwiganie ciężkiej zbroi, nosił czapkę z białymi piórami i lekką kolczugę, a wypuszczone nań strzały jak gdyby z uszanowaniem naokoło padały. Tak więc bohater wyrwał się jeszcze z objęć śmierci dla bronienia żony, i zjednania sobie nieśmiertelnej chwały.

Jednego wieczora po ustąpieniu nieprzyjaciół, kazał zawołać Mestwina i spierając się na łożu, zapytał:

— Czyś nie strażony?

— Jeszczebym gotów walczyć — odparł rycerz.

— A więc przygotuj się do walki — zawołał książę. — Jak tylko noc pokryje niebo, z dobranymi wojownikami podejdź ich obóz, a niech wtenczas noc się w dzień zamieni. Nie chcę byś im wszystkie spalił namioty, częścią tylko obejmij płomieniami. Ja zaś wyjdę na wieżę i patrzeć będę na ten obraz, bo jednostajność teraźniejszego życia nudzić mnie zaczyna. Trzeba takiego widoku na wyrwanie mnie z słabości, na przywrócenie utraconej mocy.

— Już oddawna — rzekł rycerz — o tem myśla-

łem. Dziękuję ci, książę, że taką sprawiasz mi zabawę. Na Boga, na kilka mil wokoło rozjaśnię okolicę.

Po tych słowach ukłoniwszy się, wyszedł na dziedziniec zamkowy.

— Do broni! — krzyknął — do broni! — a wnet zgromadzili się naokoło niego dzielni żołnierze. Byстрыm wzrokiem przebiegł ich szeregi i wyznaczył mających się z nim udać na krwawą wyprawę. Potem wrócił do komnaty i pokrzepiwszy siły puhaem wina, rzucił się na łożo gdzie na chwilę zasnął.

Czarna noc zasępiła niebo, a chmury silnym pędzone wichrem na pomoc jej jeszcze przybyły. Obóz pograżył się w ciemnościach, a stojący na straży żołnierze słyszeli z bojaźnią współtowarzyszów jęki mieszające się do świstów wiatru; z powagą przesuwały się chmury jak orszak milczący, który smętnie postępuje za pogrzebem, i zdawało się, że samo przyrodzenie sprzyjając zamiarom wrogów, ich wykonanie ułatwia.

Obudził się Mestwin, przywdział zbroję i na czele zbrojnych wyszedł bramą zamkową, schylając głowę przed męzem, który zasiadłszy na wieży, czekał widoku kłesk i mordów.

W milczeniu szedł rycerz niemiecki, a on jeden tylko miał szyszak na głowie. Wszyscy inni trzymali helmy w lewej ręce, prawą kryli w ich wydrążeniach zapalone pochodnie. W cichości przesuwali się po równinie jak duchy złego, nateżając wzrok i słuch na wszystkie strony. Niecierpliwość i żądza walki podwajała bicie serca każdego z nich, ciemności i milczenie pokrywały ich dookoła, za chwilę potoki morderczego światła i tłumne wrzaski miały napęlnić miejsca, po których stąpali z ostrożnością łowca podchodzącego czujną zdobycz.

Kiedy zbliżyli się do obozu dobył miecza Mestwin, a natychmiast zabłysnęły pochodnie i obok nich podniosły się oręże. Rzucili się żołnierze pomiędzy namioty, a natychmiast zajęły się ich płomienie. Czerwonawe kłęby dymu kręczone wiatrem uniosły się nad równiną, a krzyki, jęki i rozkazy rozległy się wszędzie

Obudzony ze snu Mieczysław porwał szablę i wyleciał z namiotu. Sieciech wyszedł późni j trochę na pole bitwy w zupełnej zbroi. Wszebor podniósł oręż steraną dłońią, i również pośpieszył do walki. Napół uśpieni żołnierze skoczyli do broni, ale nie wiedzieli gdzie się udać i przeciw komu walczyć, bo nieliczni Mestwina towarzysze, podsycając ogień lub pojedynczych zabijając nieprzyjaciół, rozbiegli się pośród namiotów i wałów.

Trudno ich było odróżnić w zamieszaniu i nieładzie, a żołnierze Mieczysława dobywszy oręża, obracali się około, szukając wroga nieukazującego się nigdzie. Wtenczas wściekle patrzyli z rozpaczą na ogarniające ich płomienie, i słysząc dzikich napastników krzyki, nigdy z nimi spotkać się nie mogli. Mieczysław rzucał się pośród płomieni i trupów, podnosząc błyszczący pałasz, ale ani kropla krwi jeszcze nie spływała z niego. Przeworniejszy Wszebor, zebrawszy kilku ludzi, zaczął pracować około zagaszenia pożaru, ale kiedy ustawał za jego staraniem w jednym miejscu, wnet z drugiego wybuchał, niewidzianą zapalony ręką. Zdawało się jak gdyby ziemia się otworła i szerokimi płomieniami całą zagarnęła przestrzeń. Nareszcie Mestwin zwołał swój orszak i na jego czele wpadł na przerażone przeciwników szeregi, wnet przeraźliwe krzyki wskazały miejsce okropnej walki.

Mieczysław uradowany ze znalezienia wrogów, przedzierał się z siłą lwa przez rozognione belki, walące się namioty i ginących towarzyszy, biegnąc do Mestwina; lecz nim się mógł spotkać z niemieckim rycerzem, ozwał się podwakroć zdala silny głos rogu, a natychmiast spuścił Mestwin skrwawiony oręż, i obtarłszy go spokojnie, schował do pochwy.

— Nazad żołnierze — zawołał piorunnym głosem.

Głos rogu przerwał mu słowa.

— Wstecz towarzysze! — krzyknął — słyszycie, to róg księcia, to rozkaz Zbigniewa.

Potem rzucił się szybko między popioły i trupy z małym orszakiem, wkrótce znikł odgłos ich kroków, a ich postacie pograżyły się w ciemnościach, zpośród

których ukazywały się szczątki obozu, zniszczonego mordczemi płomieńmi.

Książę Zbigniew ledwo po czwarty raz odjął z ust ogromny róg, zdobny świetnemi ze złota okręgi, kiedy usłyszał kroki wracającego hufca i kazał zawołać Mestwina.

Stawił się przed panem rycerz okryty krwią i kurzawą, z poczernionem czołem od dymu, i z potrzaskaną zbroją przez ułamki rozpalonego drzewa, nieraz podczas walki nań spadłe. Sześciu żołnierzy z zapalonymi pochodniami stało naokoło księcia, którego bladeńce przeciwny wystawiała widok od rumieńca Mestwina, sprawionego przez trudy i bliskość ognia.

Zdał sprawę rycerz z poruczonego obowiązku, a potem wyciągając rękę zawołał.

— Nie mam co więcej opowiadać, niech mi ten obraz zastąpi wymowę.

— Dzielnyś zawsze, Mestwinie, — rzekł książę — ale bałem się byś uniesiony nie posunął się zadaleko, gdyż nie chcę wszystkiego w jednej nocy zakończyć.

— Przyznaję, — odparł Mestwin — że widząc tak sposobną porę, uczułem żywiej krew biegnącą po żyłach i wydobyłem żelazo; ale głos twojego rogu odwołał mnie natychmiast.

— Jeszcze więcej za to ci wdzięczności winienem niż za ten pożar — rzekł Zbigniew ściskając mu rękę — ale na Boga, zdaje mi się że niebo popsuje co ziemia sprawiła.

— Raczej piekło — dodał pocichu Mestwin.

— Te czarne chmury — ciągnął Zbigniew — wkrótce w deszcz się zamienia, już kilka kropel padło na moją rękę.

Ledwo tych słów domówił, aliści obudziło się spokojne dotąd przyrodzenie hukiem bliskiego pioruna, jak gdyby hasłem do bitwy i w okamgnieniu błyskawice rozdarły niebiosa, a deszcz rześisty spuścił się na ziemię.

Nie ruszył się z miejsca Zbigniew i poglądał wśród

burzy na zapalony obóz, z którego jęki nieszczęśliwych, jego uszu dochodziły. Ale wkrótce wzbijające się ku niebu płomienie zaczęły się ku ziemi skręcać, i czarny dym wydarł je po części patrzącemu oku, a tymczasem coraz większe potoki lały się z odwiecznych sklepień, i coraz bardziej gasły zapalone ręką wrogów ognie. Wzniósł oczy do nieba książę i przez chwilę zdawało mu się po łunie przestwór zalegającej, że pożar nic z mocy nie stracił, bo chmury jeszcze większym oświecone blaskiem, zamieniły się na ogniste ogromy toczące się z hukiem po przestrzeni; lecz poznał wkrótce, że częste błyskawice zastąpiły śmiertelne ognie, a kiedy spuścił wzrok na dół już nie ujrzał szerokiego pożaru, ale na miejscu jego czarne, blade odznaczone od ciemnej nocy namioty, które wznosiły się nad leniwo dogorywającymi gruzy.

— Tak znikają nadzieje, — pomyślał książę — jak te świetne płomienie obwiane wichrem i zalane wodą.

Potem w głos się odezwał.

— Skończyła się na dzisiaj zabawa. Zanieście mnie do łoża, spodziewam się że przynajmniej kilka dni odpoczynku mieć będziemy.

Nie ozwała się nazajutrz w obozie trąba zwołująca do bitwy, nie zarżał wyprowadzony na boje rumak Sieciecha, ani zabłysnął pałasz Mieczysława. Grobowe milczenie zaległo pozostałe od zniszczenia namioty, czasem wybladli wojownicy w napół spalonej odzieży, przesuwali się pomiędzy ostatkami własnych mieszkań, schylając się ku ziemi roztrącali dymiące jeszcze gruzy, i szukali opuszczonych orężów w wczorajszym nieładzie. Broń znalezioną znosili na środek obozu, z kądem każdy należytość swoją odbierał. Odchodził tu żołnierz z napół stopionym mieczem, tam znowu z połamanym pancerzem lub z świetnym niedawno szyszakiem, pokrytym teraz to czarnymi, to rudymi od ognia i od wody plamami. Nie słyszano jęków ani westchnień, ale zimna rozpacz malowała się w ich wzroku pozbawionym życia.

Dotąd żaden wódz się nie ukazał, a przelekle hufce traciły stopniami odwagę i ufność położoną w toporze

Sieciecha, mieczu syna Bolesława Śmiałego i roztropności Wszebora. Ale kiedy Mieczysław w zupełnej zbroi, tylko bez hełmu, ukazał się w gronie wybladłych i cierpiących towarzyszy, kiedy z nieostygłym zapalem wskazał na zamek i przysiągł, że nigdy nie odstąpi zamiaru, tysiąc głosów ozwało się w tłumnej wrzawie.

— Niech żyje książę Mieczysław! niech żyje syn dzielnego zdobywcy Kijowa! — a twarze przed chwilą pępne, pokryły się rumieńcem i oczy zmartwiałe nowym zabłysnęły ogniem.

— A więc za mną bracia — krzyknął młodzieniec, dobywając miecza

Ale nadchodzący Wszebor i Sieciech wstrzymali go od tak nierozważnego kroku, przekładając poniesione znoje, zmniejszoną liczbę żołnierzy i potrzebne naprawy w zniszczonym obozie. Mieczysław poznawszy prawdę tych uwag, zaczął wszystkich do pracy zagrzewać, i za jego rozkazem setne ręce rzuciwszy oręż, wzięły się do motyki dla wzniesienia nowych wałów i ustawienia nowych namiotów.

Tak usilnie pracowało całe wojsko, że po kilku dniach naprawiło szkody sprawione napadem wrogów, i drugi obóz wznosił się nad resztkami pierwszego. A wtenczas wróciły utarczki, rozpoczęły się boje i anioł śmierci znów skrzydła nad bijącymi się braćmi roztoczył.

Nowa pomoc przybyła broniącym zamku, kiedy Jordan z Gozdowa po słabości, w której długo pasował się ze śmiercią, ozdrowiał i wystąpił na czele swoich hufców. Zbigniew, choć pragnął przywdziać zbroję i porzucić spokojne łoże, nie czuł dosyć sił jeszcze do tego. A więc Mestwin i Jordan odpierali razem oblegających, wspartych nowemi z Ciechanowa zaciągi.

Trudno było przewidzieć kogo uwienńczy zwycięstwo, gdyż obie strony odznaczając się równą odwagą, codziennie równo ponosiły straty. Ale Mieczysław nagradzał je świętymi ludźmi, kiedy Mestwin otoczony i zamknięty w małej przestrzeni, nie mógł znikąd zaciągnąć pomocy. Sztuką więc starał się liczbę zastępować. Krył biegłych łuczników

między basztami i murami, ogromne kamienie z wysokich wież spychał drągami poruszanemi od niewidzianych żołnierzy. Nieprzyjaciełe idąc do szturmego nikogo nie widzieli na przeciwnych murach, dopiero kiedy bliżej przystąpili, grad pocisków zlatywał na ich głowy, a daremno szukali oczyma zakrytych i czyhających na najmniejsze ich poruszenia wrogów. Lecz później za danym znakiem, podnosiły się nagle zbrojne szeregi, zpod szarego kamienia błyszczący powstawał szyszak, zza ciemnej baszty wysuwały się bielejące pióra, puste dotąd wież szczyty jaśniały połyskiem stali, chorągwie rozwijały się w powietrzu i zdawało się z początku, że się martwe głowy w żyjących przemieniły rycerzy, których wydobyte miecze i wyciągnięte ramiona niejednym zgon wrogom zapowiadały. Wtenczas zaczynała się zwyczajna walka, a po jej skończeniu cofały się hufce Mieczysława do obozu, załoga zaś Zbigniewa rozstawiwszy się po murach, zasypiała na pałaszach lub włóczniach oparta.

W tych tyle razy odnawiających się bitwach, ubiegał się o świetne wawrzyny Krystyn z Mortoga, rycerz przybyły do zamku na czele dość licznej hufcu podczas turnieju. Dawno znany Zbigniewowi, towarzyszył mu w kilku wyprawach, i jak tylko posłyszał o oblężeniu księcia, przybiegł mu na pomoc zponad brzegów Narwi. Teraz zaś walczył z największą odwagą, ale darmo by się po nim spodziewano roztropności Mestwina, lub znajomości Jordana.

Nie pytał się czy sprawiedliwą była sprawa której służył, przestawał na tem, że w niej miecza dostać było można i męstwo swoje okazać. Ledwo wiedział że idzie o Hannę z Ciechanowa i że Mieczysław zamek oblega. Wszystko mu jedno było przeciw temu lub temu walczyć, byleby walczyć przeciw komuś.

Zbigniew tymczasem znowu w młodzieńcze uzbroił się siły, uczuł dawną żądzę chwały i powstawszy z łoża boleści, nową odrodzony mocą, pośpieszył bronić najdroższej istoty i wojnę zakończyć.

Ale nie szło mu po myśli, bo coraz liczniejsze szeregi zamek otaczały i codzien nieprzyjaciełe rośli w po-

tęgę, kiedy on w ciasnym obrębie, z malejącem wojskiem, wyteżał wszystkie środki i sztuki i męstwa na odparcie grożącej burzy, która zaciemniając widnokrąg z coraz większym rykiem doń się zbliżała. Ale serce Zbigniewa właśnie w takich okolicznościach nabierało nadludzkiej prawie siły. Umiał dostrzegać niedostrzeżone wrogów pomyłki, piękne nadzieje wskazywać towarzyszom i z słabą garstką stawiać się potężnym wojskom.

Pośród boju twarz jego jaśniała nadziejskim męstwem i zapalem. Niktby w niej wtenczas smutku lub tęsknoty nie dostrzegł. Lecz kiedy po uciszeniu wojennej wrzawy, znużeni spoczywali męże wśród jęków ranami pokrytych towarzyszy, blade grobowa na jego lica wracała i wzrok tracił ogień ożywiający go pośród rzezi i mordów. Unikał ludzi, nawet Mestwina, oddalał się od żony, a kiedy prosiła go o wykrycie przyczyny smutków, odpowiadał na jej zapytania milczeniem rozpaczki; księżna sądziła że takie postępowanie jest skutkiem zabiegów Mestwina, choć jej odkrył nareszcie Zbigniew prawdziwe swoje położenie, dodając jednak, że się spodziewa wkrótce przybycia Ludwika ze Żmigroda, jednego z rycerzy, których miał po swoich zamkach.

Nie możemy tu opuścić okoliczności, która ocalając zamek od niespodzianego napadu, zwlekała jego zdobycie, a ta była, że Mestwin tajemnymi środkami dowiadywał się często o zamiarach nieprzyjaciół i wykrywał je księciu.

ROZDZIAŁ XIX.

Podłość nikczemną widać z jego czoła,
Kłamstwem jego usta zieją
I w czyste serce i w duszę aniola
Piekielne trucizny leją,
Drżysz nieszczęśliwa, niema już sposobu,
Już sny przeminęły złote
I ten sam szatan, który zgnębił cnotę
W piekło powiedzie ją z sobą.

Bezimienny.

Spełniały się poczęści groźby Mestwina. Nieszczęśliwa Hanna z Ciechanowa pędziła dnie i nocę w srogich niepewnościach. Rzadko męża widziała, oddalona od świata, daremno chcąc zrzucić ciężar gnębiący skolatane serce, najpiękniejsza niegdyś Mazowska dziewczica, straciła stopniami niezrównane wdzięki. Oko, któreby niegdyś mogło w nieśmiertelnego aniola natchnąć ziemskie myśli, straciło dawną żywość w potoku łez codzienie wylewanych. Lica, gdzie kwitnęły róże, pokryły się bladością, a usta tak miłe, tak ponętne, zwiędły od westchnień wydartych z śnieżnego łona, radością kiedyś poruszonego, a teraz srogiemi trapiącego tęsknotami. Uleciały marzenia młodości, znikły przyszłego szczęścia nadzieje wśród dzikich okrzyków walczących, współobywateli i zamachów zbrodni.

Zbigniew nieodstępujący żony z początku, teraz od niej uciekał, w samotnej zamykał się komnacie, a Hanna sądziła, że jego serce mniej żywo już bije do ukochanej istoty, nie miłość równa zawsze, może nawet podwajana

przeszkodami, napelniała duszę Zbigniewa, ale lękając się wyrzutów żony, unikał z nią rozmowy.

Zresztą pamięć na ojca, na troski sprawione jemu, na dumnych wrogów, których nie mógł pokonać, na ubóstwianą chwałę, której tak wielkie zagrażało niebezpieczeństwo, zatruwała inne księcia uczucia, a kiedy łzy wylewała w drugiej stronie zamku ulubiona jego, on siedząc przy stole wściekle ścisnął pałasz i w tajonej rozpaczycy nocy całe przepędzał. Czasem odzywał się głos w duszy przepowiadający zwycięstwa i sławę, przez chwilę orzeźwiała go to przecucie jak powiew wiatru, co spiekle lica wędrownika pustyni ochładza, lecz wkrótce potem wracała smętność i czarne myśli nieprzerwanym cisnęły się tłumem.

Katarzyna wszelkimi sposobami starała się panią pocieszać i oddalać od jej umysłu ciemne obrazy. Nieraz słodkim głosem dunki jej śpiewała, nieraz skracala długie wieczory opowiadaniem powieści i dawnych podań, unikając smutnych i nieszczęśliwych wypadków, wybierała wesołe zdarzenia, uciechy dwojga kochanków, malowała w prostych i niewymuszonych wyrazach tańce i skoki włościan, miłe łąki okryte igrającą młodzieżą i ciche chatki, gdzie szczęście przebywa. Wdzięczna Hanna dziękowała powierniczce za jej czułość, ale łzy córki Wszebora obficie płynęły, kiedy porównywała obrazy wystawiane przez Katarzynę, z ciemnymi murami, które ją otaczały. Nareszcie Katarzyna ośmieliła się raz panią zapytać o przyczynę smutku, księżna odpowiedziała westchnieniem.

— Bo — rzekła Katarzyna — gdybym mogła się domysleć czego pragniesz, natychmiastbym ci to przyniosła.

Uśmiech mimowolny okraślił usta odwykłe od niego.

— Dobra Katarzyno, nie pragnę niczego, oprócz... — i tu zamilkła.

— Powiedz, dokończ, droga moja pani, wszystko dla ciebie uczynię, wystaram się wszystkiego, może popotrafę twoim życzeniom zadosyć uczynić, jeśli nie sama, to może przez kogo innego.

— Przez kogóż, dobra dziewczyno? któż w tym zamku myśli o Hannie? kto rozumie jej łzy i bóleści? kto się troszczy o słabiejące zdrowie, o niknącą piękność, o strapione serce, któremu nieliczne bicia pozostają? Gdzież znajdziesz pomoc dla mnie? Czy myślisz, że wzruszysz tych zdziczałych wojowników piersi, twardsze od żelaza je pokrywającego? Zostaw mnie, zostaw i dozwól przynajmniej srogą opłakiwać dołą.

— Tak mówisz, pani, jak gdyby ci już żadnej nie pozostawało nadziei, jak gdyby szlachetny nasz książę już nie miał miecza ku twojej obronie.

— Ach! Zbigniew, Zbigniew — zawołała Hanna — on mi ziemię kiedyś w niebo zamieniał, ale wcisnął się wąż do raju i raj w piekło się obrócił.

— Któż jest tym węzłem? — zapytała córka Gierdy — wskaż go mężowi pani, a on w proch go zetrze, i śladu potworu nie zostanie na ziemi.

— Gdybym to mogła uczynić, — krzyknęła księżna — jeszczebym znalazła uciechy w tem życiu — jeszczebym odzyskała spokojność, ale nie, czegoż mam się ludzi próżną nadzieją? Grób mój już stoi otworem, i codziennie zbliżam się do niego.

— Nie rozdieraj mi serca, księżno i pani moja. Porzuć tę ciemną mowę, te niezrozumiane wyrazy, odkryj tajemnicę, a ręczę, że potrafię przywrócić ci szczęście — i padła Katarzyna do nóg Hanny z Ciechanowa, i ścisła jej kolana, łzami oblewając podaną sobie rękę.

— Katarzyno, — rzekła po chwili księżna — święta przysięga moje usta zamyka, ale mogę ci wyjaśnić poczęści przyczynę moich bóleści. Widzę zadumanego ciągle Zbigniewa, poznaję w jego wzroku tak żywym dawniej, smutek jakiś, rzadko przemawia do mnie, a wtenczas głos jego cichy i poruszenia dziwne, rzadko bawi przy mnie, z moich objęć się wyrywa, nie, on mnie już nie kocha.

— Mylisz się pani, mylisz — przerwała Katarzyna — książę oddany tobie, ale wojna, straty, niebezpieczeństwa, trapią jego umysł.

— Dla kogóż ta wojna, te straty, te niebezpieczeństwa? — rzekła księżna — dla kogóż codzień naraża się śmierci? dla kogóż Polska rozerwana srogimi bojami? Dla mnie, dla mnie to mój ojciec walczy z moim mężem, dla mnie szlachetny Mieczysław wystawia się zgubnym ciosom, myśląc, że odbierze lat młodych oblubienicę, dla mnie nieszczęścia zgromadziły się nad królewską rodziną, z mojej przyczyny najdzielniejszy w Polsce bohater, książę Zbigniew, dobył szabli na brata. I jakżeż teraz nie mam być smutną? Czy chcesz, bym z uśmiechem radości patrzała na tyłu ludzi ginących? bym z dawną wesołością słyszała jęki i krzyki Polaków? Już mi wszystko obrzydło, samo przyrodzenie czarnym kirem okryte przed moimi oczyma; znieść nie mogę promieni słońca, kiedy myślę, że ich część się nuzza w krwi moich braci.

— Powiedz mi pani i księżno moja, — rzekła Katarzyna — jaką ulgę przynieść ci mogę, a zgadzam się na najokropniejszą karę, jeśli ci jej nie przyniosę.

— Niema ratunku, niema ulgi dla mnie. Już ziemia przestała mnie łudzić, od niejakiegoś czasu wzgardziłam śmiertelnemi myślami, a niebo cel życzeń i modlitw niezadługo otworzy się przede mną.

— Może sądzisz, — rzekła córka Gierdy — że ja tylko tobie poświęcona w tych miejscach, a przecież znam człowieka, któryby wszystko oddał dla ciebie, i na twój rozkaz na śmierć samę się odważył.

Wzdrygnęła się księżna, wspomniawszy oświadczenia Mestwina, ale po chwili zapytała z uśmiechem niedowiarstwa:

— Któż to jest?

— Ulrych, giermek rycerza Mestwina z Wilderthalu — cichym głosem wyrzekła dziewczyna.

— Mestwin! — krzyknęła Hanna powstając z krzesła, i surowo spoglądając na Katarzynę — kto cię z nim zapoznał? gdzie go widziała? co ci mówił? Potargaj z nim związeki, pożegnaj go na zawsze, jeśli przy mnie chcesz zostać. Uciekaj, uciekaj od niego, jeśli nie chcesz

płakać przez wszystkie dni pozostałego życia, jeśli nie chcesz w zmartwieniu i boleściach zstąpić zawczasie do grobu. Już i do niej — dodała — wkradł się zbrodniarz, już tu sieci zastawił, zgubionam, otoczył mnie wrogami. Katarzyno, kiedyż widziałas się z Mestwinem?

— Pani, — odparła spuszczać oczy Katarzyna — nie rozumiałaś mnie, nie widziałam się z Mestwinem, ale z jego giermkim Ulrychem.

— To wszystko jedno, kto służy u zbrodniarza, sam jest zbrodniarzem.

— Nie, pani moja, on nie jest zbrodniarzem, on cię szanuje i uwielbia, nie cierpi swojego pana, codziennie wylewa nad jego okrucieństwem; wierz mi, Hanno z Ciechanowa, Ulrych do ostatniej kropli gotów wylać krew za ciebie.

Tu dopiero opowiedziała Katarzyna, jak odkrywszy zmartwienie Ulrycha w częstych z nim rozmowach, przekonała się, że przywiązany jest do księżny, i że swego pana nienawidzi. Dodała następnie, że obłuda mieścić się nie może pod tak szlachetnymi rysami, że z takim zapalem ofiarował swoje usługi młodzieniec, że widoczną była szczerłość jego mowy, nakoniec, że ręczy za jego przebiegłość i odwagę. Z początku z obrzydzeniem słuchała Hanna z Ciechanowa opisu osoby, tak blisko dotyczącej Mestwina, ale kiedy dowiedziawszy się o nieszczęściach Ulrycha, wystawiła go sobie w kwiecie młodości wyrwanym matce i ojczyźnie, pozbawionym nadziei, dręczonym od srogiemu ciemniźcyela, porównała los własny z jego losem. Uczuła litość w sercu dla opuszczonej sieroty, i przestała się dziwić, że nieszczęśliwy, nieszczęśliwej swe usługi poświęca, że młodzieniec rzucony w odmęt burzliwego świata, pragnie łożyć ostatki pędzonego wśród utrapień i niesnasków życia, na wykonanie rozkazów, równie jak on skolataney przez nieszczęścia istoty, której zagrażał ten sam co jemu nieprzyjaciel.

— Dziękuję ci, Katarzyno, — rzekła — za twoją troskliwość, za twoje starania. Zbłądziłam zowiąc go zbrodniarzem, ale czyż on może mi pomóc?

— Oznajmij, księżno i pani moja, co chcesz, co żądasz, a wtenczas powiem w czem Ulrych może ci pomódz.

— Ach! widzę, — przerwała Hanna — że ufasz w niego, jak w gdyby w najlepszego rycerza, najroztropniejszego człowieka. Zapewnie serce żywiej ci bije na jego wspomnienie.

— Nie, pani — odparła Katarzyna, kładąc rękę na piersi. — Nie powoduje mną miłość w tej okolicy, serce moje oddane komu innemu, oddane gi rmkowi, a może już i rycerzowi teraz. Nie zapomniałaś zapewne o Henryku z Kaniowa, nieraz mi on powiadał, że często odwiedzał zamek Ciechanowski z panem swoim księciem Mieczysławem. Ale teraz nie o tem mowa — dodała płonąć się od wstydu — nie mam teraz osobistych widoków na uwadze, jedynym moim celem jest twoje bezpieczeństwo i szczęście.

Przycisnęła księżna wierną cierpień towarzyszkę.

— Chciałabym sama się zapewnić o jego uczciwości. Czy możesz go tu przyprowadzić?

— Stawi się przed tobą za pierwszym rozkazem, a za kilka słów usłyszanych od ciebie, życie ci poświęci. Lecz upraszam cię, pani, odkryj mi swoje zamiary.

Dumała Hanna przez chwilę. Powstawszy nareszcie, zwróciła oczy ku obrazowi Matki Boskiej.

— Natchnij mnie siłą i stałością, — rzekła — bo uczynię z siebie ofiarę dla niego. Katarzyno, trudną rzecz trzeba wykonać, trzeba mi się widzieć z księciem Mieczysławem.

— Z księciem Mieczysławem — powtórzyła zdziwiona dziewczyna. — Jakże to uskutecznić? Jakże się przedrzeć przez mury i tłumy zbrojnych, a twój mąż pani, cóż na to powie?

— Właśnie dla niego, właśnie dla ocalenia mu zmartwień i niebezpieczeństw, odważę się na tak niepewne przedsięwzięcie. Może mi hańba lub zaguba nagrodą będą, ale wypełnię świętą powinność i względem męża i względem ojca. Wyrwę ich zpośrodku mordów i klęsk tra-

piących ojczyznę, oszczędzę ziomkom krwi należnej krajowi, i jeśli własnem szczęściem dała powód do nieszczęść, teraz może mojem nieszczęściem, błogie dnie innym przywróć. Znam dobrze szlachetnego Mieczysława, jak tylko się dowie, że jego oblubienica własnego serca życzeniem komu innemu rękę oddała, rzuci oręż krwią bratnią zbryzgany. Tak, wykonam obowiązek i Polki i żony i córki. Jeśli mi nic nie pomożesz, jeśli się z Mieczysławem nie mam widzieć, możesz porzucić Hannę z Ciechanowa, której niedługie dnie na tej ziemi zostały.

— Ja cię nigdy nie opuszczę, pani moja — ozwała się dziewczyna. — Dopóki żyć będę, dopóty zostanę przy tobie. Dzisiaj jeszcze Ulrycha do ciebie przywiodę.

Cały zamek we śnie spoczywał, kiedy Katarzyna wprowadziła giermka rycerza z Wilderthalu do komnaty księżnej Hanny z Ciechanowa. Przypomniał sobie młodzieńiec wszystkie pana nauki i uzbroił serce w twardą chytrą powłokę, a jednak stanął pomieszany przed niewiastą, której miał zagubę przyśpieszyć. Niedługo wprawdzie trwał ten stan w jego duszy, a przyklękawszy oświadczył w wyrazach najgłębszego uszanowania, gotowość do zupełnego się jej poświęcenia.

Uprzejmie przyjęła to oświadczenie księżna.

— Zapewniam cię — rzekła — o naszej łasce i wdzięczności, a jeśli nie będę mogła ci jej dowodami stwierdzić, bądź jednak pewny, że Hanna z Ciechanowa zawsze o tobie pamiętać będzie.

— Pamięć twoja, księżno, — odparł Ulrych, odwracając oczy od Hanny, gdyż obawiał się wrażenia sprawionego widokiem oblicza precudnej urodv — najmilszą i najpiękniejszą będzie mi nagrodą. Odwrócę zamachy niegodziwych od świętej twojej głowy — dodał z zapalem — ocalę bóstwo, które zstąpiło w poziome śmiertelnych mieszkania, a jeśli nie dokonawszy przedsięwzięcia, zginę w najsroźszych mękach, twój obraz i przypomnienie obecnej chwili osłodzą boleści, i żelazo okrutnika zamienią na kwitnącą różę. Przebacz pani, że śmiem tak mówić, ale wypełnione serce nie zna granic, i wylewa się

przed tobą, ufne, że mu za złe nie weźmiesz tego, co czuje i czuć nigdy nie zaprzestanie.

Może uniesiony widokiem Hanny, szczerze mówił Ulrych w tej chwili, bo oko jego błyszczało ogniem uniesienia i rumieniec prawdy krasił mu lica. Może też dla lepszego pokrycia zamiarów, których był narzędziem, wmaśniał w siebie zupełnie różne od swojego położenie, i przez chwilę moją żywej wyobraźni przenosił się do innych okoliczności, bo trudno wierzyć, żeby osmnastoletnie serce już tak wygórowało w chytrności, że mogło jej nadać tak uderzający pozór nieskażonej prawdy. Bądźcobądź, Hanna z Ciechanowa zupełnie mu uwierzyła i odtąd już jej los stał się nieochybnym. Wytłómaczywszy giermkowi smutku przyczynę, jak to już Katarzynie uczyniła, oświadczyła, że koniecznie wypada się z Mieczysławem widzieć.

— Pani — zawołał Ulrych, przygotowany od Me-stwina na wszystkie odpowiedzi — nie możesz tego w tym zamku uskutecznić, bo największe niebezpieczeństwo zagrożałoby synowi Bolesława. Niedaleko ztąd przy brzegu Wisły, jest kaplica rozpadła w gruzy cierniami pokryte, tam bez żadnej obawy możesz z księciem się rozmówić.

— Ale jakimże sposobem wyjść — zamku? — rzekła księżna.

— To już do mnie będzie należeć — odparł Ulrych — z twoich komnat, księżno i pani moja, jest wyjście, jeśli się nie mylę, na brzegi Wisły, żołnierz zwyczajnie jeden go tylko strzeże, łatwo strażnika przekupić, zresztą w nocy którą naznaczysz na widzenie się z Mieczysławem, bo tego w dzień w żaden sposób uczynić niepodobna, spiącemu panu pierścień z palca zdejmę, a za ukazaniem tego znaku puści cię żołnierz.

— I ja tam dopiero czekać będę na Mieczysława — rzekła księżna — to być nie może, kogóż poszlę do obozu? kto go uwiadomi?

— Twój sługa — rzekł Ulrych, przyklękając nownie.

— Nie, młodzieńcze, nie narażaj się dla mnie na gniew pana i ciosy wrogów.

— Alboż to pierwszy raz Mestwin posyła mnie do obozu, księżno i pani moja? Ma on tam tajemnicze związki z jednym wodzem; powtarzam ci, pani, że wszystko ułatwię, naznacz tylko dzień i godzinę.

Pomyślała księżna i rzekła po chwili:

— Pojutrze, o dwunastej w nocy — a potem obróciwszy się do obrazu Matki Boskiej, złożyła ręce i cichą modlitwą królowej niebios zasiała.

Ulrych spojrział raz jeszcze na Hannę z Ciechanowa, a groźne wyrzuty rozdarły mu sumienie, wzrok księżnej przyémiony łzami, wzruszył jego serce i przez chwilę stał niepewny, czy rzuciwszy się do stóp anioła, wyzna szkaradną zdradę, czy też dalej pójdzie wskazaną przez Mestwina drogą. Przyzwyczajenie do zbrodni przemogło narreszcie, i oddawszy głęboki pokłon, zwolna odchodził. Jeszcze przy drzwiach komnaty srogą wytrzymał walkę z pasującą się w duszy cnotą, ale mylne wyobrażenie o wierności winnej panu, któremu służył od dzieciństwa, zwyciężyło. Postąpił krokiem dalej i już ostatnia nadzieja zginęła dla córki Wszebora.

ROZDZIAŁ XX.

Dlaczego nie idziesz za mną? Rozumiesz że ta godzina dwakroć uderzy? zapomniałeś o twojej obietnicy?

Guy Mannering, Walter Skot.

Spokojnie przez całą noc spał Mestwin z Wilderthalu, ocknąwszy się nad rankiem ujrzał przy łożu stojącego Ulrycha z wyrazem zadowolenia na twarzy; podniósł się rycerz i zapytał giermka:

— A cóż, jakże się udało?

— Przedziwnie, jak najlepiej — odparł młodzieniec.

— A więc dzień zemsty się zbliża — zawołał Mestwin, nie mogąc pomiarkować nagłego uniesienia.

— Jutro będziesz mógł jej los rozstrzygnąć — przerwał Ulrych, i opowiedział panu rozmowę przeszłego wieczora.

— Ulrychu, — rzekł rycerz, odzyskawszy zwyczajną zimność — również odważny jak przezorny, nie mogłeś mi większej wyświadczyć przysługi.

Słuchał tej pochwały z obojętnością młodzieniec, a potem rzucił się do nóg panu.

— Mestwinie, — zawołał — daruj mej słabości, ale wyrzuca mi sumienie, żem oszukał tak cnotliwą, tak piękną niewiastę. Choć przyzwyczajony jestem do obłudy, wczorajsza zdrada tyle mnie kosztowała, że gdyby nie spełnienie twych życzeń było jej celem, dla wszystkich rozkoszy i bogactw świata niktby mnie do niej nie

przymusił. Przyszło mi nieszczęśliwą, opuszczoną Hannę, pod barwą szczerości naprowadzić na brzeg niezmierzonej otchłani, musiałem okazywać najpiękniejsze uczucia przed tem nadludzkim stworzeniem, musiałem napełniać jej serce chwilową radością, żeby potem wszystkiego ją pozbawić. Przebacz, drogi panie, jeśli cię błagam i zaklinam, żebyś jej śmierci nie zamierzał, byś nie niszczył najmilszych nadziei Zbigniewa, a zarazem i najwznioślejszego utworu Boga.

— Gdybym — rzekł posępnie Mestwin — nie sądził, że tylko chwilowe obłąkanie sprawiły na dziecinnem sercu oczy, którym piękności odmówić nie można, jużby mój sztylet przeniósł się z tego stołu w środek twoich piersi. Milcz giermku, lub wspominaj raczej o litości słabym dziewczynom i zniewieściałym mężom, ale nie temu, który jej nie zna i znać nigdy nie będzie.

Powstał Ulrych, i kilka kroków w tył się cofnął. Uczyniłem co mogłem, pomyślał, niech teraz Bóg obroni Hannę, a jeśli ją opuści, czegóżbym miał o nią się troszczyć. Takim rozumowaniem przytłumił ożywiające się jeszcze raz sumienie, i z wypogodzonym obliczem zapytał pana o dalsze rozkazy.

Nie nie odpowiedział Mestwin, ale wyskoczył z łoża i zaczął się ubierać; znać było na jego twarzy zamyslenie z niepewnością połączone; lecz ta wkrótce znikła i spinając ostatnią sprzączkę u pancerza, rzekł:

— Ulrychu, zapominam o niegodnej słabości, która cię przez chwilę tak daleko od obowiązków i wierności mi należnej odwiodła. Jeszcześ pracy nie skończył, zostają niebezpieczne trudy, które nie wątpię, że pomyślnie uskuteczysz. A najprzód dzisiaj w nocy wypada ci się udać do Skarbimira. Nieraz odbywałeś tę podróż, masz mój pierścień na przekonanie skąpcza, że ja cię przysłałem, bo choć tyle razy już cię widział, mógłby bez tego dowodu obawiać się jakiej zdrady lub podstępu. A nareszcie posłuży ci ten pierścień dla żołnierza stojącego na straży przy drzwiach, któremi Hanna na własną wyjdzie zagubę. Starego skąpcza niechybnie musisz przyprowadzić do mnie; uważaj dobrze, do mnie, ale nie do

tej komnaty. Znasz podziemne lochy, znasz salę grobową, której sam Zbigniew, pan tego zamku, nie zna. Tam przywieszysz podskarbnika, bo tajemnie trzeba całą rzecz odbyć, a potem chcę się nacieszyć bojaźnią Skarbimira.

— Nie widzę tu nic trudnego — odparł młodzieniec — wejdę do mieszkania Skarbimira, jakem to tyle razy uczynił, z nagłą go do pójścia za mną. Poruszę kamień między trzema krzakami, i...

— Ciszej, ciszej chłopcze, — rzekł Mestwin, kładąc mu rękę na ustach — dalszego opisu nie potrzebuje. Jak tylko się ściemni, udaj się w drogę, a dwiema godzinami później przyprowadź Skarbimira do sali grobowej. Nie zapomnij chustką mu oczy zasłonić.

— Nie zapomnę rycerzu — rzekł Ulrych — ale chciałbym wiedzieć jak później mam sobie postąpić.

— W dzień naznaczony o dwunastej stawisz się przed Hanną i powiesz, żeś wszystko ułatwił, bo wiadomienie Mieczysława ja biorę na siebie. Zakazuję ci pierwiej się widzieć z tą niewiastą, której ciało wkrótce ziemia przysypie — dodał rycerz obawiając się wrażenia, któreby mogła piękność księżnej na umyśle giermka uczynić. — Dalsze postępowanie nie ma już żadnej dla ciebie trudności. Dasz ten worek żołnierzowi, a gdyby to nie nie pomogło, pokażesz ten pierścień, a potem doniesiesz mi, że Hanna z Ciechanowa wyszła do kaplicy.

— Z której nie wróci — przerwał Ulrych.

— Owszem wróci — odparł srogo Mestwin — ale nie do kochającego męża, wróci do śmiertelnego wroga. O nic więcej się nie pytaj, a teraz podaj mi szyszak.

Wdział hełm rycerz i wyszedł do walki. Zwyczajne boje zakończyły się dnia tego bez żadnej znakomitej z obu stron korzyści. Zbigniew zamknął się w swojej komnacie, Mestwin z Jordanem i Krystynem z Mortoga zasiadł do stołu, a tymczasem słońce ustąpiło panowania nad czystym niebem królowi nocy, który napół jaśniejący, napół zanurzony w błękiecie, wznosił się powoli na skle-

pienia migające rzuconemi przemożną ręką Stwórcy światami.

Otworzyły się drzwi w północnej części murów zamkowych, i wyszedł niemi człowiek wysmukłej postawy i ciemnego ubioru. Skórzany szyszak, na który daremnie padały księżycy promienie, krył mu głowę. Szeroki kaftan czarny, niewydający pana swoim blaskiem, piersi obwijał, dwa sztylety tkwiły z obu stron rzemieńnego pasa, na którym wisiał krótki pałasz, a pierścień Mestwina błyszczał na prawicy rękawicą niezakrytej. Szerokim krokiem wyleciał w pole młodzieniec, oddalając się od brzegów szumiącej Wisły, i coraz podwajał szybkości biegu, jak gdyby chciał gwałtownością poruszeń ciała, przytłumić wzruszenie duszy. Ale uznał wkrótce, że darmo pragnął przygłuszyć wyrzuty serca, i wyrugować z pamięci obraz kobiety nieszczęśliwej i ufnej w człowieka, mającego ją zgubić, przez udane poświęcenie i najszkaradniejszą obłudę. Zwolnił więc kroku i obtarł spocone czoło, bo upał dzienny choć nocną rosą zmniejszony, jeszcze czuć się dawał. Spojrzał w górę i zmarszczył brwi na widok tyłu świecących na niebie wrogów, mogących w każdej chwili go wydać. Ale zaraz potem uśmiech dowodzący zaufania w własne siły i zręczność, rozjaśnił twarz nieco posępną, która po jego zniknięciu znów przybrała pozór powagi i smętności, niezgadzającej się ani z wiekiem, ani ze zwykłym Ulrycha usposobieniem.

Darmo starał się czarne myśli oddalić, wyjmując sztylety jeden po drugim, poprawiając osuwającą się szablę i przypatrując pięknemu i uroczystemu widokowi nocy letniej, strojnej we wszystkie przyrodzenia wdzięki. Opuścił więc głowę na piersi, i oddawszy się całkiem smętności, przechodził powoli szerokie błonie, dzielące go od bielejących zdaleka namiotów, do których zdążał.

Pole okryte było rzadkimi krzewami jałowcu i poziomą leszczyną, świetniejącą kroplami upragnionej przez cały dzień rosy. Nad temi zaroślami, wznosiły się gdzieś niedzie brzozy z opadłemi na dół gałęziami, lub wysokie sosny rozrastające się dumnie nad niskimi krze-

winami, które się u ich stóp czołgały. Nie dość jednako licznymi były te drzewa, żeby mógł Ulrych w przypadku potrzebną w ich cieniu znaleźć ochronę, gdyż zewsząd przeciskające się między ich liście promienie księżyca, pole naokół oświecały, jeśli nie równym dniu jasnemu blaskiem, przynajmniej dostatecznym na rozpoznanie człowieka i sprowadzenie największych nieszczęść na młodego giermka, który już nieraz odwiedzał nieprzyjacielski obóz i Skarbimira z Gulczewa. Ale na to zwykle burzliwe i ciemne nocy obierał, a teraz w niczem nie miał nadziei, oprócz w mieczu i niezgiętej odwadze.

Już mógł każdy namiot odróżnić, rozpoznać przechadzających się w pewnej odległości od siebie strażników, rozeznąć rozmaite godła zawieszane nad namiotami rycerzy, i widzieć błyszczące stosy broni złożonej pod płóciennymi opony. Zagrożające niebezpieczeństwo zmieniło kierunek jego myśli, a choć w tak przykrem był położeniu, uczuł ulgę w duszy i wolne od ciężaru serce.

Schyliwszy się, zaczął się czołgać od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu, od kamienia do kamienia, odpoczywając często w tak męczącej drodze. Narzeczcie zbliżył się znacznie do wałów, i czekał aż żołnierz strzegący tej ich części, kilka kroków w bok odejdzie. A właśnie kiedy odwrócił się strażnik, i nucąc pieśń wojenną odstąpił od miejsca przeciwległego Ulrychowi, stanął w mgnieniu oka giermek na dość wysokim kamieniu, i natężając wszystkie siły, skoczył z niego tak zręcznie i tak lekko, że nie usłyszał żołnierz jak upadł w rów wykopany za okopem, na którym się strażnik przechadzał. W jego głębi usłanej w tem miejscu szczęśliwym trafem murawą, czekał młodzieniec aż znów nie odejdzie żołnierz, który był wrócił na stanowisko, a kiedy kroki jego oddalające się usłyszał, znów się rzucił z rozciągnionymi ramionami pośród namiotów zaraz obok wystawionych. Strażnik widział coś przy świetle księżyca i położył rękę nad oczyma, żeby lepiej ten przedmiot rozeznąć, ale kiedy jego palce oparły się o czoło, już wszystko znikło. Słyszał wprawdzie niedaleko szelest, ale podobniejszym on był do sprawionego

przesuwaniem się jaszczurki lub węża, niż krokami człowieka. A przecież były to kroki uchodzącego młodzieńca.

Lotem błyskawicy biegł Ulrych pośród uspiętego obozu. Nie zatrzymywały go w drodze ciała żołnierzy śpiących na ziemi, przeskakiwał je z nadzwyczajną zręcznością, a kiedy który oczy otworzył, rzucał się giermek w mgnieniu oka na ziemię i twarz odwracając od rozspanego nieprzyjaciela, oszukiwał go rozciągając się, lub też sen głęboki udając, a żołnierz biorąc go za towarzysza, wracał po krótkim czasie do stanu, z którego wyrwał go odgłos kroków Ulrycha, który porwawszy się z podwojoną szybkością, leciał do pana Gulczewa.

Przybył nareszcie do niewielkiego w czworokąt wystawionego z drzewa budynku, którego drzwi dębowe podwójnym opatrzone były zamkiem. Zapukał Ulrych, a głos z wnętrza zapytał się natychmiast:

— Czy to ty Bardanie?

— Tak jest — odpowiedział młodzieniec, pragnący wejść jak najprędzej, a zaraz ogromny klucz zakręcił się w każdym zamku i drzwi się otwarły. Zdyszany Ulrych wszedł natychmiast, przymykając wejście za sobą, i ujrzał się w małym, brudnym pokoju, napełnionym ogromnymi skrzyniami, których podniesione wierzchy mnóstwo pieniędzy i kosztownych sprzętów ukazywały. Lampa gliniana oświecała mdłym światłem zgromadzone bogactwa, pomiędzy którymi stał Skarbimir z Gulczewa bez zbroi, w szerokiej czarnej sukni, podartym pasem podwiązanej. Zbladł na widok zbrojnego człowieka i ledwo stłumionym mógł wykrzyknąć głosem:

— Bardanie! zdrada! Bardanie! żołnierze!

— Czy chcesz całe wojsko przebudzić, nierozważny starcze — ozwał się młodzieniec, odkrywając twarz zpod przyłbicy. — Czy sądzisz, że po twoje skarby przychodzę? Wpatrz się w moje rysy, panie Gulczewa.

Ale przerażony Skarbimir nie zważając na te słowa, śpiesznie zamykał skrzynie i nieustannie wołał:

— Bardanie, zbójcy, Bardanie, do mnie.

— Milcz, — surowo ozwał się giermek. — Jestem Ulrych, przybywam od Mestwina z Wilderthalu.

Dopiero wtenczas poznał Skarbimir, nie raz już widzianego posłańca, i w cichości poszedł drzwi zarygłować, a potem rzekł:

— Jutro uradzili wodzowie, żeby napaść ze strony...

— Tu nie o jutrzejszy dzień idzie, ale o dzisiejszy — przerwał Ulrych.

— Czegóż więc chcesz? — z wróconą bojaźnią zapytał Skarbimir.

— Byś przywdział zbroję i szedł za mną — odparł giermek.

— Ja za tobą, o tej godzinie, w nocy, ja z tobą mam iść, gdzie? poco? czyś zmysły utracił? do kogo.

— Do Mestwina z Wilderthalu — odrzekł Ulrych, pokazując błyszczący pierścień, na którego widok zadrżał Skarbimir, i mało co na ziemię nie upadł.

— Nie pójdę, nie, twój pan oszalał.

— Milcz i chodź za mną, bo podobne słowa srogo mógłbyś przypłacić, gdyby mnie chęć wzięła, panu je mojemu powtórzyć. Mestwin potrzebuje ciebie, nie zwlekaj więc, panie podskarbi, a ja ci ręczę, że niema tu podstępu, o czym już ten pierścień powinien cię przekonać, powtarzam więc, przywdziej zbroję i chodź za mną.

Usiadł starzec na drewnianym stolku i głowę skrył w obie ręce; przerażenie opanowało słaby umysł i kilka chwil w pewnym stanie odurzenia zostawał, nareszcie smutna konieczność stanęła mu przed oczyma. Dla ocalenia i sławy i życia, musiał wykonać rozkazy Niemca. Dopóki szło o zdradzenie ziomków, dla dogodzenia własnej złości, podejmował się wszystkich Mestwina poleceń, ale kiedy przyszło narażać się samemu z uzbrojonym posłańcem, i udać się do wroga czekającego nań może z dobytem żelazem, gorzko zaczął oplakiwać nierozmyślność swoją i przeszłe zbrodnie, które teraz tak wielkie nad nim prawo Mestwinowi nadawały.

Byłby może długo jeszcze dumał wśród steku trapiących myśli i srogich wyrzutów sumienia, gdyby głos Ulrycha nie wyrwał go z zamyślenia; przekonał się wtedy, że nic nie mógł przedsięwziąć na odwrócenie niebezpieczeństwa, bo choć łatwem mu było w tej chwili krzykami obóz przebudzić, pewnym był, że go później czy wcześniej dosięgnie zemsta rycerza z Wilderthalu, a potem widział przed sobą pałasz i sztylety, mogące go o śmierć przyprowadzić, nimby żołnierze zdołali wybić drzwi do jego mieszkania. Powstawszy więc, zbliżył się potężny pan Gulczewa, mnogich władca skarbów, do próśb i błagań, zaklinając giermka, by zlitował się nad wiekiem, pewną mu obiecując nagrodę.

Do żywego obruszony taką podłością, zimno odpowiedział Ulrych, że nic mu nie zagrażało oprócz gniewu Mestwina, jeśli się spóźni lub nie zechce usłuchać jego woli. Wtenczas chytremu Skarbimirowi nowa myśl przyszła do głowy.

— Jakże wyjdziem z obozu? — zapytał giermka.

— Prawda, że trudno byś tak wyszedł, jak ja się wkradłem do niego, — odparł młodzieniec — ale zawołaj Bardana, któremu we wszystkim się zwierzasz, i każ mu oddalić z wałów żołnierza strzegącego ich z tej strony, pod jakim bądź pozorem.

Znikła ostatnia trudność, a Skarbimir zmuszony koniecznością, przypasał szablę drżącą ręką, pancerzem trwożliwe okrył piersi i czapkę podbitą żelazem włożył na skronie, z których zimny pot się sączył.

Wtem zapukał ktoś do drzwi, za ich otwarciem wszedł Bardan, który, natychmiast poznawszy dobrze znanego Ulrycha, przywitał się z nim i chciał długą mowę zacząć; lecz giermek milczenie mu nakazał, i w kilku słowach wytłómaczył, czego żądał od niego.

— Ale pierwiej nim odejdiesz do wałów, — rzekł Ulrych — daj mi puhar wina, na pokrzepienie sił trochę drogą zwatłonych.

Przyniósł Bardan rostruchan pełny miodu, gdyż —

mówił — nie stać mojego pana na tak drogi napój, jakim jest wino.

Z uniesieniem pogardy wychylał młodzieniec podaną czarę, kiedy tymczasem Bardan śpiesznie odchodził do okopów. Potem obejrzał sztylety, kilka razy pałasz napół wyjął i schował do pochwy, pomógł Skarbimirowi do zapięcia płaszcza cynową klamrą, i pozwoliwszy skąpcowi dość długiego czasu na zamknięcie wszystkich skrzyń i zaryglowanie drzwi dębowych, szybko z nim wyruszył. Lecz wkrótce postrzegł, że towarzysz został z tyłu i musiał, wróciwszy nazad, wspierać jego drżące ciało i niepewne kroki. Ostrożnie mijał leżących żołnierzy i zaklinał starca, by wstrzymując westchnienia i ciężki oddech, pośpieszał. Ale kiedy to nic nie pomogło, zaczął mu grozić gniewem niecierpliwego Mestwina, a na to wspomnienie tak się Skarbimir przeraził, że zupełnie ostatek mocy utracił na bliskim kamieniu. Wtenczas gniewny Ulrych podniósł go silnem ramieniem i napół dźwigając, napół stawiając na ziemi, doprowadził do wału, na którym stał już oddawna Bardan. Natychmiast sługa oparł szeroką deskę na obu brzegach rowu, a po niej przeszedł Skarbimir. Giermek, gardząc podporą, przeskoczył fosę, stanął na okopie, a ztamtąd podał rękę starcowi, który po wielu usiłowaniach weszedł wreszcie, i z równą trudnością zeszedł z drugiej strony; wtenczas uradowany młodzieniec zachęcił go kilkoma słowami, i pożegnawszy Bardana, któremu pan zalecił, żeby miał czujne oko na swoje mieszkanie i skrzynie, zniknął wraz z towarzyszem wśród otaczających krzaków.

Prędzej zaczął iść Skarbimir, ale jego chód dalekim był jeszcze od szybkości wymaganej po nim od Ulrycha.

— Czegóż Mestwin żąda ode mnie? — rzekł Skarbimir.

— Co żąda, to wypełnisz, mości podskarbi, bo inaczej nienadługoby ci się zdały skarby, które widziałem.

— Jeśli Boga się boisz, jeśli matkę kochasz — za-

wołał starzec, padając do nóg giermkowi — nie nie mów o tem panu, a zato ci dam...

— Ani ja, ani pan mój nie potrzebujemy twoich pieniędzy — przerwał młodzieniec. — Lepiejbyś kroku podwajał i nie uniżał się przed człowiekiem, który gardzi skarbami, a wkrótce nauczy się i ich posiadaczem pogardzać.

Powstał Skarbimir i szedł dalej. Ochłonawszy nieco z bojaźni, przywołał na pamięć znajome wybiegi i całą chytróść, którą wszystkich umiał oszukiwać, oprócz jednego Mestwina, i tak zręcznie zaczął zadawać pytania giermkowi, tak sztucznie go podchodził, że dowiedział się poczęści z ust Ulrycha, że szło teraz o Hannę z Ciechanowa. Niepodobna opisać radości, która napełniła duszę podłego skąpca, kiedy się przekonał, że zamiary niemieckiego rycerza nie jemu, ale innej osobie nieszczęciem zagrażały.

Dodało mu to odkrycie nowej mocy, pokrzepiło słabnące nogi i wkrótce potem doszedł miejsca dość odległego jeszcze od zamku, gdzie zatrzymał się Ulrych i oświadczył, że ma rozkaz podskarbiemu oczy zawiązać. Na te słowa dreszcz przeszedł po kościach Skarbimira, ale musiał uleść młodzieńcowi, a wtenczas postąpił Ulrych kilka kroków dalej, prowadząc towarzysza za rękę, potem zawrócił, poszedł w bok i znów wstecz się cofnął, a nareszcie stanął między trzema krzakami jałowcu nadzwyczajnej wielkości, których iglaste gałęzie unosiły się nad szerokim i podługowatym kamieniem; nateżając wszystkie siły, podniósł go Ulrych i na bok przewalił. Ziemi pod nim nie było, ale natomiast żelazna, na kilka stóp szeroka krata. Za pchnięciem znajomej sprężyny odsunęła się i ukazała schody w głąb wiodące, których nie wiele stopni dostrzedz było można wśród ciemności tej otchłani. Rozkazał młodzieniec Skarbimirowi ostrożnie po nich zstępować, dodając, że zaraz za nim pośpieszy. Rad nie rad musiał się odważyć na tak niebezpieczną drogę, z zakrytymi oczyma, pan Gulczewa.

Ulrych zakrzesał ognia, uderzając o krzemień stalo-

wym sztyletem. Zapalił małą lampę, którą się opatrzył wychodząc z zamku, a wtenczas, słysząc głos Skarbimira wołającego o pomoc, skoczył w otwartą przepaść. Przez chwilę oświeciły jeszcze promienie księżyca bladawą rękę podnoszącą się z ciemności na zasunięcie kraty, a zaraz potem zapewne za uderzeniem drugiej sprężyny, kamień, jak gdyby sam z siebie, nachylił się zwolna i upadł z łoskotem na żelazne pręty.

Znikło wszystko i znów tajemne wejście do zamku księcia Zbigniewa zamieniło się w puste miejsce, w którym trzy jałowce ocieniały kamień mchem porośły.

ROZDZIAŁ XXI.

Jakże może tak ważne zamiary odwlekać?
Czyż aż do dnia sądnego będę tutaj czekać?

Zamek księcia Zbigniewa był wystawiony na piaszczystym brzegu Wisły, który w tem miejscu pokrywał twarde skały, rozległe przestrzenie, napelnione kamiennymi opoki, składającemi niewzruszoną ogromnego budynku podpore. Pod murami więc szerokie rozciągały się lochy, częścią przyrodzeniem, częścią ręką ludzi utworzone w odległych od teraźniejszego czasach, kiedy jeszcze światło chrześcijaństwa nie jaśniało w pogańskiej krainie. Później założyciel zamku, odkrywszy przestronne i ciemne lochy, umiał je sztucznie rozprzestrzenić, a właśnie podczas oblężenia posłużyły za skład rozmaitej broni i żywności.

Zbigniew odwiedzając podziemne te miejsca, poznał wszystkie ich zakątki, ale tylko do pewnej granicy: pozostałe przestrzenie stopą jego nietknięte, zupełnie nieznane mu były; a jednak często odwieczne milczenie w nich panujące przerywał odgłos ludzkich kroków śmiało po nich błądzących, i uśmiech szyderycy, godny okropnych ciemności i strasznych otchłań, zpośród których się wznosił. Wtenczas przerażone gady rozstępowały się na wszystkie strony, a obudzone z długiego snu opoki i kamienne ściany, przesyłały aż do wód zdaleka głucho szumiącej rzeki, przerywane słowa szatańskim wyrzeczone głosem, które się czasem wydobywały z piersi nawykłych do zbrodniczych uczuć, ale w których bijące serce nigdy bojaźni w życiu nie zaznało.

Była wśród ciasnych przejść i krętych manowców obszerna sala, daleka od miejsc Zbigniewowi znajomych, zachowująca ślady pracy ludzkiej. Jednakże cztery ściany w skale wykute z otworem w kształcie drzwi wyrobionym, były owocem długich trudów, które nareszcie przewyciężyły opór twardego przyrodzenia. W każdej z nich widziano długie i ciasne pieczary poczęści jeszcze zasklepione, lecz największa ich liczba stojąca otworem, ukazywała w głębi bielejące się czaszki i kości, ostatki już bezwątpienia oddawna zeszyłych z tej ziemi.

Na środku sali wznosił się grób czworokątny, przywalony ogromnym kamieniem, na którym łuk z pałaszem wryty okazywał, że takim godłem uczcili towarzysze znikłego z ich grona wodza. Naokoło tych broni niewycytane dziwne głoski w wieniec ułożone, dopełniały zapewne hołdu smutnych poddanych lub braci, który ich ręce oddawna już bezsilne, a może rozsypane wokoło, zimnemu powierzyły głazowi. Zresztą nic już nadzwyczajnego nie było w tych miejscach, a miałki płowy piasek żadną nie umiłony trawą, leżał spokojnie w mieszkaniu zapomnienia i śmierci.

W tej właśnie sali, tego samego dnia w którym Ulrych wyprawił się do obozu dla sprowadzenia Skarbimira z Gulczewa, mała lampa stojąca na grobie oświecała opartego na nim człowieka, który zupełnie czarnym osłonięty płaszczem i wzniosłym na głowie hełmem, dumął, czekając jak się wydawało na czyjeś przybycie, bo druga jeszcze osoba w zamku znała schronienie, w którym on teraz przebywał. Twarz jego wystawiała pozorną spokojność, ale często na niej ukazywały się silne wzruszenia, bardziej do skutku gwałtownych namiętności, niż do zwyczajnego zadowolenia, pochodzącego z nadziei dokonania zamiarów, podobne. Czasem też szyderski uśmiech rozszerzał usta gotowe do miotania okropnych bluźnierstw, ale jak gdyby dla doświadczenia własnej mocy nad sobą, wstrzymywał się gość tych podziemnych przepaści, kiedy już miał wymówić srogie przekleństwa, i w ciągłym milczeniu zatapiał wzrok ognisty w otaczające ciemności,

które pochłaniały bezsilne małej lampy promienie, jak tylko się odważyły opuścić własne ognisko.

Wtem oderwał się kamień z wierzchniej części sali czasem nadpsutej, i runął przed stopami rycerza z przerażającym łoskotem, nie ruszył się jednak z miejsca wojownik, i nie odwrócił na chwilę wlepionego wzroku w otwór północnej ściany, z kąd zapewne spodziewał się kogoś. Zmienił tylko położenie ręki, na której oddawna się opierał, a wtenczas roztworzył się płaszcz szeroki i okazał ciemną szatę ściśnioną u dolnych piersi bogatym pasem, w którym tkwił większy od zwyczajnych sztylet. Zresztą żadnej innej nie było broni przy jego boku, a znak rycerstwa szczerozłoty łańcuch otaczał mu szyję.

Dobył mąż czarny sztyletu i jego ostrzem poprawił knot u lampy, która na chwilę świetniejszym zabłysła blaskiem, a wkrótce potem znów wróciła do dawnego stanu. Jeszcze przez długi czas spokojnie stał rycerz, ale nakoniec zaczęły się okazywać znaki jego niecierpliwości w poruszeniach twarzy, w częstej zmianie położeń i nareszcie w szybkim pochodzie, którym okrążał starożytny grobowiec. Zbliżał się czasami do otworu i zdawał się z natężoną słuchać uwagą, lecz żaden odgłos uszu jego nie dochodził oprócz odległego szumu, jak gdyby wody o glazy się roztrącającej, wtenczas dopiero kilka słów wymówił.

— Może go zabili... może tamten iść za nim nie chce. Gdyby przez tego skąpca ostatnie moje nadzieje zniknąć miały!..

I spojrzął na sztylet, a podwoił szybkość kroków, płaszcz zarzucił na drugie ramię i znów lampę poprawił, przypatrywał się otaczającym grobom, rozrzuconym kościom i brał do ręki nietknięte od ich rozprzęgnięcia się czaszki, rzucał je z gniewem, tratował po nich, i z dziwkim uśmiechem słyszał pękające pod stopą kości. Lecz to nic nie pomagało, czas uchodził a nikt nie przybywał.

Już niecierpliwość rycerza najwyższego doszła stopnia, kiedy usłyszał w oddaleniu odgłos ciężkiego stąpania, pomieszany z lekkim suwaniem się dobrze znanej

stopy. Natychmiast poskromił żywą niecierpliwość i oparłszy się o szeroki grobowiec, czekał niewzruszenie na ukazanie się przybywających. Twarz jego przybrała barwę surowej powagi i niezmiśzanej niczem spokojności, choć chwilę przedtem najgwałtowniejsze malowała uczucia.

Wtem wszedł otworem północnej ściany młodzieniec trzymający lampę w jednym ręku, a drugą wiodący starca z zasłoniętymi oczyma. Na znak dany przez męża w czarnym stroju, odkrył mu je towarzysz, a Skarbimir z Gulczewa zbladły i okropnym rażony widokiem, stał o kilka kroków od Mestwina z Wilderthalu.

— Spóźniłeś się Ulrychu — rzekł srogim głosem rycerz niemiecki. — Cóż to się ma znaczyć?

— To znaczy, rycerzu i panie mój, — odparł giermek — że zamiast odważnego rycerza, miałem zniewieściałego starca za towarzysza drogi.

— Więc twoja w tem wina, — ozwał się znów zwolna Mestwin — Skarbimirze z Gulczewa, podskarbi króla Władysława!

— Daruj — odpowiedział Skarbimir — przyjacielowi, to jest najniższemu słudze.

— Nie usprawiedliwiał się napróżno, trwożliwy panie Gulczewa, — przerwał Mestwin — ale pamiętaj, że taką opieszałość umiem śmiercią nagradzać. Teraz słuchaj mnie z uwagą, jeśliś zdolny do słuchania człowieka, który długo czekał na ciebie oparty na tym grobie, wśród milczenia nocy i śmierci.

— Słucham, — rzekł Skarbimir — słucham potężny panie i władco, tyle cię szanuję...

— Nie wysilaj się na daremne pochlebstwa, bo wiem, że nie mnie, ale ten sztylet szanujesz. Wypełń więc wszystkie moje rozkazy, jeśli się nie chcesz bliżej z nim zapoznać.

— Słucham — powtórzył upokorzony Skarbimir.

— Trzeba, żeby jutro zrana dowiedział się wasz Mieczysław, że Hanna z Ciechanowa chce z nim mieć tajemną rozmowę w kaplicy leżącej ponad brzegiem

Wisły. Zapewnie nieraz ją widziałeś, łatwem ci będzie ją opisać.

— W tem ostatniem niema żadnej trudności, ale co do pierwszego nie wiem jak sobie postąpić, nie pojmuję jakbym ci miał w tej okoliczności usłużyć.

— Chwila, — rzekł zimno Mestwin — w której przekonam się żeś mi na nic niezdatny, będzie ostatnią twojego życia.

Przerażony podskarbi prosił o czas do namyślenia się, i usiadł w kącie na małym kamieniu. Tymczasem Mestwin pocichu rozmawiał z Ulrychem, a potem stanął naprzeciwko dumającego starca, wlepiając bystry wzrok w zsiniałe od bojaźni rysy.

— Czy już niemiłe ci życie, — zawołał rycerz z Wilderthalu — że tak długo nadużywasz mojej cierpliwości?

— Pozwól mi jeszcze trochę czasu.

— Patrz — rzekł szydersko Mestwin — na tę drobną garstkę popiołu bielejącego się nad rozognionym knotem mojej lampy, jak śnieg nad ognistą górą; kiedy on na dół opadnie, a ty jeszcze nie wynajdziesz sposobu wykonania moich zleceń, możesz pożegnać się z Gulczewem i Kościelcem.

Myślał Skarbimir, że rycerz doda, i skarbami, ale kiedy tego słowa nie usłyszał, uczuł ulgę w ledwo już bijącym sercu i wstawszy po chwili oświadczył, że wszystkiemu zaradził.

— Mów więc, a zwięźle tylko — rzekł Mestwin.

— Wiesz zapewne potężny rycerzu, że posiadam rzadką sztukę pisania i czytania, z której i Hanna z Ciechanowa słynie, którą ojciec tak starannie wychował. Napiszę więc list do księcia Mieczysława, wyłuszcę w nim mniemane żądanie, to jest prawdziwe żądanie księżny — dodał starzec, widząc że Mestwin brwi zmarszczył — podpiszę Hannę z Ciechanowa. Znam jej pismo, bo nieraz Wszebor chlubiąc się z rozległych córki wiadomości, pokazywał mi je, oddam księciu...

— Ale jakże ten list dostanie z rąk twoich, — rzekł rycerz.

— Pewny jestem, że rozkochany Mieczysław nawet o to się nie zapyta; w przypadku mogę odpowiedzieć, że Bardan, naczelnik mojego wydziału, schwytał człowieka wydającego mu się być szpiegiem, że ten człowiek list mu oddał i przyniósł mi go Bardan. Ja wyczytawszy słowa: Do księcia Mieczysława, pośpieszyłem mu oddać przyniesione pismo. A co, czy niezręcznie? — zapytał starzec z pewnym rodzajem dumy i chępliwości.

Rzucił nań łagodniejszym Mestwin wzrokiem, ale zarazem wszystkie namiętności, które dotąd gnębił siłą żelaznej woli, wyrwały się zpod jej przemocy i tłumnie wybuchnęły. Z jednej strony radość, z drugiej nasycona już napół zemsta, zmieszały się w nieładzie w wzburzonym sercu, i już rycerz nie mógł ukryć w sobie niezwykłego uniesienia. Groźnie rękę wyciągnął i zaśmiał się śmiechem piekła. Zapominając o przytomności zważającego na każde słowo, na każde poruszenie starca, wykrzyknął:

— Nie chciałaś wejrzeć na błagającego Mestwina, musiał on znosić obelgi od ciebie, a teraz jakaż ci pozostaje nadzieja? Czyż nie lepiej było odwdzięczyć miłością za miłość, przywiązaniem za przywiązanie? Dumna Polko, w zamku potężnego Zbigniewa, któryby ostatnie wysileniałożył na twoją obronę, gotuje się twoja zaguba i nie już jej nie odwróci. Zdradzisz go napozór, on uwierzy zdradzie i zginiesz. Obiecałem ci boleści, już oddawna cię trapią. Druga część obietnicy spełni się niezadługo. Nie pod żelazem. . .

Wtem Ulrych uchwycił pana za ramię i wskazał na Skarbimira, ale zapóźno, bo tajemnicę odkrył już chytry starzec. Natychmiast ustąpiło uniesienie Mestwina, jak zwykle za zmianą jego myśli, i poznał zaraz nieroztropność swoją i korzyść, którą z niej mógł ciągnąć Skarbimir. Zbliżył się więc do niego z posępną twarzą i z dobytym sztyletem, a przykładając broń do piersi truchlejącego podskarbiego:

— Zapomnij, — rzekł — o tem coś słyszał.

Schylił się aż do ziemi Skarbimir, a te słowa tak szczególnym i nadzwyczajnym wyrzeczone były głosem, że ciągle odtąd brzmiały w uszach starca, jak gdyby go ostrzegając o niebezpieczeństwie zdradzenia władającego nim pana.

Ale Mestwin chcąc go jeszcze bardziej zachęcić do poruczonej sprawy, w krótkich oznajmił mu wyrazach, że upadek dumnego Sieciecha będzie niezawodnym skutkiem wypełnienia okrutnych zamiarów.

Na to zapewnienie, któremu sam rycerz nie wierzył, radość przejęła duszę Skarbimira i przysiągł w jej głębi ślepe posłuszeństwo odebranych zleceniom.

Wtenczas skinął ręką rycerz niemiecki i kazał giermkowi odprowadzić pana Gulczewa. Ulrych zawiązał oczy towarzyszowi i wyszedł z nim północnym otworem.

Mestwin przez chwilę został niewzruszony na miejscu, a poglądając na rozsypane wokoło kości, zawołał:

— Wkrótce twoja głowa, twoje lica do róży świeżo rozwitej podobne, taką postać przybiorą.

Schylił się i podniósł czaszkę z ziemi.

— Witam cię, przyszły obrazie Hanny z Ciechanowa.

A potem rzucił daleko od siebie ostatki pięknego może niegdyś ciała, i z lampą w ręku wyszedł z grobowej sali.

ROZDZIAŁ XXII.

Pociągiem zemsty i zbrodniczą radą
Postąpił z swoim panem z jak największą zdradą.

Bezimienny.

Nazajutrz po widzeniu się Skarbimira z Mestwinem, nie ujrzano żadnego w obozie nieprzyjacielskim poruszenia, i z wielkiem załogi zadziwieniem cały dzień bez walk upłynął. Jordan z Gozdowa i Krystyn z Mortoga wciąż stojąc na basztach, starali się dostrzedz wszystkich obrotów przeciwnego wojska, i domyśleć się przyczyny niezwyklej spokojności. Mestwin ze zwykłą rozwagą dawał głośno rozkazy, towarzysząc księciu Zbigniewowi, który przechadzał się po wałach z schyloną głową, i obchodził wierne hufce witające go okrzykami, nie budzącemi już teraz ognia i młodzieńczego zapалу w smętnem sercu.

Są bez wątpienia wieszczce w duszy człowieka przeczucia, rokujące mu bliskich nieszczęść nawałę. Może są one tylko skutkiem wyobraźni, wylatującej za przeznaczone krańce na odkrycie ciemnej przyszłości, może też duchy innego świata przyjazne nam kiedyś za życia, w chwili stanowczej wokoło nas się gromadzą, i jedyną świadcząc w ich mocy przysługę, jakąś niepewność i smutek wlewają w serce, żeby je przygotować do niespodziewanego ciosu.

Bądźcobądź pewnem jest, że w dolegliwym teraz był książę Zbigniew położeniu, bo choć nigdzie tak bliskiego i grożącego nie upatrywał niebezpieczeństwa, choć spodziewał się, że tego samego dnia w nocy wkradnie się

lo zamku mnogim orszakiem Ludwik ze Żmigrodu, przeczuwał on niezrozumiane i tajemnicze cierpienia, i dlatego właśnie zniżywszy wyniosłą głowę, nie czuł dawnej radości, słysząc okrzyki i wrzaski żołnierzy.

— Mestwinie, — rzekł ponuro — przygotuj wszystko na przyjęcie Ludwika ze Żmigrodu, który dzisiaj ma przybyć. Właśnie zbierają się chmury i sądzę, że noc burzliwa ułatwi mu wejście do zamku. Nie spodziewam się by natarli na nas swoim zwyczajem nieprzyjaciele, bo już wieczór się zbliża. Odejdę do komnaty, przygotuj jednak wszystko na przypadek, a gdybyś zobaczył rozwijające się przeciwników szeregi, donieś mi o tem natychmiast. Po tych słowach oddalił się książę, przechodząc blisko żony pokojów chciał ją odwiedzić, ale przypomniawszy sobie, że ją widział zrana smutną i pomieszaną, a nie czując się na mocy jej pocieszenia, podwoił kroku i zamknął się w własnej komnacie. Tu dopiero zapadł w głębokie dumanie, a jeśli kiedy słodkie zabłysło wspomnienie, odpędzały go zaraz czarne myśli bezustanku się snujące.

Nieszczęśliwy Zbigniew wywoływał z głębi przeszłości gorzkie pamiątki, z żalem patrzył na strawioną wśród zbytków i występków młodość, na zużyte w niegodnych sprawach siły, na pograżoną przez siebie w otchłań smutków Hannę z Ciechanowa, którą oderwał od świata i pozbawiwszy najmilszych uciech, nie umiał w najprzykrzejszych chwilach pocieszyć. Myśl, że może córka Wszebora zwiedziona dziwaczem jego od niejakiegoś czasu postępowaniem, sądzi, że zapomniał o jedynej lat młodych oblubienicy, o aniele, który najpiękniejszemi natchnął go pomysły i szczęściem obdarzył, tak go przeraziła, tyle razy stawiała się przed jego umysłem, że już porwał się i przypominając dawną uprzejmość, oddawna zaniedbane miłosne wyrazy i gorejące oświadczenia, chciał pobiegłszy do żony, u jej stóp błagać przebaczenia winy, kiedy ktoś do drzwi zapukał, poszedł je otworzyć z wyrazem gniewu na twarzy, ale ten znikł za ukazaniem się Mestwina z Wilderthalu.

— Czy myślą szturm przypuścić? — zawołał książę, z iskrzącemi się od zapału oczami, w nadziei, że zamęt walki wyrwie go zpod ciężaru trapiących uczuó.

— Nie, panie i książę mój, — odparł rycerz — przyszedłem cię uwiadomić o rzeczach, które największej uwagi, a zarazem stałości umysłu wymagają.

Nie słyszał Zbigniew ostatnich słów Mestwina; jak tylko dowiedział się, że niema przeciw komu walczyć, upadł na krzesło i nakazawszy ręką milczenie powiernikowi, wlepił oczy w przeciwną stronę i do opuszczonych na chwilę powrócił utrapień. Wreszcie ozwał się w te słowa.

— Mestwinie, jedyny mój przyjacielu, nie uwierzysz jakem się od jakiegoś czasu zupełnie odmienił. Zapewnie w tej posępnej twarzy, w tej schylonej postawie, w tej drżącej ręce i ustach zbladłych, nie poznajesz dawnego Zbigniewa, którego miecz błyszczał nad wszystkiemi mieczami polskiej krainy, którego głowa wznosiła się ponad wszystkie dumnych panów głowy. Gdzież się podziła żywóść moja? gdzie uleciał młodzieńczy zapał wrzący w piersiach, którym już dzisiaj lekka cięży zbroja. Odpowiesz, że choroba, że rany to sprawiły. Nie, nie ziemskiego, żadnej ostrze szabli, żadna słabość na świecie nie była zdolna tak mnie zniżyć i pognębić. Nież razy okryty ranami, krwią własną oblany, myślałem jeszcze o zwycięstwie, wyglądając z niecierpliwością chwili wyzdrowienia, w chwili w którejbym mógł ująć oręż nanowo, i zemścić się na wrogach. Pamiętam jak lotem orła wzbijały się moje myśli, jak nadzieje uśmiechały się niezatrutemu żadną boleścią umysłowi, a teraz wzrok schylam ku ziemi, uciekam od towarzyszków broni, od żony nawet. Unikam Hanny, najmilszej istoty na świecie, dla której jeszcze czuję miłość w przekwitłem sercu. Jej spojrzenie przyjmujące dawniej wszystkie żyły ogniem namiętności, spada teraz na mnie jak na bryłę zimnego lodu. Czasem trąba bitew obudzi mnie ze snu, a wtedy tylko czuję, że mi serce bić nie przestało, ale krótko trwa przemijające wrażenie, a wszystko dokoła czarnem, ciemnem, posępnem się wydaje. Szczęście ucieka na odgłos kroków moich, i nawet

przypomnieć sobie nie mogę chwil, które zapełniły część śmiertelnego życia niebieską radością. Zdaje się jak gdyby piekło wyrzekło moją zagubę, bo mi wydarło i nadzieję i pamięć tych nadziei.

To mówiąc, zakrył twarz obiema rękami. Zapewne nie chciał, by Mestwin dostrzegł gorzką łzę spływającą po bladych licach.

Wahał się odrazu rycerz, na zadanie ostatniego ciosu nieszczęśliwemu panu, ale nie było czasu do stracenia, szybko upływały godziny, a z niemi i zemsta zbliżała się sroga, zemsta, dla której tyle środków użył Mestwin, i tyle zbrodni wykonał. Przybrawszy zatem najzimniejszą postać, przemówił do Zbigniewa:

— Przemina te chwilowe troski. Teraz zaś, książę i panie mój, zbierz wszystkie siły, bo się dowiesz z ust, które ci nigdy nie skłamały, o spełnieniu się ich dawniejszych prorocत्व.

— Cóż chcesz mówić? — przerwał syn Władysława, z przerażeniem na twarzy.

— Chcę mówić i powiadam, książę i panie mój, że się połączył z niewiastą niegodną twojej miłości.

— Nędzny! — przerwał piorunym głosem Zbigniew — pamiętaj, że mówisz o swojej księżnie, o żonie twojego pana.

— Nigdy jej nie nazwę księżną moją, — odparł śmiało Mestwin — bo nią być nie może Hanna z Ciechanowa, zdradzająca najświętsze obowiązki.

— Czy więcej od jednego życia posiadasz, że tak lekce terażniejsze ważysz, — zawołał Zbigniew, okryty rumieńcem gniewu, porywając szablę ze stołu.

— Gdybym tysiąc razy mógł umierać i odżyć, nie wahałbym się ostatnie życie dla ciebie poświęcić, i nie raz ci już tego dowiodłem. Ale uspokój się, wysłuchaj mnie i przekonaj się o prawdzie słów moich. Jeśli cię oszukam, możesz ten miecz w moje piersi utopić.

— Ja mam ciebie słuchać, niegodny oszczerco, — krzyknął książę, wlepiając oczy w oczy Mestwina, ale rycerz wytrzymał rażące spojrzenie Zbigniewa, i nie zniżył wła-

snego wzroku. — Ja mam słuchać potwarze rzucane na najenotliwszą niewiastę na ziemi, na drogą moją Hannę, na anioła, co umiłał zbrodnicze życie, i na wieki związał mnie do siebie niezerwanym łańcuchem. Czyż to od dzisiejszego dnia wiem, że ją nienawidzisz? Czyż to pierwszy raz ją obmawiasz? od kiedym ją zapoznał, zawsze mnie odwodził od niej, odradzałeś zaślubienie, radziłeś najbrzydszą obłudę, a teraz kiedym już zgnębiony prawie, nawalał prawdziwych i urojonych nieszczęść, przychodzisz mi ostatnią wydzierać pociechę; oddał się, wychodź, precz mi z oczu.

Mestwin nie ruszył i kroku.

— Czyż już przestałem być panem w własnym zamku — zawołał Zbigniew z rosnącym uniesieniem. — Nawet gdybyś co wiedział, zakazuję ci odkrywać.

— A to co innego — odpowiedział z najzimniejszą krwią Mestwin. — Zaiste panem jesteś swojej woli i możesz nawet żonę Mieczysławowi odstąpić.

Imię niecierpianego człowieka obudziło wściekłość w duszy Zbigniewa, przypominał sobie dawne jego związki z Hanną i zbladł nagle, śmiertelne osłabienie zwątpiło siły poduszczone gniewem. Dreszcz zimny rozlał się po całym ciele i przejął go mrozem. Nie mogąc utrzymać się na nogach, musiał usiąść, a pot kroplami spływał po złowaciałem czole.

Poznał Mestwin, że sposobna nadarzyła się pora i nie dając czasu do namyslenia się księciu, zaczął opowiadać ułożone fałszywie z pewnością samej szczeroci właściwą, wyłożył dawne przestrogi, oświadczył się z przywiązaniem bez granic, a nareszcie opowiedział jak Ulrych podszuchał przypadkiem rozmowę księżny z Katarzyną, z której się wydało, że Hanna pała miłością ku Mieczysławowi, że znienawidziła męża, i że się będzie widziała z dawnym kochankiem o dwunastej w nocy nad brzegiem Wisły, w starodawnej kaplicy. Zresztą nowem kłamstwem przebiegły rycerz wytłómaczył księciu sposoby, których użyła Hanna na porozumienie się z synem Bolesława. Nie przepomniał dodać o rzadkiej mowie księżnej i o jej listach. Wszystko zaś tak prosto, tak jasno wyluszczył,

że już niepewność i podejrzenia zaczęły się wkradać do serca Zbigniewa.

Wtenczas, za świnięciem Mestwina, wszedł do komnaty giermek, który przez pana przyprowadzony, czekał w przedpokoju.

Na rozkaz pana, śmiało powtórzył młodzieniec, co rycerz przed chwilą opowiadał, a podczas swojej mowy widział wciąż wzrok księcia Zbigniewa, starający się odkryć napróżno najmniejszego w jego rysach pomieszanania lub trwogi. Ulrych z niepospolitą odwagą łączył poświęcenie dla pana bez granic, wiedział, że go może zgubić najmniejszą oznaką przerażenia. Zresztą już najtrudniejszą część okropnej i tajemniczej sprawy sobie poruczonej wykonał oddawna. Kiedy mógł wytrzymać widok łez księżnej, nie miał go już później przerazić gniew potężnego Zbigniewa, kiedy nie padł do nóg boskiej córce Wszebora, mało zapewne mogła mieć na nim wpływu rozpacz syna Hermana, a zatem dopełniały się zamiary dzikiego Mestwina, i książe ujęty w sidła szatańską uwite zrzecznością, otoczony głośniami przeciwko żonie dowodami, wątpił czy żyje, czy też przebywał w obłądu i ułudzeń krainie.

Powstał nareszcie z siedzenia, i miotając naokoło pomieszany wzrokiem, zawołał:

— Gdzie jestem, gdzie się dostałem? Czy już piekło wyciąga ramiona po należną zdobycz? Czy już zemsta niebios dręczyć mnie zaczyna, ostatecznie marzenie tego życia, ostatecznie urojenie, wiążące mnie jeszcze do świata, zniknęło. Ale nie, wyście sobie rękę podali i fałsz na waszych ustach. Mestwinie, zmiłuj się nade mną, wszak to złudzenie, wszak to nieprawda com słyszał! Hanna jest moją żoną.

— A zarazem kochanką księcia Mieczysława — odparł rycerz.

— Przypomniałeś mi — krzyknął książe — tem nazwiskiem, że wszystko się zakończyło, i że dla mnie świat bezludny wokoło. Nieprzyjaciel wydarł mi więc najmiłszą pociechę. W krwi jego, przysięgam, zanurzę

się cały; ale cóż ta krew pomoże, alboż ona dostatecznem wynagrodzeniem będzie za życie odtąd żadnej nieznające pociechy! Mestwinie — dodał, zbliżając się do rycerza i ściskając mu rękę — daj mi sposób godnego pomśzczenia się na nim, połóż na jednej szali miłość zdradzoną, zniszczone radości, zatracone szczęście, życie ogołocone ze wszystkich rozkoszy, młode lata zwiędłe u ich początku prawie, serce szarpane wszystkiemi rozpaczy mękami, na drugiej zemstę jakakolwiek. Jeśli ona zrównoważy się z tamtymi ciężary, moje dobra, moje majątki i godności tobie oddaję. Wszystko u stóp twoich składam, bylebym mógł widzieć jego cierpienia, wpatrzeć się okiem żmii w ostatnie chwile wroga; lecz te ostatnie chwile tak się różnić powinny od zwyczajnych zgonów na ziemi, jak różne są męki piekła od uciech niebieskiego raj, rozumiesz mnie?

Wtenczas Mestwin kazał oddalić się giermkowi, rozkazując pocichu, żeby mu doniósł jak tylko księżnę wyprowadzi. Zatrzymanie księcia w tym pokoju już na siebie biorę — dodał — a Ulrych odszedł.

Wtedy rycerz z Wilderthalu srogim ozwał się głosem:

— A cóż się stanie z niewiastą, co zdradziła najświętsze obowiązki i tak ogromną skalala się zbrodnią? Czy przepuścisz jej bezkarnie własne nieszczęście? Czy dozwolisz, książę i panie mój, by z twoich objęć rzuciła się w objęcia znienawidzonego Mieczysława i z nich na twoje wracała łono?.. By depcąc wszystkie świata prawa, dzieliła się wdziękami z mężem i jego śmiertelnym wrogiem?

Milczał wciąż Zbigniew.

— A więc — głośniejszym zawołał Mestwin — książę Zbigniew odpuszcza winy Hannie z Ciechanowa, wystawia się na żarty całej Polski, wojownik nieustraszony w bojach, niezmiękczone jękami konających ofiar, ulega przemocy niegodnej kobiety, i na jej spojrzenie zapomina o sławie. Zrzuc już zbroję, synu i wnuku tylu królów, zawieś oręż nad łóżem rozkoszy, przywdziej suknię niewieścią i weź do ręki wrzeciono, albo raczej kaź sobie

okuć dzielną kiedyś prawicę w pęta gnuśnością narzucone, i czółgając się u stóp zdradnej żony, z uśmiechem radości i niedołęstwa patrzaj na własną ohydę i własne zhańbienie. Na wszechwładny rozkaz otwieraj drzwi jej komnat Mieczysławowi, i dozwól synowi Bolesława cieszyć się posiadaniem Hanny z Ciechanowa.

— Milcz, — rzekł osłabiony książę — nieludzki człowiecze, w twoich piersiach nigdy słodkie nie urodziło się uczucie. Różny od innych ludzi, od dzieciństwa powlokłeś członki twardą stalą, a od niej i serce twoje swoją oziębłość przyjęło. Czyż znasz co to miłość, Mestwinie? Czyż kiedy doznałeś jej słodyczy? Wiedz, że choć okropna prawda odsłania się przede mną, wiedz rycerzu, że jeszcze kocham tę niewiastę i wątpię by tak anielskie rysy pokrywały tak niską duszę. Wiedz — zawołał całemi piersiami — że się waham, że wątpię, że nie wierzę waszym potwarzom. Jej obraz tkwiący w moim umyśle odpędza podejrzenia, i czuję niczem nieosłabione przywiązanie w sercu. Mestwinie radzę ci, nie powtarzaj wyrzeczonych dopiero co obelg, bo o niej wten czas marzyłem i słabo twój głos dochodził moich uszu, ale gdybym teraz co podobnego usłyszał, nie zważałbym na dawnego przyjaciela i wiernego sługę, widziałbym tylko szatana chcącego ostatnią pociechę mi wydrzeć i zniszczyć ostatnią srogich cierpień ulgę, a sam rozważ o ile taka myśl może unieść człowieka, który gotów zrzec się wiecznego i doczesnego życia, byleby usłyszał usprawiedliwienie ukochanej istoty. Walczyłem dla niej, a ona miałaby o tem zapomnieć? patrzyła na krew płynącą z moich piersi, a wiedziała, że dla niej płynie; słyszała jęki moich żołnierzy i pewną była, że dla niej giną, że dla niej poświęcam i ojca miłość i narodu przywiązanie, że dla niej znoszę oziębłość przyjaciół, i ona miałaby mnie zdradzić! Nie, na św. Stanisława, to być nie może. Sam Bóg nie dałby wdzięków aniola podłemu stworzeniu. Nie, Mestwinie, nie mów nic dalej, nie odzywaj się więcej, bo możebym uważał za święty obowiązek przebłagać oczernioną piękność śmiercią jej wroga.

— Nigdy trwoga nie zamknie ust moich, panie, —

odparł rycerz — tembardziej kiedy prawdę mówiąc, chcę twoję sławę ocalić.

— Zaklinam cię, Mestwinie, byś milczał. Dowiodłeś mi tyle razy przyjaźni wśród bitew, niebezpieczeństw, teraz dowiedziesz mi jej daleko lepiej, zatajeniem tego o czem się dowiedziałeś. Nie chcę zasłony żadnej rozdzierać, zapomnę o twoich słowach, bo gdybym nie mógł zapomnieć, wołałbym nie żyć na ziemi, ale zapomnę za pierwszym jej spojrzeniem, za pierwszym uściskiem zapomnę. Wszakżeś mi nic nie odkrywał, Mestwinie, nie prawdaż, nie nie mówiłeś? Proszę, błagam cię, odpowiedz jedno nie, a wszystko co zechcesz, uczynię.

— Nigdy! — krzyknął Mestwin — nigdy podobną nie zmażę się podłością. Jeszczebym z rusztowania wołał na ciebie: książę i panie mój, zdradza cię niegodna żona.

— A więc zgin' i milcz umarły, jeśli żywy milczeć nie umiesz — zawołał Zbigniew, rzucając się na rycerza z pałaszem w rękę.

Z największą spokojnością odsłonił piersi Mestwin z Wilderthalu, i oderwawszy szablę od boku, stawił się bezbronny gniewowi Zbigniewa, którego wzniesiona opadła prawica, a wkrótce potem sam książę prawie bez zmysłów oparł się na łożę, spoglądając łzawem na powiernika okiem.

— Straciłem rozum, — rzekł — Mestwinie, ale zarazem i jedyne szczęście...

Wtenczas łzy wstrzymywane dotąd oblały lica niezgiętego dawniej wojownika i westchnienia wydobyły się z piersi, w których czułe, choć zatwardziałe długim do występków nałogiem, biło serce. Rumieniec wstydu zapłonił twarz bladawą księcia, który przerywając czasem płacz swój wykrzyknikami boleści, odwracał oczy od dzikiej twarzy Mestwina, której rysów w tej chwili mógłby sam władca piekieł mu pozazdrościć.

— Ach! jakżem już osłabły, ach! jakżem już znę-kany, — wołał Zbigniew. — Hanna, moja Hanna mnie opuszcza, o Boże zlituj się nade mną!

— Sądziłem, — przerwał Mestwin — żem się za-

ciągnął pod dzielnego bohatera znaki, ale ciężką popełniłem omyłkę: szlochającą niewiastę teraz widzę przed sobą.

Te słowa ubodły dumę Zbigniewa, i natychmiast zatrzymawszy łyzy płynące, przybrał męską i rozkazującą postać.

— Przekonamy się zaraz, rycerzu, — rzekł — o prawdzie słów twoich. Bądź łaskaw towarzyszyć mi do Hanny, oświadczę jej nasze podejrzenia, a może odkryjemy, że się słuch twojego Ulrycha w tym razie omylił.

Poznał Mestwin, że największe zagrażało mu niebezpieczeństwo, ale nie stracił odwagi, gotów najczarniejszych użyć wybiegów na jego odwrócenie.

— Dobrze, — odpowiedział udając największą obojętność — nie odstąpię cię, panie i księżę mój, bo przepaść bliska twoich kroków i potrzebujesz towarzysza, któryby cię na brzegu wstrzymał, lub też z tobą w jej otchłań się rzucił.

— Co znaczą te słowa?

— Znaczą one, księżę i panie mój, że zbrodnicza niewiasta zdoła przybrać barwę niewinności. A kto jej uwierzy, już jest nad brzegiem przepaści. Zresztą postępuj podług swojej woli, lecz jaki dowód mieć będziesz kiedy się zaprze? Wątpię, żebyś chciał mojego giermka stawić przed nią, i własną żonę przymusić do bronienia się od zarzutów sługi. A potem przypuszczając, że jest niewinną, i że Ulrych się przesłyszał, daremniebyś ją zmarwił i trwogi nabawił. Lepiej kiedy o dwunastej sam się przekonasz.

Przyłożył rękę do gorejącego czoła Zbigniewa i wahał się długo. Nie wiedział co począć, bo namiętności, burząc jego duszę odejmowały rozwagę i zimny rozsądek.

— Księżę Zbigniewie, — dodał Mestwin — jesteś panem swojej woli, ale usłuchaj rady przywiązanego człowieka, który ci wierny był dotąd, i zawsze szanował i kochał, który życie twoje nieraz własnego niebezpieczeństwem obronił. Jakieżbym miał powody do rozjątrze-

nia twojego serca, do zatruwania twojego szczęścia? Wierz, że ważne i bardzo ważne powody zagnęły mnie do odkrycia ci prawdy, bo tu szło o twoją sławę i jako najwierniejszemu przyjacielowi twojemu, droższą mi jest ona od własnego i nawet od twojego życia. Chciałem tobie tak okropnego ciosu oszczędzić, ale rozważywszy straszne skutki wyniknąć mogące z tak występnych przyczyn, uczulem dosyć mocy w sobie na oznajmienie mojemu panu, że Hanna z Ciechanowa straciła wszystkie do jego miłości prawa. A niemalej potrzebowałem odwagi, niemalego poświęcenia, na wytrzymanie wybuchu gniewu człowieka rozkochanego w osobie, którą oskarżam o tak ciężkie zbrodnie. Do ciebie należy osądzić i czystość moich zamiarów i przywiązanie tak wielkie, że się naraziło na śmierć i gorsze od niej wyrzuty, żeby ostrzedz pana o okolicznościach, wszystkie jego nadzieje niszczących.

Zawsze prawie rady Mestwina odrzucane z początku przez Zbigniewa, brały potem górę nad jego umysłem, czy dlatego, że zimna rozważa Niemca miała niezaprzeczoną wyższość nad uniesieniem i zapalczywością księcia, czy też dlatego, że syn Władysława niezrównaną pokładał ufność w wierności, i niejednemi dowodami stwierdzonem przywiązaniu powiernika. Również i teraz uległ Zbigniew przewadze rycerza z Wilderthalu, i nie mogąc sam oznaczyć swojego w tej mierze postępowania, skierował je podług myśli i chęci Mestwina.

— Przystaję — rzekł — na twoje uwagi, ale pamiętaj, że gdyby Hanna się niewinną okazała, nicby ci nie mogło życia ocalić. Doszedłem do takiej ostateczności, że mi trzeba żonę lub przyjaciela postradać, bo zemsta obudzona we mnie wymaga jakiegokolwiek ofiary. Przygotuj się do śmierci Hanny z Ciechanowa, albo do własnego zgonu.

— Pozwalam ci jeszcze wątpić, książę i panie mój, — odparł Mestwin — ale za kilka godzin o wszystkim się przekonasz. O dwunastej przybędę do ciebie i razem udamy się do kaplicy.

— Nie wytrzymam — zawołał Zbigniew. — Pobiegnę do niej, mówię ci, że nie wytrzymam, Mestwinie.

— A gdzie się podziła stałość umysłu i męstwo, żadną niezrażone przeciwnością? — rzekł rycerz. — Czyż tylko w bojach mężem być przystoi? Czyż tylko kiedy zbroja kryje serce, ono się odważnem okazać powinno? W domowym życiu często trudniejsze zachodzą sprawy niż na pobojuwisku, i nietylko z szablą w rękę bohater jest bohaterem.

— Możesz sobie tych kazań i przestróg oszczędzić, — zawołał książę — bo moje ucho nieprzyzwyczajone do nich. Mówię ci po ostatni raz, że nie mam dosyć sił na przepędzenie tylu godzin w tak okropnej niepewności. Nie cierpię jej teraz, za chwilę będę ubóstwiał. O Hanno z Ciechanowa! czegożbym nie dał, żebym mógł jak dawniej z słodką rozkoszą twe imię wymawiać.

— Jedyńy więc tylko środek — rzekł Mestwin — pozostał w tym razie. Zamknę cię w komnacie, a o przeznaczonym czasie przyjdę uwalniając przekonać cię, o obłudzie żony i powrócić wyższym celom, nad ziemską i niską miłość.

Milczenie Zbigniewa uważał Mestwin za przystanie na podobny sposób; odwrócił się więc i wyszedłszy, zamknął drzwi żelaznym kluczem, który schował pod zbroję.

— Więc już zapewniłem jej zagubę — pomyślał, i z niewypowiedzianem uniesieniem, które brał za radość, oddalił się od komnaty nieszczęśliwego pana.

ROZDZIAŁ XXIII.

Król: Widziałeś?

Inkwizytor: Widziałem.

Król: Słyszałeś?

Inkwizytor: Słyszałem.

Król: O wściekłości! a więc podejrzenie...

Inkwizytor: Stało się pewnością.

Alfieri, Filippo.

— Już czas, księżno i pani moja, — rzekł Ulrych, wchodząc do pokoju Hanny, a pierścień Mestwina złowróźbne blaski rzucił z jego ręki.

Czekała już księżna, gotowa narazić się na niebezpieczeństwa i obmowy, żeby dopełnić świętego żony i świętszego jeszcze Polki obowiązku. Spojrzawszy łagodnym na giermka wzrokiem, odpowiedziała, że natychmiast pośpieszy, prosząc by się do drugiej oddalił komnaty, gdzie Katarzyna już była.

Zostawszy samą, jeszcze raz swój postępek i skutki z niego wyniknąć mogące rozważyła, może niesława, może wieczna okryje mnie hańba myślała, lecz mój Zbigniew i sławę i szczęście odzyska. On tyle dla mnie uczynił, niech więc i ja coś dla niego uczynię. On nie zważał na obmowy, kiedy szło o Hannę, a jabym miała niemi się trwożyć? Nareszcie gdyby świat cały, gdyby on nawet powstał na mnie, sumienie moje spokojnem pozostanie.

— I ty wiesz — zawołała odwracając się do obrazu Matki Boskiej — że nigdy występna myśl mojej nie skaziła duszy... — Uklękła potem i złożywszy śnieżne dłonie wzniosła je ku niebu.

— O królowo uwieńczona światłością! zakryj mnie skrzydłami twojej opieki. Przejrzyj skrytości mojego serca, oświeć mnie promieniem nieśmiertelnej twojej chwały, a jeśli nieznanne mi nawet jakie niskie uczucie kryje się w jego głębi, spraw bym z tego nie powstała miejsca; jeśli zaś czyste i cnotliwe mną powodują zamiary, daj bym Zbigniewa szczęściu wróciła.

Po tej modlitwie wstała, czarną zasłonę zarzuciła na siebie i pożegnawszy ostatniem spojrzeniem pełną tyłu wspomnień komnatę, wyszła do drugiej, a ztamtąd nie rzekłszy i słowa, przebiegła kaplicę z Katarzyną i smętnym Ulrychem. Córka Gierdy otworzyła drzwi na brzeg Wisły wiodące, pierwszy giermek najprzód wyleciał, ale tak szybko i tak dziwnym sposobem, że zadrżała pomimowolnie księżna, która z Katarzyną pozostała z tyłu.

— Strażniku — rzekł pocichu młodzieniec do przechadzającego się żołnierza — otwórz te drzwi, tylko prędko. — Chciał jeszcze coś mówić, ale słowa na ustach skonały i ledwo drżącą ręką mógł dorzucić worek dany przez Mestwina.

— Czy śmierci szukasz, — odpowiedział głos chrapliwy — że chcesz słabem srebrem zwalczyć żelazo mojego topora?

Zadrżała Katarzyna stojąca jeszcze z swoją panią w kaplicy. Był to głos jej ojca... Zadrżał i giermek, ale nie z bojaźni.

— Radzę ci, żebyś wziął i otworzył.

— A ja rady tak przyjmuję, psie podły — zawołał Gierda, i ciężki jego topór błysnął wśród ciemności; lecz Ulrych zręcznym skokiem uniknął śmierci, a topór wbił się głęboko w ziemię.

— Gierdo, co czynisz — krzyknął Ulrych — czyś mnie nie poznał — i to mówiąc stanął między dzikim mordercą a jego orężem.

— Poznałem i dlatego właśnie chciałem dar szatanowi posłać — i po tych słowach szabli dobył.

— Jeśliś mnie poznał to i to zapewne poznasz —

rzekł młodzieniec, podnosząc rękę naprzeciwko światłu wychodzącemu z napół otwartej kaplicy.

— O, nie raz widziałem go już — odparł Gierda, opuszczając oręż. — Teraz wszystko wypełnię. Wszakże nam książę zalecił równie ten pierścień, jak jego własny szanować.

— Puścisz więc, Gierdo, dwie osoby za mną idące, i zachowasz głębokie o tem milczenie. Są to, przyjacielu, — dodał ciszej — dawne... domyślisz się zapewne, książę nie chce, by żona wiedziała...

— Rozumiem — rzekł żołnierz z hucznym śmiechem — nacóż mi ten worek dałeś?

— To dar od księcia.

— Niech żyje Zbigniew, pan nasz! — zawołał Gierda, a drzwi pchnięte jego ręką otworzyły się w murze.

Gwizdnął Ulrych i dwie postacie przesunęły się w ciemności przed żołnierzem, który nie chcąc badać tajemnic pana, oczy odwrócił.

— Trzymaj te drzwi otwarte — rzekł giermek, i wyszedł w pole wraz z towarzyszkami.

Księżna mu czule podziękowała, a jednak każdy jej wyraz przebijał mu serce. Burzliwa i ciemna noc nie dozwoliła uważać Hannie z Ciechanowa, jak nagle zbladł i zadrżał cały. Katarzyna, odzyskawszy przytomność utraconą na widok ojca, zaczęła namawiać księżnę do przyśpieszenia kroku.

Ulrych wśród świstu wichru i huku piorunów, odprowadził księżnę aż do zarośli zamek otaczających. Tu stanąwszy, oznajmił pomieszonym głosem, że musi ją opuścić i wskazał niedalekie światło.

— To lampa paląca się w kaplicy. Tam cię, księżno, czeka Mieczysław, muszę cię pożegnać. Stać będę tymczasem przy drzwiach strzeżonych przez Gierdę, i pilnować żeby nikt nie nadszedł.

— Dziękuję ci raz jeszcze — rzekła Hanna i szybkim z Katarzyną oddaliła się krokiem.

— O Boże, zlituj się nad nią! bo moja powinność wzywa mnie gdzieindziej — mówił łzami zalany młodzieniec. — Czemuż topór Gierdy nie przybił mnie do ziemi! — A potem puścił się jak strzała wyrzucona z ciężkiwy, przeleciał pole, przebył bramę, komnaty, galerya i drzwi pokoju Mestwina z trzaskiem odemknął.

— Już się stało! — zawołał i upadł napół zemdlony.

— Takeś zdyszany, — rzekł siedzący rycerz — jak gdybyś z długiej wracał podróży, a jednak kaplica ztąd niedaleka.

— Ale panie, — odparł ponuro Ulrych — podczas krótkiej drogi, można wiele uczuć doznać.

— Zapewnie — szydersko odparł Mestwin. — Ale oddaj mi pierścień i powiedz czyś go użył.

— Musiałem. Dane wprzód pieniądze nic nie pomogły.

— Któż taki stoi na straży — zapytał rycerz.

— Nieszczęśliwym trafem Gierda pilnuje tam murów.

— Szkoda — rzekł zimno Mestwin — szkoda, dobry żołnierz.

— Nie rozumiem znaczenia tych słów, rycerzu?

— Człowiek, który widział mój pierścień, musi i mój sztylet zobaczyć — spokojnie odparł Mestwin. — Czyż nie pojmujesz, że mógłby mnie zdradzić? Zapomniałem cię pytać czyś do samej kaplicy księżnę odprowadził.

— Zostawiłem ją o pół drogi, bom dalej iść nie mógł.

— Jeszcze dziecinne serce bije w twoich piersiach — z politowaniem ozwał się rycerz — ale mam nadzieję, że nadejdzie czas, w którym na takie wypadki mało albo wcale zważać nie będziesz.

— Śpiesz się, panie, do księcia Zbigniewa.

— Nie czas jeszcze — odparł rycerz — niechże wpierw ona dojdzie do kaplicy; pięknieby było, żebyśmy ją na drodze spotkali, a wiem, że jak tylko puszczyć mo-

jego orła z klatki do której go wsadziłem, to poleci niewstrzymany żadnym głosem, ni namową. Ale cóż to znaczy? zupełnie zbladły, do trupa podobny. Wstydź się chłopeze takiej słabości.

— Cóż mam robić, panie, kiedy czuła we mnie Bóg wlał duszę.

— Zahartuj serce, — odparł rycerz, kładąc hełm na głowę — uzbrój piersi przeciw litości i rozczuleniu. Zatajmy łzy w oczach. Patrz przez lat wiele na zbrodnie, poznaj przebiegi ludzi, dowiedz się o ich obłudzie i skrytościach, a wzgardzisz podobnemi sobie i uważać ich będziesz za nędzny proch, przeznaczony twoim stopom; wtenczas krzyk boleści, jęk rozpaczy, miłemi staną się dla ciebie. Wylanie krwi nienawistnej przyjemiejszem ci będzie, niż odwilżenie ust spiekłych chłodnym napojem. Wyraz cierpienia na obliczu bliźniego, napełni twą duszę rozkoszą, a klęski ludzkości twoim żywiołem, twojem życiem się staną.

— Teraz już czas, Ulrychu żegnam cię, zemsta wzywa mnie rozkazującym głosem, innego od niej na ziemi nie uznaję pana, więc idę. — To mówiąc wyszedł, zmierzając do komnaty Zbigniewa.

Któż zdoła opisać stan serca Zbigniewa w tym dniu wyrocznym, w którym odleciały go najmilsze nadzieje. Kto potrafi zimnemi słowy oznaczyć ścierające się w jego duszy namiętności. Raz w zupełnem odretwieniu, nic nie postrzegając, zapominał o wszystkim, myśli jeszcze opuszczały ziemię, ale też nie sięgały nieba, zatrzymane w połowie między światem rzeczywistym, a krainą wyobraźni usypiały w beczynności, to znowu nabrawszy nadprzyrodzonej siły, przedstawiały mu wszystko przybrane w żywsze i jaśniejsze od prawdziwych farby. Czuł on wtenczas nieznośny ogień rozlewający się po żyłach, krew rozhukanym strumieniem biła do głowy, oczy ciskały płomieniste wejrzenia, a dla rozpalonych liców darmo szukał ochłody. Zdawało mu się, że otaczające przedmioty nowego życia nabrały, że ściany z płomieni go opasywały, że chmury przed chwilą posępnej białości, rozogniły się nagłą zmianą, i że wichur niewstrzymany rozrzucając budowle

i mury, wziął górę nad zwykłym przyrodzenia porządkiem. Wszystko naokoło się chwiało przed błędnym wzrokiem, łoskot walących się głazów, łamiących się murów uszy mu przerażał. Porwany wirem niepowściągniętej wyobraźni, darmo zakrywał oczy, straszne i niepojęte obrazy ścigały go zawsze i zdawało mu się, że świat cały zaczyna swoje rozprzęgnięcie od dnia, w którym stracił to, co mu najmilszym na tym świecie było. Lecz po chwili ustawała gorączka, gasła powoli namiętność nim miotająca i znów wszystko zimną przybierało postać, wszystko wracało do dawnego stanu, a wśród rzeczywistości, nic odpowiadającego uczuciom duszy nie widział, i nowa męczarnia na miejscu przeszłej go dręczyła.

Noc pokryła ziemię, żadnej w tem nawet nie spostrzegł różnicy, nie zwrócił uwagi na ogarniające go ciemności, nie zapalił lampy. Błyskawice oświecały pokój, czasami piorun grzmiał w górze, ale jakież płomienie mogły rozżarzoną w jego piersiach wyrównać? jakież piorun zastanowić, kiedy tak okropny cios spadł na jego głowę. To przechadzał się szybko, to kładł się na łożo, odpiął pas żelazny, zrzucił pałasz, zdjął rękawice, bo mu wszystko ciążyło. Hanna i Mieczysław wciąż przed nim stali. Rzucił się czasami pierwszej do nóg, drugiemu sztylet w piersi zatapiał, poglądał ponuro na żonę, to znów zapomniawszy o jej zdradzie, ścisnął ręce, całował w usta, ale znikome postaci usuwały się myśli goniącej w niezmiernym polu, którego już nie ograniczał rozsądek. Złudzenia coraz nowe następowały, i stawiając go na szczycie rozkoszy i szczęścia, chwilą potem w bezdenną strącały przepaść, a jednak dźwigała się jeszcze z niej dzielna dusza, i ten umysł choć przywalony ogromem rozpacz, w samym pomieszaniu i szaleństwie jeszcze był wielkim.

Wtem zakręcił się klucz w drzwiach żelaznych. Błysnęła pochodnia i zbrojny ukazał się Mestwin. Jak tylko Zbigniew otwarte wnijsię zobaczył, bez zbroi, bez oręża wybiegł z pokoju i pędem błyskawicy poleciał do komnat żony.

— Hanno! Hanno! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział i dalej mówić nie mógł. Wtem spojrzął na łożo i nowa nadzieja zajaśniała w oczach. Zbliżył się, rozemknął zasłony, ale nie znalazł nikogo, i okropna prawda stała przed nim, wszystkich niepewności pozbawiona.

— A więc Bóg mnie ukarał — krzyknął i wzniósł pierwszy raz w życiu wzrok pełen wyrzutów ku niebu; — ukarał... Bo tem tylko mógł ukarać.

Rycerz z Wilderthalu wszedł wtenczas i nie mógł wstrzymać zwykłego uśmiechu. Ściągnął książę rękę do miejsca, gdzie zwyczajnie tkwił sztylet, ale szczęściem dla Mestwina, leżał on teraz zapomniany w pokoju Zbigniewa.

— Uragasz się — zawołał cichym głosem i zbliżył się do Mestwina, a wzrok jego tak był strasznym, że nawet rycerz niemiecki przez chwilę uczuł przejmującą bojaźń, lecz zaraz potem ścisnął rękę Zbigniewa.

— Książę, chodź za mną, i poznaj o ile miłość kochanki różni się od wierności przyjaciela.

Nie opierał się syn Władysława, pobity zimną towarzysza powagą, a wkrótce potem wiedziony przez Mestwina, przechodził pole dzielące zamek od starożytnej kaplicy.

Deszcz padał zwolna z czarnych chmur niebo zasępiających, błyskawice już nie migały, i grzmot czasem tylko w oddaleniu się odzywał. Czyste powietrze lekkim poruszone wietrzykiem, przypominało pierwsze chwile upłynionej wiosny, i panowanie spiekłego lata musiało chłodnej nocy ulegać. A jednak każda kropla spadająca na głowę księcia, zdawała mu się gorejącą iskrą, murawa po której stapał rozpalonym żarem, każdy powiew wiatru ognistą zawieją.

Prowadził go za rękę Mestwin, i szybko zbliżali się do niedalekiej kaplicy, w której zawieszona lampa bladawe rozsyłała promienie na otaczające grzyby i krzewy pod rosą się uginające. Wtenczas rycerz zwolnił kroku i prosił Zbigniewa, by wróciwszy do przytomności, szedł ostrożniej i jęki wstrzymywał.

Poszedł za prośbą książe, czując, że nadchodzi chwila, w której ostatecznie przyjdzie los własny i żony rozstrzygnąć, ale właśnie w takiej chwili najsroźszą męką stała się ostrożność poradzona przez Mestwina. Ciężej mu było teraz wstrzymać westchnienie, niż kiedyś jęki przez najwyższe bole wydzierane, krótka droga bardziej go zmęczyła niż podróż nieraz odbywana w żelaznej zbroi, wśród odludnych piasków i skwaru letniego słońca.

Kaplica wznosiła się z pomiędzy krzaków i murów poczęści już rozpadłych. Szczyt jej niewysoko sięgał ponad ziemię, a powoje i bluszcze wijąc się po nim zastępowały odpadłe od sklepienia części. Właśnie ze strony zbliżającego się Zbigniewa było małe okienko opatrzone żelazną kratą, w niem migwały się mdłej światłości promienie od gorejącej wewnątrz lampy, zasłanianej czasami ciałem, które w długim i łamanym cieniu, odbijało się na zewnętrznych gruzach i nierównej w tem miejscu ziemi. Ten cień niewyraźny znikał i wracał co chwila, a zdało się jednak Zbigniewowi, że poznał w nim zbroję i rysy Mieczysława. Zimny mróz serce jego przeszył, piekielna radość napelniła duszę Mestwina. Podsunął się bliżej. Zbigniew stał schylony pod oknem, wahał się powstać, nie wiedział co czynić, zbierał wszystkie siły, nateżał wolę, a jednak nie mógł zmienić położenia. Nareszcie wsparł go Mestwin swoją ręką, a wtenczas nagle podniósł się książe. Chciwy wzrok zarzucił wewnątrz kaplicy, gdzie ujrzał niewiastę niezrównanej piękności, i klęczącego u jej kolan mężczyznę. Tą niewiastą była Hanna, tym mężczyzną syn Bolesława Śmiałego. Książę ani słowa nie wyrzekł, ale wydarł sztylet z pasa Mestwina i rzucił go do góry.

Mestwin widząc jego zamysł, rękę mu silnie zatrzymał i odprowadziwszy na bok, cichym zapytał głosem:

— Czy wiesz co to zemsta, książe?

Zbigniew obłąkanym spojrzał na towarzysza wzrokiem.

— Czy nie wolisz — rzekł rycerz — kroplami

wysączać nad nimi puhar goryczy niż go wylać odrazu? czy nie wolisz długo patrzeć na drgające ich członki, i nasycać się widokiem stopniowanej śmierci, której bole co chwila wzrastają, niż nagłym zgonem zdrajców obdarzyć i w krwi niegodnej szlachetną zmazać prawicę?

Okropna bladeść rozlała się po licach Zbigniewa.

— Już widziałeś — dodał Mestwin — zbrodnię. Teraz nad karą pomyślimy.

Po tych słowach omdlewającego pana zawiódł daleko od kaplicy, i wszedłszy między kilka drzew wyniosłych, dozwolił mu usiąść na kamieniu i stracone zebrać zmysły. Wkrótce potem zerwał się nagle książę i podnosząc rękę ku niebu, zawołał:

— Przysięgam, jej śmierć i śmierć jego. Niewiasta zdradzająca męża nie znajdzie litości i u ciebie, o Boże!.. Kara twoja nigdyby jej nie ominęła... Dozwól więc, Panie świata, bym ją sam przyspieszył... Mestwinie! — dodał — teraz już jestem spokojny... wszak już nie mam żony... wszak sam na świecie zostałem... ale wskaż mi obiecaną zemstę, bo jeśli nie potrafisz tego, nic cię od śmierci nie ocali.

— Książę i panie mój, pomówimy o tem w twojej komnacie. Tymczasem wracajmy do zamku.

Poszli oba, a wkrótce czarne mury im się ukazały pośród ciemności. Wtenczas Mestwin prosił księcia by mu naprzód pójść pozwolił.

— Chcę — rzekł — odmierzyć sprawiedliwość żołnierzowi tak dobrze strzegącemu twoich murów, że dwie niewiasty mogą z nich o każdej porze wychodzić.

— Jak chcesz — odparł zimno książę.

Mestwin przyspieszył kroku i zawołał na Gierdę. Wyszedł dziki żołnierz, i ostatnim ukłonem przywitał przyszłego mordercę. Skinął nań rycerz i na sam brzeg Wisły zaprowadził, wskazując potem przeciwną stronę.

— Czy widzisz — rzekł — ten ogień?

Obrócił się Gierda i darmo śledził oczyma płomień, o którym mówił Mestwin.

— Niema żadnego ognia.

— Patrz dobrze a ujrzysz — odparł rycerz, i wzniołszy sztylet morderczy do góry z całemi siłami zanurzył go w plecy Gierdy — a ujrzysz ognie piekła — dodał z sztyltem uśmiechem.

Runął olbrzymi Gierda na ziemię, lecz cała jego wściekłość ozwała się jeszcze w ostatniem skonaniu. Zrzucił szyszak i tocząc się po piasku, doczłogał się do stóp rycerza, i wspierając się jedną ręką o brzeg spadzisty, drugą objął rycerza i ścisnął go uściskiem umierającego wroga. Uczuł rycerz zatrzymany w łonie oddech i słyszał pękające na piersiach żelazo. Nie tracąc więc czasu drugi cios zadał, a wtenczas opadł Gierda i jeszcze dosyć miał siły do wyrwania sztyletu z szerokiej rany; trącił go zbrojną nogą rycerz z Wilderthalu, dopełniając powtórnego w tem samem miejscu zabójstwa. Przybywający Zbigniew usłyszał już tylko jęk pomieszany z szumem fali ciała unoszących.

— Gdyby nie twoje namowy, i Mieczysław jużby tak zginął — zawołał książe.

— I jednego tylko cierpienia doznał — odparł Mestwin — kiedy ich tysiąc doznać może.

— Śpieszmy się więc, śpieszmy — krzyknął Zbigniew — każda chwila zwlekająca jego zagubę, jest nową dla mnie śmiercią.

— Dam ci moje rady — rzekł rycerz — ale przysiąż że pójdziesz za niemi, i że niewieścia czułość nie splami dzielnego serca. Mieczysław i Hanna zginą, przysiąż, że nie odmienisz rzuconego na nich wyroku.

Nie wahał się książe i piorunnym głosem zawołał:

— Niech moja dusza marnie z tem ciałem zginie, i nie dozna obiecanej nieśmiertelności, niech każdy dzień mojego życia dzisiejszemu podobnym się stanie, jeśli choć jednym słowem, choć tajemną chęcią, odwołam śmierć Mieczysława, i tej która niegdyś moją nazywała się żoną.

— Dobrze, — rzekł Mestwin — poznaję Zbigniewa.

I wszedł z księciem do zamku.

Dostawszy się do swojej komnaty, usiadł książę na krześle i obtarł twarz deszczem i potem okrytą. Dopóki go niepewność dręczyła, dopóty był najnieszczęśliwszym z ludzi, prawda choć tak sroga zupełnie odkryta, wróciła mu spokojność, lecz tylko pozorną. Chciał wmówić sam w siebie, że nie dba o tę, która go zdradziła, pogardza Hanną, ale właśnie pragnienie zemsty pożerające jego duszę, dowodziło, że nieograniczona miłość zamieniła się na nieograniczoną nienawiść, że wielkie serce w najczulszych zwiedzione nadziejach szukało ulgi w drugiej ostateczności, a jednak i w zemście samej pozostały miłości ślady. Jeszcze na wspomnienie córki Wszebora rozdarte serce żywiej biło, z tem wszystkiem postanowił Zbigniew przygnieść namiętność siłą woli, wyrugować ostatki przywiązania ciąglem o zemście przemyśliwaniem, lecz trzeba było całej jego dzielności, na ukrycie pod barwą surowej powagi i zimnej spokojności, żaru w pierśsiach tlejącego.

— Mów — rzekł do Mestwina — i pamiętaj żebyś dogodził moim żądaniom. Wynajdź czegoś szatan znaleźć nie potrafił.

— Jeśli skutecznie taki rozkaz, — odparł żartobliwie Mestwin — to duch ciemności powinien zejść z swojego tronu i własnego mi miejsca ustąpić.

— Mów — powtórzył Zbigniew.

— Chcesz, panie, okropnej zemsty, — rzekł rycerz — a więc posłuchaj, a jeśli nie zadrżysz, powiem, że nas wspólnie piekło wydało. Hanna kocha Mieczysława, niech więc zginą powolnem skonaniem obok siebie, i niech jęki córki Wszebora połączą się z jękami syna Bolesława. Abraham z Hamburga dostarczy mi trucizny, zastawimy w wielkiej sali biesiadę, obładujemy stoły srebrem i złotem, i puhary śmierci uwieńczym różami rozkoszy. Wyszlij jutro Krystyna z Mortoga do Mieczysława, oświadczyć że chcesz pokój zawrzeć, przyjm go wraz z innymi paniami w swoje podwoje, wiem, że przybiegnie rozkochany młodzieniec, przyprowadzi z sobą Sieciecha, Skarbimira, Wszebora. Wszebora osobliwie, mój panie i książę. Czy

czujesz jak miło będzie córce umierać przy ojcu? czy rozumiesz ten nowy rodzaj zemsty? Zasiądą do stołu, Mieczysław i jego kochanka wypiją truciznę... dalszy opis twoje oczy zastąpią.

Zadrzał Zbigniew i zbladł na chwilę, lecz potem powstał i przycisnął do piersi zbrodniarza.

— Dobrze, — zawołał — niech Mestwin pomści Zbigniewa, niech piekło odbierze piękność godną nieba, przyjmuję, przystaję, poszlesz jutro Krystyna.

Zamilkł tu książę, ale później miotając wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

— Gromadźcie się duchy zbrodni, uwieńczcie moje i mojego powiernika skronie. Wyzywam was do walk, odpowiedz szatanie, odpowiedz, czybyś zdołał powziąć taki zamiar lub przystać na podany sobie. Nie, nigdybyś takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej jak ja miłości. Rumieńcie się od wstydu duchy czarnych przepaści, śmiertelny człowiek wziął górę nad waszą nieśmiertelną złością, namiętność w łonie syna ziemi zrodzona, przewyciężyła wszystkie wasze uniesienia i zapędy. Jeszcze raz dzięki ci, Mestwinie, pamiętaj wykonać coś powiedział, niech cię żadne wyrzuty nie wstrzymują...

— Wyrzuty, książę i panie mój, — odparł rycerz — nie rozumiem tego słowa, i nigdy go nie zrozumieć.

— Aż kiedy prawica Boska zacięży nad tobą — rzekł ponuro Zbigniew.

Mestwin uśmiechem odpowiedział i pożegnawszy pana, odszedł do siebie.

Wróćmy teraz do nadobnej Hanny i szlachetnego Mieczysława, który u jej nóg zrzekał się najpiękniejszych w życiu nadziei.

Księżna zostawiwszy Ulrycha, kończyła z Katarzyną swą drogę, doszedłszy starożytnego budynku, z bijącym sercem weszła do sieni podpartej dwoma kamiennymi słupami, i następnie do samej kaplicy, w której wiecznie paliła się lampa nad małym ołtarzem, okrytym wieńcami przynoszonymi przez okolicznych mieszkańców. Nie za-

stała jeszcze nikogo, klęka więc przed krzyżem z dębu czarnego i ponowiła modlitwę. Ledwo wstała z kamiennych stopni ołtarza, aliści szybkie kroki słyszeć się dały. Wszedł po chwili człowiek pałający miłością, i rzucił się do nóg dawno niewidzianej kobiety, która przyjaźnią tylko i szacunkiem mogła odpowiadać na jego uczucia.

Była to krótka, ale najpiękniejsza chwila w życiu Mieczysława. Schylony klęczał u stóp anioła, ciągle jego wyobraźni przytomnego, widział kochankę lat młodych wróconą sobie, w jego mniemaniu nadszedł czas oswo-bodzenia oblubienicy i wyrwania jej z rąk nienawidzo-nego wroga.

— Hanno! droga Hanno! — zawołał — błogosławmy niebu, że nam widzieć się dozwoliło, że uwolniło cię od srogiego ciemieżcy — i to mówiąc, ścisnął rękę księżnej, i drżące usta przybliżył do różanych liców.

— Książę Mieczysławie — rzekła Hanna.

— Cóż znaczy — przerwał młodzieniec — tak zimne słowo? Czyż ja księciem jestem dla ciebie? Czyż godności ludzkie jeszcze mogą znaleźć miejsce w twojej pamięci? Czyż twoje serce, Hanno, zna mnie tylko księciem? Widzę, żeś się przyzwyczaiła tak nazywać mojego wroga, że dumny syn Władysława przymuszał cię do wymawiania czczego, nie nieznaczącego nazwiska; ale też bądź pewną, że straszna kara nie ominie Zbigniewa, że ta ręka wprzód w zimnym grobie skościeje, nim upuści miecz wzniesiony na głowę tego, który tak długo drogą kochankę poniżał.

— Książę Mieczysławie, — powtórzyła Hanna, a Mieczysław zbladł — nie miotaj grózb na własnego brata i na męża stojącej przed tobą niewiasty.

— Męża?! — krzyknął syn Bolesława — męża? mów lepiej wydziercę, zabójcę, zbrodniarza, uciemię-życiela.

— Książę, — z powagą ozwała się Hanna — ręczę ci, że Zbigniew jest moim mężem i że moje serce nigdy dla innego miłości nie znało. Szacuję cię, Mieczysławie,

uwielbiam twoją szlachetność i właśnie dlatego, żem na nią rachowała, przybyłam tutaj widzieć się z synem bohatera, i zobaczyć czy zdoła podbić własną namiętność, zakończyć niegodne z bratem i ziomkami walki, i wrócić szczęście tej, którą kiedyś kochałeś.

— Kiedyś? — zawołał Mieczysław — zawsze, ciągle, wiecznie cię kochać będę, lecz tyś mnie nigdy nie kochała.

Skinęła Hanna na Katarzynę, a córka Gierdy wyszła do sieni, gdzie zastała rycerza zbrojnego, a chwilą potem przyciskał ją do piersi Henryk z Kaniowa.

Zbliżyła się wtenczas Hanna do Mieczysława i spoglądając nań wszystkich podbijającym wzrokiem.

— Proszę cię, Mieczysławie, ... ale prawda, nie mam prawa o nic prosić.

— Rozkaż pani, — zawołał młodzieniec — ale może chciałaś mnie doświadczyć, powiedz, może Zbigniew nie jest twoim mężem?

— Wierną przysięgam mu miłość, a sługa boży pobłogosławił tej świętej przysiędze.

— Żegnam cię więc, młodości, — zawołał Mieczysław — żegnam cię, ziemio. Bo cóż mnie tu zatrzyma, co zwróci moje oczy na tym świecie, kiedyś znikła z mojej drogi? Jakaż myśl osłodzi tęsknoty i cierpienia? Przez całe życie zmierzałem do jednego celu, darłem się na skały, gdzie kwitła róża, przebyłem przepaści, przeskoczyłem otchłanie, a różę zerwał kto inny i nadzieja w przekwitłem sercu umarła.

— Nie, — przerwała rozczulona Hanna — nie sprawdzą się twoje słowa, przeminie chwila smutku, znajdziesz godniejszą miłości, piękniejszą ode mnie kochankę, połączysz los swój z losem niemniej kochającej dziewczycy.

— Pani, — rzekł smutny młodzieniec — nie wskazuj mi szczęścia, każdy twój wyraz pomnaża moje męczarnie. O wielki Boże! czym mógł spodziewać się kiedy, że ta, którą tak kochał, przywita długo niewidzianego zimnem słowem, nie odpowie uczuciom ni-

czem we mnie niezatartym, że odrzuci kochanka i poważną radą zaleci spokojność sercu, którego życiem dotąd jej wspomnienie było... Lecz mów, księżno, rozkaż a wypełnię.

— Otrzyj więc szablę z krwi bratniej, odstęp od zamku mojego męża, wypełń tę pierwszą i ostatnią prośbę moją. Czuję, że nie mam prawa niczego wymagać od ciebie, że odrzuciwszy twoje uczucia, powinnabym lękać się twoich wyrzutów, ale Mieczysławie — tkliwym dodała głosem — bądź pewny, że wdzięczność, że słodsze nawet od obowiązków wdzięczności uczucie, powstanie w mojej duszy dla ciebie, że widząc cię tak szlachetnym i cnotliwym, uznam, że gdyby nie było Zbigniewa na świecie, tobym Mieczysława kochała.

— Pierwszy raz slysze z ust twoich to słowo połączone z mojem imieniem — rzekł książę — i dla tej chwili wszystkie poświęcam niechęci, na twój rozkaz przytlumię gniew i zemstę. Pani! już zamek twojego męża świętym się dla mnie staje, bo ty w nim dobrowolnie przebywasz. Wszystko mi już niemiłem oprócz nadziei ostatniej na tym świecie, że kiedy wspomnisz o Mieczysławie, to stanie ci w pamięci poświęcenie rzadkie między ludźmi, i że bez niechęci lub zawiści usłyszysz imię człowieka, którego na miejscu młodej oblubienicy zimny grób oczekuje, bo nie spodziewam się, Hanno, by zwiędła dusza mogła długo ożywiać te piersi. Wkrótce usłyszysz żałobne pienia, a jeśli wtenczas łza zrosi twoje powieki, wierzaj mi ulubiona, że ta łza stanie mi za długie życie żadną nieumilone nadzieją. Jutro ujrzysz z wież swojego zamku rozchodzące się wojska, upadające namioty; życzę ci szczęścia, błogich chwil młodości, życzę ci szczęścia ze... Zbig...

Lecz tu ścisnęły mu się usta i język wymówić nie mógł imienia, którem brzydziło się serce, uklonił się księżnie i postąpił ku drzwiom, ale wzrok Hanny odwołał go jeszcze.

— Nie, księżno, — odparł ponuro młodzieniec — nigdy nie łącz tych imion, lepiej nie wspominaj o Mieczysławie, jeśli nie możesz choć na chwilę zapomnieć

o Zbigniewie. Nie żądam bym dłoń przyjazną mu podał, bym się zbliżył do niego. Na takie poświęcenie, Bogiem nie człowiekiem być potrzeba; nie zagoją zadanej mi przez niego rany ani czas, ani uciechy. Pozwól, bym szczerze wynurzył uczucia, które aż do ostatniej chwili we mnie pozostaną. Żadna siła ni potęga nie mogłaby mnie wzbronić miłości ku tobie, a nienawiści ku synowi Władysława, nie obawiaj się jednak szalonych wściekłości zamachów, nie patrz przerażonym wzrokiem na szablę u boku wiszącą, przysięgam, że nigdy nie wydobędę jej na tego, którego miłość twoja ochrania. Rozdzielamy się teraz, nasze drogi dotąd, przynajmniej w moich zjednoczonych marzeniach, odwracają się od siebie. Zasiądziesz na książęcym tronie, pokryjesz boskie czoło purpurą, i zadziwisz świat cały blaskiem niezrównanych wdzięków. Ja rzucam zbroję, zdzieram oznaki dostojęstwa, zrzekam się sławy bo jej dzielić nie możesz... Żegnam cię, księżno... — I znów chciał odejść, ale wyższa nad stałe przedsięwzięcie siła, zatrzymała kroki i zgięła kolana przed stopami ubóstwianej istoty... — Ostatni raz przemawiam dawną mową do ciebie... i uchwyciwszy kraj śnieżnej szaty córki Wszeborą, do ust go przycisnął. — Ulubiona Hanno! ostatni raz żegnam cię na tym świecie.

To mówiąc wznosił oczy do nieba, ale jak gdyby okropnem rażony odkryciem, spuścił je zaraz nadół.

— Żegnam cię — dodał — na wieki, już i w niebie nie zbliżę się do ciebie, boś mnie nigdy nie kochała na ziemi.

— A mój ojciec, drogi mój ojciec — zawołała Hanna, ale nie słyszał już tych słów Mieczysław, bo jak tylko skończył mówić, porwał się i wyleciał z kaplicy.

— O Boże! zeszlj pociechę na tak szlachetne serce — rzekła księżna cichym głosem, łzami nadobną twarz oblewając.

Weszła wtenczas z radością w oczach Katarzyna, po długiej z lubym rozmowie, i przypomniała zadumanej księżnie, że czas wracać do zamku.

Czekał już u bramy Ulrych. Córka Gierka darmo starała się wpośród ciemności rozeznąć poległego ojca. Ze zwykłą usłużnością zaprowadził giermek księżnę do jej komnat a ostatni raz na ziemi sen nawiedził powieki Hanny z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XXIV.

Okiełznaj rumaka i biegnij w zawody,
I żwawo Kraigdala zapraszaj na gody.

Ballada Szkocka.

Jeszcze słońce nie wydobyło się z ciemnych chmur wschodnią część nieba pokrywających, kiedy Ulrych wpadł do komnaty Mestwina i pana śpiącego obudził.

— Rycerzu, odstępują nieprzyjaciele, cofają się tłumnie, z murów sam widziałem jak ich orszaki do miasta wracają, zwijają namioty, zasypują rowy, rozrzucają wały.

— Natychmiast zawołaj do mnie Krystyna z Mortoga — krzyknął Mestwin i wyskoczył z łóża.

Wyszedł Ulrych, a tymczasem zarzucił suknię na siebie rycerz i lekką wdział kolczugę. Niedługo czekał na Krystyna, bo wkrótce potem ukazał się rycerz z Mortoga w zupełnej zbroi. Mestwin prosił by usiadł, i kazawszy się oddalić giermkowi, tak przemówił:

— Z woli najjaśniejszego Zbigniewa księcia i pana naszego, udasz się, rycerzu, do księcia Mieczysława i zaproś go z wszystkimi panami na biesiadę, którą wyprawia nasz książę dla uświęcenia pokoju.

— Pokoju, — zdumiony powtórzył Krystyn — a do dyabła, to coś nowego! Co, już nie będzie wojny? To muszę się wybierać z tego zamku. Czy nie słyszałeś o jakim oblężeniu, o jakiej kłótni w Polsce? bobym zaraz tam pośpieszył.

— Teraz śpiesz wykonać księcia rozkazy.

— Nigdy jeszcze z pokojem i zgodą na ustach przed wrogiem się nie stawił. Nieznane mi to rzemiosło, dla nauki każ mi dać puchar, rozumie się dobrego i starego węgryzyna.

Sam Mestwin nalał mu ogromną czarę, po jej kilkakrotnem wychyleniu wyszedł Krystyn, i przypasawszy pasz na Prusakach zdobyty, puścił się w drogę.

Nie mało się zdziwił kiedy go nikt u wejścia do obozu nie zatrzymał. Żołnierze nie spozierając nawet na niego, zwijali namioty i zbierali sprzęty. Wały rozsypane, napół zarzucone rowy i leżące wszędzie oręża i ubiory dziwny przedstawiały widok. Zdawało się jak gdyby nieprzyjaciel szybkim napadem rozbił trwożliwe orszaki, i rozrzucił zbywającą zdobycz, przeszedł więc rycerz pomiędzy zatrudnionemi tłumami, nieodpowiadającemi na jego zapytania, ile razy chciał się dowiedzieć o namiocie księcia Mieczysława.

— Co nam do tego — wrzeszczeli starzy żołnierze. — Niech cię piekło pochłonie. Długośmy się bili i niema żadnego plonu, bez żadnej korzyści odstępujemy od murów krwią naszą zbryzganych, jak tchórze musimy uciekać, kiedy możeby za kilka dni Zbigniew się poddał.

Młodzi zaś śmiejąc się, wojennemi piosnkami Krystynowi odpowiadali.

Rycerz nie wiedząc gdzie się udaje, coraz się dalej posuwał, unikając męczącemi podskoki uderzenia walących się namiotów i wyrzucanych z nich zbroi przez krzyczących żołnierzy. Błądząc przez długi czas, doszedł nareszcie otwartego miejsca, gdzie już kilka tylko namiotów pozostawało. Siedział tam na koniu młodzieniec w bogatej zbroi i ręką wskazywał otaczającym sługom, przeznaczoną każdemu z nich pracę. Naokoło stali w ozdobnych pancerzach rycerze, z których jeden często rozmawiał z siedzącym na koniu, a drugi już starzec pochyliwszy głowę, zdawał się dumać głęboko. Zbliżył się do tego grona Krystyn z Mortoga i gniewnym głosem zawołał:

— Na wszystkich czartów służących pod znakami szatana, powiedzcie mnie, gdzie ten książę Mieczysław? Od godziny go szukam i znaleźć nie mogę.

— Czego żadasz od niego? — odpowiedział młodzieniec, zwracając oczy smutkiem przyémione na rycerza, którego twarz zarumienioną pokrywały krople sączącego się potu.

— A co tobie do tego? — odparł Krystyn — powiedz mi tylko, gdzie namiot księcia, wszystkich się pytam a nikt mi dotąd nie odpowiedział.

— Któż cię przysyła? — zapytał powtórnie mąż siedzący na koniu.

— Już mi cierpliwości nie staje: — krzyknął Krystyn, wrywając miecz z pochwy — mów gdzie Mieczysław, bo inaczej stawię się przed nim z twoją krwią na moim pałaszu.

— Jeśli więc tak pragniesz wiedzieć, gdzie książę Mieczysław, powiem ci, że tu jest i że ja nim jestem.

— Przepraszam, — wcale niezmiuszony zawołał Krystyn — przepraszam, mości książę, alem niecierpliwy zwyczajnie. Przysyła mnie książę i pan mój Zbigniew, zowie się nawiasem Krystyn z Mortoga, i nie jednego z twoich żołnierzy zabiłem. A więc pan mój i książę zaprasza cię dzisiaj z wszystkimi panami na biesiadę. Winem rozlew krwi zakończycie, a pokojem miłą mi nadewszystko wojnę. To niegodziwem jest, to niesłychanem, tak wczesnie pokój zawierać. Na Boga, gdyby zależało ode mnie, całebym życie walczył i rąbał wrogów, w nocybym nawet się potykał, w dniu powszednie bitwy zwodziłbym, w święta po mszy już mały pojedynekby mnie zaspokoił.

Zaprosiny Zbigniewa niezmiernie zadziwiły Mieczysława, ale pomyślał, że żona wszystko mu powiedzieć musiała. Z początku chciał je odrzucić, ale kiedy wystawił sobie, że jeszcze raz ujrzy Hannę z Ciechanowa, że jeszcze nadarza się sposobność pożegnania się z kochanką, i oglądania boskich jej wdzięków, nim znikną dla niego na zawsze, odpowiedział Krystynowi, że nie omie-

szka za kilka godzin przybyć do zamku z swoimi panami.

Nierad temu Sieciech, brwi zmarszczył, ale mieniąc, że wstydem by się okrył, opuszczając księcia idącego do wroga, który czarną może knuł zdradę, przystał na ten układ. Wszebor, który zupełnie prawie przytomność umysłu stracił od chwili, w której się dowiedział o zamęściu córki, pomieszaniem tylko na księcia i posłańca poglądał okiem.

Krystyn dodawszy słów kilka o sztuce robienia mieczem, odszedł sążnistym krokiem i wkrótce potem zdał sprawę Mestwinowi z odbytej wyprawy, przeklinając zarazem cały obóz i mówiąc, że żołnierze Mieczysława, nie znają grzeczności winnej znakomitym rycerzom.

Potał sobie ręce Mestwin z wyrazem zadowolenia, i odwróciwszy się rzekł pocichu:

— Nie sądziłem jednak, żeby taki z niego był szaleniec. Myślałem, że długo przynajmniej trzeba go będzie namawiać, ale jak najlepiej się stało, sama zwierzyna leci naoslep w zastawione sidła. Żegnaj cię, rycerzu, pójdź do mnie i pokrzep się węgrzynem, ja muszę gdzieś indziej się udać.

Posłuszny radzie, pośpieszył Krystyn z Mortoga do komnaty niemieckiego rycerza, gdzie zastawszy Ulrycha, zaczął z nim długą rozmowę o sztuce wojennej, odwilżając usta wybornem winem.

W północnej wieży, na wysokiem piętrze był niewielki pokój, w którym siedział teraz starzec otoczony mnóstwem ksiąg i narzędzi. Często kiedy wszystkie światła w zamku pogasły, migał się tam jeszcze przez żelazne kraty kaganiec, oświecający mozolne mędrca prace. Schylony nad trudnem do wyczytania pismem, lub z piórem w ręku, dochodził on przyczyn poruszających ludzkie ciało i skutków nań od innych przedmiotów wywieranych; właśnie teraz w naukach starał się odkryć nową dla cierpiących ulgę, i co chwila ciężkie książki dźwigał z ziemi; i przewracał ich pergaminowe

kartki. Przed nim na stole, leżały ciężkie kości i trupia głowa. Dalej świeciły przy promieniach słońca przez okno się przedzierających, noże i kleszcze rozmaitej wielkości, ogromna szkatuła napół roztwarta rozliczne ukazywała narzędzia, a u stóp Abrahama z Hamburga rozciągniony był na podłodze trup zabitego w oblężeniu żołnierza, obłożony woniami i korzeniami. Przy ścianach stały rzędem oparte ciała poległych wojowników, obwinięte w zasłony napojone ostremi płynami, oddalającymi od nich zepsucie śmierci i skutki czasu. Dwie szafy strzegły drzwi napół roztwartych, któremi właśnie teraz wychodził młody sługa i zarazem uczeń Abrahama, chcący po długich pracach na wolnym odetchnąć powietrzu; pomimo rozkazu nauczyciela, zostawił faszki rozłożone po wszystkich kątach i szybkim krokiem się oddalił.

Wkrótce potem ciężkie stapania słyszeć się dały po schodach wiodących do mieszkania lekarza, a on jednak nie odwrócił głowy i oczu nawet nie podniósł. Po kilku chwilach wszedł Mestwin z uśmiechem posępnym na ustach, ale obrócony tyłem mędrzec nie zważał na jego przybycie.

— Witam cię — rzekł rycerz.

Te słowa nie otrzymały żadnej odpowiedzi.

— Przybywam z prośbą do ciebie.

Zamyślony starzec sądził, że uczeń zapalony miłością nauk wrócił do niego.

— Zapewne chcesz — odpowiedział więc — zrozumieć jak krew rozlewa się po żyłach i po sercu, ale teraz nie mam czasu.

— Wcale tego nie żądam od ciebie, choć pod innym względem potrzebuję twojej pomocy.

— Dozwól mi kilka chwil wolnych, a tymczasem wylej na tego trupa płyn zawarty w czarnej faszce. Jest to lekarstwo ze wszystkich najmocniejsze, mogłoby nawet martwe ciało ożywić, ale od czasu Eliasza, Bóg dwunastu pokoleń nie dozwolił tak twórczej siły słabemu człowiekowi; przepowiadam ci jednak, że przyjdzie czas, w któ-

rzym nowe płyny odkryją w przyrodzeniu, nie wiem jakiego one będą gatunku, może śmiertelni potrafią wykraść niebu cząstkę piorunów, a wtenczas umarli wstaną z grobów i śmierć zaginie.

— Do szatana, starcze, powiedz mi jaka trucizna najmocniejsza.

— Poradź się, mój uczniu, dzieł Al Darema tu leżących, lub raczej Jana z Alkontares, oto je masz — i wtenczas odwrócił się starzec podając księgę, ale poznawszy Mestwina, powstał i nisko się uklonił.

— Trucizny mi daj, trucizny, Abrahamie.

— Jakiej? czy wolisz płyn ten jasny? on zabija natychmiast.

— To mi się na nic nie przyda.

— Może ten czarny przypadnie ci do smaku: zwierzę, które go wypije, dwa lata pędzi życie wśród boleści...

— I takiego nie potrzebuję, — przerwał rycerz — daj mi trucizny niechybne sprawującej skutki w pół godziny, ale niech zarazem głos zupełnie w piersiach przytłoczy.

Rozjaśniło się czoło starca, radość zabłysła w oku.

— Właściem taką wczoraj odkrył — krzyknął z uniesieniem — jest to najpiękniejszy wynalazek, nikomu dotąd nieznan. Zapewne ci już mój uczeń o nim mówił, on wszystko rozgaduje. Chcesz bezwątpienia dziwnych jej skutków na zwierzęciu jakim spróbować?

Porwał Mestwin fiaskę pełną morderczego płynu.

— Tak, — zawołał — na najpodlejszem zwierzęciu, bo na człowieku — i wyszedł, a starzec nie dosłyszawszy prędko wymówionych wyrazów, znów w zawile nauki się pogrążył.

Szybko przebiegł rycerz schody, schowawszy truciznę za giętką koleczugię; uniesienie dzikiej radości ukazywało się w gwałtownych poruszeniach, lecz kiedy kogo napotykał, zmieniał zaraz wyraz twarzy na surowy i pośępny; zmierzał przez długie ganki i ciemne korytarze do komnaty Zbigniewa, rozemknawszy podwoje wszedł do niej pocichu, zamykając śpieszno drzwi za sobą.

Tajemna rozmowa niedługo trwała, a kiedy wychodzący ukazał się Mestwin, znać było na twarzy wyższy jeszcze zadowolenia stopień. Żarzącemi się oczyma miotał na wszystkie strony, jak gdyby chciał odkryć jaką okropnym zamiarom przeszkodę, i odkrytą znieść natychmiast, lecz nim oddalił się z przedpokoju księcia, umiał sobie poważną nadać postawę, i stanu duszy jeden ślad tylko w szyderskim uśmiechu pozostał.

Z tem więc niedostępnem, najczarniejszych uczuć godłem, zwrócił kroki do mieszkania ofiary swojej zemsty, i za kilka chwil stanął przed Hanną z Ciechanowa, której blade lica i zsiniałe usta wydawały smutki tęsknoty, ale zarazem rozlany był na czole urok czarujący, w oczach świecił ogień wyższy nad wyrzuty ludzi, i zdawało się, że jasność przyszłej nieśmiertelności już zabłysła nad bliskiem rozprężnieniem ciałem.

Nie czuła księżna zwyczajnej niespokojności za ukazaniem się zbrodniarza, bo cnota wzniosła ją tak wysoko nad podłe nieśmiertelnych zamachy, że nią uszlachetnione serce już bojaźni nie znało.

Grzecznym ukłonem przywitał ją rycerz z Wilderthalu i nim przemówił, długo wlepiął wzrok posępny w piękność, którą niezadługo zimna śmierć w swoje miała okuć więzy; lecz, różny od innych ludzi, nie uczuł żadnej zgryzoty sumienia, owszem na widok nadludzkiej urody, tem większą pałał żądzą jej zgładzenia, bo jemu przeznaczoną nie była. Z niewymowną więc radością tak zaczął:

— Pani, twój mąż, a mój pan i książę, kazał ci oznajmić, że dla dogodzenia twoim chęciom złożył oręż i pokój zawarł; dziś jeszcze sproszeni na biesiadę dawni jego nieprzyjaciele przybędą do zamku, prosi cię byś przyjęła z należną okazałością księcia Mieczysława i innych panów, pomiędzy którymi i twój ojciec będzie. Sam zaś Zbigniew, nagłą wstrzymany słabością, spodziewa się, że go w tej okoliczności zastąpisz; może przy końcu biesiady, do której już wszystko sporządziłem, książę się ukaże, dla przywitania miłych gości.

— Powiedz księciu, — odparła Hanna, przewidując

jakieś nieszczęście, — że jego rozkazy świętymi są dla mnie.

Chciał Mestwin jeszcze coś dodać, ale księżna drzwi mu wskazała i musiał odejść; ostatni jego wzrok przepowiadał zagubę.

Zrozumiała go Hanna, i mocniejsze na względy ludzkie jej serce zwróciło się ku niebu, ku pierwszej ojczyźnie, którą niezadługo oglądać miała.

ROZDZIAŁ XXV.

. . . I skonania bliska

Padła niema, to nogi ściskając książęce

To załamane k'niemu wyciągając ręce.

Mickiewicz.

Nadzwyczajny ruch panował w zamku Zbigniewa. Wszędzie biegli to żołnierze, to sługi w bogatych ubiorach noszący sprzęty i kobierce, które rozciągali w ogromnej sali przeznaczonej do biesiady. Stół, cały środek tej komnaty zajmujący, dźwigał złote i srebrne naczynia, w których spoczywały świeże owoce, pomieszane z wonnemi kwiatami, puhary lśniące się drogiemi kamieniami odbijały blask stu pochodni, unoszących się nad tyłoma pysznemi świecznikami. Palące się kadzidła lekkie rozsyłały dymy po całej przestrzeni, a tymczasem tłoczyli się ludzie obciążeni obciami, które rozwinawszy zawieszali na ścianach i kolumnach, ozdobnych bogatemi kolczugami i pancierzami. Wieńce z lilij i dębowych liści sztucznie rozrzucone, płątały się ze zbrojami zewsząd połyskującemi; słowem najświetniejsze ujrzano przygotowania na przyjęcie księcia Mieczysława, i obfite skarbee Zbigniewa, na ten koniec wyprózniono z zapełniających ich bogactw.

Już wieczorna gwiazda zabłysła na niebie, kiedy otworzyły się bramy z łoskotem na głos chrapliwego rogu, Mestwin postąpiwszy o kilka kroków, powitał w imieniu Zbigniewa księcia Mieczysława, który przybył na koniu z Sieciechem, Wszeborem i Skarbimirem. Za nimi ukazywał się mały orszak złożony tylko z Jarosza z Kalinowy, Bardana i Henryka z Kaniowa. Nie chciał bowiem szla-

chetny syn Bolesława z liczniejszymi towarzyszami przybyć do wroga. Ufający zawsze w cnotę innych, nie posądzał Zbigniewa o czarne i zgubne zamiary, a potem pragnął dać dowód ukochanej Hannie, o ile jej zamek i jej męża, choć niecierpianego, zawsze poważa, dlatego jedynie, że był jej mężem.

Puszczono wszystkich na podwórzec zamkowy, gdzie stojący żołnierze z wszelkimi uszanowania znakami przyjęli znakomitych gości, a wtenczas znów bramy zawarto i rycerz niemiecki oznajmił synowi Bolesława, że nagle zasłabł brat jego, ale że to żadnej przeszkody nie stawia wesołej biesiadzie, przygotowanej dla uświetnienia upragnionej zgody, gdyż sama księżna zastępować będzie chrego męża.

Na te słowa zadrżał Skarbimir, Sieciech mimowolnie miecza się dotknął, ale Mieczysław uczuł spadający ciężar z serca, gdyż przytomność Zbigniewa zatrułaby jemu całą smętną przyjemność, którą sobie obiecywał z widzenia raz ostatni i pożegnania na zawsze najdroższej kochanki.

Wszebor ani się zasmucił, ani uradował, gdyż od rana w zupełnym stanie odrętwienia zostawał, jego umysł albowiem niespodzianym ugodzony ciosem, całkiem dawną siłę utracił; szedł on z towarzyszami z pochyloną głową, nie wiedząc dokąd się udaje, i kilka razy nawet mówił Sieciechowi, iż mu się zdaje, że przybył do swego Ciechanowskiego zamku.

Zaprowadził Mestwin księcia Mieczysława do gotowej sali, i prosząc by poczekał przez chwilę, poszedł donieść Hannie o przybyciu gości.

Powoli, przybrana w lśniące od złota suknie, wyszła z swoich komnat księżna. Każdy krok zbliżający ją do miejsca, w którym się ojca zastać spodziewała, pomieszanie jej pomnażał, nareszcie stanęła na progu sali zbladła i z drżącymi pod sobą nogami. Lecz kiedy miłość ku ojcu przemogła nad trwogą, sprawioną przez pamięć zwyczajnej jego surowości, nie zważając na licznych wodzów, szybko postąpiwszy naprzód, nie witając się

z nikim, padła do nóg pana Ciechanowa i rękę ojcowską do białych ust przycisnęła.

Nie poznał starzec córki i kilka kroków odstąpił; lecz kiedy głos dziecięcia uderzył mu uszy, zdało się, jak gdyby całą siłą woli gromadził uszłe z osłabłej duszy wspomnienia, jak gdyby dawnymi uczuciami chciał gwałtem rozdarte napełnić serce. Zbliżył się do klęczącej księżny i pocafunek złożył na anielskiem czole; nawet rękę wyciągnął i zaczął znak krzyża, lecz właśnie w tej samej chwili opuściła go pamięć i stanął jak wryty, obracając na wszystkie strony wzrok niewyrażający już jak dawniej wewnętrznych uczuć, bo już tych uczuć nie było.

Szczęściem, nie domyśliła się księżna prawdziwego stanu ojca i powstała, a wtenczas prawdziwie z królewską godnością przyjęła wojewodę krakowskiego i podskarbnika, choć łza stoczyła się z oczu kiedy przyszło spojrzeć na Mieczysława.

Mestwin stał z boku dając licznym sługom rozkazy, a jednak żadne słowo, żadne poruszenie nie uszło jego uwagi, i im bardziej zbliżała się straszna godzina dla osób poświęconych jego zemście, tem więcej rozjaśniało się czoło zbrodniarza.

Wtenczas wszedł do sali Jordan z Krystynem z Mortoga, niewiadomi gotujących się nieszczęść, oba ukłoniwszy się księżnie, uścisnęli Sieciecha wielbiąc męstwo, które nieraz niebezpieczeństwem im zagrażało. Niemniej też uprzejmie przywitał się z nimi wojewoda krakowski, i zaczął rozmowę o pięknej zamku obronie. Mieczysław przystąpiwszy do księżny, powtarzał smutne oświadczenia i obietnice. Wszebór stał za nim, a twarz jego nie wyrażała oprócz cielesnych boleści przez wiek, znoje i tęsknoty spowodowanych.

Wtem Henryk z Kaniowa nachylił się do ucha Mieczysława i kilka słów wymówiwszy pocichu, prosił jednego z ludzi dworu Zbigniewa, by wskazał mu Katarzyny komnatę, i natychmiast z nim się oddalił.

W głębi sali zasłonionej przez grube arkady w łuk zagięte i kolumny z marmuru, i w miejscu do którego

kilka tylko śmielszych światła dochodziło promieni, stał wysoki mężczyzna w ogromnym czarnym płaszczu, często chował się za filarami, choć ta ostrożność niepotrzebna była, gdyż nikt nie myślał opuściwszy środek sali świetnej przepychem i blaskiem pochodni, pograżać się w jej ciemne i żałobne zakątki. Bezpiecznie więc mógł mąż nieznamy z obranego stanowiska poglądać na osoby stół biesiadniczy otaczające, kilka razy zwrócił oczy na Mieczysława z Hanną rozmawiającego. Wyrazów niepodobna mu było dosłyszeć dla szmeru i odległości, lecz rumieniec księcia, gwałtowne jego poruszenia oznaczały niezgasłą namiętność coraz więcej żywości nabierającą, a wtenczas mąż czarny podniósł rękę i sztylet wyrwał zpod płaszcza, ale nim do ostrza go z pochwy wyciągnął, znów schował i tylko straszny pojrzał wzrokiem na księżnę, tak straszny, że mógłby życia istotę w martwego trupa przemienić; wnet jednak potem oczy odwrócił w inną stronę, jak gdyby popędliwej chciał uniknąć pokusy, i oparłszy się o kolumnę, choć jego lica bladły i rumieniły się naprzemian, stał w milczeniu. Jej godziny już w jego myśli były liczone; właśnie teraz wnieśli słudzy ciężkie srebrne półmiski, i złożyli je na uginającym się pod naczyniami stole.

Wtenczas Mestwin w imieniu księcia Zbigniewa i małżonki jego, zaprosił Mieczysława do biesiady, a następnie wojewodę krakowskiego i pana Ciechanowa. Do Skarbimira nie raczył i słowa przemówić. Najwyższe siedzenie pana zamku próżnem zostało, niższe nieco zajęła księżna, z drugiej strony książęcego krzesła zasiadł Mieczysław, a przy samej Hannie posadzono Wszebora, po nim następował Sieciech, dalej rycerze domu Zbigniewa, a na samym końcu Jarosz z Bardanem zajęli miejsca. Mestwin nie usiadł, ale zatrudniał się porządkiem całej biesiady.

Na wszystko uważający tajemniczy mąż w czarnym stroju, posunawszy się cichym krokiem dalej, stanął przy jednym z najbliższych stołu filarów.

Poważna rozmowa wszczęta między Sieciechem a Jordanem, to ustawała, to znowu się zaczynała. Mieczysław

przedzielony od ukochanej księżcem siedzeniem Zbigniewa, kilka słów tylko czasem mógł do niej mówić. Wszebor spijał w milczeniu puhar starego wina, nie domyślając się nawet, że siedzi przy córce, często łzawe oczy nań księżna zwracała i napotykała zawsze zimny wzrok ojca, a uważając zamię pomieszania zmysłów za oznakę gniewu, trapiła się smutkiem podwojonym nieprzytomnością męża, któryby jeden tylko zdołał ją pocieszyć.

Smutna więc i rzadko ożywiona rozmową, ciągnęła się biesiada, choć przepych naczyń, dobór potraw i napojów, połączony z miłą kwiatów i kadzidel wonią, powinien był ją najświetniejszą uczynić. Ale choć brzmiały rycerskie trąby i słodkie piszczałki, choć wszędzie lały się drogie wina i rozsypane paliły się bursztyny, wszystkie twarze piętnem posępności nacechowane, sprzeczny z okazałością ich otaczającą przedstawiały widok.

Jeden tylko Krystyn z Mortoga, zachowując zwyczajną wesołość, użalał się na prędkie wojny zakończenie i rozprawiał to z Jordanem, to z Bardanem, o różnych broni rodzajach, i gatunkach najlepszych rumaków.

Kiedy już ostatnie wniesiono danie, złożone z najwykwintniejszych utworów ówczesnej sztuki kucharskiej, zbliżył się do księżny, dotychczas oddalony Mestwin z lśniącym od szafirów i dyamentów puharem, i klękawszy przed nią, rzekł.

— Księżno, jest zwyczaj, że pan tego zamku, wypiszący dopóły tę czarę, oddaje ją najznakomitszemu gościowi, który ją winien do reszty wychylić. Teraz w nieobecności księcia Zbigniewa, ten obowiązek na ciebie spada.

Po tych słowach, złożył w ręce Hanny błyszczący roztruchan i kiwnął na grających w drugiej stronie, by przestali. Może chciał wszystkie uczucia przez muzyczne tony rozpierzchnione, zebrać na tę jedną chwilę, w której miał zemstę nasycić, a choć ta chwila tak ważną, tak wyroczną dla była, nie wydał ani głosem, ani twarzą żadnego wzruszenia, owszem, im bardziej ona się zbliżała, tem więcej zimnej krwi nabierał, i nie dozwalając namiętnościom wrzeć w piersiach, z spokojną rozważą gotował się

do patrzenia na tak długo oczekiwany widok, który przez wiele dni i nocy, cały jego umysł zajmował i wszystkich chęci był celem.

Wzięła w śnieżne dłonie Hanna z Ciechanowa puhar, i powstała z siedzenia.

Dzikim wzrokiem ścigał wszystkie ofiary poruszenia Mestwin, natężał wzrok i słuch jak gdyby podwojonej chciał doznać rozkoszy, a z milczenia zalegającego całą salę, wzniosł się dźwięczny, choć nieco drżący głos córki Wszebora.

Ostatnie słowa na ziemi, z całym wdziękiem piękności i słodyczy wymówiła. Twarz jej rozjaśniona, oczy w niebieskich promieniach błyszczące, zachwyciły wszystkich, a Mieczysław uczuł odnawiającą się w sercu namiętność i rozpacz.

— Książę, — obracając się do niego, rzekła Hanna — niechaj dziś błogi pokój zwaśnionych połączy rodaków, i niech zaginie pamięć okrutnej niezgody. O mnie walczyłeś, kiedym już twoją być nie mogła. Przyjm zato, wobec zgromadzonych tu panów, wobec ojca mojego, szczere dziękczynienia serca, które mnie cię szacować każe i wdzięczność ci winną oświadczyć. Na znak zgody przyjm ode mnie ten puhar, zwyczajem naszych nadziadów.

To mówiąc, podniosła do ust, które na chwilę wszystkie wdzięki róży odzyskały, puhar śmierci, a potem podała go księciu, a Mieczysław do dna go wychylił; lecz kiedy chciał oddać roztruchan, ujrzał kochankę zbladłą i rozciągniętą na krześle, a sam uczuł truciznę w piersiach się rozlewającą jak ognisty potok, i upuściwszy nieszczęsny puhar, upadł na własne siedzenie, nie mogąc nawet jęku najmniejszego wydać, choć najsroźsze bole rozrywały spiekłe wnętrze.

Wtenczas Mestwin, nasycający wzrok tym obrazem, klasnął w ręce, a wnet mąż czarny, dotąd stojący za oddalonym filarem, wystąpił zpoza niego na środek sali. Tu płaszcz zrzucił na ziemię, i książę Zbigniew bez zbroi,

z wiernym tylko mieczem u boku, ukazał się przerażonym i zdumionym tego zdarzenia widzom.

— Giń: — zawołał groźnie wyciągając prawicę ku synowi Bolesława — odkąd Boga i rycerstwa święte zgwałciłeś ustawy, uwodząc występku a teraz i kary współniczkę, przestałeś być godnym mojego żelaza. Trucizna jego zastąpiła miejsce, giń więc przeklęty, i niech żaden z was tu przytomnych nie biegnie im na ratunek, bo nimby dobiegł, jużby ten sztylet tkwił w jego piersiach.

Tych słów domawiając, zebrał całą odwagę by spojrzeć na nieszczęśliwą księżnę, ale kiedy zoczył wszystkie jej członki drżące, usta zsiniałe, ściśnięte zęby, włosy rozwiane, przeląkł się własnej zbrodni i odwrócił wzrok pomieszany. Wtenczas ognisty rumieniec rozlał się po jego twarzy, włosy powstały na głowie, pierś wzdęła się wstrzymywanym napiętności wybuchem, i okropny wyraz uniesienia zajaśniał posępną światłością w żarzących się oczach.

— Wszeborze, — krzyknął — takeś córkę wychował, dzięki ci składam, wpoileś w serce piękne uczucia: o, tak, zdradziła człowieka, który jej wszystko poświęcił. Ojczy tej występnej niewiasty, sam wydaj na siebie wyrok, czyś nie godzien straszliwej kary.

Ale pan Ciechanowa nie słyszał lub przynajmniej nie rozumiał tych wyrazów, bo w ciągłym odrętwieniu spokojnie poglądał na umierającą przy nim i nieznaną już córkę.

Na domiar nieszczęścia, o uszy konającej Hanny, obły się słowa Zbigniewa. Nieszczęśliwa, widziała jeszcze osłabionym wzrokiem męża zapamiętałość i u brzegu wiecznego rozstania, nie mogła odpowiedzieć na zarzuty bardziej serce rozdzierające, niż sama trucizna. Czasami tylko, kiedy ból się zmniejszał, by zaraz potem srożej udęczać, zwracała oczy na męża, ale nigdy nie mogła spotkać wejrzenia Zbigniewa. Jedyna ta pociecha wydarta ostatnim jej chwilom, nierównie okropniejszemi je czyniła, nareszcie zebrawszy ostatek mocy, wzywała w myśli Boga, nie dla siebie, ale dla Zbigniewa, dla ojca. Mieczysław rzucił się obok niej i pianą okryty, to czołgał się na

podłódze, to bezsilną ręką starał się miecza dobyć, by się zemścić tak srogiemu i zdradzieckiego zgonu.

Przystąpił do niego z założonemi na piersiach rękoma syn Władysława, i z wściekłym uniesieniem wpatrywał się w rysy wroga zeszpecone boleścią. Za nim stojący rycerz z Wilderthalu zatapiał przenikający wzrok w twarz księżny, na której cała moc trucizny nie zdołała jeszcze zatrzeć ostatku piękności. Każde poruszenie nieszczęśliwej, każdy znak cierpienia, każdy postęp śmierci zwycięsko walczącej z życiem, stawał się nową uciechą dla okrutnego Mestwina, a jeśli kiedy zachmurzyło się jego czoło, to z bojaźni, by zaprędko nie ustały boleści, szarpiące poświęconą na zgubę ofiarę.

Nareszcie, wrodzone uczucie ludzkości przemogło w Zbigniewie nad żądzą zemsty, i pomimowolnie cofnął się o kilka kroków od Mieczysława, który nie mogąc mówić, jeszcze śmiałym wzrokiem wytrzymywał posępne nieprzyjaciela wejrzenia. Ramiona syna Władysława opadły i dreszcz lodowaty wstrząsł silnem ciałem, ale w tej samej chwili uczuł usta z tyłu będącej osoby przyciśnięte do własnej ręki. Przejęty trwogą i rozpaczą, już zaczynającą nim miotać, odwrócił się książę i ujrzał żonę, ostatnie tchnienie wyziewającą na jego drżącej dłoni. Jeszcze chwilowy uśmiech słodczy okraślił twarz smętną, napiętnowaną zgonem, modlitwa krótka jak myśl przemijająca, ale czuła jak pierwsze westchnienie miłości, wzniosła się ku niebu, poprzedzając czystą duszę, która już opuściła martwe ciało Hanny z Ciechanowa, choć jej śnieżna ręka jeszcze przedłużonem ściśnięciem, żegnała się z dłonią tyle razy dla niej w srogie uzbrojoną żelazo.

Ten widok zwątlił całą siłę Zbigniewa i już schyliwszy się ku ziemi, miał upaść bez zmysłów, kiedy przedłużony, okropny uśmiech wyrwał go z słabości. Podniósł oczy, ujrzał twarz Mestwina, a cała wściekłość zdradzonej miłości nanowo podlegnęła osłabłe piersi. Skoczył do Mieczysława, którego prawica trzymała napół wydarte z pochwy żelazo. Podniósł sztylet i trzymał go w górze nad głową śmiertelnego wroga, i oczy zatopił w bladawem jego licu, ale wtem rozciągnął się na ziemi syn

Bolesława, rzucił raz jeszcze dumnym naokoło wzrokiem, a potem skłonił młodzieńcze skronie i przynajmniej zgonem z kochanką połączony, skonał.

Wszyscy w osłupieniu i trwodze patrzyli na tak niespodziane i okropne zdarzenie. Nikt podczas mąk obojga nieszczęśliwych, nie pomyślał o ich pomszczeniu, jak gdyby do swoich miejsc przykuci, spoglądali z przerażeniem na młodość opuszczającą ziemię, na piękność przyćmioną boleściami, na wściekłość księcia i zimną rozwagę Mestwina; lecz kiedy wszystko się zakończyło, jak gdyby piorunem uderzeni, porwali się z dotychczasowego odrętwienia. Pierwszy Sieciech dawszy znak Jordanowi, dobył ogromnego miecza i zmierzając wprost ku księciu, zawołał:

— Zbigniewie! zerwałś wszystkie związki łączące poddanego do syna monarchy, umieraj więc z mojej ręki.

Jordan i Krystyn z Mortoga zasłonili pana, uśmiech pogardy mignął na ustach Zbigniewa, i za świnięciem Mestwina, orszak zbrojnych żołnierzy wdarł się do sali z głośniami okrzykami.

Wnet mnóstwo dzikich wojowników otoczyło Sieciecha, Wszebora, Skarbimira, Jarosza i Bardana.

— Uchodź Sieciechu — zawołał Zbigniew — z mojego zamku, zostaw te trupy; dusze ożywiające ich za życia zbrodnią i zdradą oddychały, oddałem zbrodnię za zbrodnię i zdradę za zdradę. Oddalcie się wszyscy. Precz ztąd, dopóki bramy otwarte, ich zawarcie oddzieli was na zawsze od świata.

— Uchodźmy — drżącym głosem rzekł pan Gulczewa — puście mnie, puście mnie, dobrzy panowie.

— Czy się jeszcze wahasz? — zapytał Zbigniew, a sklepienie z migającej stali wzniosło się nagle ponad głową odważnego wojewody.

— A więc odejdę — odrzekł zwolna Sieciech — odejdę, mości książe, lecz mam nadzieję, że przyjdzie czas, w którym niestrzeżony tłumem siepaczków, sam stawisz się już raz doznanym ciosom.

Ten wyraz, obudził w sercu Zbigniewa chęć nowej zemsty.

— Dobrze, rozstąpcie się żołnierze.

Lecz Mestwin wystąpił i zawołał:

— Panie mój i książę, jeśli go zabijesz, powiedzą, żeś go zamordować kazał.

Natychmiast uczuł Zbigniew słuszność tej uwagi, i powtórzył rozkazującym głosem:

— Precz ztąd wszyscy!

Zmuszony koniecznością wojewoda, porwał w swoje objęcia siedzącego dotąd przy zmarłej córce Wszebora, i wraz z towarzyszami zamek opuścił.

ROZDZIAŁ XXVI.

... Jej rozum znękany
Opuścił ster myślenia, wzrok jej dziko lata,
Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata.

Byron.

Pamięta zapewne czytelnik, że Henryk z Kaniowa przed biesiadą jeszcze wyszedł z sali w towarzystwie jednego z sług dworskich, który się ofiarował go zaprowadzić do komnaty. W milczeniu postępował za nim dumający młodzieniec, nie zważając na miejsca, po których go wiedziono. Nareszcie poznał, że jest w lewem skrzydle zamku, najbliżej Wisły leżącym, i wnet potem wskazał mu przewodnik drzwi z dębu czarnego. Rzucił się Henryk miłością wiedziony i rozemknął podwoje, ale okropny obraz nagle jego oczy uderzył, i śmiertelny mróz ścisnął mu serce, wrzące przed chwilą ogniem najsilniejszej namiętności.

W pokoju czarnemi obiciami zasepionym, leżała niewiasta srogimi dręczona bolami. Rumieniec gorączki podwajał zdaleka urok wdzięków, w oczach płonął nadzwyczajny ogień, po którego nateżeniu łatwo można było się domyśleć, że już niedługo miał ożywiać tak świeże dawniej i zawsze rozweselone lica; paciorki różańca rozsypane na ziemi i krzyż z kości słoniowej pęknięty we dwoje, dowodziły nieszczęśliwego stanu osoby przypatrującej się jemu dzikim wzrokiem z łoża śmierci. Stał o kilka kroków od niej Henryk, i nie mógł wstrzymać żałośnego westchnienia.

Obudzona tym głosem lat jego młodych kochanka,

odpowiedziała jękami, i wskazując na sztylet i szyszak niedaleko na podłodze leżący, zawołała:

— Zabili, zabili go, on go zabił, a jednak tak był wierny zawsze, tak mnie on kochał.

Nie mógł już dłużej wytrzymać rycerz, i rzuciwszy się, przycisnął do piersi drogą Katarzynę; z przerażeniem wtenczas uczuł krew, gwałtownie we wszystkich jej żyłach bijącą, i widział płomień choroby coraz bardziej ogarniające twarz, do róży dawniej podobną. Najczulszemi wyrazami zaklinał oblubienicę, ażeby się nie oddawała rozpachy, choć nie znał jej przyczyny, prosił o wytłómaczenie tak nagłej słabości.

— Wczoraj — rzekł — tak piękną, żywą, tak wesołą byłaś.

— Bo wczoraj jeszcze ojca miałam — odparła Katarzyna.

— Któż go zabił, kto? — krzyknął Henryk wznie-
sionym głosem — mów, a znajdziesz mściciela.

Wskazała dziewica na leżący szyszak, i nie mogąc dalej mówić, schyliła twarz rozognioną na miękkie wez-
głowia.

Podniósł Henryk szyszak i sztylet. Ten ostatni niemieckiego był kształtu i po pilnem przejrzaniu spostrzegł na nim wrytego węża.

— To oręż Mestwina — zawołał.

— A to szyszak mojego ojca — odparła Katarzyna i posepnie spojrzała wokoło — mojego ojca, tak, ten, który mi dał życie, który własne tyle rązy dla Zbigniewa narażał, taką nagrodę odebrał z rąk Mestwina, przyniósł mi dzisiaj żołnierz ten hełm znaleziony na brzegu Wisły obok sztyletu.

— Zapewnie go opuścił Niemiec, zadawszy cios śmiertelny, a ciało pchnął w rzekę — przerwał Henryk, wpatrując się w szyszak, okryty czarnej krwi plamami.

Katarzyna znów wpadła w obłąkanie, i z niewinnej, wesołej dziewczyny, słaby tylko ślad pozostał na ustach,

które wśród płomienistych rysów twarzy, rozognionego wzroku, przeszłych błogich chwil piętno zachowały.

— Droga, ulubiona kochanko, — zawołał Henryk, zbliżywszy się do łoża — nie rozpaczaj, oddal od siebie okropne obrazy. Postradałaś ojca, ale ja ci zostaję, ja, który wszystko uczynię dla Katarzyny, który pomszczę niewinność i zbrodniarza spętanego do twoich stóp przywlokę. O jedyna życia mego nadziejo! nie opuszczaj mnie, poznaj, że głos Henryka, głos tyle razy słyszany, dawniej wśród lasów niesiony po rosie, dolatywał zdala do twoich uszu. Dawniej widziałaś za granicami naznaczonemi oku ludzkiemu białe pióra mojej czapki, połysk mojej szabli, a teraz blisko ciebie niepoznany stoję. Ja jestem, Katarzyno, ja twój Henryk, obudź się, patrzaj na mnie.

Patrzała nań kochanka, ale jej oczy nie miłością świetniały, ponury ogień w nich błyszczał, a ręce wyciągnięte ku leżącemu sztyletowi dowodziły przedmiotu nieustannych myśli.

— Katarzyno! — zawołał już w rozpacz młodzieniec — wierz moim słowom; jeszcze szczęście wszystkie róże swojego wieńca złoży na twoich skroniach. Błogie dni młodości nie upłyną nam wśród trosk i udręczeń, rozwinie się przyszłość luba. Wystawisz grób ojcu, wiosna go przyozdobi swojemi kwiatami. Codzień, ale wsparta na mojem ramieniu, odwiedzać go będziesz, odzyskasz, coś straciła w tem co ci zostało. Ziemia jeszcze przedstawi ci miłe obrazy, jej ułudy nie zginęły dla twojego serca; uspokój się, zdaj się na opiekę Boga i obronę mojej szabli, a pomszczę ciebie i szczęście ci wrócę.

— Szczęście, — przerwała córka Gierdy — jestto marzenie, szczęście, nierozsądny, szalony był, kto pierwszy to słowo wymówił na ziemi. Szczęście na tym padole zgryzot, o nie, to kłamstwo, to słodka trucizna, której szumne nadano imię. Precz ztąd, ty mnie kusisz, ty chcesz mnie wciągnąć w przepaść, ty kłamiesz, ty jesteś szatanem... — i podnosząc się nagle, odpychała go rękoma, — ty kłamiesz, bo masz śmiertelną, ludzką postać, a wymówiłeś słowa bez znaczenia na ziemi, ty jesteś człowiekiem

a mówisz o szczęściu. — Potem osłabiona, z przerażeniem na twarzy, opadła przyciskając spiekle czoło do żelaznych łoża prętów.

— Pomnij na Boga i świętą jego sprawiedliwość — zawołał rycerz — zlituj się nade mną, zlituj się ulubiona. Czyż chcesz mojej śmierci?

— O nie, Henryku — odrzekła dziewczyna głosem nieoznaczającym już pomieszania, na chwilę bowiem usta-piła gorączka i bladość zajęła miejsce rumieńca, kryjącego dotąd jej lica; lecz po tych słowach daremno siliła się coś dalej mówić, ruszała ustami, ale żaden głos z nich nie wychodził i daremno Henryk z Kaniowa objawszy ją w ramiona, przyciskał kochankę, jak gdyby chciał część własnego życia z swych piersi w jej łono przelać.

Wtem szybkie kroki dały się słyszeć na pobliskim korytarzu, w oddaleniu wzniosły się tłumne głosy, ozwał się szczełk orężów i wnet drzwi z hukiem się otworzyły i wpadł młodzieniec. Henryk sięgnął do oręża, ale nowo przybyły choć był pomieszany i dzikim wzrokiem patrzył naokoło, nie zdawał się mieć nieprzyjacielskich zamiarów, owszem przybiegł do rycerza i ścisnąwszy za rękę, zawołał:

— Przynajmniej jednego ocale! — i spojrzał na Katarzynę, która usiłując powstać, z trudnością imię Ulrycha wymówiła.

— Chodź — rzekł giermek — twój pan otoczony, wojewoda w niebezpieczeństwie.

Dobyl pałasza Henryk.

— Gdzie? prowadź — ale zatrzymał wylatującego z komnaty Ulrych.

— Wierz moim słowom, sam nie nie zdziałasz, biegnij lepiej do obozu.

— Już niema obozu, wojsko do miasta się przeniosło.

— A więc do miasta biegnij, jeśli ci miłe życie twojego pana.

— Wskaż wyjście — po chwili namysłu odpowiedział rycerz.

Ulrych klucz mu oddał i oznaczył miejsce, przez które przeszedłszy mógł się dostać na otwarte pole.

Rzucił Henryk wzrokiem miłości na kochankę, której już widzieć nie miał, i wyleciał z pokoju; namiętność ustąpiła miłości w prawem sercu rycerza.

Ulrych sam został przy łożu Katarzyny, przez niejaki czas niewzruszony na nią poglądał, ale nagle łzy przedarły się przez powieki i czułość niedopsutej jeszcze duszy ozwała się dla pocieszenia ostatnich chwil niešťęśliwej ofiary.

Walczył jeszcze z sobą giermek, ale zdało mu się zbrodnią ukrywać prawdę, i nie wyznać zdrady przed tą, której zgonu po części był sprawcą. Rzucił się więc do stóp łoża i w obłakaniu wyrzekł:

— Już się wszystko zakończyło, księżna nie żyje, Mieczysław z nią wypił truciznę, a ja was zdradziłem, chciałem ci przynajmniej jedną wyświadczyć przysługę ratując kochanka. Zasługuję na twoje przekleństwa, ale nie przeklniesz człowieka, który ocalił to, coś najdroższego na tym świecie miała.

Rażona okropnem wyznaniem, córka Gierdy uczuła w duszy tysiączne cierpienia. Śmierć ojca i śmierć ukochanej pani spadła na jej serce jak piorun niebios, który dzieła pracy ludzkiej w proch zamienia, a jednak w wzroku przez nią rzuconym na klęczącego giermka, znać było więcej przerażenia niż gniewu. Ostatnie słowa Ulrycha, odwróciły myśl stroskanej córki i przyjaciółki do miłej nadziei, że luby przynajmniej ocaleje, że zostanie ktoś, po jej zgonie na ziemi dla błagania za nią Stwórcy, i że choć jedno serce zadrży na jej wspomnienie. Łzy giermka przekonały ją o szczerości jego zgryzot, i sama płakać zaczęła. Jakaś smętność łagodniejsza od dotychczasowego żalu, rozlała się w jej duszy. Zegnała się spokojnie z otaczającym światem, z większą ufnością podnosiła oczy ku niebu, którego cząstkę tylko widzieć mogła przez wzniesione okno. Kilka gwiazd świecących na czystym

błękanie obudziło jej przecucia i nadzieje; zdało się umierającej dziewicy, że promień bliski nieśmiertelności prze-
darł się przez kraty, że dusza wkrótce odlecieć mająca,
przywdzieje złotą jego barwę, i w okazałości anioła wzbije się
do Stwórcy. Pośród tych myśli uczuła powolne omdlenie,
ujmujące miękkimi więzami wszystkie członki. Im bar-
dziej wznosił się jej umysł, tem mniej doznawała ciele-
snych boleści; a kiedy nareszcie zdało się jej, że już
zaczyna nadpowietrzną drogę i słyszy harmonijne arf
anielskich dźwięki, jej ziemską powłoka zupełnie czuć
przestała, i wszystkie uczucia zgromadziły się w daleko
szlachetniejszej części życia, w odlatującej duszy, i już
Katarzyna skołała.

Opuścił Ulrych zdrętwiałe ciało i wyszedł zakrywa-
jąc twarz oboma rękami.

Tymczasem Sieciech śpiesznie przechodził wraz z to-
warzyszami pole dzielące zamek od miasta. Bardan z Ja-
roszem podpierali drżącego Wszebora, który uśmiechając
się czasem, wspominał o bojach w młodości odbytych.
Już byli blisko miejskich okopów, kiedy tętent koni
w najszybszym wypuszczonych pędzie dał się słyszeć, i wnet
potem ukazał się na rumaku rycerz w zupełnej zbroi,
wiodący za sobą orszak pancernerj konnicy. Wojewoda
z zadziwieniem poznał swoich ludzi.

— Gdzie tak pędzicie? — zawołał, kiedy go już
mijali.

Poznał ten głos naczelnik hufca i przybiegł do
wojewody.

— Czy już niema nadziei? gdzie książę?

— Ciszej — przerwał Sieciech — ciszej, już po
wszystkiem, zdrada zakończyła życie bohatera.

Na te słowa ciężki jęk wydał rycerz i podniósł
przyłbicę, a wszyscy poznali Henryka z Kaniowa.

— Przysięgam zemstę — zawołał, i ubódkł konia
ostrogą, ale Sieciech go zatrzymał.

— Zawarte bramy, setne hufce ich strzegą, zginiesz
i zginiesz bez zemsty.

Ta uwaga uderzyła młodziana i zwrócił konia.

— Do króla leczę, — zawołał — sprawiedliwość mi odda.

— Zaczekaj, jeśli Bóg ci miły; — krzyknął Sieciech — nic nie zrobisz, przerazisz słabego Władysława, zemdleje i na tem się skończy. Poczekaj do jutra, poproszę biskupa, by go o tem uwiadomił.

— Biskup właśnie dzisiaj wyjechał — ozwał się Skarbimir — i dopiero za dwa dni wraca.

— Więc król za dwa dni się dowie — rzekł Sieciech.

— Na Boga, mości wojewodo krakowski! — krzyknął Henryk — tak mówisz o tem okropnem zdarzeniu jak o najprostszej rzeczy; puszczaj mnie, wojewodo, puszczaj.

— Nic z tego nie będzie — stanowczym głosem odparł Sieciech — i jeśli rozważysz moje słowa, przystaniesz na mój zamiar, inaczej każę cię przytrzymać.

Złożył ręce na piersi Henryk i dumął, nareszcie rzekł spokojniej:

— Niech się wola Boska dzieje, ale przysięgam zemstę. — I wszyscy obrócili ku miastu.

ROZDZIAŁ XXVII.

Przekleństwo ojca wszystkie na ziemi
niweczy nadzieje.

La Bruyère.

Drugi już dzień był upłynął od zawarcia pokoju i rozpuszczenia wojska oblegającego, a jeszcze nic pewnego nie wiadano w Płocku o losie księcia Mieczysława. Rozległy się wprawdzie pogłoski, ale ciemne, tak powikłane, że z nich niczego dojść nie można było.

Niektórzy utrzymywali, że syn Bolesława został na godach u brata jego, ale dlaczego pytali się drudzy wyłączył Zbigniew od nich Sieciecha? dlaczego przybiegł dawny giermek księcia wśród nocy do miasta i obudzwszy śpiących żołnierzy poleciał na ich czele, a kilka chwil później wrócił? To wszystko szerokie otwierało pole domysłom to bliższym, to dalszym od prawdy. Ta niepewność była skutkiem ostrożności Sieciecha, który oczekując biskupa Stefana, zabronił towarzyszom odkrywać zdarzenia tak okropnego i tyle nieszczęśliwych skutków pociągnąć mogącego. Smutek jednak rozlany po twarzy Henryka z Kaniowa, wymowniej od słów oznaczał stan jego serca, ztąd niektórzy dziwne i rozmaite wyciągali wnioski, a wszyscy gotowali się do odebrania wieści o wielkiem nieszczęściu.

Już noc nadeszła i deszcz jesienny zaczął spadać na ziemię, wiatr silny pogasił kagańce palące się przed bramą królewskiego zamku, i w zupełnej pograżył go ciemności. Rzadko kto tamtędy przechodził i ulice bez-

ludne smutnem ciągnęły się pasmem czarnych domów, oblanych rześnistymi potokami. Wewnątrz zamku nie widziano już światła oprócz w jednej z komnat, w prawem skrzydle leżących. Tam bowiem nietylko lampa świeciła, ale oprócz niej jeszcze zapalony w szerokim kominie ogień buchał jasnym płomieniem. Przy ognisku siedział w krześle wojewoda krakowski z puhaem w rękę, za nim stał Wolimir z Moskorzewa, którego wesolość i zwyczajne żarty nie mogły pobudzić już do śmiechu dumającego Sieciecha, trochę dalej Skarbimir z Gulczewa, małemi, błyszczącemi oczyma wpatrywał się niewzruszony w twarze towarzyszków, jak gdyby chciał koniecznie domysleć się ich uczuć.

— Dobrze się stało — rzekł Wolimir — żeśmy wyprawili starego Wszebora do Ciechanowa, bo cóżby tu robił?

Tu przerwał mu odgłos zbrojnej stopy, zbliżającej się powolnemi krokami do drzwi komnaty.

— Cóż to za sokół tak późno przylatujący? — za wołał pan Moskorzewa.

Ledwo tych słów domówił, aliści otworzyły się podwoje i ukazał się mąż wysokiego wzrostu, w zupełnej zbroi i z spuszczoną przyłbicą. Wszystkie jego poruszenia, chód, postawa, nadzwyczajną powagę i godność wydawały. Podniósł śmiało głowę, jak gdyby pogardzał otaczającymi, i nie powitawszy żadnego z nich, dobrze znajomy drogi, zbliżył się do drugich drzwi i zniknął w długim korytarzu, wiodącym do komnaty króla Władysława.

Rzucili się za nim Wolimir i Sieciech, ale skinął tylko ręką rycerz, a kiedy posuwali się dalej, stanął i założył ręce na piersi.

— Jak się zowiesz? kto jesteś? — krzyknął Sieciech. — Tu króla mieszkanie.

— A więc dobrze, — odparł nieznajomy — bo właśnie chcę się z królem widzieć.

Po tych słowach podwoił kroków rycerz, otworzył drzwi komnaty Władysława i przymknął je za sobą.

Wolimir już miecza dobywał, sądząc, że to może jakiś morderca, ale Sieciech go wstrzymał.

— Wracajmy, głos jego poznałem.

Król polski siedział w szerokim krześle, a jeden z jego dworzan w bogatym ubiorze odmawiał mu litanie, stojąc o kilka kroków, kiedy wszedł mąż zbrojny. Ten widok przeraził monarchę, ale rycerz odkrył przyłbicę, a Władysław rozciągnął ramiona i ścisnął niemi ukochanego syna.

— Dobrześ zrobił, Zbigniewie, żeś sobie ojca przypomniał. Dobrześ zrobił, żeś zawarł pokój, żeś zaprosił Mieczysława do siebie, piękne tam musiałeś wyprawiać gody, zaiste szkoda, że mi wiek nie dozwolił dzielić waszej radości. Dobrześ zrobił synu, a dzięki ci Boże! niechże cię pobłogosławię mój synu.

Zbladły i pomieszany stał przed ojcem Zbigniew, bo idąc do niego nie spodziewał się takiego przyjęcia, nie spodziewał się słyszeć słów tak łaskawych; przybył zobaczyć jeszcze raz ojca i oddalić się na długo, może na zawsze, ale kiedy zamiast gniewu dobroć, zamiast przekleństw błogosławieństwo go spotkało, wzdrygnął się na myśl, że tak dobry, czuły ojciec, zobaczy za chwilę wszystkie nadzieje powiędłe i radość zniszczoną. Jednak kląkł przed rodzicem i schylił czoło, a Władysław położył mu ręce na głowę i wezwał Boga sprawiedliwości, by nagrodił cnotę syna i ciągle nad nim czuwał.

Po tym tkliwym obrzędzie, powstał książę i kazał oddalić się dworzaniowi.

— A więc — ozwał się Władysław — już Wszebor odzyskał córkę, Mieczysław narzeczoną, a ty czyste sumienie.

Milczał Zbigniew, starając się oddalić chwilę wyznania, ale słysząc pochwały Władysława, uczuł, że niegodnym było dłużej uwodzić ojca i króla, a kiedy monarcha zapytał się po raz drugi:

— Więc już pewno mój synu, Mieczysław i Hanna na zawsze zostali połączeni?

— Tak, — odpowiedział uroczystym głosem — połączeni na zawsze w grobie — a potem rzucił się do stóp króla, i w krótkich słowach zdradę żony opowiedział i zbrodnie wyznał.

Trudno opisać wrażenie, jakie uczyniła na duszy ojca mowa księcia. Kołysany dotąd miłym złudzeniem, że Zbigniew wrócił na prawą drogę, ujrzał w jednej chwili wywrócone nadzieje, i syn szlachetny, który poświęcił ojcu i krajowi najgorętszą namiętność, zamienił się w jego oczach na wyrachowanego zbrodniarza, i zimnego brata i żony mordercę. Nieprzygotowany do tak strasznej nowiny, uderzony nagłym odkryciem bez poprzednich domysłów lub przeczuć, uczuł starzec cały ciężar lat i rozpacz spadający na serce. Krew w żyłach się ścięła, i przez chwilę nic nie wiedział, nic nie słyszał. W obłędzie i zamięcie wyobrażeń zdawało mu się, że już ziemię porzucił, i cierpi męki piekła, których tak za życia się obawiał, a tymczasem książę Zbigniew wciąż klęczał u stóp jego, i czekał ostatniego wyroku, choć i on zapewne w okropnym był położeniu; zachował jednak całą spokojność i pewny rodzaj dumy, pochodzącej z uczucia dopełnionej bez obawy trwogi i powinności, błyszczał na ponurem czole jak ostatni promień zachodzącego słońca, który czarne przedzierając chmury, jeszcze raz żegnał się z zieloną łąką i srebrnym strumieniem.

Wtem wrócił do życia król Lechii, a zarazem do najśroźszych cierpień, ujrzał przy sobie syna i z drżeniem odsunął krzesło, wyciągnął bladawe ręce, twarz odwrócił, i pamięć na brata, którego syn zginął, na nieszczęśliwego Wszebora, któremu daremno sprawiedliwość obiecywał, zajęła zupełnie jego umysł. Zdało mu się, że występki syna nań spadną w dniu ostatecznego sądu, i że Bóg sam każe mu Zbigniewa ukrócić.

— Morderco! — zawołał — precz z moich oczu; bez woli ojca, sprzecznie z chęcią narodu pojąłeś za żonę oblubienicę brata, by potem potargać związki święte przed niebem, godną piekła zbrodnią. Wyrzekam się imienia ojca, nie znam już ciebie, oddaję cię boskiej

i ludzkiej sprawiedliwości, nie cię nie ochroni od wyrzutów i zgryzot. Rycerzem, księciem być już przestajesz, spadłeś poniżej człowieka. Dzieci cię palcami wytkną wołając: to morderca brata i żony. Zginiesz marnie, przepowiadam ci, zginiesz od żelaza zabójcy, zginiesz z najbliższej ręki, Bóg odwraca oblicze od ciebie, a ja cię przeklinam...

Lecz jak tylko wyrzekł to słowo wyroczne, zatrzymał się jak gdyby sam nie wierzył sobie, spojrzął na księcia, a kiedy ujrzał szlachetną jego postawę, i głowę pokornie choć jeszcze z ostatkiem dumy schyloną przed ojca wzrokiem, zalał się łzami i zapomniawszy o wszystkim, o synu tylko pamiętał.

— Nie, Boże! — zawołał — nie wysłuchaj nierozważnych słów człowieka w rozpacz, odwołuję to, com wymówił.

— Już się stało, panie, i ojciec mój — rzekł poświęcony na wszystko Zbigniew — ostatnie nieszczęście już mnie dotknęło. Straciłem ubóstwianą dawniej istotę, imię moje świetne niegdyś, pokryłem zasłoną obrzydzenia i zawiści. Tego jeszcze nie dostawało, ale i to rączem przyleciało skrzydłem, może prędzej obarczony ludzi i ojca przekleństwami życie zakończę, a wtenczas lepiej będzie. Teraz żegnam cię, ojciec, jeszcze dzisiaj opuszczam to miasto i udaję się do mojego zamku na Pomorzu. Żegnam cię, kochany ojciec.

To mówiąc, ze łzami w oczach ścisnął kolana króla, i ostatni pocałunek złożył na jego ręce.

— Nie, nie przekląłem cię — rzekł osłabiony Władysław.

— Już się stało — odparł mocnym głosem Zbigniew — i twój wyrok już zapisany w księdze przeznaczenia.

Po tych słowach oddał głęboki pokłon i wyszedł; ale jak tylko drzwi oddzieliły go od jednej osoby, od której niższym się uznawał na ziemi, zmienił i postawę i wyraz twarzy. Schyloną dotąd z uszanowaniem głowę podniósł wysoko, smętność zamknął w głębi serca, a jej

znamię spędził z bladawego lica, na którym pycha się została. Zamiast chwiejących się kroków poważny chód przybrał, i nieustraszona śmiałość zabłysła na czole, jak gwiazda nocy na błękitie niebios. Kiedy doszedł do komnaty, gdzie siedział wojewoda z towarzyszami, groźno spojrzął na wszystkich, i prawicę złożył na rękojeści miecza, a potem obracając mowę do Sieciecha, rzekł:

— Zatrudnij się, wojewodo krakowski, pogrzebem tych, co mnie zdradzili, ich ciała leżą w biesiadowej sali. Takie zlecenie daje ci syn twojego króla, odjeżdżając na Pomorze.

Wszyscy milcząc i osłupieni, słuchali tego głosu, który tyle razy grzmiał w bojach, a teraz jeszcze po najokropniejszych wypadkach nic z swojej mocy nie stracił, a choć brzydzyli się widokiem tak okrutnego człowieka, choć się już zdawało, że patrzą na poświęconą sprawiedliwemu gniewowi niebios ofiarę, przejęci śmiałością nie śmieli ani odpowiedzieć, ani najmniejszym nawet poruszeniem wewnętrznych uczuć wyjawić.

Zostawił ich książę, i tym samym poważnym, którym wszedł krokiem, oddalił się od wojewody, dosiadł konia czekającego nań przy bramie, i puścił się wśród ciemności dobrze znaną drogą do swojego zamku.

Stały już tam pod bronią szeregi mające towarzyszyć księciu w dalekiej drodze. Nielicznymi pochodniami oświeceni żołnierze, podobni byli do czarnych duchów oczekujących na zdobycz, a kiedy Zbigniew wleciał między nich na rumaku pianą okrytym, kilka tylko okrzyków: niech żyje nasz książę, zmieszało się z świstami wiatru. Jordan i Krystyn objęli dowództwo nad hufcami porzucającymi zamek, który przez trzy miesiące był świadkiem ich poświęcenia dla pana i dzielnej odwagi.

Książę odmienił konia i naprzód wyruszył. Mówili później żołnierze, że choć wiatr gwałtowny i ciemność wydzierały ich uszom głosy, a oczom przedmioty, niezawodnie zdało im się jakoby Zbigniew westchnął odjeżdżając, i wyciągnawszy ręce, załamał je w rozpacz. Pochodnia przez jedną tylko chwilę oświeciła twarz jego, a choć błyszcząca przyłbica nie kryła liców, odbił się

promień o coś świetnego na nich, i przez chwilę tylko zdała się ta twarz okryta jaśniejącymi łzami.

Wtem rycerz Wilderthalu zawrócił konia, i przybiegłszy do orszaku z tyłu postępującego, skinął na jednego z ludzi go składających; wnet wysunął się on z szeregów i zaprowadzony przez Mestwina pod mury zamkowe, spytał się o rozkazy.

— Pomyślałem i rozważyłem — rzekł rycerz — a ztąd wypływa, że się tu zatrzymasz wraz z ludźmi w zamku pozostałymi. Bądź na pogrzebie waszej wielmożnej księżnej. Ach! ach! ach! jakże się nam udało, mój giermku. Gdyby stary skąpiec chciał się z czem wygadać, gdyby mnie wydać zamysłał, niech twój sztylet pierwiej jego serca dojdzie, niż jego słowa otaczających uszu; nie spuszczaaj go z oka, wszędzie mu bądź towarzyszem, ale nieznacznie, a potem przybiegnij do nas na Pomorze.

— Stanie się, jakeś rozkazał, panie i rycerzu mój — rzekł Ulrych, a Mestwin spiął konia ostrogami i zniknął.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Wszyscy znają zachwycającą tkliwość pogrzebnego obrzędu. Któryż bowiem człowiek tyle był szczęśliwym, że nigdy nie przyszło mu odprowadzać do grobu ukochanej istoty? Ale jestże co tkliwszego, kiedy ten obrzęd ma za przedmiot zwłoki niewinności i piękności zwiędłej w kwiecie życia?

Washington Irving.

Nad wieczorem, przy pogodzie jesiennej, mnóstwo ludu napełniało pole dzielące Płock od zamku opuszczonego przez księcia Zbigniewa. W tym zbiorze tylu osób wszystkich stanów, największy panował porządek, i nawet lekkiego nie słyszano szmeru. Wszystkich oczy spuszczone nadół i posępne twarze, dowodziły niespokojnego oczekiwania jakiegoś zdarzenia, a zdala dzwony kościoła katedralnego nieustannie brzmiały; z drugiej zaś strony z dziedzińca zamku, wznosiły się smutne śpiewy księży i zakonników. Setne pochodnie czerwonawego dymu obłokiem przesłonięte, błyskały nad murami i basztami. Czarna chorągiew zatknięta na wieży, niewzruszona stała, bo najmniejszy nawet powiew wiatru, cichości i spokojności nie przerywał. Uroczysty zapewne był obraz roztaczający się przed okiem widza. Tu tłumy ludu w bojaźliwym milczeniu, tam gmach żałobny oświecony światłem żałoby i uwieczniony sztandarem śmierci, pienia unoszące się po powietrzu, dochodziły uszu otaczających. Nie były to lekkie, wesole pieśni przy godach lub świętach używane, ale surowe, uro-

czyste tony, wznoszące się ku niebiosom za duszami, które porzuciły ziemię; było to harmonijne wynurzenie żalu, bardziej do ogólnego jęku niż do śpiewu podobne. Ruch nadzwyczajny ukazywał się w zamku, wszędzie biegali słudzy, księża, rycerze, wodzowie, a nareszcie za znakiem danym z wieży, zaczął się smutny obrzęd pogrzebu Hanny z Ciechanowa i Mieczysława.

Najprzód z bram zamkowych wyszedł arcybiskup Stefan, ze zgrozą na czole a krzyżem złotym w rękach; za nim tłoczyło się mnóstwo zakonników i duchownych, a każdy z nich trzymał pochodnię. Posuwali się krok za krokiem, odmawiając modlitwy głosem poważnym i smutnym; dopiero za nimi okazywały się mary, na których wierni, starzy żołnierze nieśli syna tego, pod którym Kijów zdobyli. W zupełnej zbroi leżał młodzieniec i z spuszczoną przyłbicą, bo aż zanadto okropne ślady zostawiła trucizna na jego twarzy, ręce w krzyż złożone trzymały rękojeść miecza, który tyle razy zwycięski, szedł dzielić los pana w zimnym grobie.

Stapał za ciałem księcia, dzielny jego rumak pokryty całkiem czarną zbroją, a prowadziło go czterech giermków w żałobie. Dalej szedł orszak żołnierzy z spuszczo-nemi dzidami i w ciemnych pancerzach.

Dopiero za tym hufcem następował wóz purpuro-wem suknem pokryty, i przez sześć koni ciągniony. Na purpurze spoczywała w śnie śmierci piękna jeszcze Hanna z Ciechanowa. Oczy zawarte i zsiniałe usta, śmierci zna-mię nosiły, ale nad czołem wznosił się wieniec z mirtu, przeplatający swoje zielone listki z złotą książęcą koroną. Włosy rozpuszczone z obu stron, spadały jak dwa błyszczące z kwiecistej góry strumienie. Ubiór raził przepychem oczy patrzących, które dopiero spocząć mogły na twarzy, z której anielską słodycz, jeszcze ani śmierć, ani zepsucie zetrzeć nie zdołały. Wszystkim łzy w oczach stawały, a tymczasem przesuwał się wóz niosący do ostatniego mieszkania zwłoki niewiasty, której nieba pozazdrościły ziemi.

Zaraz za księżną na niższym wozie, leżała nieszczęśliwa Katarzyna. Jej ubior składał się z śnieżnej sukni niebieską wstęgą przepasanej, z krzyża srebrnego na pier-

siach i wieńca z róż białych. Obok jej mar postępował Henryk, chcący odprowadzić aż do ostatniej granicy tego świata drogą oblubienicę. Szedł rycerz z Kaniowa z posępnem czołem, a czasem odrywając wzrok od lubej Katarzyny, ścigał nim niesionego Mieczysława, i nagle przechodząc od cichej ponurości do gwałtownego gniewu, otoczony trupami tylu drogich osób, pozbawiony prędkiej zemsty, tłókł piersi żelaznemi rękawicami, lub wściekle to wyjmował, to chował do pochwy swój oręż.

Tu dopiero za ostatnim wozem tłoczyły się tłumy pospólstwa, panów, rycerzy, to pieszo, to konno. Wojewoda krakowski na czele swojego orszaku, wzniesiony z Moskorzewa i wielu innych; ale pomiędzy wojownikami szedł zbladły i drżący człowiek w brudnych i starych sukniach. Wiek podeszły był u niektórych wymówią jego bojaźni, bo mógł się straszyc na widok śmierci wyciągającej już do niego ramiona; ale bliżsi jego znajomi powtarzali sobie do ucha imię Skarbimira z Gulczewa, i dziwne z jego bladeści wyciągali wnioski.

Wtem nagle fale runącego ludu uniosły go w pędzie aż do miejsca, gdzie stanęli żołnierze niosący księcia i wozy na których leżały zwłoki Hanny z Ciechanowa i jej towarzyszki. Tu zatrzymały się tłumy, a biskup płocki zaczął odmawiać modlitwę wraz z otaczającym go duchowieństwem.

Pan Gulczewa zewsząd ściśnięty i popychany, musiał stać wprost naprzeciw ciał osób, których zgonu po części był przyczyną. Przerażający ten widok, smętne wszystkich twarze, przejęły starca bojaźnią, śpiewy wznoszące się ku niebu, zdały mu się wołać o pomstę na sprawców zbrodni. Powoli się myśli mieszać zaczęły, w każdego oku zapalczywość spostrzegał, każdy oręż błyszczący zdał mu się w własne skierowany piersi, uległ nareszcie pod ciężarem wspomnień i upadł zemdlony. Zaraz otoczyli go własni ludzie, którzy się przez tłum przedarli, a wojewoda krakowski kazał go zanieść do miasta.

Przerwany na chwilę tym przypadkiem obrzęd, ciągnął się dalej z tą samą powagą i uroczystością, jak pierwiej. Coraz bardziej mrok zapadał, a szkarłatne na

zachodzie chmury, cochwila bladzsze mi się stawały. Wten-
 czas zapalono niezliczoną ilość pochodni, i całe zgroma-
 dzenie uwieńczone tysiącznemi światłami, dalej się posu-
 neło. Zbroje, bogate duchownych ubiory, suknie panów
 połyskiwały zdala, a pochodnie niesione przy wozie księ-
 żnej, zlewając czyste promienie na twarz bladawą, złotą
 jej barwę nadawały i były obrazem na ziemi promieni
 chwały otaczających jej duszę w niebiosach. Niebo bia-
 ławą, przezroczystą mgłą pokryte, przyémionemi tysiącznemi
 oczyma patrzyło na obrzęd pogrzebu, tak jak gdyby
 smutek ziemi mógł się być udzielić sklepieniom nieśmier-
 telności; a każda kropla rosy spadającej w cichości na
 pola, wydawała się być łzą posłaną od aniołów w hołdzie
 nieszczęśliwym.

Wszystkich myśli zwróciły się do Boga. Obraz po-
 sepnego nocy, towarzyszący posepniejszej jeszcze śmierci,
 przejmował niezrozumianą, nadludzką trwogą. Wszystkie
 serca, czy to pod rąbkiem niewieścim, czy pod żelazną
 zbroją ukryte zarówno temu wpływowi podlegały. Nie było
 różnicy w uczuciach tak różnych stanem i zatrudnieniami
 ludzi, każdy zapominał o rzeczywistości, pograżając się
 w marzeniach, a tymczasem zbliżali się do kościoła kate-
 edralnego, którego dzwony coraz głośniejszy słyseć się dawały.

Za przybyciem do świątyni, stanął biskup i lud cały
 pobłogosławił, a potem kazał wnieść ciała umarłych pod
 święte sklepienia. Wszystkie ściany i filary czarnem su-
 knem obite, żałobny widok przedstawiały. W środku
 kościoła, Mieczysław obok Hanny postawiony, zwrócił
 wszystkich oczy. Po odśpiewaniu modlitw i litanii, przy-
 stąpił Stefan do pochowania ich zwłok. Do dolnych gro-
 bów znieśli ciała najznacniejsi panowie i urzędnicy, a tam
 zimny kamień przywalił serca tak piękne, tak namiętne
 za życia. Mniejszy głaz z marmuru zakrył obok Katarzynę
 przed oczyma Henryka, i wszystko się zakończyło.

ROZDZIAŁ XXIX.

Już nad nim Boga rozciągnięta ręka.
Melodye hebrajskie.

Już tydzień upłynął po pogrzebie, kiedy dnia jednego przybył do biskupa płockiego zdyszany Bardan i po krótkiej z nim rozmowie prędko się oddalił. Wnet potem Stefan wraz z kilkoma duchownymi i dworzanami udał się do mieszkania podskarbnika królewskiego, gdzie nadzwyczajne panowało zamieszanie. Na samym progu spotkał szanowny kapłan wojewodę krakowskiego, który mu oznajmił, że od czasu pogrzebu wpadł skarbnik w niebezpieczną słabość, niewstrzymaną żadnemi sztuki lekarskiej środkami, i że teraz czując bliski koniec, prosił by wezwać biskupa, wobec którego i kilku innych panów, chciał wyznać ciężkie jakieś winy.

Zmarszczył brwi biskup na te słowa i gorzko westchnął.

— Czyż zawsze zbrodnie — zawołał — ziemię ci w obrzydzenie podawać będą, o Boże! — i szedł za Sieciechem.

Pokój, w którym leżał pan Gulczewa, nosił oczywiste jego skąpstwa dowody, ściany żadnem nie zasłonięte obiciem, pokryte były ogromnemi plamami wilgoci, która gdzieniegdzie nawet w kroplach się sączyła. Kilka słomianych stołków widziano tu i owdzie stojących, a łoże z najgorszego drzewa, stało przy brudnym stole. Twarz Skarbimira zawsze odrażająca, okropniejszą jeszcze teraz się stała. Wyrzuty sumienia wyryły na niej ślady swojej zemsty, a oczy dawniej tak żywe, napół przymknięte były,

bo już światło słońca było ciężarem zbrodniarzowi. Naokoło stali w przerażeniu dworzanie i sługi, a między nimi znany przez Bardana Ulrych, który podług rozkazu pana, na krok nie odstępował podskarbnika od czasu jego zasłabnięcia. Często zostawał z nim sam na sam, lekarstwa mu podawał, ale nie miał serca zabijać bezbronnego i czekał aż ostateczna konieczność do tego go zmusi. Zdziwił się wprawdzie nieco za przybyciem biskupa i zaczął mieć podejrzenia. Może, pomyślał, chce przestraszony bliskością zgonu, wyznać wszystko, ale na Boga, dopełnię mego pana rozkazy, bo wierność pierwszą jest cnotą, a potem ten stary skąpiec niegodny ani życia, ani imienia człowieka.

Zbliżył się wojewoda z biskupem, za nimi szło kilku innych panów, pomiędzy którymi wmieszał się i Henryk z Kaniowa.

Na widok Stefana, podniósł się trochę Skarbimir i głowę schylił, a potem osłabionym ozwał się głosem.

— Panowie, czuję śmierć bliską, szanowny kapłanie, już kończę życie, ubogi, biedny, samotny, widzisz: nie mam nawet porządnej komnaty ani dobrego łoża, gdziebym spokojnie dech ostatni mógł wyzionąć; ale to wszystko zniósłbym jeszcze, gdyby nie okropne wspomnienia. Tak, dalej mówić nie mogę, wzdrygam się.

— Chrześcianinie umierający, — rzekł mocnym Stefanem głosem — skrucha i żal mogą cię z toni piekła wznieść pomiędzy szczęśliwych aniołów. Wyznanie winy przede mną samym, jeśli się ciebie tylko tyczy, przed wszystkimi, jeśli i inne osoby dotyka, jest twoją powinnością, bez jej wypełnienia nie trafisz do nieba.

Przerażony Skarbimir spuścił oczy, a potem się odezwał:

— Ach! jakąż sławę zostawię po sobie?

— Obieraj: — zawołał Stefan — ziemską sławę lub szczęście niebieskie.

— Ach! męki piekła, wyznam wszystko. Tak, biskupie płocki, ja jestem przyczyną śmierci księcia Mieczyśława i Hanny z Ciechanowa...

Ale tu dalej mówić nie mógł.

Wtem wszczął się rozruch między otaczającymi, przedarł się przez nich młodzieniec i zbliżył do łoża z przeciwnej strony, tej gdzie stał wojewoda. Sieciech dostrzegł coś dziwnego na twarzy Ulrycha i położył rękę na szabli, a tymczasem giermek schylił się ku podskarbiemu dla podania mu lekarstwa, a postawiwszy potem flaszkę na stole, szybko sztylet wyciągnął i wznosił do góry, ale prędzej jeszcze wojewoda długiej szabli dobył, i w mgnieniu oka podstawił ją pod spadającą rękę młodzieńca. Odleciała odcięta od ramienia prawica ściskająca sztylet, a Ulrych ciężki krzyk wydał i upadł bez zmysłów. Natychmiast wojewoda schwytał go i w kajdany okuć rozkazał. Arcybiskup zaś, ledwie oddychającego już Skarbimira po drugi raz zaklął, by wyjawiał skryte i tak ciężkie, jak się wydawało zbrodnie; ale Skarbimir ostatni raz już pasował się z śmiercią, okropny rumieniec wystąpił mu na lica i wzdęły się żyły ciągnące się sinemi pasmami na czole. Gardło gwałtownemi ruchami dowodziło trudności oddychania, a nareszcie wybuchnęła nosem, ustami i uszami, czarnym krew potokiem. Biskup przycisnął do ognistych liców krzyż srebrny. Ciężkie westchnienie wydał podskarbnik i podniósłszy się trochę, umoczył palce w własnej krwi, a potem niekształtnem pismem na ścianie napisał: „On wie“. Po tem ostatniem wysileniu, utracił całą siłę i upadł na zbroczone łożo. Chwilą potem ustały jego gwałtowne ruchy, rozciągały się drgające członki i zmartwiały.

— On wie — powtórzył biskup i wskazał na Ulrycha, który odzyskawszy zmysły, wściekle poglądał na odciętą rękę i bezwładne już ramię.

Natychmiast wojewoda, Henryk z Kaniowa i insi otoczywszy młodzieńca, zaczęli mu liczne zadawać pytania; ale giermek Mestwina z pogardą na nich poglądał, usta ściśnięte trzymając. Najsroźsze bole żadnego jęku mu nie wydzierają. Spokojny, śmiałym wzrokiem odpowiadał na badania otaczających, a choć pęta ciała mu ścisnęły, dusza jego wolną się wydawała, a choć krew sączyła się

z rany, nie słabł umysł i z podwojoną męką podwójnej nabywał siły.

Niecierpliwy Sieciech dobył miecza i groźnie wzniosł go ponad głowę Ulrycha. Młodzieniec uśmiechem wzgardy i obojętności wyraził wewnętrzne uczucia, i najmniejszego znaku przerażenia nie dał. Długo jeszcze starali się przytomni dowiedzieć się czego, lecz milczenie giermka wciąż trwało. Rozgniewany wojewoda kazał wtenczas kilku żołnierzy zawołać oświadczając, że najokropniejsze męki zdołają usta mu otworzyć. Biskup nie zgodził się na to i prosił wszystkich by odstąpili, a sam zbliżywszy się do młodzieńca, tak słodkim głosem przemówił:

— Dzielność okazał odwagę i męstwo lepszej sprawy godne. Dopóki równi tobie wojownicy zadawali ci pytania, mogłeś sobie mieć za chlubę utrzymanie milczenia, którego ani groźby, ani boleści zerwać nie zdołały, ale teraz jako chrześcianina, jako syna Kościoła zapytuję cię w imieniu Pana twego i Boga, powiedz, co wiesz w tej ciemnej sprawie. Twoje serce jeszcze nie tak zatwardziało, by się nie wzdrygało na myśl zostawienia zbrodni bez kary. Możesz niewinności choć już znikłej z tej ziemi, wrócić jej ozdoby i sławę, a więc zaklinam cię, powiedz co wiesz o Mieczysławie, i jeśli to w twojej mocy, nie dozwól synu mój, by na pamięci Hanny z Ciechanowa, ciążyła plama hańby i zdradzonych powinności.

Na imię Hanny z Ciechanowa, zmieniła się zupełnie twarz młodzieńca, wyraz uporczywej i nieugiętej woli ustąpił niezrozumianej jakiejś czułości. Łza zgasiła ponury ogień dotąd błyszczący mu w oczach, ale jeszcze wahanie znać było na ustach napół otwartych. Z czoła wyniosłego zeszła burza gniewu i rozpacz, ale natomiast osiadła tam chmura żalu, jedno słowo, jedno wspomnienie trafiło do serca, i czułość obudzona, dzikie namiętności w ciele łzami zatopila. Dłużej już nie mógł wytrzymać i drżącym głosem zawołał:

— Świadcami jesteście wszyscy, że trwoga przystępu do mojej duszy nie miała. Pozbawiony ręki i wszelkiej obrony, okuty w wasze kajdany, nie schyliłem czoła

i na chwilę, nawet bladość bojaźni twarzy mojej nie okryła. Męki najsroźsze nie wydarłyby tajemnicy z głębi piersi; ale kiedy wezwał mnie biskup płocki na świadka, kiedy kazał mi w ostatnich życia chwilach uwolnić umarłą piękność od sromotnego zarzutu, wypełnię powinność chrześcianina i rycerza.

Żelazo moje nieraz nasiąkało krwią nieprzyjaciół lub wskazanych ofiar, i umiałem przytłumić wyrzuty sumienia. Słyszałem pienia śmierci i dźwięki wzywających na wieczny spoczynek dzwonów, i przytłumiałem wyrzuty sumienia. Teraz wszystko odkrywę. Kilka chwil do życia mi pozostało, poświęcę je prawdzie, ale niech wasze usta szyderczego śmiechu nie przybierają, niech wasze oczy wzrokiem pogardy na mnie nie patrzą. Nie róbcie sobie znaków, bo nie przed waszą uległem przemocą, bo nie wasz oręż mnie przeraził; ale uczucie powinności usta mi rozemknęło... Słuchajcie. —

Tu dopiero zaczął opowiadać znajome nam wypadki, wyjawiał przyczynę śmierci księżnej i Mieczysława, usprawiedliwił Zbigniewa, Mestwina uniewinnić się starał wystawując szalę namiętności, który go opanował, i nie zostawił żadnej rozsądnej myśli miejsca w jego duszy.

Wszyscy w podziwieniu i trwodze tych słów słuchali, spoglądając na człowieka, któremu w samych zbrodniach pewnego rodzaju szlachetności i cnoty odmówić nie mogli.

Ulrych skończywszy mowę, schylił czoło i przez chwilę dumiał głęboko, a potem prosił by mu zdjęto okowy. Na znak biskupa uwolniono go od kajdan, a młodzieniec z dumą zrzuciwszy żelazne łańcuchy, zbliżył się do Sieciecha.

— Panie krakowski, — rzekł smętnym głosem, wznosząc ramię pozbawione ręki — tobiem winien okropną ranę, wytrąciłeś mi oręż na wieki i z nim sławę mnie czekającą. Kto w tych wiekach niezgód i zaburzeń zechce spojrzeć na nędznego kalekę ogołoczonego z prawicy? nikt okiem litości nawet na mnie nie spojrzy

i nie żądam litości. Zawód mój zakończył się na ziemi. Cięcie twojego miecza oddzieliło mnie od chwały a zarazem od życia; a jednak nie czuję zemsty ku tobie, zrzuciłem z serca ogromny ciężar i ta rana mniej mi dolega. Lecz może jeszcze potrafię się dobić sławy — dodał jak gdyby wracała nadzieja do jego serca — pozwólcie mi tego miecza, spróbuję nim władać lewą ręką.

Jeden z przytomnych ze łzami w oczach podał mu oręż.

— Teraz — zawołał młodzieniec z nadzwyczajnem uniesieniem — nie lękam się już ani waszych mąk, ani szubienic, nie zginie Ulrych haniebną śmiercią zbrodniarzów, bo jeśli pełnił zbrodnie, miał jednak czułe serce. Patrzcie, jakie lewej ręki cięcie.

I nim go kto mógł wstrzymać, utopił w piersiach krótki i ostry pałasz i upadł na ziemię.

Biskup wzdrygnął się i podniósł oczy do nieba, a wszyscy obecni odwrócili je od okropnego widoku. Jeden Henryk z Kaniowa zachował krew zimną, czyli raczej wściekłość nie dozwoliła mu uczuć litości i przerażenia, wystąpił z grona towarzyszy i stanął przy trupie Ulrycha. Tu wyjął z pod koleczugi pukiel ciemnych włosów i umoczywszy je w krwi nieszczęśliwego, zawiesił na szyszaku między trzema białymi pióry.

— To są włosy księcia i pana mego. Przysięgam dopóty ten znak nosić na hełmie, dopóki go powtórnie nie zanurzę w krwi drugiego mordercy, Mestwina z Wilderthalu. Niechaj Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch Święty słyszą tę przysięgę, i niech święty Stanisław i szabla moja ku pomocy mi będą.

To powiedziawszy, wyszedł ściskając rękojeść miecza.

W kilka dni później pochowano Skarbimira, ciało Ulrycha za cmentarzem w dół rzucono. Sieciech zaś chcąc przywiązać do swojej służby rycerza z Kaniowa, kazał go do siebie zaprosić; ale nadaremno Jarosz z Kalinowy przebiegł wszystkie Płocka ulice, nigdzie nawet i śladu Henryka nie znalazł. Żołnierze stojący u wałów miej-

skich w dzień śmierci podskarbiego, donieśli potem wojewodzie, że rycerz podobny z postawy i ubioru do znikłego, lotem błyskawicy, przeleciał już blisko nich w nocy na czarnym rumaku, i że przez chwilę wśród cieni wieczora ujrzeli migającą się zbroję na jego piersiach, kiedy pędził drogą na północ wiodącą.

ROZDZIAŁ XXX.

Zkąd przychodzisz tak nierano?

Kto jesteś? jakie twe miano?

Kiedy się tobie przypatruję zbliżka,

Zdaje się, że cię kiedyś widziałem. —

Dziady.

Musimy teraz przenieść czytelników naszych daleko od Płocka, do jednej z okolic Pomorza, oświeconej w tej chwili zachodzącego słońca promieniami. Dzikość największa panowała wówczas w tej krainie, nieuprawne pola leżały odłogiem, a pokrzywy, chwasty i ciernie rosły, gdzieby kłosa mogły w złotych płynąć przed wietrzykiem falach. Zbliżający się wieczór, jeszcze posępniejszą barwę nadawał przedmiotom. Wzgórza to zniżającym się, to podnoszącym wieńcem otaczały liczne jeziora, których wzdęte silnym wiatrem wody wydawały się zdala przy purpurowym blasku słońca niezliczonymi falami z płomienia. Lasy już jesienną przyodziane szatą, zarastały wielką część przestrzeni. Zbliżka można było rozeznąć zielone liście pomieszane z żółtymi i czerwonymi. Dalej zaczynały się stapiać z sobą te kolory, a wzrok sięgający aż do ostatku widnokągu, postrzegał już tylko szare ogromy, zdające się olbrzymiem pasmem łączyć ziemię z czystym niebios błękitem.

Jedyny ślad pracy ludzkiej w tej dzikiej puszczy, była droga często wijącemi się roślinami zarosła, lub ogromnemi kamieniami zawałona, i niekiedy w ciasną przechodząca ścieżkę, kręciła się ona ponad wodami, ustawiała u stóp wzgórzów, gdzie kilka tylko śladów

ciężkich wozów pozostawało, lecz z drugiej strony znów ukazywała się szeroka i dobrze odznaczona, by trochę dalej zniknąć pośród zarośli i kamieni różnego rodzaju i wielkości. Właśnie w jednym z miejsc, gdzie trudną była do rozeznania, ostatnie promienie słońca oświecały młodego rycerza, siedzącego na koniu, który się zatrzymał, by jak się zdawało zaczekać na człowieka schodzącego w oddaleniu z spadzistej skały. Jeździec i rumak długą zmęczeni byli drogą, bo pierwszy nieustannie pot z czoła ocierał, a drugiego całkiem biała piana pokryła. Za siodłem leżał mały tłómaczek, zawierający zapewne ubiór i żywność rycerza, a blisko lewego strzemiesienia wisiał topór, używany w owoczesnych bojach. Zbroja pokrywająca nogi młodzieńca, błotem zbryzgana, dawny połysk straciła, kiedy tymczasem pancierz jaśniał stalowemi na nim wyrobionemi ozdoby. Twarz jego choć nosiła znamiona znużenia, wyrażała oprócz tego jakąś ciężką tęsknotę, połączoną z piętnem niestartej woli. Hełm w kilku miejscach porysowany nadybanemi w podróży gałęzmi, dziwne miał znaki, bo wśród trzech piór białych, połamanych i kurzawą okrytych, tkwił pukiel czarniawych włosów zeszlą krwią zboczony.

Poglądał rycerz w górę, jak gdyby chciał poznać ile chwil do nocy nie dostaje, to znowu wyciągał rękę i wołał do siebie znakami, niedalekiego już wędrowca. Im bliżej tamten przystępował, tem chciwiej młodzieniec zatapiał w nim oczy i starał w sobie dawne obudzić wspomnienia. Nieznajomy ubrany po myśliwsku rączym postępował krokiem, trzymając ogromny łuk w rękę. Kołczan wiszący z tyłu, wypróźniony był do połowy z grotów, a ogromny szary orzeł zarzucony był przy nim. Twarz myśliwca spalona od słońca, wyrażała pewien rodzaj niedbałej o nic odwagi. Już tylko mały rów dzielił go od rycerza, kiedy ten wykrzyknął:

— Witam cię, Krystynie z Mortoga.

Zdumiony Krystyn, zatrzymał się na chwilę a potem zawołał:

— Niech mnie tysiąc Prusaków posiecze, jeśli cię już gdzie nie widział? Kto jesteś? Zkąd! ach! wiem,

nic nie mów, wiem. Henryk z Karnowa, z Karnowa lub coś podobnego.

— Lub z Kaniowa — przerwał rycerz, wyciągając rękę do dawnego wroga.

— A cóż tu robisz na Pomorzu? — przerwał rycerz. — Czy przychodzisz służby szukać u naszego księcia?

— Przybywam owszem służbę jego zmniejszyć o jednego człowieka — odparł groźnie młodzieniec.

— Czy do mnie stosuje się ta mowa? — krzyknął rycerz z Mortoga, dobywając miecza.

Męski zapał Krystyna wycisnął uśmiech zbladłym ustom Henryka.

— Nie, — odpowiedział — nie ciebie szukam, bo szanuję rycerzy godnych tego imienia, a szczególnie tak męznego, jak ty, mój Krystynie.

— Dobrze, dobrze, mój Henryku, ale nie lubię na darmo dobywać pałasza, spróbujmy się choć trochę, do pierwszej krwi, nie żądam więcej, mój drogi, mój kochany Henryku, do pierwszej krwi tylko.

— Krystynie, — uroczyście zawołał młodzieniec — nie żartuj sobie, ważna, najważniejsza w mojem życiu sprawa, przygnała mnie z dworu Hermana w te pusepne puszcze. Jużem bliski celu, i nie myślę w dziecinnej walce narażać siły przeznaczone dopełnieniu świętego obowiązku.

— Jeśli tak, to zgoda, ale daj słowo, że nie czyhasz na życie mojego księcia i pana, bo inaczej powinnością stanie się dla mnie, pierwiej cię twojego pozbawić.

— Przysięgam że nie, bo Zbigniew niewinny, inaczej moje żelazo żadnej nie czyniłoby różnicy, między jego lub innego piersiami.

— A więc wszystko między nami skończone.

— Krystynie, bądź łaskaw wskazać mi drogę do zamku księcia, zapomniałem już jak się nazywa, czy jeszcze daleko? Ledwie mogłem się w tym przeklętym kraju drogi dopytać.

— Zowie się Waplew, stoi nad Czarnowodą, na skale tak wysokiej, że z niziny jest podobniejszym do orlego gniazda, niż do potężnego gmachu. Dobrze zrobił książę Zbigniew, że zabił tego Ottona de Strontheim, i zamek na nim zdobył, bo, na Boga, wszystkie panów polskich wojska nie potrafią go ztąd wyrugować. Powiem ci szczerze, że mnie się nudzi, niema ani wojny, ani kłótni, ani pojedynków, a trudno księcia opuścić, taki smutny, taki nieszczęśliwy, już nawet z Mestwinem nie rozmawia; ale dlaczegoż także się wzdrygnął? a toż i Mestwin dziś na łowy wyjechał, ja w inną stronę się udałem, bo nie lubię tego Niemca.

— A kiedy wróci? — przerwał Henryk.

— Niezawodnie jutro, lecz muszę psy przywołać.

Po tych słowach, przyłożył trąbkę do ust i wydał głos chrapliwy, który w jednej chwili wzniosł się w górę a potem spadając, rozległ się wokoło. Natychmiast odpowiedziały dalekie naszczekiwania, a choć wiatr przeszkadzał, co chwila głośniejszemi się stawały, nareszcie z różnych stron przybiegły ogromne brytany i sześć ich otoczyło pana, wyszczerzając ostre na Henryka zęby.

— Cicho, cicho Obal, precz Warda ztąd, cicho — zawołał Krystyn, i natychmiast posłuszne psy legły u stóp myśliwca.

— Teraz gościu, wskażę ci najkrótszą drogę do zamku, bylebyś szedł stępo i nie odbiegł mnie jak duch na czarnym koniu.

— Idźmy, idźmy więc — zawołał Henryk.

Ale droga wcale się nie zgadzała z niecierpliwością rycerza, bo coraz bardziej trudniejszą się stając, prowadziła naszych wędrowców to w głębokie jary, to na strome wzgórza, z których wierzchołka mogli jeszcze dostrzedz kilka chmur oblanych promieniami zapadłego słońca. Lasy któremi przechodzili, błota w których grzęzli, zdawały się być dobrze znajomemi Krystynowi, bo śmiałym idąc krokiem, ledwo czasem spojrział na ziemię, a najwięcej z wzniesioną głową śpiewał dumki wojenne, kiedy tymczasem dzielny rumak Henryka zapadał w trzęsawiska, lub

wszystkich sił dobywając, ledwo mógł się dostać na szczyt spadzistego wzgórza. Mrok powoli zapadający, przymnażał jeszcze trudności, ciemne bory podwajały jego cienie, a jeśli czasem widok się rozprzestrzeniał, gęsta mgła unosząca się nad wodami przesłaniała go oczom naszych rycerzy.

Już ptaki rzadko się odzywały, już kilka gwiazd zabłysło, kiedy przybyli na brzeg oschłego jeziora, którego powierzchnia dawniej wodą zalana, teraz zarosła była mnóstwem sitowia i uginającej się trzciny.

— Jeszcze się tędy przeprawimy — rzekł Krystyn — a potem stanąwszy na tamtym wzgórku, zobaczymy bliski zamek i Czarnawodę.

— A już czas — odparł Henryk — bo mój biedny koń ledwo już się wlecze...

Po tych słowach zeskoczył z siodła i prowadząc rumaka za uzdę, wszedł pomiędzy zarośle, ale z każdym krokiem nowe rodziło się niebezpieczeństwo, coraz więcej ziemia grząską się stawała, i już słyszał Henryk szelest przeciskającej się pod spodem wody. Krystyn jednak ze zwykłą niedbałością, zagrzewał go do pośpiechu i bez żadnego przypadku, doszli nareszcie do wspomnianego wzgórka, zkad już prawdziwie wspaniały widok przedstawił się im przy świetle księżyca.

Niedaleko wznosiła się niebotyczna skała, żadnem drzewem ni rośliną nie pokryta, a na jej wierzchu zmęczone oko, nie dobrze już dostrzedz mogło białawych czterech wież, połączonych murem w kwadrat wystawionym. Ognie błyszczące z okien zamkowych do małych gwiazdek podobne były. Na najwyższej wieży buchał ogromny płomień, zawsze w nocy zapalony dla zbłąkanych wędrowców. U spodu płynęła szeroka Czarnawoda, a choć srebrne promienie księżyca igrały z jej falami, zachowywała jednak smętną barwę, od której nadano jej imię; płaczące brzozy nad brzegiem i dęby stuletnie rosły w ulice, jak gdyby przez sztukę wytknięte, a dalej ciemny bór pozostałą część równiny zalegał, kilką chat rozsypanych u stóp skały zamek dźwigającej, służyło za

stajnie dla koni księcia, nie mogących dojść do wzniesłego mieszkania pana.

Noc pokrywająca okolicę, księżyc błyszczący na niebie, ogień z wieży wybuchający, jak gdyby drugi księżyc na ziemi, i samotność otaczająca dokoła, wystawiały obraz okropnej dzikości, a zarazem uderzając oczy Henryka najczarniejszemi zajętego myśli, wprawiały go w pewien rodzaj szału.

Przeniesiony z ludnej krainy do samotnej puszczy, wyrwany tak nagle z rąk miłości i rzucony w objęcia zemsty, nie miał jeszcze czasu do uśmierzenia burzliwych uczuć, a teraz namiętne uniesienie nim owładło. Zdawało się, jak gdyby okropne tych miejsc odległych przyrodzenie w zgodzie było z jego sercem, i wystawiał sobie, że widzi krew Mestwina płynącą, jak strumień wezbrany po skale. Ognie zapalone w zamku wydały mu się płomieniami piekła i wyciągał ramiona, by jak anioł śmierci wzlecieć nad poziom, dolecieć ofiary i życie jej przeciąć.

Wkrótce jednak żarty Krystyna wyrwały go z tego dumania, i wsiadłszy na konia, znów zaczął dalej postępować. Niezadługo u stóp skały stanęli.

— Zostaw konia w tej chacie — rzekł Krystyn.

Henryk zaprowadził zmęczonego rumaka, a za rozkazem towarzysza przyjął go do swojej stajni mieszkaniac chaty, a potem oba zebrawszy siły, zaczęli wąską i węzłowatą drogą wdzierać się na skałę. Po wielu trudach stanęli u bram rozległego zamku, strażnik je otworzył, usłyszawszy głos Krystyna z Mortoga, a za nim wszedł Henryk z Kaniowa.

ROZDZIAŁ XXXI.

Hamlet: Zdaje mi się, że widzę!

Horatio: Gdzie?

Hamlet: Przed oczyma duszy mojej.

Shakspear.

Podwórzec zamkowy z czterech stron wieżami zakończony, pustym był teraz, kilku tylko rycerzy żywo między sobą rozmawiających stało na środku, i zdaleka jeszcze przy świetle pochodni, poznał między nimi Henryk ogromną postawę Jordana z Gozdowa.

Krystyn wziął towarzysza za rękę i zbliżył się do znajomych.

— Zapoznajcie się z nim! — krzyknął. — To jest Henryk z Kaniowa, rycerz niezłomnego słowa i niezłomnej szabli. Jordanie, to już dawna dla ciebie znajomość.

— Tak, — rzekł uprzejmie nieco zdziwiony Jordan — tak, znamy się dobrze. Nieraz iskry sypnęły się z ścierających się naszych mieczy, i widziałem, że żaden rodzaj śmierci go nie straszy, ale dlaczegóż tu przybyłeś? Książę nasz drży z wściekłości na wspomnienie Mieczy-sława, niebezpieczeństwa ci grożą.

— Setne już przebyłem, — odparł młodzieniec — by się na to ostatnie narazić, a kiedy jużem tak bliski, pewno się nie cofnę. Upadnie gniew księcia przed moimi słowy, mam ważne mu do odkrycia tajemnice, i poprosiłbym którego z szanownych rycerzy, by doniósł Zbigniewowi, że żądam w tejże samej chwili posłuchania u niego.

Podniósł wtenczas rękę Jordan z Gozdowa i wskazał na najwyższe okno naprzeciwko wieży.

— Tam jest mieszkanie naszego pana, od czasu przybycia do tej krainy. Tam samotny przesiaduje dnie i nocy. Jeden tylko Mestwin go odwiedza, ale i to rzadko. Nikt innyby się nie ośmielił przerwać ponure myśli Zbigniewa, a Niemiec teraz na łowy wyjechał.

— Upraszam, zaklinam was, — przerwał Henryk — uczynicie zadosyć mojemu żądaniu.

— Ja ręczę, — zawołał Krystyn — że on złych nie ma zamiarów.

— Niechaj będzie aniołem, — krzyknęło kilku — lecz żaden z nas nie przyjdzie śpiącego lwa budzić.

— Zaniechaj zgubnego zamysłu, — rzekł Jordan — bo ci szczerze powiem, że cię śmierć niechybna czeka.

— Lepiej zrobisz, kiedy wyjdiesz z tych murów, nim cię sokole oko Zbigniewa ujrzy z góry.

— A więc żaden mi nie odda tej przysługi? — zapytał spokojnie Henryk.

Milczenie wszystkich było dostateczną odpowiedzią.

— Jeśli tak, to sam pójdę — zawołał.

Ale jeszcze raz Jordan starał się go odwieść od zamysłu.

— Pamiętam, — rzekł rycerz z Gozdowa — że w wojnie z Prusakami, jakiś wódz ich, olbrzym z postawy a bohater z odwagi, schronił się do takiej wieży wśród ciemnego boru. Z toporem w rękę i szablą u boku, dostałem się za nim na wierzchnią część budynku. Toporem drzwi wyrąbałem, a szablą Prusaka zabiłem, i jego głowę przez okno jakby jabłko wyrzuciłem; ale tu co innego, księciu winne uszanowanie, lecz nie bojaźń mnie wstrzymuje.

— Gdyby — odparł z zimną krwią młodzieniec — setne kopie i szable tej wieży broniły, jeszczebym sam jeden na nie się rzucił, by dopełnić świętej przysięgi...

Po tych słowach oddalił się, zostawując wszystkich w zadumaniu, i zniknął im z oczu wśród grubych murów niebotycznej wieży.

Zaraz w sieni napotkał wąskie schody, które w licznych, ciemnych zakrętach nad jego wznosiły się głową. Gdziekolwiek tylko stojące kagańce oświecały je częściami. Poszedł niemi, i stukając orężem o kamienne stopnie, śmiało postępował, aż nareszcie doszedł ostatniego piętra, gdzie się schody zakończyły żelaznymi drzwiami napół otwartymi w tej chwili.

Młodzieniec rzucił ciekawym wzrokiem wewnątrz komnaty, i ujrzał siedzącego męża z twarzą między dłońmi zakrytą, na bliskim stole paląca się lampa oświecała leżący sztylet okręcony różaną przepaską.

Przypomniał sobie Henryk, że ją miała w dzień śmierci u łona nieszczęśliwa Hanna. Nie zwlekając dłużej wszedł śpiesznie rycerz z Kaniowa, ale Zbigniew zatopiony w dumaniu, podniósł dopiero czoło, kiedy już od kilku chwil stał przed nim dzielny młodzieniec.

Zdziwiony syn Władysława, porwał się z gniewem i wlepił iskrzące oczy w twarz Henryka. Dawne pamiątki ozwały się w duszy, patrzył, zbliżył się i poznał, a nawet uchwycił oręż i wznosił go na towarzysza śmiertelnego wroga, nie przemówiwszy i słowa.

— Książę! — zawołał Henryk, niewiedząc jak uniknąć grożącego ciosu — Hanna była niewinną!

Wypadła szabla z rąk Zbigniewa, a łzy zalały mu lica na wspomnienie tak drogiego imienia.

Henryk nie stracił sposobnej pory i nie dając czasu Zbigniewowi do namysłu, zawołał:

— Synu najjaśniejszego króla i pana mojego, przybyłem z Płocka do tych miejsc odległych, by ci odkryć tajemnicę. Hanna i Mieczysław byli niewinnymi. Mestwin wszystko uknuł i Mestwin jest zbrodniarzem.

Po tem oświadczeniu, opowiedział księciu wyznania Ulrycha, wyszczególnił najdrobniejsze okoliczności, i sam słowem rycerskiem zaręczył, że w owej pamiętnej nocy widzenia się księżnej z Mieczysławem, całą ich rozmowę słyszał i z niej poznał, że Hanna ciągle kochała męża najczystsza miłością, i że Mieczysław najszlachetniejsze poświęcenie uczynił.

Twarz Zbigniewa rozmaite przybierała wyrazy podczas mowy rycerza, lecz kiedy oczywiste ujrział dowody, jakiś rodzaj smętnej radości zabłysnął w oczach, zgiął kolana i ręce załamał, wznosząc je ku niebu.

— O Boże! — zawołał — dzięki ci składam, żeś nie dozwolił bym dłużej posądzał niewinność ulubionej, niewinność tej, która mi najmilszą na tym świecie była. Zginęła z mojego rozkazu, ale ostatnia jej myśl była błogosławieństwem dla mnie. Zmiękczyć się więc w gniewie swoim, o Panie świata, i ulży ciężar przygniatającego mnie życia. Tak, — dodał powstawszy — wolniej oddycham. Tak, równieśmy sobie oddali usługi. Jam ci życie ocalił, ty mi spokojność, to jest część spokojności wróciłeś.

— Książę, — przerwał Henryk — niedawno życie mi darował, teraz większego jeszcze daru wymagam.

To mówiąc, zbliżył się do Zbigniewa, klęknął i zarazem z szyszaka odpiął warkocz włosów w krwi zbroszony.

— Panie, — rzekł poważnym głosem — to są włosy nieszczęśliwego twego brata. Dopókim ciebie miał za jego mordercę, dopótym pragnął je w krwi twojej zbroszyć; lecz kiedym się dowiedział od Ulrycha, że inny sprawił to wszystko, przysięgam, że je w krwi jego zanurzę, wymagam więc od ciebie, byś mi dozwolił walczyć z Mestwinem z Wilderthalu.

Na imię Mestwina, twarz księcia przez chwilę rozjaśniona, czarną pokryła się żalobą, wszystkie namiętności uspięne obudziły się w piersiach z podwojoną siłą. Żyły czoła nabrzmiały krwi potokiem, rumieniec wściekłości oblał lica. Oczy zaiskrzyły się płomieniami i usta się otworzyły, lecz zamiast wyrazów, krzyk okropny i przeraźliwy z nich wybuchnął, a rękę wyciągnął książę Zbigniew i groźnie dobył miecza.

— Przysięgam, — rzekł po chwili — że nikt inny ode mnie Mestwina nie zabije. Ach! zginiesz zbrodniarzu, zginiesz. Zbyt długo rozciągnięta przez ciebie zasłona wzrok mój émiła, rozerwana teraz. Pozbawiłeś mnie szczęścia, sławy, wszystkiego, ja cię tylko życia pozbawić

mogę, o Hanno! o ojciec mój! o Mieczysławie! — tu znów łzy wytrysnęły i upadł książę na bliskie krzesło.

— Nie narażaj się, panie, — rzekł rozczulony Henryk — na żelazo tego Niemca, on niegodny twej książęcej ręki. Dozwól mi dokonać przysięgi i zyskać chlubę, że pana mego i ciebie zarazem pomściłem.

Długo Zbigniew nie mógł ukrócić swego żalu, każde wspomnienie dodawało goryczy smutkowi, po długim dumanii słabym rzekł głosem:

— Rycerzu, nie mogę zadosyć twej prośbie uczynić, powtarzam i przysięgam, że Mestwin z mojej zginie ręki. Ach! czegoż on mnie pozbawił Hanny. Gdyby mi godności, bogactwa, chwałę był odjął, berło wytrącił, darowałbym mu jeszcze, ale Hanne, o Hanno! o kochanko! o żono moja!.. On z mojej ręki zginie.

Te ostatnie słowa wyrzekł stanowczo i podniósłszy oręż w górę, spojrział wzrokiem grożącym zagubą. Po chwili namysłu, dodał:

— Czuję, że ci największą przykrość robię. Lecz rozważ, o ile moja zemsta twoją przechodzić powinna. Ja płaczę za żoną, za sławą, za bratem niegodnie zabitym. Ciebie wszyscy kochają, zaczynasz piękny zawód i masz nadzieję. Mnie, doszłego do pół drogi życia, odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja dawniej wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniej dla mnie jak słońce na czystym niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdarciem sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgrozą, każde usta przekleństwami. Oddzielony od lubej, odrzucony przez ojca, zwiedziony od przyjaciela, stoję na brzegu przepaści, nie mogąc ani wprost się rzucić, ani wstecz się cofnąć, i muszę ciągle trzymać wlepione oczy w jej otchłanie. Tobie młodość, tobie przyszłość się uśmiecha. Miną twe smutki, jak chmury co nad twoją głową szybko ulatują, a zostanie się niebo czyste i jasne. Dla mnie świat zniknął, jedna została się zemsta, a powiedz teraz, czy chcesz mię tej ostatniej pociechy pozbawić? Czy chcesz spiekłym wędrownika ustom ostatnią kroplę odmówić, kiedy pełne masz pu-

hary pieniącego się napoju? mów, Henryku, czyż możesz tego żądać?

Stał młodzieniec z spuszczoną głową i milczał.

— Co mogę uczynić to uczynię: — ciągnął dalej Zbigniew — powierz mi ten pukiel włosów, sam go w krwi zbrodniarza umoczę, a potem oddam.

Henryk nie rzekł i słowa, lecz wyciągnął rękę i oddał swój skarb księciu.

Drżały palce Zbigniewa, kiedy ścisnął włosy Mieczysława, przeszedł się potem kilka razy po komnacie, nareszcie stanął i rzekł do Henryka:

— Jutro przed zachodem słońca odbierzesz je. Lecz gdybym nie wrócił?.. Wtenczas ci wolno ścigać po całej ziemi Mestwina. Wtenczas przekazuję ci, Henryku z Kaniowa, zemstę własną i tylu nieszczęśliwych ofiar. Teraz żegnam cię, nie mów nic o tem nikomu i rozgość się w moim zamku.

— Książę, — odparł rycerz — nie zostanę w tych murach, mógłbym w nich zobaczyć wroga, po którego życie tu przybyłem, a ten widok pomieszałby wszystkie władze mojej duszy; wola nadaremna by się stała wstrzymanie namiętności. Pomimowolnie wyrwałaby moja ręka szablę z pochwy i zatopiła ją w piersiach Mestwina. Zejdę na dół i tam w jednej z chat nad rzeką stojących, zaczekam na wypadek walki. Jakikolwiek on będzie, bądź pewny, książę Zbigniewie, że w Henryku z Kaniowa masz człowieka oplakującego twoje nieszczęścia, a może będziesz miał w nim mściciela.

Po tych słowach, uklonił się i wyjść zamysłał, ale Zbigniew go jeszcze zatrzymał.

— Nie myślę, — rzekł — wobec mojego dworu staczać walki z Mestwinem, zawiodę go w głąb lasu za rzeką. Czekaj mnie jutro aż do zachodu słońca na tym brzegu. Jeśli noc zapadnie, a ja nie wrócę... lecz nie, zemsta doda sił tej ręce, a ta pierś nie potrzebuje, by jej co odwagi dodało.

Henryk się oddalił, a Zbigniew został sam z swojemi myślami. Już było późno, lampa dopalała się na

stole mdłemi promieniami oświecając komnatę, książę jeszcze kilka razy pokój okrążył, a potem rzucił się na łożo. Pamiątki młodości z głębi duszy powstały, przeszłość rozwinęła się przed myślą, a urok jej wdzięków sroższym czynił obraz przyszłości. Miłość, chwała już zniknęły, zimna rzeczywistość miała już aż do grobu towarzyszyć synowi Władysława, widział przeszłe uciechy i radości zwiędłe, a przyszłe gromy nieustannie grzmiąły w przerażonem uchu.

Utracił jedyną istotę, która mogła przynosić mu ulgę w utrapieniach, utracił ją przez zbrodnię. Naraził się na nienawiść ludzi i przyjaciół, zniechęcił naród, któremu kiedyś mógłby był przewodniczyć do sławy.

Wszystkie marzenia wielkości, któremi karmiło się serce w tęsknotach, upadły, wszystkie nadzieje okropna zbrodnia wydarła, a ta, która miała być aniołem opiekuńczym życia pełnego dzieł i chwały, zstąpiła zawczasie do grobu, pchnięta jego własną ręką. Umarła niewinna dla spełnienia widoków Mestwina. Najcnotliwsza niewiasta padła ofiarą zamachów, knowanych przez zdrajcę i nierozważnych namiętności męża, którego tak kochała. Ojciec w rozpacz, naród w żalobie są skutkiem jego czynów. A cóż powiedzą potomni? Jakimże wieńcem przyszłość ozdobi skronie, które miało się wynieść nad wszystkich bohaterów czoła? Czyż strumienie krwi wylanej nie wzniosą się na zagrodenie jego imieniu drogi do nieśmiertelności? czyż okrzyk trwogi i przerażenia narodów, nie przytłumi odgłosu dawnych dzieł i zwycięstw? A tak w jednej chwili widział zniszczone szczęście i zniszczoną chwałę, dla której rzucał się na miecze wrogów, o której marzył od dzieciństwa. Już się wzbijać zaczynał jej skrzydłem wzniesiony ku niebu, a teraz jeden czyn, jedna zbrodnia zwróciła go do ziemi i upadł pomiędzy prochy i kości zapomnianych i przeklętych na świecie, a siły zwątlone nie pozwalają mu jeszcze raz się podźwignąć, i musi żyć, i musi żadnego celu w życiu nie upatrywać, bo sam własną winą najszlachetniejsze, najpiękniejsze dwa cele, chwałę i miłość na wieki utracił.

Takie myśli snuły się w wyobraźni Zbigniewa, lecz

nareszcie znękany opuścił głowę i wpadł w odrętwienie do snu podobne, choć snem nie było. Ocieężałe powieki napół tylko zakrywały oczy, a uczucia bólesci i żalu odzywały się ciągle.

Dogorywająca lampa, to bledsze, to żywsze rzuciła promienie na przeciwną ścianę, na której zawieszona była całkowita zbroja z hełmem u góry, z przepaską na pancerzu i mieczem u przepaski. Przemijającym zbroja oświecona blaskiem, raz jaśniała jak gdyby przed światłem słońca, to znów w zupełną pogrążała się ciemność. Wreszcie po długim konaniu zgasła lampa, a jednak widział jeszcze Zbigniew zbroję, i zdało mu się, że oczy wlepione w niego, żarzyły się zpod przyłbicy szyszaku. Chciał się porwać, ale nie mógł i pozostał na miejscu; a tymczasem zdało mu się, jak gdyby oderwała się od przeciwległej ściany zbroja, i jak gdyby się mąż jakiś w nią przyoblekł; a wnet druga postać ukazała się w śnieżnych szatach, i mąż zbrojny podał jej rękę i oboje płynąc w powietrzu, zbliżyli się do siedzenia Zbigniewa, a wtenczas przerażony książę poznał w rycerzu Mieczysława, a w niewieście nie-szczęśliwą Hannę.

Zbigniew dobył wszystkich sił, oparł szeroką prawicę o stół dębowy, ale podnieść się nie mógł. A niewiasta w śnieżnych szatach, rzucając nań okiem słodczy, wskazywała niebo; lecz mąż zbrojny okropnem wejrzeniem spoglądał zpod szyszaka, otworzył usta i wyrzekł: zemsta, zemsta. A mury długiem echem powtórzyły: zemsta. Dobył rycerz zpod pancerza świetnego pucharu i pokazał go księciu pełnym trucizny. Po drugi raz otwarły się jego usta, zawołał: Mestwin, i powtórzył: zemsta. A wtenczas Zbigniew zebrał całą moc swoją, wyciągnął ramiona ku ulubionej, i zdało mu się, że uśmiechem nadziei odpowiedziała jemu; w tej chwili wraz z groźnym towarzyszem znikła, zbroja jak dawniej wisiła na ścianie, a Zbigniewa ciężki sen opanował.

ROZDZIAŁ XXXII.

Umiera. — Lecz nikt dla niego nie
czuje litości. — Świat szeroki, a żadne
w nim serce dla niego nie bije.

Bezimienny.

Przybył rycerz z Wilderthalu o wschodzie słońca z łowów, i zaraz stawił się przed księciem... Krótkimi słowami przywitał go Zbigniew.

— Przywdziej najlepszą zbroję, przypasz miecz niezawodny i chodź za mną.

Poznał Mestwin z twarzy księcia, że niezwykle pomieszenie duszę jego trapiło, lecz nie domyślał się jego przyczyny. Usłuchał rozkazów pana, sądząc, że Zbigniew ma jakąś wyprawę na celu. Ukrytemi w murach drzwiami wyszedł z nim z zamku i szedł na brzeg Czarnejwody.

Zbigniew skoczył w milczeniu na łódkę, a Mestwin poszedł za jego przykładem.

— Książę i panie mój, — zawołał — czyżby nie lepiej było wziąć z sobą kilku zbrojnych?

— Nie potrzebujemy — odparł uroczyście Zbigniew — innego świadka jak nieba... Odbijaj.

Odbił rycerz od brzegu, a łódka pędzona wiatrem szybko przerzynała wody. Dzielnie popychał ją wiosłem Mestwin, a złote jesiennego słońca promienie odbijały się w każdej kropli wlatującej w powietrze, czarne fale konając u boków statku, w białą zamieniały się pianę, i daleko za nimi pierwszy brzeg się oddalał, kiedy przeciwny coraz się zbliżał, nareszcie dopłynęli, a książę wyszedł na ziemię i Mestwin za nim.

Gęstym był las, przez który się przedzierali, krzewy i wysokie trawy utrudniały drogę, wzniosłe sosny, płaczące brzozy, żałobne świerki i ogromne dęby, płatającymi się gałęzmi wydzierają oku błękit niebios gdzieś tam tylko przebijający. Za zbliżeniem się kroków ludzkich odlatywały sojki, kruki opuszczały gniazda, a sęp żarłoczny z żalem odstępował gałęzi, z której zdobył upatrywał.

— Jakiż cel naszej wyprawy? — zapytał Mestwin — jeśli łowy, tośmy o małej rzeczy tylko zapomnieli: o łukach i strzałach.

— Poznasz ten cel niezadługo — odpowiedział Zbigniew, i szedł dalej z zadziwionym rycerzem. Doszli narzeczcie miejsca, w którym rozstępowały się drzewa, i gdzie niska trawa z żywszą rosła zielonością przy drobnym sączącym się wśród kamieni i leśnych kwiatów strumyku. Tu zatrzymał się książę, i dobywając wszystkich sił, zawołał:

— Mestwinie, ziemia choć tak rozległa, nie potrafi nas dwóch razem objąć. Jeden poledz musi. Znam twoje zbrodnie, Ulrych wszystko wyznał przy śmierci, broń się, szatanie.

Zpoczątku stał Mestwin z krwią najzimniejszą, lecz gdy usłyszał, że Ulrych zginął, nadaremno chciał wstrzymać łzę, co samotna przedarła się przez powieki, zgrzytnął zębami i dobył miecza.

— Zbigniewie, wiesz wszystko, śmierć między nami rozstrzygnie, lecz nim zginę lub ty zginiesz, odkryję ci: Ulrych był moim synem, o Bianco! o nieszczęśliwa, uwiodłem ją, skonała mi na rękach, młodym byłem wtedy, odtąd skamieniało moje serce, jednego tylko lubiłem Ulrycha, a jednak wstydząc się przywiązania do człowieka, chciałem to ostatnie przytłumić, posyłałem syna na niebezpieczeństwa, przyzwyczałem do zbrodni. Ach! Hanna miała rysy Bianki. Dowiedz się, że to serce pała płomieniami, które muszą zawsze zniszczyć cel jego miłości. Srogi, okrutny z przyrodzenia, byłem obcą istotą na ziemi, nie znałem tego w czem ludzie szczęście pokładają, chciałem także się wynieść, czułem czasami przywiązanie do ciebie,

ale widzę... mości książę — dodał z szyderskim uśmiechem, — że cię moje wyznania nudzą. Doniosłeś mi pierwszy o śmierci syna, zgiń zato, zgiń — krzyknął wściekle — zgiń mężu Hanny z Ciechanowa.

I starły się ich miecze i wyrocza dla obu zaczęła się walka. Z rozpaczą i najdzielniejszą odwagą potykał się Mestwin, lecz ramię Zbigniewa wspierały wszystkie namiętności skupione w jednej chęci zemsty, a mogące się w sercu człowieka urodzić.

Walczyli w samotnem miejscu, pod sklepieniem niebios z takim zapalem, jak gdyby narodów los zależał od wypadku bitwy, i jak gdyby tysiączne okrzyki dodawały im męstwa.

Mestwin nie tracił rozwagi, a Zbigniew namiętnie nacierał, lecz tak namiętnie, że cała przeciwnika rozważa musiała uleść uniesieniu księcia, i zwycięskie żelazo nie-szczęśliwego bohatera przeszło pierś rycerza.

Upadł Mestwin a książę umoczył w krwi jego włosy brata, lecz nie mogąc dłużej znieść widoku umierającego człowieka, którego tak długo uważał za przyjaciela, chciał odejść, kiedy Mestwin dobył głosu z przebitych piersi.

— Zbigniewie! zaklinam cię na męki piekła, dobij mnie.

Pierwszą myślą księcia było uczucie litości, lecz stanął mu w pamięci obraz przeszłej nocy widziany i odsunął rękę od sztyletu, odwrócił oczy i śpiesznie się oddalił...

* * *

Na brzegu Czarnejwody stał rycerz na koniu. Słońce już wzbilo się w górę, a on niewzruszony zdawał się czekać na kogoś, błyszczała jego zbroja, a rynsztunek cały dowodził, że się do długiej przygotował podróży. Często zwracał niespokojny wzrok na drugą stronę rzeki i wlepione tam trzymał oczy, jak gdyby chciał przebić lasów gęstwiny. Często natężał ucho przysłuchując się dalekim głosem, lecz nic nie słyszał oprócz krakania drapieżnych ptaków lub ryku zwierząt. Nareszcie bystrem okiem dostrzegł zbrojnego męża wychodzącego z pomiędzy

ostatnich drzew boru. Natychmiast żywym rumieńcem okryły się jego lica i konia na sam brzeg skierował.

Wtem z przeciwnej strony wsiadł rycerz w łódkę i poznał go Henryk z Kaniowa, a wtenczas nie mogąc wstrzymać niecierpliwości, ubódt dzielnego konia ostrogą i rzucił się w rzekę. Płynący rumak z odważnym jeźdźcem podnosił czoła nad fale, jak gdyby się chciał im urągać. Zagrzewał go Henryk słowami i głaskaniem, a koń dumny z swego ciężaru prędkim biegiem przecinał wody. Spotkała się łódka z Henrykiem w połowie rzeki, i mąż na statku w zamyśleniu siedzący wyciągnął rękę i oddał jeźdźcowi pukiel krwi świeżą zlany. Uchwycił go Henryk, przycisnął do piersi i milczącym ukłonem żegnając księcia, odwrócił konia, dopłynął brzegu i puszczając wodze dzielnemu rumakowi, skierował go ku rodzinnej ziemi i zniknął.

Upływały godziny a zbrodniarz nie mógł umrzeć. Leżał na ziemi otoczony krwi strumieniami, spiekłe pragnienie gardło mu rozdzierało, słyszał szmer bliskiego strumyka, widział przesuające się wody przed sobą, a nie mógł do nich się doczołgać. Z początku jaśniejące słońce w połowie niebios, biło mu w oczy nieznośnym blaskiem, a nie mógł oczu zamknąć ni odwrócić i przeklinał słońce.

Opanowało go odrętwienie, krew powolniej z szerokiej rany płynąć zaczęła i przez wiele chwil nic nie czuł, lecz znów potem za zbliżeniem się wyroczonej godziny, cierpienia się ponowiły i przytomność, najsrozsze dla niego cierpienie wróciła.

Przebiegł wśród boleści śmierci towarzyszących, życia całego liczne wypadki, a nie przypomniał sobie żadnego czynu, żadnego słowa, żadnej myśli, coby go obronić mogła przed sądem Boga. Spojrzał w górę, a słońce opuściło wzniosły tron niebios i zstąpiło za wysokie drzewa, oblewając je czerwona zachodu jasnością. Gromadziły się nad jego głową orszaki żałobnych ptaków, z początku w odległych przestrzeniach błękitu krążące, lecz potem zlatując coraz niżej, czarnym opasywały go

wieńcem i pomieszaniem głosami, zapowiadały bliskość ostatniej chwili.

Ryk dzikich zwierząt grzmiał ze wszystkich stron lasu, i zdawało się umierającemu, że widzi ich płomieniste oczy spoglądające nań z pomiędzy zielonych i żółtawych liści.

Chłód jesiennego wieczora dolegał rozdartej piersi, i krew sącząca się z niej, kroplami ścinała się na mroźnym wietrze. Nareszcie stanęło słońce na granicy widnokregu, i Mestwin żałował słońca, przedmioty zmieszały się przed jego wzrokiem, coraz bardziej krakania i ryki się zbliżały, a nareszcie czarne sępa skrzydło przysłoniło konającemu ostatni promień słońca, a boleść sprawiona zatapiającemi się jego szponami w piersiach, była ostatniem uczuciem Mestwina na ziemi.

Z A M K N I E Ą C I E.

Dalsze życie księcia Zbigniewa i wojewody krakowskiego, należą do dziejów.

Co się zaś tyczy innych osób naszej powieści, w krótkich słowach opowiemy ich koniec, o ile ten nam jest wiadomy, po wielu poszukiwaniach i staraniach w tym względzie czynionych.

Wszebor w kilka miesięcy po zgonie córki umarł w swoim ciechanowskim zamku.

Wolimir z Moskorzewa ciągle swój urząd piastował, przerywając nudy życia żartami i ulubionemi łowami, lecz ta ostatnia namiętność przedwczesny sprowadziła mu koniec, gdyż dnia jednego znaleźli go śludzy napół w błocie zatopionym, z sokołem jeszcze na ręku, który już umarłego nie chciał odlecieć pana.

Jordan z Gozdowa towarzyszył wciąż księciu.

Krystyn z Mortoga pokłóciwszy się z jednym ryce rzem o to, czy lepiej prostym lub krzywym potykać się

pałaszem, zginął w pojedynku, twierdząc do ostatniego tchnienia, że proste szable są najlepszymi.

Henryk z Kaniowa, od chwili rozstania się ze Zbigniewem, znika nam zupełnie z oczu, niewiadomo gdzie się podział. W mnóstwie chronik jego szukaliśmy śladów ale nadaremnie, nareszcie napadliśmy przypadkiem na rękopism Wilhelma, arcybiskupa Tyru, który krzyżowe wojny opisuje i tam na następne trafiliśmy słowa:

„Za moich czasów, widziano jeszcze za północną bramą Hierozolimy, na polu między czterema palami, grób przywalony kamieniem, na którym ten już nieco stary był napis:

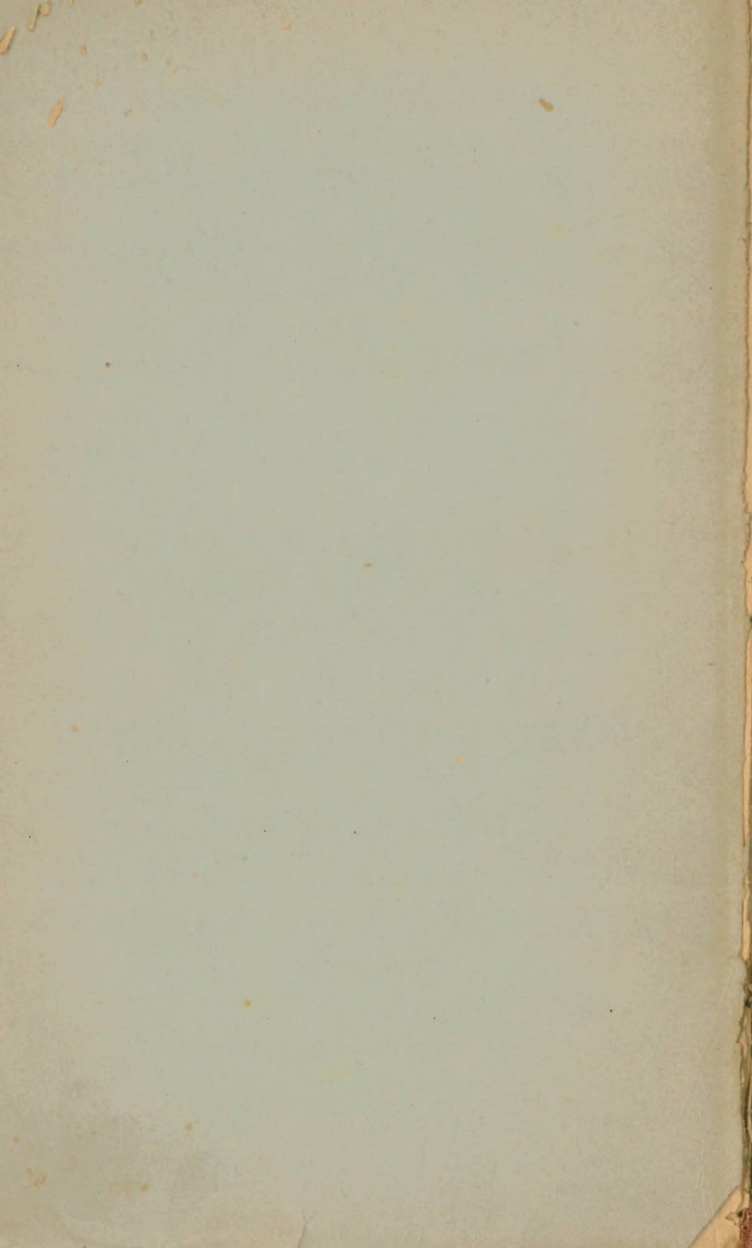
HIC J.CET H.NR.CUS DE K.NIO. EQUES
POL.NUS B.LLICA VIRT.TE I.SIGN.S, QUI
TRIDIE P.ST C.PT.M U.BEM ET CAESIS
INF.DE.IBUS EX VULN.RIBUS ACCE.TIS
M.RT.US E.T“.

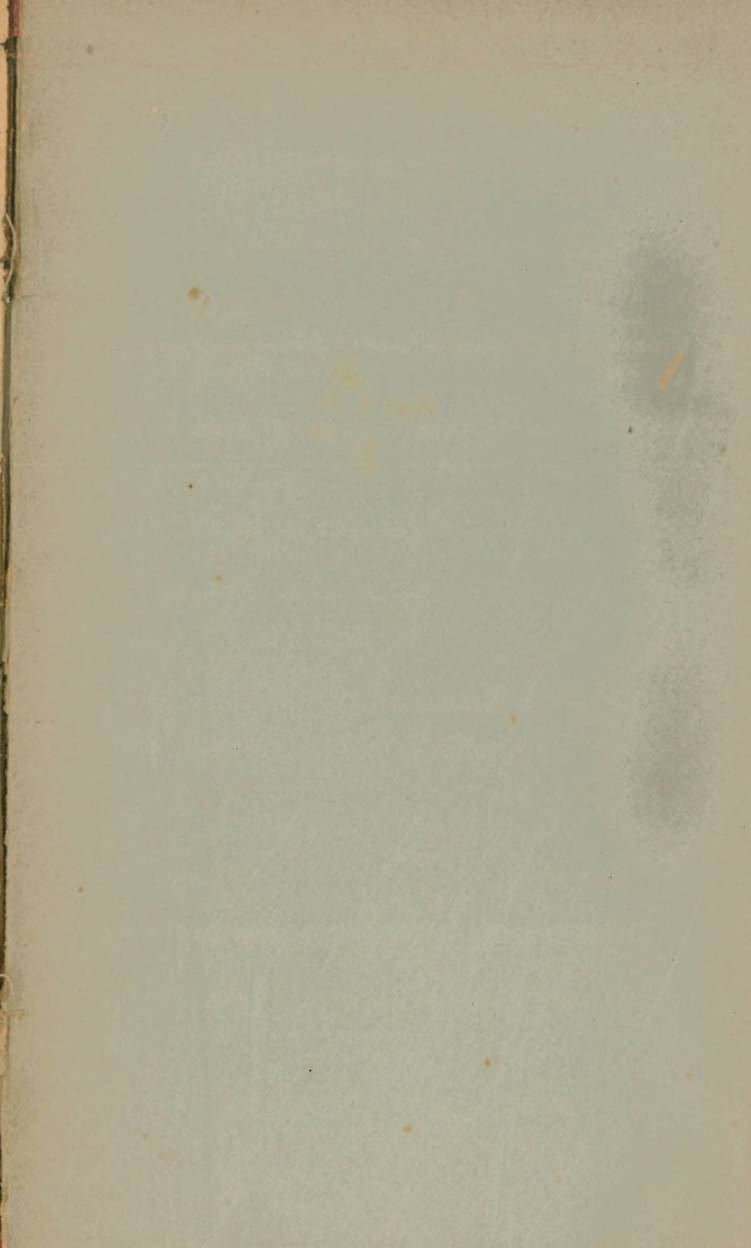
KONIEC.



ALASNOŚĆ J. HULEWICZA

ALASNOŚĆ J. HULEWICZA





Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
BIBLIOTEKA

277246

Biblioteka WSP Kielce



0059088